

# Przygody dobrego wojaka Szwejka podczas wojny światowej, tom III i IV





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

JAROSLAV HAŠEK

*Przygody dobrego wojaka Szwejka  
podczas wojny światowej*

TŁUM. PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

# TOM TRZECI. PRZESŁAWNE LANIE

## I. PRZEZ WĘGRY

Nareszcie wszyscy doczekali się chwili, w której powpychano ich do wagonów — w każdym na 8 koni przypadało 42 szeregowców. Koniom podróżowało się oczywiście wygodniej niż szeregowcom, bo mogły spać stojąc, ale nikogo to właściwie nie obchodziło. Pociąg wojskowy wiozł do Galicji nową gromadę ludzi na rzeź.

Na ogół wszakże wszystkie te biedne stworzenia doznały ulgi. Gdy pociąg ruszył, miało się poczucie czegoś określonego, podczas gdy przedtem była tylko męcząca niepewność, panika, bo nikt nie wiedział, czy się pojedzie dzisiaj, jutro czy pojutrze. Niejeden czuł się jak skazaniec wyczekujący ze strachem ukazania się kata; żeby już nareszcie mieć spokój, żeby już był koniec.

Toteż jeden z żołnierzy wrzeszczał jak pomyłony:

— Jedziemy! Jedziemy!!

Sierżant rachuby Vaniek miał zupełną rację, gdy mawiał do Szwejka, że nie ma się co śpieszyć.

Zanim nadeszła chwila wsiadania do wagonów, upłynęło kilka dni, a przy tym stale gadało się o konserwach, chociaż doświadczony Vaniek zapewniał, że to tylko fantazja.

— Jakie tam znowu konserwy? Msza polowa, to i owszem, bo i przy poprzedniej kompanii marszowej było to samo. Jeśli są konserwy, to mszy polowej nie ma. W przeciwnym razie msza polowa zastępuje konserwy.

Zamiast więc konserw gulaszowych ukazał się oberfeldkurat Ibl, który za jednym zamachem zabił trzy muchy. Odprawił mszę polową od razu dla trzech marszbatalionów: dwa z nich błogosławił na drogę do Serbii, a jeden do Rosji.

Wygłosił przy tej sposobności natchnioną mowę, przy czym widać było, że materiał czerpał z kalendarzy wojskowych. Mowa ta była tak wzruszająca, że gdy już byli w drodze na Moson, Szwejk, który znajdował się w wagonie razem z Vańkiem w zaimprovizowanej kancelarii, przypomniał sobie to przemówienie i rzekł do sierżanta rachuby:

— Morowo będzie, jak mówił ten feldkurat, gdy się dzień nachyli ku wieczorowi i słońce ze swymi złocistymi promieniami zajdzie za górami, a na poboju słychać będzie, jak wywodził, ostatnie westchnienia umierających, stękanie rannych koni, jęki rannych szeregowców i narzekanie mieszkańców, którym popodpalano strzechy nad głowami. Okropnie lubię, gdy ludzie bałwanieją do kwadratu.

Vaniek kiwnął głową na znak, że się zgadza.

— Rzeczywiście, przykład był pioruńsko wzruszający.

— Ładny też był i bardzo pouczający — rzekł Szwejk. — Bardzo dobrze to sobie zapamiętałem i gdy powrócę z wojny do domu, to będę o tym opowiadał „Pod Kieli chem”. Pan oberfeldkurat rozkraczył się jeszcze tak ładnie, gdy do nas przemawiał, że się bałem, żeby mu się kulas nie pośliznął, bo byłby upadł na ołtarz polowy i rozbił sobie łeb o monstrancję. Dawał nam taki piękny przykład z dziejów naszej armii, kiedy to jeszcze służył Radetzkiemu, a z zorzą wieczorną łączył się płomień gorejących stodół; mówił tak, jakby na to patrzył.

Tęgoż samego dnia oberfeldkurat Ibl był już w Wiedniu i znowu innemu marszbatalionowi wykladał wzruszającą historię, o której mówił Szwejk, a która tak mu się podobala, że nazwał ją bałwanieniem do kwadratu.

— Kochani żołnierze — przemawiał oberfeldkurat Ibl — pomyślcie sobie, dajmy na to, że mamy rok czterdziesty ósmy i że zwycięstwem zakończyła się bitwa pod Custozzą, gdzie po dziesięciogodzinnej upartej walce włoski król Albert musiał oddać krwawe poboju naszemu ojcu żołnierzy, marszałkowi Radetzkiemu, który w osiemdziesiątym czwartym roku życia odniósł tak świetne zwycięstwo.

I patrzajcie, żołnierze mili! Na wzgórzu przed zdobytą Custozzą zatrzymał się sędziwy wódz w otoczeniu swoich wiernych generałów. Powaga chwili spoczęła na całym tym kole, albowiem, żołnierze, w nieznaczącej odległości od marszałka widać było bojownika walczącego ze śmiercią. Z członkami strzaskanymi na polu chwały czuł ranny

podchorąży Hart, że spogląda na niego marszałek Radetzky. Pocziwy ranny podchorąży w spazmatycznym uniesieniu ścisnął jeszcze w tężejącej prawicy złoty medal. Gdy spojrzął na sławnego marszałka, serce jego ożywiło się jeszcze raz, zabiło mocniej, przez porażone ciało przebiegła resztką energii i umierający nadludzkim wysiłkiem próbował przyczołgać się do swego marszałka.

„Nie fatyguj się, pocziwy żołnierzu!” — zawołał na niego marszałek, zsiadł z konia i chciał mu podać rękę.

„Nie da się zrobić, panie marszałku — rzekł umierający żołnierz — ponieważ obie ręce mam urwane, ale o jedno proszę! Niech mi pan marszałek powie prawdę: wygraliśmy tę bitwę?”

„Tak jest, mój bracie — odpowiedział uprzejmie marszałek. — Szkoda, że radość twoja jest zamącona ranami twymi”.

„Tak jest, dostojny panie, ze mną już koniec” — głosem złamanym rzekł żołnierz uśmiechając się przyjemnie.

„Chce ci się pić?” — zapytał Radetzky.

„Dzień był gorący, panie marszałku, było trzydzieści stopni!”

Wtedy Radetzky sięgnął po manierkę swego adiutanta i podał ją umierającemu. Ów napił się łyknąwszy porządnie.

„Bóg zapłać tysiącrotnie!” — zawołał usiłując pocałować w rękę swego wodza.

„Jak dawno służysz?” — zapytał marszałek.

„Przeszło czterdzieści lat, panie marszałku! Pod Aspem wysłużyłem złoty medal. Byłem także pod Lipskiem, mam kanonierski krzyż, pięć razy byłem śmiertelnie ranny, ale teraz już koniec, na amen. Lecz co za szczęście i radość, iż doczekałem dnia dzisiejszego. Co mi tam śmierć, gdy odnieśliśmy wielkie zwycięstwo, a cesarzowi została przywrócona jego ziemia!”

W tej chwili, kochani żołnierze, z obozu ozwały się majestatyczne dźwięki naszego hymnu: „Boże, ochroń, Boże, wspieraj”. Wzniosłe i potężnie płynęły nad pobojuwiskiem. Ranny żołnierz, żegnający się z życiem, jeszcze raz próbował powstać.

„Niech żyje Austria! — zawołał z zapalem. — Niech żyje Austria! Niech grają dalej tę wspaniałą pieśń! Niech żyje nasz wódz! Niech żyje armia!”

Umierający pochylił się jeszcze raz ku prawicy marszałka, którą pocałował, opadł na ziemię i ciche ostatnie westchnienie wydarło mu się z jego szlachetnej duszy. Wódz stał nad nim z głową obnażoną, spoglądając na trupa jednego z najdzielniejszych żołnierzy.

„Taki piękny koniec godzien jest zawiści” — rzekł marszałek ukrywając wzruszoną twarz w złożonych dłoniach.

Kochani żołnierze, ja i wam życzę, abyście się wszyscy doczekali takiego pięknego końca.

Wspominając tę mowę oberfeldkurata Ibla, mógł Szwejk bez najmniejszej obawy pokrzywdzenia kapelana w czymkolwiek nazwać ją bałwanieniem do kwadratu.

Potem zaczął Szwejk mówić o znanych rozkazach, które były odczytywane już przed wsiadaniem do pociągu. Jeden z tych rozkazów, podpisany przez Franciszka Józefa, zwracał się do armii, a drugi był rozkazem arcyksięcia Ferdynanda, głównodowodzącego armii i grupy wschodniej, zaś oba dotyczyły wydarzeń, które miały miejsce w Przełęczy Dukielskiej w dniu 3 kwietnia roku 1915, kiedy to dwa bataliony 28 pułku razem z oficerami przeszły do Rosjan przy dźwiękach wojskowej kapeli.

Oba rozkazy zostały odczytane głosem drżącym i brzmiały w przekładzie tak:

„Rozkaz do armii z dnia 17 kwietnia 1915.

Przepełniony bólem rozkazuję, aby c. i k. pułk pieszy 28 za tchórzostwo i zdradę stanu wymazany został z mego wojska. Sztandar pułkowy ma być odebrany pohańbionemu pułkowi i oddany do muzeum wojskowego. Z dniem dzisiejszym przestaje istnieć pułk, który, już w kraju moralnie zastruty, wyruszył w pole, aby się dopuścić zdrady państwa.

*Franciszek Józef I*”

„Rozkaz arcyksięcia Józefa Ferdynanda.

W czasie działań wojennych oddziały czeskie zawiodły, osobliwie w ostatnich bitwach. Zawiodły specjalnie przy obronie pozycji, na których znajdowały się przez czas dłuższy w rowach strzeleckich, z czego skorzystał nieprzyjaciel dla nawiązania stosunków i łączności z nikczemnymi żywiołami tych oddziałów.

Ataki nieprzyjaciela wspieranego przez tych zdrajców kierowane były zazwyczaj przeciw tym odcinkom frontu, które były obsadzone przez takie oddziały.

Często udawało się nieprzyjacielowi zaskoczyć nasze oddziały i niemal bez walki dotrzeć do naszych pozycji, przy czym zagarniano do niewoli bardzo znaczną liczbę obrońców.

Po tysiackroć hańba, wstyd i pogarda tym nędznikom, którzy dopuścili się zdrady cesarza i państwa i splamili nie tylko cześć wspaniałych sztandarów naszej sławnej i dzielnej armii, lecz także honor tej narodowości, do której należą.

Prędzej czy później nie minie ich kula lub powróż kata.

Obowiązkiem każdego czeskiego żołnierza, który ma poczucie honoru, jest, aby dowódca swemu wskazywał takich nikczemnych podszczuwaczy i zdrajców.

Kto tego nie uczyni, jest takim samym zdrajcą i nikczemnikiem.

Rozkaz ten ma być przeczytany wszystkim szeregowym pułków czeskich.

C. i k. pułk 28 rozkazem naszego monarchy został wykreślony z armii, a wszyscy wzięci do niewoli dezerterzy tego pułku krwią swoją zapłacą za swoją ciężką winę.

*Arcyksiążę Józef Ferdynand*”

— Przeczytali nam tę rzecz trochę za późno — rzekł Szwejk do Vańka. — Bardzo się dziwię, że nam przeczytali ten *befel* dopiero teraz, kiedy najjaśniejszy pan wydał go 17 kwietnia. Wygląda to tak, jakby dla jakichś tam powodów nie chcieli nam przeczytać tego od razu. Żebym ja był najjaśniejszym panem, to bym się nikomu nie dał upośledzać w taki sposób. Jak wydaję *befel* 17 kwietnia, to 17 ma być odczytany wszystkim pułkom, choćby nawet pioruny były.

Po drugiej stronie wagonu naprzeciwko Vańka siedział kucharz-okultysta z kuchni oficerskiej i coś pisał. Za nim siedzieli: pucybut porucznika Lukasz, brodaty olbrzym Baloun, i telefonista przydzielony do 11 kompanii marszowej, Chodounsky. Baloun przeżuwał kawałek komisińska i wystraszony tłumaczył Chodounskiemu, że to nie jego wina, iż w tym tłoku przy wsiadaniu do wagonów nie mógł się dostać do wagonu sztabowego do swego porucznika.

Chodounsky straszyl go, że teraz nie ma żartów i że za to będzie rozstrzelany.

— Żeby też już raz skończyło się to straszne biedowanie — narzekał Baloun. — Już raz podczas manewrów pod Voticami omal życiem nie przypłaciłem służenia w wojsku. Pędzili nas o głodzie, spragnionych, więc gdy podjechał do nas batalionsadiutant, to krzyknąłem: „Dajcie nam chleba i wody!” Zawrócił ku mnie konia i rzekł, że gdyby to było w czasie wojny, to kazałby mi wyjść z szeregu i zostałbym rozstrzelany, ale że nie było wojny, więc powiada, że każe mnie tylko wsadzić do aresztu garnizonowego. Miałem jednak szczęście, bo gdy jechał do sztabu, żeby o tym donieść, po drodze spłoszył się jego koń, adiutant spadł i chwała Bogu, skręcił sobie kark.

Baloun ciężko westchnął i zakrzucił się kawałkiem chleba. Gdy wreszcie odzipnął, spojrział okiem żalonym na dwa toboły porucznika Lukasz, które były pod jego opieką.

— Panowie oficerowie fasowali — mówił melancholijnie — konserwy, wątróbkę i salami węgierskie. Zjadłoby się ździebko.

Spoglądał przy tym z taką tęsknotą na oba tobołki swego porucznika jak opuszczony przez wszystkich piesek, który jest głodny jak wilk i siedząc przed sklepem z wędlinami, wdycha zapach gotowanej wędzonki.

— Nie szkodziłoby — rzekł Chodounsky — żeby na nas czekali gdzieś z dobrym obiadem. Kiedyśmy na początku wojny jechali do Serbii, tośmy się stale obżerali, bo na każdej stacji byliśmy fetowani. Z gęsich udek wycinaliśmy kostki najlepszego mięsa i tymi kostkami grywaliśmy w wilka i owce na tafelkach czekolady. W Osieku w Chorwacji jacyś dwaj panowie ze stowarzyszenia weteranów przynieśli nam do wagonu duży kocioł pieczonych zajęcy, ale już tego nie mogliśmy wytrzymać i wyleliśmy im wszystko na łeb. Przez całą drogę nic innego nie robiliśmy, tylko rzygaliśmy z okien wagonów. Kapral Matiejka w naszym wagonie tak się przeżarł, że trzeba było położyć mu deskę na brzuchu i skakać po niej, jak to się robi, gdy się ubija kapustę, i dopiero to go ruszyło, ale porządnie: górą i dołem. Kiedyśmy przejeżdżali przez Węgry, to oknami wagonów rzucano nam pieczone kury na każdej stacji. Ale my wybieraliśmy z tych kur tylko mózdzki. W Kaposvar wrzucali nam Madziarowie do wagonów całe kawały pieczonych prosiąt, a jeden kolega dostał w łeb pieczoną wieprzową głowizną i to go tak rozzłościło, że z bagnetem w rękę gonił ofiarodawcę przez trzy tory. Za to w Bośni nie dostaliśmy nawet wody do picia. Przed Bośnią, pomimo zakazu, mieliśmy wielki wybór najróżniejszych wódek i mogliśmy pić, ile weszło. Wino lało się strumieniami. Pamiętam, że na jakiejś stacji panienki i paniusie częstowały nas piwem, ale myśmy im w konewki nasiusiali i trzeba ci było widzieć, jak damule wiały wagonów!

Przez całą drogę od tego żarcia i picia byliśmy jak nieswoi. Nie umiałem już nawet odróżnić asa żołędnego od dzwonekowego, a tu — zanim żeśmy się spostrzegli — raptem rozkaz! Gry nie można było dokończyć i wszyscy wysiadać! Jakiś kapral, nie pamiętam już, jak mu było, krzychał na swoich ludzi, żeby śpiewali: „*Und die Serben müssen sehen, dass wir Oesterreicher Sieger, Sieger sind*”. Ale ktoś go kopnął w zadek, a on zwałił się na szyny. Potem krzyczeli, żeby karabiny ustawić w kozły, a pociąg zaraz ruszył i pojechał z powrotem pusty, tyle tylko, jak to już bywa w takiej panice, że zabrał z sobą prowianty, których było na dwa dni. A tak jak stąd do tamtych drzew zaczęły już pękać szrapnele. Nie wiadomo skąd przycwałował batalionskomendant i zwołał wszystkich na naradę, a potem przyszedł nasz oberlejtant Macek, Czech jak drąg, ale mówił tylko po niemiecku, błady był jak ściana. Powiada, że dalej jechać nie można, bo tor wysadzony w powietrze, w nocy Serbowie przeprawili się przez rzekę i są teraz na lewym skrzydle. Ale że są jeszcze daleko od nas. Mają przyjąć posiłki, a potem posiekamy Serbów na drobno. No i żeby się nikt nie poddawał w razie czego, bo Serbowie urzynają jeńcom uszy, nosy i wykluwają oczy. A to, że niedaleko nas pękają szrapnele, to głupstwo — to na pewno ćwiczy nasza artyleria. Nagle gdzieś za górą ozwało się „tatatatata”. I to nic — nasze karabiny maszynowe też muszą odbyć próbne strzelanie. Potem z lewej strony ozwała się kanonada, a że to było dla nas nowością, więc słuchaliśmy jej leżąc na brzuchach. Nad nami przeleciało kilka granatów, dworzec stanął w płomieniach, a z prawej strony nad nami zaczęły gwizdać kule. W dali słychać było trzaskanie salw karabinowych. Oberlejtant Macek kazał rozebrać kozły i nabijać karabiny. Wachmistrz podszedł do niego i powiedział mu, że to się nie da zrobić, bo nie mamy przy sobie żadnej amunicji. Sam przecie wie, że amunicję mieliśmy fasować dopiero na dalszym etapie przed pozycją. Pociąg z amunicją szedł przed nami, ale go już pewno Serbowie mają w swoich rączkach. Oberlejtant Macek stał przez chwilę jak słup, a potem wydał rozkaz: „*Bajonett auf!*”

Sam pewno nie wiedział, dlaczego wydał taki rozkaz. Tak mu się z rozpaczy wymówiło, żeby wyglądało, że się coś robi. Potem przez dość długą chwilę staliśmy w pogotowiu, następnie czołgaliśmy się po torze kolejowym, bo pokazał się jakiś aeroplan, a szarże wrzeszczały: „*Alles decken! Decken!*” Okazało się, oczywiście, że to nasz, ale już go artyleria przez pomyłkę zaczęła ostrzeliwać. Więc wstaliśmy, ale znikąd żadnego rozkazu. Aż tu wyrwał się jakiś kawalerzysta i jeszcze z daleka krzychał: „*Wo ist Bataillonskommando!*” Komendant batalionu wyjechał mu na spotkanie, tamten podał mu jakieś pismo i pędził dalej na prawo. Batalionskomendant czytał sobie po drodze to pismo i raptem jakby zwariował. Wyrwał szablę i pędził ku nam. „*Alles zurück! Alles zurück!*” — ryczał na oficerów. „*Direktion Mulde, einzeln abfallen!*” I zaraz się rozpoczął dopust boży. Jakby tylko na to czekali, że wszystkich stron zaczęły w nas walić. Po lewej stronie było pole kukurydzy podobne do piekła. Na czworakach czołgaliśmy się ku dolinie, a plecaki zostawiliśmy na tym przeklętym retorze. Oberlejtanta Macka dojechała jakaś kula od prawej strony w głowę; zwałił się i ani pisnął. Zanim uciekliśmy w dolinę, mieliśmy masę rannych i za-

bitych. Nie troszczyliśmy się o nich i pędziliśmy aż do wieczora, a cała okolica była już przed nami jak wymieciona. Widzieliśmy tylko złupione tabory. Nareszcie dotarliśmy do stacji, gdzie już czekały nowe rozkazy, żeby wsiadać do pociągu i jechać z powrotem do sztabu, ale tego rozkazu wykonać nie mogliśmy, ponieważ cały sztab dostał się dnia poprzedniego do niewoli, o czym dowiedzieliśmy się dopiero rano. Byliśmy wtedy jak te sieroty, bo nikt o nas nie chciał nic wiedzieć. Przyłączyli nas do 73 pułku, żebyśmy razem z nim uciekali, co zrobiliśmy z największą przyjemnością, chociaż przedtem musieliśmy maszerować prawie cały dzień, zanim dostaliśmy się do 73 pułku. No, a potem...

Nikt go już nie słuchał, bo Szwejk z Wańkiem grali w mariasza, kucharz-okultysta z kuchni oficerskiej pisał dalej swój obszerny list do żony, która podczas jego nieobecności zaczęła wydawać nowe pismo teozoficzne. Baloun podrzemywał na ławie, więc telefoniście Chodounskiemu nie pozostawało nic innego do zrobienia, jak zakończyć opowiadanie:

— Tak, tak, tego nie zapomnę nigdy...

Wstał i zaczął kibicować przy mariaszu.

— Mógłbyś mi przynajmniej fajkę zapalić — rzekł Szwejk po przyjacielsku do Chodounskiego — skoro zabierasz się do kibicowania. Mariasz to rzecz daleko ważniejsza niż cała wojna i niż cała ta wasza głupia awantura na serbskiej granicy. A ja tu robię takie głupstwa, że tylko się po pysku prac. Nie trzeba było poczekać z tym królem? Akurat mi się walet przyplątał. Bydlę jestem, i tyle.

Tymczasem kucharz-okultysta dokończył swój list i odczytywał go z widocznym zadowoleniem, że tak ładnie go ułożył dla cenzury wojskowej.

„Kochana żono!

Gdy otrzymasz ten list, to ja już od kilku dni znajdować się będę w pociągu wiozącym nas na front. Nie bardzo mi tu przyjemnie, ponieważ w pociągu się próżnuje i nie mogę być użyteczny, bo nasza oficerska kuchnia jest nieczynna, a jedzenie dostajemy na etapach stacyjnych. Z przyjemnością przyrzadziłbym w drodze przez Węgry szegedyński gulasz dla naszych panów oficerów, ale nic z tego. Może po przyjeździe do Galicji uda mi się przyrzadzić dla nich coś w rodzaju galicyjskiej szoldry, duszoną gęś w kaszy lub w ryżu. Wierz mi, kochana Helenko, że robię wszystko, co tylko mogę, aby naszym panom oficerom uprzyjemnić życie przy ich troskach i wysiłkach. Z pułku zostałem przeniesiony do marszbatalionu, co było moim najgorętszym pragnieniem, abym mógł i przy naszych skromnych środkach doprowadzić połowę kuchni oficerską do należytego porządku. Pamiętaj jeszcze, kochana Helenko, jak to życzyłaś mi uprzejmych przełożonych, gdy mnie brali do wojska? Życzenie twoje spełniło się i nie tylko nie mogę narzekać, i to w najdrobniejszych sprawach, ale przeciwnie, muszę przyznać, że wszyscy panowie oficerowie są naszymi prawdziwymi przyjaciółmi, a szczególnie wobec mnie zachowują się jak rodzeni ojcowie. Niebawem podam ci numer naszej poczty polowej...”

List ten był wymuszony okolicznościami, a mianowicie tym, że kucharz-okultysta ostatecznie popadł w nielaskę u pułkownika Schrödera, który go dotychczas popierał, a dla którego na pożegnalnym wieczorku oficerów marszbatalionu, znowuż nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, nie starczyło zawijanej nerki cielęcej i za to pułkownik Schröder wyprawił go z kompanią marszową na front, a oficerską kuchnię oddał pod opiekę jakiemuś nieszczęśliwemu nauczycielowi z instytutu dla ociemniałych w Klarovie.

Kucharz-okultysta przeczytał jeszcze raz wszystko, co do żony napisał, a co wydawało mu się bardzo dyplomatyczne. Chodziło bowiem o to, żeby się jako tako utrzymać jak najdalej od linii bojowej, bo chociaż ludzie gadają tak i owak, każdy się na froncie dekuje, jak może.

Dekował się tedy i on, chociaż w cywilu jako redaktor napisał do swego czasopisma, poświęconego wiedzy tajemnej, artykuł o tym, że nikt nie powinien bać się śmierci, oraz artykuł o wędrówce dusz.

Teraz podszedł do Szwejka i Wańka, aby kibicować. Między obu graczami zatarły się w tej chwili wszystkie różnice stopni wojskowych. Nie grali już we dwóch, bo przysiadł

się do nich na trzeciego Chodounsky. Ordynans kompanii Szwejk po grubiańsku besztal sierżanta Vańka:

— Dziwię się, że mógł pan zagrać tak idiotycznie. Czy pan nie słyszy, że on gra „betla”. Ja nie mam ani jednego dzwonka, a pan zamiast rzucić ósemkę, rzucasz jak ostatni idiota żółędnego waleta i ta małpa skutkiem tego wygrywa.

— Żeby znowu tak pysk rozpuszczać o głupiego waleta! — brzmiała uprzejma odpowiedź sierżanta rachuby. — Sam pan grasz jak skończony idiota. Skąd ja mam brać dzwonek ósemkę, kiedy też nie mam ani jednego dzwonka. Miałem tylko wysokie wina i żółędzie, ośle jeden!

— To trzeba było deklorować „durcha” i nie robić cymbalstwa — odpowiedział Szwejk z uśmiechem. — Tak samo było kiedyś „U Valszów”, na dole w restauracji. Też jeden taki fujara miał „durcha”, ale zamiast go ogłosić, odrzucał po jednej swoje słabe karty i każdemu dał wygrać. A co za karty miał! Ze wszystkich kolorów najwyższe. Tak samo jak i teraz nic bym z tego nie miał, gdyby pan zamiast żółędnego waleta rzucił ósemkę. Wtedy ja nie wytrzymałem i mówię: „Panie Herold, graj pan »durcha« i nie bałwań się pan!” A ten na mnie z pyskiem, że może grać, co mu się podoba, bo był na uniwersytecie. Ale nie opłaciło mu się stawiać. Restaurator był dobry znajomy, z kelnerkami byliśmy w zażyłej przyjaźni, więc gdy tamten wołał policję, tośmy policjantowi wszystko akuratnie wytłumaczyli, że się nic nie stało, tylko ten pan zgoła ordynarnie zakłóca ciszę nocną wołaniem policji, bo się przed restauracją sam pośliznął i upadł niezgrabnie, że nosem worał się w trotuar, więc ma nos potłuczony. A myśmy go nawet palcem nie tknęli, chociaż oszukiwał w mariaszu. Dopiero gdyśmy jego fałszowanie dostrzegli, to tak szybko wybiegł z restauracji, aż się przewrócił. Restaurator i kelnerki przyświadczyli bardzo chętnie, że zachowywaliśmy się wobec tego pana bardzo po dżentelmeńsku. Ale dobrze mu tak, bo na nic lepszego nie zasłużył. Siedzi sobie taki od siódmej wieczór aż do północy przy jednym piwku i sodowej wodzie, puszy się niby wielki pan, bo jest profesorem uniwersytetu, a na mariaszu zna się jak kura na pieprzu. Kto teraz rozdaje?

— Zagrajmy w oczko — zaproponował kucharz-okultysta. — Szóstka i dwójka.

— E, opowiadaj nam pan lepiej coś o wędrówce dusz — rzekł sierżant rachuby — jakeś pan opowiadał pannie w kantynie wtedy, coś to sobie potłukł nos.

— O wędrówce dusz także już słyszałem — odezwał się Szwejk. — Już przed laty postanowiłem z przeproszeniem zabrać się, jak to się mówi, do samokształcenia, żeby dotrzymać kroku postępowi. Więc chodziłem do czytelni Związku Przemysłowego w Pradze, ale ponieważ byłem obdarty, a dziurami przeświecał mi zadek, więc nie mogłem się dokształcać, bo mnie do czytelni nie wpuścili, a nawet wyrzucili, bo myśleli, że przyszedłem kraść palta. Ubrałem się tedy po świątecznemu, poszedłem do biblioteki w muzeum i wypożyczyłem sobie taką jedną książkę o wędrówce dusz. Czytałem ją ze swoim kolegą i wyczytałem w niej, że pewien cesarz indyjski przemienił się po śmierci w świnie, a gdy tę świnie zarzęli, przemienił się w małpę, z małpy stał się jamnikiem, a z jamnika stał się ministrem. Potem, kiedy już służyłem w wojsku, przekonałem się, że w tym musi być trochę prawdy, bo kto tylko miał jaką gwiazdkę na kołnierzu, nazywał wszystkich żołnierzy albo morskimi świniami, albo jakimi innymi zwierzętami, z czego dałoby się łatwo wywnioskować, że ci prości żołnierze musieli być kiedyś przed wiekami sławnymi wodzami. Ale podczas wojny wędrówka dusz jest rzeczą bardzo głupią. Diabli wiedzą, ile to trzeba przeżyć różnych przemian, zanim się człowiek stanie, powiedzmy, telefonistą, kuchaczem czy frajtresem, a tu raptem poszarpie go granat, dusza jego przechodzi w konia artyleryjskiego, a tu znowu w tę baterię, gdy jedzie na nowe pozycje, wali nowy granat i zabija konia, w którego wcielił się ten nieboszczyk, i znowu dusza przeprowadza się w pierwszą lepszą krowę przy taborach, a z tej krowy robią gulasz dla żołnierzy, a dusza krowy przechodzi w telefonistę, z telefonisty...

— Dziwię się — rzekł telefonista Chodounsky dotknięty do żywego — że akurat ja mam być celem idiotycznych dowcipów.

— Czy ten Chodounsky, co ma prywatny zakład wywiadowczy z takim okiem na sztyldzie, które oznacza Trójcę Bożą, nie jest krewnym pańskim? — zapytał Szwejk z miłą niewinną, jakby nigdy nic. — Bo przed laty służyłem w wojsku z pewnym prywatnym detektywem, z niejakim Stendlerem. Ten detektyw miał taką guzowatą głowę, że nasz feldfelbel mawiał do niego, że w ciągu dwunastu lat widział w wojsku dużo guzowatych



głów, ale takiej to nawet w duchu sobie nie wyobrażał. „Słuchajcie, Stendler, mawiał do niego, gdyby w tym roku nie wypadły manewry, to wasza guzowata głowa nie zdałaby się na nic, ale ponieważ są manewry, więc przynajmniej artyleria będzie podług waszej głowy strzelać, gdy znajdziemy się w okolicach, w których nie będzie żadnego lepszego punktu orientacyjnego!” Nadokuczał mu ten feldfelbel. Czasem podczas marszu wysyłał go o parę kroków naprzód, a potem komenderował: „*Direktion*, guzowata głowa!” Ten pan Stendler miał w ogóle pecha także jako detektyw prywatny. Ile razy opowiadał nam w kantynie, jakie to miewał zgryzoty! Otrzymywał na przykład takie zadania, żeby wysledzić, czy małżonka takiego a takiego klienta, który przyleciał do nich na pół nieprzytomny, nie zwąchała się z jakim innym panem, a jeśli się zwąchała, to z kim, gdzie i kiedy. Albo odwrotnie. Taka zazdrosna niewiasta przyleciała, żeby się dowiedzieć, z którą też przyjaciółką zadaje się jej mąż, żeby mu następnie zrobić w domu jeszcze większe piekło. Był to człowiek wykształcony, mówił bardzo oględnie o naruszeniu wierności małżeńskiej i omal że nie płakał, gdy nam opowiadał, że wszyscy chcieli od niego, żeby przyłapał *in flagranti* ją albo jego. Drugi cieszyłby się z tego, że może przyłapywać takie pary *in flagranti* i dostałby na oczach odciski od patrzenia, ale ten Stendler przyplącał te przyjemności zdrowiem, jak nam o tym opowiadał. Mówił nam bardzo inteligentnie, że na te plugawe wszeteczeństwa już nawet patrzeć nie mógł. Nam nieraz ślina z gęby ciekła jak psu, gdy węszy w pobliżu gotowaną szynkę, kiedy nam opowiadał o tych najróżniejszych sytuacjach, w jakich te tropione pary przyłapywał. Gdy miewaliśmy koszarniaka, to nam o tym bardzo szczegółowo opisywał: „Tak i tak, powiada, widziałem tę a tę panią z tym a tym panem”. Nawet adresy nam podawał i był taki smutny. „Ileż to ja razy dostałem po gębie, mówił zawsze, od jednej i od drugiej strony. Ale i to mnie tak nie zasmucało, jak raczej to, że brałem łapówki. O jednej takiej łapówce nie zapomnę do samej śmierci. On nagi, ona naga. W hotelu i nie zamknęli się na klucz, idioci! Na otomanie się nie zmieścili, bo oboje byli zażywni, więc baraszkowali na dywanie jak kociaki. A dywan był już cały zdeптany, zakurzony i pełno na nim było niedopałków papierosów. Gdy wszedłem do pokoju, oboje zerwali się na równe nogi. On stał przede mną i ręką zasłaniał się jak figowym listkiem. Ona odwróciła się do mnie tyłem i widać było na jej skórze odbicie kratkowanego wzoru kobierca, a na zadku miała przylepiony niedopałek papierosa. »Przepraszam, mówię, panie Zemku, jestem prywatny detektyw Stendler od Chodounskiego i mam urzędowy obowiązek przyłapania pana *in flagranti* na zasadzie meldunku pańskiej małżonki. Ta oto dama, z którą utrzymuje pan zakazane stosunki, to pani Grotowa«. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem obywatela tak spokojnego. »Pozwoli pan, powiada, że się ubiorę« — jak gdyby się nic nadzwyczajnego nie zdarzyło. »Wina jest wyłącznie po stronie mojej małżonki, która swoją nieuzasadnioną zazdrością zmusza mnie do niedozwolonych stosunków, a powodując się marnymi podejrzeniami, obraża męża przytykami i ohydą nieufnością. Ale jeśli już nie ma wątpliwości, że hańby nie da się dłużej ukryć... Gdzie moje gacie?« — zapytał przy tym zgoła spokojnie. »Na łóżku«. Podczas gdy wdziawał gacie, przemawiał do mnie dalej: »Gdy hańby nie da się ukryć, to się mówi: rozwód. Ale tym się plamy pohańbienia nie ukryje. W ogóle rozwód to sprawa ogromnie poważna — mówił dalej, ubierając się — i najlepiej, gdy małżonka uzbroi się w cierpliwość i nie da powodu do zgorszenia publicznego. Zresztą rób pan, co uważasz za właściwe. Odchodzę i zostawiam pana z szanowną panią«. Pani Grotowa położyła się tymczasem do łóżka, pan Zemek podał mi rękę i wyszedł”. Już dobrze nie pamiętam, co nam dalej opowiadał o tej sprawie pan Stendler, ponieważ bardzo inteligentnie rozmawiał z tą damą w łóżku, oboje zaś zgodzili się na to, że małżeństwo nie jest od tego, żeby każdego prostą drogą prowadzić do szczęścia, i że obowiązkiem każdego jest poskramianie chuci w małżeństwie i kształcenie charakteru oraz uduchowanie ciała. „Sam już, powiada, nie wiem, jak to się stało, że powoli zacząłem się rozbierać, a gdy już byłem rozebrany i omamiony jak dziki jelen, wszedł do pokoju mój dobry znajomy Stach, także detektyw prywatny z konkurencyjnego zakładu pana Sterna, do którego zwrócił się o pomoc pan Grot w sprawie swojej małżonki, która jakoby miała jakiś niedozwolony stosunek. »Aha, powiada tamten, pan Stendler *in flagranti* z panią Grotową. Winszuję!« Tylko tyle powiedział, cicho zamknął drzwi za sobą i poszedł. »Teraz już wszystko jedno — rzekła pani Grotowa — nie potrzebuje pan ubierać się tak szybko. Koło mnie masz pan dość miejsca«. »A mnie, proszę pani, chodzi właśnie o miejsce« — odpowiedziałem i już nawet nie

bardzo wiedziałem, o czym mówię, tyle tylko pamiętam, że mówiłem coś o niesnaskach w małżeństwie i że skutkiem tych niesnasek cierpi także wychowanie dzieciaków”. Potem opowiadał jeszcze o tym, że się bardzo szybko ubrał i dał nura postanawiając, że wszystko natychmiast opowie swemu przełożonemu panu Chodounskiemu, ale naprzód musiał się posilić, a gdy przyszedł do biura, było już po wszystkim. Był już tam detektyw Stach z rozkazu swego szefa pana Sterna, aby zadać cios panu Chodounskiemu wiadomością o tym, jakich to ów pan ma urzędników w swym prywatnym zakładzie wywiadowczym, a ten znowu nie wpadł na żaden lepszy koncept, tylko posłał natychmiast po małżonkę pana Stendlera, żeby się z nim załatwiła, bo posyłają go z urzędowym zleceniem, a konkurencyjna firma przyłapuje go tymczasem *in flagranti*. „Od tego czasu — mawiał zawsze pan Stendler, gdy się zgadało o takich rzeczach — mam łeb jeszcze bardziej guzowaty”.

— Więc gramy dalej. Po pięć, po dziesięć?

Grali dalej. Pociąg zatrzymał się na stacji Mason. Już był wieczór, więc nikogo nie wypuszczali z wagonów.

Gdy pociąg ruszył w dalszą drogę, z jednego wagonu ozwał się głos tak potężny, jakby chciał przygłuszyć turkot pociągu. Jakiś żołnierz z Gór Kasperskich w nabożnym nastroju o tej wieczornej godzinie straszliwym rykiem opiewał cichą noc, spływającą na węgierskie równiny.

*Gute Nacht! Gute Nacht!  
Allen Müden sei's gebracht.  
Neigt der Tag stille zur Ende,  
Ruh'n alle fleiss'gen Hände,  
Bis der Morgen ist erwacht.  
Gute Nacht! Gute Nacht!*

— *Halt Maul, du Elender!* — przerwał ktoś sentymentalnemu śpiewakowi i śpiewak zamilkł. Odciągnęli go od okna.

Ale pracowite ręce nie spoczęły do samego rana. Jak wszędzie przy blasku świeczek, tak i tutaj przy świetle małej lampki naftowej zawieszanej na ścianie, grano w oczko, a gdy w grze ktoś wpadał, wtedy Szwejk udawał, że to najsprawiedliwszy rodzaj gry, bo każdy może sobie dobrać tyle kart, ile zechce.

— Jak się gra w oczko — mówił Szwejk — wystarczy wziąć tylko asa i siódmkę i nikt ci nie każe brać więcej. Dalszych kart brać nie musisz. To już sam ryzykujesz.

— Jak tak, no to zagrajmy sobie w „zdróweczko” — zaproponował Vaniek, a wszyscy zgodzili się chętnie.

— Siódmka czerwien — meldował Szwejk przekładając karty. — Każdy stawia piątkę, a karty rozdaje się po cztery. Ruszajcie się i nie marudźcie.

Na twarzach wszystkich graczy malowało się takie zadowolenie, jak gdyby nie było żadnej wojny i jakby pociąg nie wiozł ich na krwawe walki i rzezie, ale jakby siedzieli w jakiejś praskiej kawiarni przy stolikach do gry.

— Nawet nie przypuszczałem — mówił Szwejk po jednej rozgrywce — że gdy nic nie dostałem i trzeba było wymienić wszystkie karty, to dostanę asa. Co się pchacie do mnie z królem! Przebijam go, i tyle.

I podczas gdy tutaj przebijano króla asem, daleko na froncie królowie w grze ze sobą przebijali swoimi poddanymi.

\*

W wagonie sztabowym, gdzie siedzieli oficerowie marszbatalionu, na początku podróży panowało dziwne milczenie. Większość oficerów pogrążona była w czytaniu małej książki w płóciennej oprawie z napisem: *Die Sünden der Väter, Novelle von Ludwig Ganghofer*. Wszyscy czytali tę książkę akurat na stronie 161. Kapitan Sagner, dowódca batalionu, stał przy oknie i trzymał w ręku tę samą książkę, również otwartą na stronie 161.

Rozglądał się po krajobrazie i zastanawiał się, w jaki by sposób jak najprzystępniej wytłumaczyć wszystkim, co z tą książką mają zrobić. Sprawa była ściśle tajna.

Oficerowie myśleli tymczasem, że pułkownik Schröder zgłupiał doszczętnie. Postrzelony był już dawno, ale nikt nie przypuszczał, że zgłupieje tak dalece i to tak szybko. Przed odejściem pociągu zwołał wszystkich na ostatni *besprechung*, przy czym powiedział im, że każdy dostanie książkę *Die Sünden der Väter* Ludwika Ganghofera i że książki te znajdują się w kancelarii batalionu.

— Panowie — rzekł z miną straszliwie tajemniczą — nie zapomnijcie nigdy o stronicy 161! — Oficerowie, pogrążeni w studiowaniu tej stronicy, nie mogli się połapać, o co tu właściwie chodzi. Jakaś Marta na tej właśnie stronicy podeszła do biurka, wyjęła jakąś rolę i głośno wypowiadała się, że publiczność musi współczuć z bohaterem tej roli. Potem na tej samej stronicy zjawił się jakiś Albert, który stale usiłował żartować, a ponieważ był to fragment nieznanymi zdarzeń opowiadanych uprzednio, wydawało się wszystkim takim strasznym głupstwem, że porucznik Lukasz ze złości zmiażdżył w zębach cygarniczkę.

„Zgłupiał dziadyga — myśleli wszyscy — koniec z nim. Teraz to już na pewno dostanie się do Ministerstwa Wojny”.

Kapitan Sagner odszedł od okna, bo już sobie w głowie dokładnie ułożył przemówienie do oficerów. Nie miał zbyt wielkiego talentu pedagogicznego i dlatego tak długo musiał medytować nad planem wykładu o znaczeniu stronicy 161.

Zanim zaczął swój wykład, przemówił do słuchaczy:

— *Meine Herren!* — naśladował pułkownika Schrödera, chociaż przed wejściem do wagonów mówił do nich: „*Kameraden*”.

— *Also, meine Herren...* — I zaczął wykladać, że wczoraj wieczorem otrzymał od pułkownika instrukcje dotyczące stronicy 161 utworu *Die Sünden der Väter* Ludwika Ganghofera.

— *Also, meine Herren* — mówił uroczyście — są to informacje tajne, dotyczące nowego systemu szyfrowania depesz w polu.

Kadet Biegler wyjął notatnik i ołówek i tonem jak najbardziej przypochlebny rzekł:

— Jestem gotów, panie kapitanie.

Wszyscy spojrzeli na tego głuptaka, którego lizusostwo w szkole jednorocznych ochotników graniczyło z idiotyzmem. Do wojska wstąpił jako ochotnik i zaraz przy pierwszej sposobności, gdy dowódca szkoły zapoznawał się ze stosunkami rodzinnymi uczniów, powiedział mu, że przodkowie jego pisali się zrazu Bügler von Leuthold oraz że w herbie mieli skrzydło bociana z ogonem ryby.

Od tego czasu wszyscy wołali na niego: „Skrzydło bocianie z ogonem rybim”, prześladowali go okrutnie i traktowali z antypatią wiedząc, że ojciec jego miał poczciwy handel skórami zajęczymi i króliczymi, że więc nie ma się co puszyć. Tymczasem ten romantyczny zapaleniec robił wszystko, co było w jego mocy, aby pożreć wszystką wiedzę wojskową, wyróżniał się pilnością i znajomością nie tylko wszystkiego, czego trzeba było się nauczyć, ale i innych rzeczy, którymi sam przeładowywał sobie głowę, studiując pisma o sztuce wojennej i historii wojskowości. O tych rzeczach lubił zawsze gadać, dopóki nie nakazywano mu milczenia. W kole oficerów uważał siebie za równego oficerom wyższych stopni.

— *Sie Kadett* — rzekł kapitan Sagner — dopóki nie pozwolą panu mówić, masz pan milczeć, bo nikt się pana o nic nie pytał. Zresztą jesteś pan diabelnie sprytny żołnierz. Ja komunikuję panom informacje jak najściślej tajne, a pan chce je zapisywać w notatniku. Gdyby pan ten notatnik zgubił, to pójdzie pan pod sąd polowy.

Kadet Biegler miał jeszcze i to brzydkie przyzwyczajenie, iż przy każdej sposobności starał się każdego przekonać, iż właściwie on miał rację.

— Posłusznie melduję, panie kapitanie — odpowiedział — nawet przy ewentualnym zgubieniu notatnika nikt nie odczyta moich notatek, bo ja stenografuję, a skrótów moich nikt odczytać nie zdoła. Używam angielskiego systemu stenografii.

Wszyscy spojrzeli na niego wzgardliwie, kapitan Sagner machnął ręką i mówił dalej:

— Mówiłem już o nowym sposobie szyfrowania depesz w polu, a jeśli panowie nie wiedzieli, dlaczego polecono wam właśnie jedną z nowel Ludwika Ganghofera, *Die Sünden der Väter*, stronica 161, to dodam, że to jest klucz do tej nowej metody, obowiązującej na podstawie nowego rozporządzenia sztabu korpusu, do którego zostaliśmy przydzieleni. Jak panowie wiecie, jest wiele metod szyfrowania ważnych wiadomości w polu. Najnowsza, której my używamy, jest to cyfrowa metoda dopełniająca. Niniejszym podlegają

unieważnieniu szyfry doręczone nam w ubiegłym tygodniu ze sztabu pułkowego i instrukcje dotyczące sposobu ich odszyfrowania.

— *Erzherzogs Albretchtsystem* — zamruczał pod nosem arcypilny kadet Biegler — 8922 = R, przejęty metodą Gronfelda.

— Ten nowy system jest bardzo prosty — rozbrzmiewał w wagonie głos kapitana. — Osobiście otrzymałem od pana pułkownika nową książkę i informacje.

Jeśli na przykład dostaniemy rozkaz: „*Auf der Kote 228, Maschinengewehrfeuer linksrichten*” — to otrzymujemy, moi panowie, taką depezę:

„*Sache... mit... uns... das... wir... aufsehen... in... die... versprochen... die... Martha... dich... das... ängstlich... dann... wir... Martha... wir... den... wir... Dank... wohl... Regiekollegium... Ende... wir... versprochen... wir... gebessert... versprochen... wirklich... denke... Idee... ganz... herrscht... Stimme... letzten*”.

A więc niesłuchanie proste bez wszystkich zbędnych kombinacji. Ze sztabu idzie rzecz przez telefon do batalionu, z batalionu do kompanii. Dowódca, otrzymawszy tę depezę, odszyfrowuje ją w sposób następujący. Bierze *Die Sünden der Väter*, otwiera książkę na stronie 161 i szuka na górze na przeciwległej stronie, 160, słowa „*Sache*”. Proszę panów, po raz pierwszy słowo „*Sache*” znajdujemy na stronie 160, jako kolejne słowo 52, więc na przeciwległej stronie 161 odszukujemy 52 literę na górze, Zauważmy, że jest to litera „a”. Dalszym słowem depezy jest „*mit*”. Na stronie 160 jest to słowo 7 w kolejnym porządku, a na stronie 161 odpowiada mu litera „u”. Potem mamy „*uns*”, to jest, panowie będą łaskawi dobrze uważać, 88 słowo kolejne, odpowiadające 88 literze na stronie 161, a tą literą jest „f” i już mamy odszyfrowane słowo: „*Auf*”. I tak postępujemy dalej, aż otrzymamy rozkaz: „Na wzgórzu 228 ogień karabinów maszynowych kierować na lewo”. Bardzo to jest dowcipne, moi panowie, proste i dla nikogo nie dostępne bez klucza, którym jest stronica 161 książki Ludwika Ganghofera *Die Sünden der Väter*.

Wszyscy w milczeniu przypatrywali się uważnie nieszczęsnej stronie i jakoś głęboko zastanawiali się nad nią. Przez chwilę panowało milczenie, aż nagle ozwał się głos zaferowanego kadeta Bieglera:

— *Herr Hauptmann, ich melde gehorsamst: Jesus Maria! Es stimmt nicht!*

I sprawa rzeczywiście była wysoce zagadkowa.

Przy najlepszej woli i największym wysiłku żaden z oficerów prócz kapitana Sagnera nie znajdował na stronie 160 tych słów, które miały wskazywać kolejne litery strony 161 będącej kluczem.

— *Meine Herren* — jękał się kapitan Sagner, gdy się przekonał, że rozpaczliwy krzyk kadeta Bieglera jest usprawiedliwiony — nie wiem, co to się stało. W mojej książce jest to, o czym mówię, w waszych tego nie ma.

— Pan pozwoli, panie kapitanie — odezwał się znowu kadet Biegler. — Pozwalam sobie zwrócić pańską uwagę, że powieść Ludwika Ganghofera składa się z dwóch tomów. Raczy pan się sam przekonać, na karcie tytułowej stoi: *Roman in zwei Banden*. My mamy tom pierwszy, a pan ma tom drugi — wywodził pedantyczny kadet Biegler — i dlatego nasze stronicie 160 i 161 nie odpowiadają treścią pańskim. Mamy tam coś zgoła innego. Pierwsze słowo odszyfrowanej depezy ma być „*auf*”, a u nas wypada „*heu*”!

Wszystkim nasunęła się teraz myśl, że ten Biegler nie jest znowu takim głupcem, jakim się dotychczas wydawał.

— Ja mam drugi tom ze sztabu brygady — rzekł kapitan Sagner — więc widocznie zaszła tu pomyłka. Pan pułkownik zamówił dla was tom pierwszy. Nie ulega wątpliwości — mówił dalej tak, jakby wszystko było jasne i proste, jakby o wszystkim wiedział już dawno, zanim przystąpił do swego wykładu o bardzo prostym sposobie szyfrowania depeż — że pomieszali sobie widać te rzeczy w sztabie brygady. Nie powiadomili pułku, że chodzi o drugi tom, i stąd zamieszanie.

Kadet Biegler rozglądał się tymczasem dokoła jak zwycięzca, a podporucznik Dub szeptem porucznikowi Lukaszowi do ucha, że to bocianie skrzydło z ogonem ryby pograżyło Sagnera jak się patrzy.

— Osobliwe zdarzenie, moi panowie — odezwał się znowu kapitan Sagner, jakby chciał nawiązać rozmowę, bo milczenie było dla wszystkich wysoce przykre. — W kancelarii brygady siedzą gawrony.

— Pozwalam sobie zauważyć! — odezwał się znowu niestrudzony kadet Biegler, aby pochwalić się swoim rozumem — że takie sprawy tajne, ściśle tajne, nie powinny być przekazywane z dywizji do kancelarii brygady. Rzeczy dotyczące najsekretniejszych spraw korpusu mogłyby być oznajmiane ściśle tajnie przy pomocy okólników jedynie dowódcom oddziałów dywizji i brygad oraz pułków. Znam systemy szyfrów, jakich używano podczas wojen o Sycylię i Sabaudię, podczas angielsko-francuskiej kampanii pod Sewastopolem, w czasie powstania bokserów w Chinach i w czasie ostatniej wojny rosyjsko-japońskiej. Systemy te były przekazywane...

— A nam diabli do tego, panie kadecie — odpowiedział kapitan Sagner z wyrazem pogardy i niezadowolenia. — Nie ma wątpliwości, że system, o którym mówiłem i który panom objaśniałem, jest jednym z najlepszych, można nawet powiedzieć niedoścignionym. Wszystkie oddziały kontrwywiadowcze sztabów nieprzyjacielskich mogą się kazać wypchnąć trocinami. Choćby medytowały, nie wiem jak, nie przeczytają takiego szyfru. Tu jest coś zgoła nowego. Szyfry te nie mają sobie podobnych.

Uczynny kadet Biegler zakaszłał znacząco.

— Pozwalam sobie zwrócić uwagę pana kapitana na książkę Kerichkoffa o szyfrach wojskowych. Książkę tę może sobie każdy zamówić w wydawnictwie „Encyklopedia Wojskowa”. Jest w tej książce doskonale opisana metoda, o której nam pan mówił, panie kapitanie. Wynalazcą tej metody jest pułkownik Kircher, który za czasów Napoleona I służył w wojsku saskim. Jest to tak zwane Kircherowskie szyfrowanie słów, panie kapitanie. Każde słowo depezy ma odpowiednik litery na przeciwległej stronie klucza. Metoda ta została udoskonalona przez porucznika Fleissnera w książce *Handbuch der militärischen Kryptographie*, którą każdy może kupić w księgarni nakładowej Akademii Wojskowej w Wiener-Neustadt. Proszę pana kapitana... — Kadet Biegler sięgnął do podręcznego kuferka, wyjął książkę, o której mówił, i dodał: — Fleissner podaje nawet ten sam przykład. Proszę, niech się panowie przekonają. Jest to ten sam przykład, który słyszeliśmy przed chwilą.

Depesza: „*Auf der Kote 228 Maschinengewehrfeuer linksrichten*”.

Klucz: „*Ludwig Ganghofer, „Die Sünden der Väter. Zweiter Band*”.

— I proszę pana, niech — pan patrzy dalej. Szyfr: „*Sache mit uns was wir aufsehen in die versprochen die Martha* itd”. Słowo w słowo, cośmy przed chwilą słyszeli.

Przeciwko temu nie można było mieć żadnych zastrzeżeń. Smarkate bocianie skrzydło z ogonem ryby miało rację.

W sztabie armii któryś z panów generałów ułatwił sobie pracę. Znalazł książkę Fleissnera i miał wszystko, co mu było potrzebne.

Przez cały czas było widać, że porucznik Lukasz walczy z jakimś dziwnym zdenerwowaniem. Zagryzał wargi, chciał coś rzec. Wreszcie zaczął mówić, ale o czymś innym niż pierwotnie zamierzał.

— Nie trzeba tego brać tak tragicznie — rzekł z dziwnym zakłopotaniem. — W ciągu naszego pobytu w obozie w Brucku nad Litawą zmieniło się już kilka systemów szyfrowania depezy. Zanim dojedziemy na front, będą znowu nowe systemy, ale zdaje mi się, że w polu nie ma czasu na rozwiązywanie takich kryptogramów. Zanimby który z nas rozwiązał taki szyfr, jak widzieliśmy na przykładzie, po kompanii, batalionie czy brygadzie mogłoby nie być już nawet śladu. Praktycznego znaczenia takie rzeczy nie mają.

Kapitan Sagner, bardzo niezadowolony, kiwał potakująco głową.

— Rzeczywiście — rzekł — w praktyce są to rzeczy bez większego znaczenia, przynajmniej o ile chodzi o moje doświadczenie zdobyte w Serbii. Nie było po prostu czasu na odszyfrowywanie takich depezy. Nie mówię, oczywiście, aby szyfry takie były bez znaczenia, gdy przez dłuższy czas siedzi się w okopach i ma się dużo czasu. A że się systemy szyfrów zmieniają, to także prawda.

Kapitan Sagner cofał się na całej linii.

— Dzisiaj coraz mniej używa się szyfrów w przekazywaniu wiadomości między sztabem a pozycją, a przyczyną tego jest telefon, nie dość precyzyjny i niejasno przekazujący

poszczególne sylaby, zwłaszcza przy ogniu artylerii. Po prostu nie słyszy się nic i wywołuje to tylko niepotrzebny chaos. — Zamilkł.

— Chaos jest największym nieszczęściem, jakie zdarzyć się może na froncie — dodał po chwili głosem proroczym i znowu zamilkł.

— Niedługo będziemy w Rabie — odezwał się wyglądając oknem. — *Meine Herren!* Szeregowi dostaną dzisiaj po 15 dekagramów salami. Pół godziny odpoczynku.

Zajrzał do marszruty:

— Wyjeżdżamy o 4 minut 12. O 3 minut 58 wszyscy winni siedzieć w wagonach. Wsiadamy kompaniami. Jedenasta itd. *Zugsweise. Direktion Verpflegungsmagazin* nr 6. Kontrola przy wydawaniu: kadet Biegler.

Wszyscy spojrzeli na kadeta Bieglera, jakby chcieli rzec: „Użyjesz sobie, gołowąsie!”

Ale uczynny kadet wyjął z kufierka arkusz papieru, linijkę, poliniował arkusz, powypisywał na nim kompanie marszowe i rozpytywał dowódców poszczególnych kompanii o stan liczebny, ale nikt nie umiał odpowiedzieć mu na pamięć, więc podawali tylko przybliżone liczby według niedokładnych uwag w notatnikach.

Tymczasem kapitan Sagner z rozpaczy zaczął czytać nieszczęsną książkę *Grzechy ojców*, a gdy pociąg się zatrzymał na stacji Raba, zamknął książkę i rzekł:

— Ten Ludwik Ganghofer pisze nieźle.

Porucznik Lukasz pierwszy wyskoczył z wagonu sztabowego i pobiegł ku wagonowi, w którym znajdował się Szwejk.

\*

Szwejk i inni już dawno przestali grać w karty, a służący porucznika Lukasz Baloun był już taki głodny, że zaczynał się buntować przeciwko zwierzchności wojskowej, i głośno wywodził, że dobrze o tym wie, jak to panowie oficerowie obżerają się dobrymi rzeczami. Mówił, że teraz jest gorzej, niż było za czasów pańszczyzny. Dawniej było w wojsku inaczej. Przecież jeszcze w roku sześćdziesiątym szóstym, jak mawiał jego dziadek siedzący na dożywocie, oficerowie dzielili się z żołnierzami kurami i chlebem. Narzekaniom Balouna nie było końca, więc Szwejk uznał wreszcie, że koniecznie trzeba pochwalić dzisiejszą wojskowość i sposób prowadzenia wojny.

— Masz widać jakiegoś młodego dziadka — rzekł uprzejmie, gdy dojechali do Raby — który pamięta jedynie wojnę roku sześćdziesiątego i szóstego. A ja, bratku, znam niejakiego Ronovskiego, którego dziadek był w Italii jeszcze za czasów pańszczyźnianych. Służył on jak się patrzy dwanaście lat i wrócił do domu jako kapral. A że nie mógł znaleźć roboty, więc ojciec tego Ronovskiego wziął go do siebie. Razu pewnego wysłano ludzi do lasu, żeby zwozili wykarczowane pniaki, a jeden z tych pniaków, jak nam opowiadał ten dziadek, był taki ciężki, że nie sposób było ruszyć go z miejsca. No i ten dziadek powiada: „Dajmy spokój pniakowi, niech sobie leży”. Ale gajowy, który to słyszał, zaczął wymyślać i podniósł kij na niego, żeby koniecznie ten pniak nałożył na wóz. A dziadek Ronovsky nic nie odpowiedział, tylko rzucił takie słówko: „Ty popychadło jedno, ja jestem stary, wysłużony żołnierz”. Ale po tygodniu dostał wezwanie. Znow był wzięty do wojska, wyprawili go do Italii i był tam dziesięć lat. Pisał do domu, że jak wróci z wojska, to tego gajowego siepnie siekierą w łeb. Całe szczęście gajowego, że przedtem umarł.

W tej chwili we drzwiach wagonu ukazał się porucznik Lukasz.

— Pójdźcie no, mój Szwejku — kiwnął na niego — i przestańcie gadać głupstwa. Musicie mi coś wytłumaczyć.

— Naturalnie, panie oberlejtant, posłusznie melduję.

Porucznik Lukasz prowadził Szwejka na bok, a spojrzenie, które rzucał na niego z boku, było bardzo podejrzliwe.

W ciągu wykładu kapitana Sagnera porucznik Lukasz rozwinął w sobie niejakie zdolności detektywistyczne, chociaż dla wykrycia pewnych związków przyczynowych między poszczególnymi etapami wykładu, który zakończył się takim fiaskiem, nie trzeba było rozporządzać osobliwymi talentami, bo w przeddzień wyjazdu Szwejk meldował porucznikowi Lukaszowi:

— Panie oberlejtant, w batalionie są jakieś książki dla panów oficerów. Przyniosłem je z kancelarii pułku.

Więc gdy oddalił się ze Szwejkiem za drugi tor, stanął z nim za wygasłą lokomotywą, która już od tygodnia czekała na pociąg z amunicją, i zapytał go wprost:

— Mój Szwejku, jakże to było wtedy z tymi książkami?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że to bardzo długa historia, a pan raczej się denerwować, gdy opowiadam o wszystkim szczegółowo. Tak samo jak wtedy, kiedy to chciał mnie pan sprać i podał pan list dotyczący pożyczki wojennej, a ja mówiłem panu, że kiedyś czytałem w jakiejś książce, że jak dawniej była wojna, to ludzie musieli płacić od okien podatek, dwudziestkę od każdego okna, od gęsi tak samo...

— W taki sposób nie dogadamy się ze sobą, mój Szwejku — rzekł porucznik Lukasz przystępując do indagacji i postanawiając nie mówić o tym, że sprawa jest ściśle tajna, żeby ten łobuz nie zrobił z wojskowego sekretu niewłaściwego użytku. — Znacnie Ganghofera?

— Co to za jeden? — zapytał Szwejk z wielkim zainteresowaniem.

— Pisarz niemiecki, wy cymbale — odpowiedział porucznik Lukasz.

— Jak Boga kocham, panie oberlejtnant — rzekł Szwejk z wyrazem męczennika — żadnych pisarzy niemieckich osobiście nie znam. Znałem osobiście tylko jednego czeskiego pisarza, niejakiego Hajka Władysława z Domażlic. Był redaktorem „Świata Zwierząt”, a ja sprzedawałem mu ładnego kundelka jako rasowego szpica. Bardzo miły był ten pan i wesoły. Chodził do jednej knajpy i czytywał tam swoje powiastki, takie zawsze smutne, że się wszyscy zaśmiewali, a on potem płakał i za wszystkich w knajpie płacił, my zaś musieliśmy śpiewać:

Domażlicka brama ładnie malowana,  
A ten co ją malował, chodził za pannami...  
Ale już go nie ma, nie ma między nami...

— Człowieku, przecie tu nie teatr, a wy ryczycie jak śpiewak operowy — zawołał wystraszony porucznik, gdy Szwejk dośpiewał ostatnie słowa: „Ale już go nie ma, nie ma między nami”. — Nie o to was pytam. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy zauważyliście, że te książki, o których mi mówiliście, były utworami Ganghofera. Mówcie mi zaraz, co się stało z tymi książkami? — zawołał gniewnie.

— Z tymi, com je zaniósł z kancelarii pułkowej do batalionu? — pytał Szwejk. — Te książki były naprawdę napisane przez tego pana, o którego pan pytał, czy go nie znam, panie oberlejtnant. Dostałem telefonogram prosto z kancelarii pułkowej. Bo oni chcieli wysłać te książki do kancelarii batalionu, ale nikogo tam nie było, nawet dyżurnego, bo pewno siedzieli w kantine, jak się to zawsze robi, kiedy się jedzie na front, a nikt nie wie, czy jeszcze kiedyś będzie siedział w kantine. Więc wszyscy tam siedzieli i pili, panie oberlejtnant, i do nikogo nigdzie nie było można się dodzwonić ani nikogo znaleźć, a ponieważ pan mi przykazał, żebym jako ordynans kompanii siedział przy telefonie, zanim przydzielono do nas telefonistę Chodounskiego, więc siedziałem i czekałem, aż wreszcie przysłała kolej na mnie. Z kancelarii pułkowej przyszło wymyślanie, że się nigdzie nie mogą dodzwonić, a tymczasem jest telefonogram, żeby kancelaria marszbatalionu zabrała z kancelarii pułkowej jakieś książeczki dla wszystkich panów oficerów marszbatalionu. Ponieważ wiem, panie oberlejtnant, że na wojnie trzeba działać szybko, więc zatelefono- wałem do kancelarii pułkowej, że sam zabiorę te książki i zaniosę je do kancelarii batalio- nu. Naładowali mi taką kupę tych książek, że z trudem ją udźwignąłem i zawlokłem ją do nas, do kancelarii kompanii marszowej. Zacząłem je przeglądać i myślałem sobie swoje... Feldfebel z kancelarii rachuby pułkowej powiedział mi mianowicie, że według telefo- nogramu, jaki w pułku otrzymali, batalion wie już, co ma sobie z tych książek wybrać, niby który tom. Bo te książki były w dwóch tomach — pierwszy tom osobno i drugi tom osobno. Uśmiełem się zdrowo, ponieważ wiele już książek przeczytałem, ale nigdy nie zaczynałem od drugiego tomu. A ten mi jeszcze raz tłumaczy: „Tu macie pierwszy tom, a tu drugi tom. Który tom mają czytać panowie oficerowie, sami już wiedzą”. Pomy- ślałem sobie, że się wszyscy powstawiali, bo przecież dobrze wiem, że jak się ma czytać książkę, choćby i *Die Sünden der Väter* — bo ja i po niemiecku przeczytam — to trzeba zaczynać od początku, a nie od końca jak Żydzi. Dlatego też pytałem pana przez telefon, panie oberlejtnant, kiedy pan wrócił z kasyna, co ma być z tymi książkami i czy podczas wojny czyta się książki może od końca, najprzód drugi tom, a potem pierwszy. A pan

mi powiedział, że jestem schlane bydlę, skoro nie wiem, że w pacierzu naprzód się mówi „Ojcze nasz”, a dopiero potem „Amen”.

Co panu, panie oberlejtant? — ze współczuciem zapytał Szwejk, gdy porucznik, blednąc, oparł się o stopień wodociągu koło wygasłej lokomotywy.

W jego bladej twarzy nie było wyrazu gniewu, lecz malowała się w niej jakaś bezna-  
dziejna rozpacz.

— No i co było dalej, mój Szwejku? Już mi dobrze...

— Ja, proszę pana, byłem tego samego zdania — wywodził Szwejk swoim miękkim, uprzejmym głosem. — Pewnego razu kupiłem sobie powieść o bandycie z Bakońskiego Lasu, Róży Savaniu, ale brakło pierwszego tomu, więc musiałem się domyślać, jak to tam było. Nawet w takich historiach o zbójcach nie można się obyć bez pierwszego tomu. Rozumiałem bardzo dobrze, że nie miałyby to najmniejszego sensu, żeby panowie oficerowie zaczęli czytać najpierw tom drugi, a potem dopiero pierwszy i że wyglądałoby to głupio z mojej strony, gdybym w batalionie załatwiał tak, jak to powiedzieli mi w kancelarii pułkowej, że niby panowie oficerowie już wiedzą, który tom mają czytać. W ogóle z tymi książkami, panie oberlejtant, jest coś zagadkowego i osobliwego. Wiem przecie, że panowie oficerowie w ogóle mało czytują, a tu jeszcze podczas wojny światowej...

— Zostawcie sobie swoje rozumy na własny użytek — jęknął porucznik Lukasz.

— Przecież ja, panie oberlejtant, zaraz się pana pytałem przez telefon, czy chce pan oba tomy od razu, a pan mi też odpowiedział tak samo jak teraz, żebym sobie swoje rozumy zostawił dla siebie. „Kto by się tam, mówił pan, objuczał książkami?”. Więc pomyślałem sobie, że jeśli takie jest pańskie mniemanie, to inni panowie będą mieli zdanie podobne. Pytałem także naszego Vańka, bo on ma już doświadczenie frontowe. Odpowiedział mi, że początkowo wszyscy panowie oficerowie myśleli, że wojna to taka bujda na resorach, i każdy z nich wiozł z sobą całą bibliotekę, jakby się wybierał na letnie mieszkanie. Od arcyksiężniczek otrzymywali w prezencie całe zbiorowe wydania różnych poetów, a książki były takie ciężkie, że pucybuty uginali się pod nimi i przeklinali dzień swego narodzenia. Vaniek mówił, że z tych książek w ogóle nie było żadnej pociechy, o ile chodzi o skręcanie papierosów, bo wszystkie były drukowane na papierze grubym i ładnym, a znowuż w latrynie, panie oberlejtant, to by sobie człowiek takimi poezjami zdarł z przeproszeniem cały zadek. Na czytanie nie było czasu, bo stale trzeba było uciekać, więc książki wyrzucano, gdzie popadło, a potem nastał już taki zwyczaj, że jak tylko dała się słyszeć kanonada, pucybut od razu wyrzucał wszystkie książki rozrywkowe. Gdy to usłyszałem, postanowiłem jeszcze raz zwrócić się telefonicznie do pana, żeby wiedzieć dokładnie, co trzeba zrobić, a pan mi odpowiedział, że jak mi coś zasiędnę w moim idiotycznym łbie, to nie ustąpię, dopóki nie dostanę po pysku. Więc do kancelarii batalionu zaniósłem tylko pierwsze tomy tej powieści, a egzemplarze drugiego tomu zostawiłem tymczasem w naszej kancelarii kompanii. Myślałem, że jak panowie oficerowie przeczytają tom pierwszy, to im się wyda potem drugi niby z czytelni, ale raptem przyszedł rozkaz, że jedziemy, i telefonogram, że wszystko niepotrzebne ma być złożone w magazynie pułku. Więc jeszcze zapytałem Vańka, czy uważa, że drugi tom tej powieści jest niepotrzebny, a on mi odpowiedział, że od czasu smutnych doświadczeń w Serbii, na Węgrzech i w Galicji żadnych książek na wojnę się nie zabiera i że tylko te skrzynki po miastach, do których odkładano stare gazety dla żołnierzy, to jedynie dobry pomysł, bo z gazety można ładnie skręcić papierosa z tytoniu czy siana, co się akurat pali w okopach. W batalionie porozdawiali już te pierwsze tomy owej powieści, a resztę kazałem zanieść do magazynu.

Szwejk zamilkł na chwilę, ale zaraz dodał:

— W magazynie, proszę pana, jest mnóstwo różnych różności! Widziałem tam nawet cylinder budziejowickiego dyrygenta chórów, bo w tym cylindrze brali go do wojska...

— Powiem wam, mój Szwejku — z ciężkim westchnieniem ozwał się porucznik Lukasz — że wy w ogóle nie zdajecie sobie sprawy z tego, co robicie. Mnie samemu jest przykro wyzywać was od idiotów. Już słów mi brak na określenie waszej głupoty. Nazwać was bałwanem to jeszcze pieszczota. Zrobiliście znowuż coś tak okropnego, że wszystkie wasze dawniejsze błazeństwa, jakie tylko mogę sobie przypomnieć, są niewinnymi igraszkami. Żebyście przynajmniej pojąć mogli, coście narobili... Ale wy tego nigdy nie zrozumiecie... Otóż, gdyby się czasem zgadało o tych książkach, to nie ważcie mi się po-



wiedzieć, że to ja wam kazałem zmagazynować ten drugi tom... Choćby mówiono o tym, jak to było z tym pierwszym i drugim tomem, nie zwracajcie na to uwagi. O niczym nie wiecie, nic nie słyszeliście, nie pamiętacie. Niech was ręka boska broni, gdybyście spróbowali wplątać mnie do czego, wy...

Porucznik Lukasz mówił takim głosem, jakby miał wysoką gorączkę, ale ledwo wyrzekł ostatnie słowo, Szwejk skorzystał z jego milczenia i zadał mu niewinne pytanie:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, dlaczego nie dowiem się nigdy o tym, co zrobiłem takiego strasznego? Ja, panie oberlejtant, odważyłem się zapytać o to jedynie dlatego, abym na przyszłość mógł się ustrzec takich błędów, bo mówią, że z pomyłek człowiek się uczy, jak na przykład jeden giser Adamiec z fabryki Dańka, który zamiast wody napił się kwasu solnego...

Nie dokończył zdania, bo porucznik Lukasz przerwał jego przykład zaczerpnięty z życia ostrymi słowy:

— Ach, wy cymbale jeden! Tłumaczyć wam tego nie będę. Właźcie z powrotem do wagonu i powiedzcie Balounowi, żeby mi przyniósł bulkę, gdy się zatrzymamy w Budapeszcie, no i ten pasztet z wątróbki, który mam w kuferku owinięty w staniol. Następnie powiedzcie Vańkowi, że jest fujara. Trzy razy wzywałem go już, żeby mi podał stan liczebny szeregowców. Dzisiaj były mi te dane potrzebne, a ja znalazłem tylko stan z ubiegłego tygodnia.

— *Zum Befehl, Herr Oberleutnant!* — szczechnął Szwejk i powoli oddalił się do swego wagonu.

Porucznik Lukasz przeszedł się po torze rozmyślając:

„Właściwie powinienem był jednak dać mu parę razy w pysk, a ja tymczasem gawędziłem sobie z nim niby z przyjacielem”.

Szwejk z wielką powagą wlaźł do swego wagonu. Miał dla siebie szacunek. Przecież nie zdarza mu się co dzień, aby zrobił coś tak strasznego, iż nigdy się o tym nie dowie.

\*

— Panie rechnungsfeldfelbel — rzekł Szwejk usadowiwszy się na swoim miejscu — pan oberlejtant Lukasz zdaje się być dzisiaj w bardzo dobrym usposobieniu. Przesyła panu pozdrowienie i każe panu powiedzieć, że pan jest fujara, bo już trzy razy jak prosił pana o stan liczebny szeregowców.

— *Herrgott* — nadąsał się Vaniek — ja tych plutonowych nauczę! Czy ja temu winien, że każdy taki oferma plutonowy robi, co mu się podoba, i nie podaje stanu swego plutonu? Czy mogę sobie takie liczby wyssać z palca? Ładne stosunki panują w naszej kompanii! To może mieć miejsce tylko w II kompanii marszowej. Ale ja wiedziałem, że tak będzie, bo ani przez chwilę nie zapominałem o nieporządkach, jakie u nas panują. Jednego dnia mają w kuchni o cztery porcje za mało, na drugi dzień o trzy za dużo. Gdyby mi te lotry przynajmniej dały znać, że ten a ten jest w szpitalu! Jeszcze w przeszłym miesiącu miałem w ewidencji niejakiego Nikodema i dopiero przy wypłacie żołdu dowiedziałem się, że ten Nikodem umarł w Budziejowicach, w szpitalu, na suchoty galopujące. I ciągle dla niego fasowali. Mundur dla niego wyfasowaliśmy i Bóg raczy wiedzieć, gdzie się wszystko podziało. A potem jeszcze pan oberlejtant powie mi, że jestem fujara, chociaż sam nie umie dopilnować porządku w swojej kompanii.

Sierzant rachuby Vaniek chodził zdenerwowany po wagonie i gderał:

— Gdybym ja był dowódcą kompanii! Widzielibyście, jaki porządek panowałby u mnie. O każdym szeregowcu musiałbym wiedzieć wszyściutko. Szarże musiałyby mi dwa razy dziennie podawać stan liczebny. Ale co robić z takimi szarżami! A już najgorszy ten plutonowy Zyka. Ciągłe trzymają się go żarty, przy każdej sposobności opowiadają anegdoty, ale jak mu melduję, że Kolarzik z jego plutonu został odkomenderowany do taborów, to tak, jakbym mówił do słupa: na drugi dzień raportuje mi ten sam stan liczebny, jakby o żadnym Kolarziku nigdy mowy nie było i jakby Kolarzik jeszcze ciągle siedział w naszej kompanii i w jego plutonie. A jeśli to tak ma być dzień w dzień, a potem jeszcze mi powiedzą, że jestem fujara... To w taki sposób pan oberlejtant nie zyska dużo przyjaciół. Rechnungsfeldfelbel kompanii to nie żaden frajter, którym każdy sobie może podetrzeć...

Baloun, który z rozwartymi ustami przysłuchiwał się temu monologowi, sam wymówił teraz za Vańka to piękne słowo, którego tamten nie dopowiedział chcąc widocznie w ten sposób przyłączyć się do rozmowy.

— A wy stulcie pysk — rzekł rozsierdzony Vaniek.

— Słuchaj no, bratku Balounie — odezwał się Szwejk — tobie kazał pan oberlejtant powiedzieć, żebyś mu się postarał o bułkę, jak przyjedziemy do Pesztu, i żebyś mu ją zaniósł do sztabowego wagonu razem z pasztetem, co jest zawinięty w staniol i znajduje się w kuferku.

Olbrzym Baloun z gestem rozpaczy opuścił swoje długie ramiona jak wielki szympan, grzbiet wygiął w pałąk i trwał w tej pozycji dość długo.

— Nie mam — rzekł cichym beznadziejnym głosem spoglądając na brudną podłogę wagonu. — Nie mam — powtarzał urywając sylaby — ja myślałem... Przed odjazdem rozwinąłem ten pasztet... Powąchałem go... Czy nie zepsuty... Spróbowałem kawałek! — zawołał z wyrazem takiej szczerej rozpaczy, że wszyscy zrozumieli od razu, co się stało.

— Zeżarłeś go, bratku, razem ze staniolem — rzekł Vaniek przystając przed Balounem, rad, że nie potrzebuje dalej bronić się przed zarzutem, iż jest fujarą, jak go pan porucznik nazwał, bo przyczyna chwiejności stanu liczebnego ma podstawy nieco głębsze i ugruntowana jest na innych fujarach, i że rozmowa zesła od razu na temat Balouna i nowego tragicznego wydarzenia. Vaniek zamierzał właśnie wygłosić jakiś jędrny morał pod adresem Balouna, gdy do rozmowy wtrącił się kucharz-okultysta Jurajda; zamknąwszy swoją ulubioną książkę, tłumaczenie staroindyjskich sutr *Pragnâ-Paramitâ*, zwrócił się do zmiażdżonego Balouna, który coraz bardziej ugiął się pod brzemieniem swego przeznaczenia.

— Wy, Balounie — rzekł — powinniście czuć nad sobą samym, bo inaczej stracie zaufanie do siebie i do swego losu. Nie powinniście przypisywać sobie tego, co jest zasługą innych. Ilekroć staniecie wobec takiego problemu jak ten, który pożarliście, musicie zawsze zadać sobie pytanie: w jakim stosunku do mojej osoby pozostaje pasztet z wątroby?

Szwejk uznał za stosowne uzupełnić tę uwagę przykładem z życia:

— Sam mi mówiłeś, mój Balounie, nie tak dawno jeszcze, że u ciebie w domu będą bili wieprze i jak tylko staniemy na miejscu i będziesz znał numer poczty polowej, zaraz ci pošlę kawał szynki. A teraz wyobraź sobie, że tę szynkę pošlaliby pocztą polową do nas do kompanii marszowej, a ja i pan feldfelbel ukradlibyśmy sobie po kawałku. Smakowałoby nam, więc jeszcze po kawałku, aż z tą szynką stałoby się to, co z pewnym moim znajomym listonoszem, niejakim Kozłem. Był chory na gruźlicę kości, więc naprzód amputowali mu nogę po kostkę, potem po kolano, potem po biodro. Gdyby nie to, że w porę umarł, to byłiby go po kawałku poobcinali, jak się temperuje połamany ołówek. Więc wyobraź sobie, Balounie, że zeżarlibyśmy ci tę szynkę tak samo, jak ty zeżarłeś panu oberlejtantowi jego pasztet...

Olbrzym Baloun spojrzął na wszystkich okiem smutnym.

— Tylko dzięki mojemu wstawiennictwu i zasłudze mojej zostaliście służącym pana oberlejtanta — rzekł sierżant rachuby Vaniek. — Chcieli was przenieść do sanitariatu, żebyście zbierali rannych na polu bitwy. Pod Duklą nasi sanitariusze kilka razy z rzędu szli po rannego podchorążego, który leżał przed zasiekami z drutu kolczastego ranny w brzuch i ani jeden z nich nie wrócił: wszyscy poginęli od ran w głowę. Dopiero czwartej parze udało się, ale zanim zanieśli go na miejsce opatrunkowe, umarł.

Baloun nie mógł się dłużej opanować i załkał.

— Że też się nie wstydzisz! Taki z ciebie żołnierz? — ofuknął go Szwejk.

— Kiedy ja nie mam najmniejszego talentu do wojaczki — zaczął narzekać biedny Baloun. — Ja naprawdę jestem wiecznie głodny, nigdy nie nażarty, ponieważ zostałem wyrwany ze spokojnego życia. Cały nasz ród jest taki. Nieboszczyk mój ojciec zakładał się w Protivinie w karczmie, że na jedno posiedzenie zje pięćdziesiąt serdelków i dwa bochenki chleba, i zakład wygrał. Ja też się razu pewnego założyłem i zjadłem cztery gęsi i dwie misy knedli z kapustą. W domu na przykład przypominałem sobie nieraz po obiedzie, że warto by jeszcze czego pojeść, więc idę do komory, urzynam kawał mięsa, posyłam sobie po piwo i wcinam dwa kilo wędzonki. Miałem w domu starego parobka Vomele, a ten parobek napominał mnie zawsze, żebym znowu tak bardzo nosa nie zadzierał i nie obżerał się tak gwałtownie, bo pamięta jeszcze, co mu jego dziadek opowiadał o takim

jednym obżartuchu. Przyszła jakaś wojna, nic się nie rodziło przez długich osiem lat, więc ludzie piekli chleb ze słomy i z resztek lnianego siemienia, a już było wielkie święto, gdy do mleka mogli wkruszyć trochę twarogu, bo chleba nie było. I ten gospodarz umarł jakoś w tydzień po wybuchu tej wielkiej nędzy, bo jego żołądek nie był przyzwyczajony do spożywania takiej nędznej strawy.

Baloun podniósł swoje smutne oczy ku niebu.

— A ja myślę, że chociaż Pan Bóg ludzi pokarze, to jednak ich nie opuści.

— Oczywiście, Pan Bóg obżartuchów stworzył, więc Pan Bóg będzie się o nich kłopotał — zauważył Szwejk. — Już raz dostałeś słupka, a teraz wart jesteś, żeby cię posłali na pierwszą linię. Kiedy ja byłem pucybutem u pana oberlejtanta, to mógł mi we wszystkim zaufać i nawet przez myśl mu nigdy nie przeszło, abym ja mógł jemu coś zeżreć. Gdy się fasowało coś takiego specjalnego, to zawsze mi mówił: „Weź to sobie, Szwejku” — albo: „Na co mi tam tyle tego! Dajcie kawałek, a z resztą róbcie sobie, co wam się podoba”. Gdy jeszcze byliśmy w Pradze, a on posłał mnie do restauracji po obiad, to za swoje ostatnie pieniądze dokupywałem drugą porcję, żeby się pan oberlejtant najadł i źle o mnie nie myślał. Ale kiedyś wykrył te moje podstępny. Kazał sobie zawsze przynosić z restauracji jadłospis i wybierał, co mu się podobało. Więc pewnego dnia wybrał sobie nadziewanego gołąbka. Dali mi połówkę, a ja sobie pomyślałem, że pan oberlejtant będzie mnie podejrzewał, iż drugą połowę zeżarłem, więc dokupiłem drugą porcję za swoje i przyniosłem mu tyle, że pan oberlejtant Szeba, któremu chciało się jeść i który przyszedł akurat przed obiadem do nas w goście, też się najadł. Ale po obiedzie powiada: „Tylko mi nie gadaj, że to jedna porcja. Na całym świecie nie dostaniesz *à la carte* całego nadziewanego gołąbka. Jeśli zdobędę dzisiaj pieniądze, to pošlę sobie do tej twojej restauracji po obiad. Powiedz mi szczerze, że to porcja podwójna”. Pan oberlejtant wezwał mnie, żebym potwierdził, że dał mi pieniądze tylko na jedną porcję, bo nie wiedział, że oberlejtant Szeba do niego przyjdzie. Odpowiedziałem, że dał mi pieniądze na zwyczajny obiad. „No widzisz — powiada mój oberlejtant — a bywa jeszcze lepiej. Niedawno przyniósł mi Szwejk dwa gęsie uda na obiad. Wyobraź sobie tylko: rosół z makaronem, sztuka mięsa z sosem sardelowym, dwa gęsie uda, kapusty pod sam sufit i jeszcze naleśniki”.

— Mmmm, jakie dobre żarcie! — mlaskał Baloun językiem.

Szwejk zaś mówił dalej:

— Ale to był kamień obrazu. Pan oberlejtant Szeba dnia następnego posłał rzeczywiście po obiad do naszej restauracji, a jego służący przyniósł mu ździebko pilawu z kury, dobre dwie łyżeczki, nie więcej. A pan oberlejtant Szeba rzucił się na niewinnego człowieka, że połowę zeżarł. Ten mu na to, że niewinny. A pan oberlejtant Szeba buch go w pysk i każe mu, żeby sobie za przykład brał mnie. Jakie to ja, powiada, noszę porcje panu oberlejtantowi Lukaszowi. Więc ten niewinny a spoliczkowany żołnierz rozpytał się o wszystko w restauracji zaraz nazajutrz, opowiedział swemu panu, jak się rzeczy mają, a tamten powtórzył mojemu oberlejtantowi. Siedzę ja raz wieczorem z gazetą w garści i odczytuję sobie wiadomości z placu boju, podawane przez sztaby nieprzyjacielskie, a tu wchodzi mój oberlejtant bład i prosto do mnie, żebym mu powiedział, ile zapłaciłem tych podwójnych porcji w restauracji, bo on już wszystko wie, i zapieranie na nic się nie zda. Że jestem idiota, to już wie dawno powiada, ale że mógłbym być takim cymbałem, tego nie przypuszczał. Narobiłem mu, powiada, takiego wstydu, że ma ochotę zastrzelić naprzód mnie, a potem siebie. „Panie oberlejtant — rzekłem do niego — kiedy mnie pan przyjmował, to zaraz pierwszego dnia powiedział mi pan, że każdy pucybut jest złodziej i podły drab. Więc gdy w tej restauracji dawali takie malutkie porcje, to byłby pan mógł myśleć, że ja naprawdę jestem jednym z takich złodziei i podłych drabów i że pożeram pańskie obiady...”

— Mój Boże miłosierny — wyszeptał Baloun, pochylił się nad kufereczkiem porucznika Lukasa i odszedł z nim na bok.

— Potem oberlejtant Lukasz — mówił dalej Szwejk — zaczął szukać po wszystkich kieszeniach, a ponieważ nic nie znajdował, wyjął z kamizelki srebrny zegarek i dał mi go. Był bardzo wzruszony i rzekł: „Gdy dostanę gażę, Szwejku, to mi spiszecie, wiele wydalicie na te podwójne porcje... A ten zegarek zatrzymajcie osobno. Ale na drugi

raz nie bałwańcie się”. Ale potem przyszła na nas obu taka wielka bieda, że ten srebrny zegarek musiałem zanieść do lombardu...

— Co wy tam robicie, Balounie? — zapytał sierżant rachuby Vaniek.

Zamiast odpowiedzi Baloun się zakaszłał. Otworzył sobie mianowicie kuferek obelężnanta Lukasa i pożerał jego ostatnią bułkę...

\*

Przez stację przejechał pociąg wojskowy bez zatrzymania się. Od jednego końca do drugiego naładowany był deutschmeistrami, których wysyłano na serbski front. Jeszcze widać nie wytrzęźwili ze swego zapалу, który ogarnął ich w chwili żegnania się z Wiedniem, więc od samego Wiednia ryczeli bezustannie:

*Prinz Eugenius, der edle Ritter,  
Wollt' dem Kaiser wiedrum kriegen,  
Stadt und Festung Beograd.  
Er liess schlagen einen Brucken,  
Dass man kunnt' hinüberraucken.  
Mit der Armee wohl für die Stadt.*

Jakiś kapral z wojowniczo podkreślonym wąsem wychylał się z wagonu, wsparty na ramionach szeregowców, którzy bujali nogami spuszczoneymi z wagonu, wybijał takt i śpiewał na całe gardło:

*Als der Brucken war geschlagen,  
Dass man kunnt' mit Stuck und Wagen  
Frei passier'n den Donaufluss.  
Bei Semlin schlug man das Lager.  
Alle Serben zu verjagen...*

Raptem stracił równowagę, wyleciał z wagonu i nadział się brzuchem na dźwignię zwrotnicy, na której zawisnął bezwładnie, podczas gdy pociąg pędził dalej, a w dalszych wagonach żołnierze śpiewali inną pieśń:

*Graf Radetzky, edler Degen,  
schwur's des Kaisers Feind zu fegen  
aus der fälschen Lombardei.  
In Verona Langes hoffen,  
als mehr Truppen eingetroffen,  
fühlt und rührt der Held sich frei...*

Nadziany na tępej zwrotnicy wojowniczy kapral był już trupem i niebawem stał nad jego zwłokami na straży jakiś młodziutki żołnierzyk z bagnetem. Był to żołnierz komendy stacyjnej i obowiązki swoje traktował z wielką powagą. Stał przy zwrotnicy wyprostowany jak świeca, a minę miał taką triumfującą, jakby to on nadział kaprala na zwrotnicę.

Ponieważ był to Madziar, więc przez cały tor ryczał po madziarsku na wszystkich żołnierzy eszelonu 91 pułku, którzy szli popatrzeć na trupa:

— *Nem szabat! Nem szabat! Komision militär, nem szabat!*

— Już po nim! — rzekł dobry wojak Szwejk, który znajdował się także wśród ciekawych — a dobre i to, że skoro już ma kawał żelaza w brzuchu, przynajmniej wszystkim będzie wiadomo, gdzie zostanie pochowany. Jest to tuż koło stacji, więc nie trzeba będzie szukać jego grobu gdzieś po dalekich pobojuwiskach.

Nadział się akuratnie — rzekł jeszcze Szwejk tonem znawcy obchodząc zwłoki kaprala ze wszystkich stron. — Kiszki ma w spodniach.

— *Nem szabat, nem szabat!* — krzyczał młodziutki węgierski żołnierzyk. — *Komision militär Bahnhof, nem szabat!*

Za Szwejkem odezwał się surowy głos:

— Co wy tu robicie?

Przed nim stał kadet Biegler. Szwejk zaszalutował.

— Posłusznie melduję, że przyglądam się nieboszczykowi, panie kadecie.

— A co za agitację tu prowadzicie? Co wy tu macie do roboty?

— Posłusznie melduję, panie kadecie — z dostojnym spokojem odpowiadał Szwejk — że żadnej agitacji tu nie prowadziłem.

Kilku żołnierzy stojących za kadetem roześmiało się, a na czoło wystąpił sierżant rachuby Vaniek.

— Panie kadet — rzekł sierżant — pan oberlejtnant wysłał tutaj ordynansa Szwejka, żeby zobaczył, co się tu stało. Byłem teraz koło wagonu sztabowego i ordynans batalionu Matuszicz szuka pana z rozkazu dowództwa batalionu. Ma pan natychmiast iść do kapitana Sagnera.

Wszyscy rozchodzili się do swoich wagonów, gdy rozległ się sygnał wzywający do wsiadania. Vaniek, idąc ze Szwejkem, rzekł do niego:

— Gdy się czasem zbierze gdzieś trochę ludzi, to schowajcie swoje rozумы dla siebie. Moglibyście się czasem narazić na grube nieprzyjemności. Ten kapral był od deutschmeisterów, więc mogłoby wyglądać na to, że się z tego nieszczęścia cieszyicie. Ten Biegler to straszny czechożerca...

— Przecież ja nic takiego nie powiedziałem — odpowiedział Szwejk tonem wylączającym wszelkie wątpliwości. — Tyle tylko powiedziałem, że się ten kapral nadział akuratnie i miał kiszki w spodniach... Przecież on mógł...

— No, mój Szwejku, dajmy już spokój temu gadaniu — sierżant Vaniek splunął.

— To wszystko jedno — zauważył jeszcze Szwejk — czy kiszki mają mu wyleźć z brzucha dla najjaśniejszego pana, czy tak oto. I tak już spełnił swój obowiązek... Bo przecież on mógł...

— Patrzcie no, Szwejku — przerwał mu Vaniek — jak się obładował ordynans batalionu Matuszicz i jakie dobre rzeczy taszczy do wagonu sztabowego. Aż dziw, że się nie przewrócił na torach.

Tymczasem między kapitanem Sagnerem a uczynnym kadetem Bieglerem doszło do bardzo ostrej rozmowy.

— Bardzo się dziwię, panie kadecie Biegler — mówił kapitan Sagner — dlaczego pan nie zameldował mi natychmiast, że się nie fasuje tych 15 deka salami. Dopiero ja sam musiałem wyjść z wagonu i przekonać się, dlaczego to żołnierze wracają z magazynu z pustymi rękoma. A panowie oficerowie zachowują się tak, jakby rozkaz nie był wcale rozkazem. Powiedziałem przecie: do magazynu kompania za kompanią plutonami. To znaczy, że jeśli w magazynie nie dostało się nic, to wracać stamtąd trzeba także plutonami. Panu, kadecie Biegler, nakazałem pilnować porządku, ale pan wszystko puścił kantem. Byłeś pan kontent, że nie potrzebujesz się trudzić liczeniem porcji salami. Natomiast, jak widziałem z okna wagonu, poszedł pan popatrzeć na nadzianego deutschmeistra. A kiedy następnie kazałem pana zawołać, to nie miał pan w swojej kadeckiej fantazji nic pilniejszego do zrobienia, jak tylko głądzić o tym, że poszedł się pan przekonać, czy tam koło tego nadzianego żołnierza nie prowadzi się jakiej agitacji...

— Posłusznie melduję, że ordynans 11 kompanii, Szwejk...

— Daj mi pan spokój ze Szwejkem! — krzyknął kapitan Sagner. — Nie myśl pan, panie kadet Biegler, że będzie tu pan intrygował przeciwko porucznikowi Lukaszowi. Myśmy tam Szwejka posłali... Patrzy pan na mnie, jakby się panu wydawało, że się pana czepiam... Zresztą, owszem, czepiam się pana, kadecie Biegler... Kiedy pan nie umie uszanować swego przełożonego, usiłuje go blamować, to ja panu urządzę taką wojnę, że nigdy nie zapomni pan o stacji Rabie... Żeby to się tak chełpić swoimi teoretycznymi wiadomościami... Poczekaj pan, jak będziesz na froncie... Jak ja panu każę pójść z patrollem oficerskim na zasięki z drutu... Pański raport? Nawet raportu nie złożył mi pan po powrocie... Nawet teoretycznie, panie Biegler...

— Posłusznie melduję, panie kapitanie, że zamiast po 15 deka węgierskiego salami szeregowcy otrzymali po dwie pocztówki. Proszę, panie kapitanie...

Kadet Biegler podał dowódcy batalionu dwie z tych pocztówek, jakie wydawał zarząd wojennego archiwum w Wiedniu, gdzie naczelnikiem był generał piechoty Vojnovich.

Na jednej stronie była karykatura żołnierza rosyjskiego, muzyka z długą brodą, w uścisku kościotrupa. Pod karykaturą był tekst:

*„Der Tag, an dem das perfide Russland krepieren wird, wird ein Tag der Erlösung für ganze unsere Monarchie sein”.*

Druga pocztówka pochodziła z Rzeszy Niemieckiej. Był to prezent złożony żołnierzom węgierskim przez Niemców.

U góry był napis: „*Viribus unitis*”, a pod tym napisem widać było szubienicę z wiszącym na niej sir Edwardem Greyem. A na dole pod nim stali dwaj żołnierze, austriacki i niemiecki, uśmiechali się wesoło i salutowali.

Pod obrazkiem był wierszyk zaczerpnięty z książki Greinza *Żelazny kulak*. Był to jeden z tych dowcipów, jakie fabrykowano przeciw nieprzyjaciółom Austrii. O wierszach Greinza pisma niemieckie pisały, że są to chłaśnięcia biczem zawierające prawdziwy, nieokielznany humor i niedościgniony dowcip.

Tekst pod obrazkiem brzmiał tak:

*Grey*

Na szubienicy, dosyć wysoko,  
Niech się pobuja Edward Grey.  
Najwyższy już po temu czas,  
Ale pouczyć trzeba was,  
Że żaden dąb się na to nie zgodzi,  
By na nim zawisł ten Judasz-złodziej,  
Więc wisi na drzewie osiki  
Z francuskiej republiki.

Kapitan Sagner nie przeczytał jeszcze tego wierszyka zawierającego „nieokielznany humor i niedościgniony dowcip”, gdy do wagonu sztabowego wpadł ordynans batalionu Matuszicz.

Został przez kapitana Sagnera wysłany do centrali telegraficznej dowództwa stacji, czy nie ma tam czasem jakich nowych dyspozycji, i przyniósł telegram z brygady. Nie trzeba było sięgać po żaden klucz szyfrowy. Telegram brzmiał jasno i zgoła nietajemniczo:

*„Rasch abkochen, damn Vermarsch nach Sokal”.*

Kapitan Sagner zamyślił się i pokręcił głową.

— Posłusznie melduję — rzekł Matuszicz — że dowódca stacji prosi pana na rozmowę. U niego jest jeszcze jeden telegram.

Doszło następnie do bardzo poufnej rozmowy między dowódcą stacji a kapitanem Sagnerem.

— Pierwsza depesza musiała zostać wręczona, chociaż treść jej była zgoła niespodziewana dla oddziału znajdującego się na stacji Raba: „Szybko skończyć gotowanie i marsz na Sokal”. Adres był nieszyfrowany do marszbatalionu 91 pułku z odpisem dla marszbatalionu 75 pułku, który był jeszcze daleko. Podpis był właściwy: „Dowódca brygady Ritter von Herbert”.

— W wielkiej tajemnicy, panie kapitanie — tajemniczo mówił komendant stacji — komunikuję panu tajny telegram waszej dywizji. Dowódca waszej brygady oszalał. Został wywieziony do Wiednia, gdy rozesłał z brygady kilka tuzinów podobnych depez na wszystkie strony. W Budapeszcie na pewno otrzyma pan nową depeszę. Oczywiście, że wszystkie jego depesze trzeba unieważnić, ale co do tego nie otrzymaliśmy jeszcze żadnej wskazówki. Mam, jak już powiedziałem, jedynie rozkaz z dywizji, żeby na telegramy nieszyfrowane nie zwracać uwagi. Muszę je doręczać, ponieważ pod tym względem nie otrzymałem od swoich władz odpowiednich rozkazów. Za pośrednictwem swoich władz informowałem się w dowództwie korpusu i za to oddany zostałem pod śledztwo... Jestem oficerem czynnej służby w korpusie inżynierii — dodał — pracowałem przy budowie naszej strategicznej kolei w Galicji.

Panie kapitanie — rzekł po chwili — nam, starym żołnierzom, najlepiej służyć na froncie! Dzisiaj w Ministerstwie Wojny pęta się tych cywilów, inżynierów kolejowych,

więcej niż psów... Tyle że mają egzamin jednorocznych ochotników... Zresztą pan za kwadrans jedzie dalej. Pamiętam dobrze, że w szkole wojskowej w Pradze pomagałem panu przy gimnastyce jako jeden ze starszego rocznika. Obaj mieliśmy kiedyś areszt, bo pan się też bił z Niemcami w swej klasie<sup>1</sup>. Był tam też i Lukasz. Obaj byliście najlepszymi towarzyszami. Jak tylko dostaliśmy depezę ze spisem oficerów przejeżdżającego batalionu, zaraz sobie wszystko przypominałem. Ładnych parę lat minęło od tamtych czasów... Kadet Lukasz był mi wtedy bardzo sympatyczny...

Cała ta rozmowa wywarła na kapitanie Sagnerze wrażenie bardzo przykre. Oczywiście, doskonale poznał oficera, który z nim rozmawiał, a który w szkole wojskowej prowadził opozycję przeciwko wszystkiemu, co austriackie, chociaż późniejsze karierowiczostwo kazało im wszystkim o tej ich opozycji zapomnieć. Najbardziej niemiła była wzmianka o poruczniku Lukasz, który zawsze i wszędzie był spychany na bok, gdy chodziło o Sagnera.

— Porucznik Lukasz — rzekł z naciskiem — jest bardzo dobrym oficerem. Kiedy odchodzi pociąg?

— Za sześć minut — odpowiedział wojskowy komendant stacji spojrzawszy na zegarek.

— Idę — rzekł Sagner.

— I nic mi nie powiecie, kolego?

— *No to na zdar*<sup>2</sup> — odpowiedział Sagner i wyszedł przed gmach dowództwa stacji.

\*

Gdy przed odejściem pociągu kapitan Sagner powrócił do wagonu sztabowego, znalazł wszystkich oficerów na swoich miejscach. Grali w karty, we „*frische viere*”. Tylko kadet Biegler nie grał.

Przerzucał kartki różnych zaczętych przez siebie rękopisów, opisujących bitwy, bo chciał się wyróżnić nie tylko na polu walki, ale także jako wspaniały pisarz, opisujący zdarzenia wojskowe. Posiadacz dziwnego herbu „bocianiego skrzydła z ogonem ryby” pragnął stać się fenomenem wśród pisarzy wojskowych. Jego próby literackie zaczynały się wielce obiecującymi nagłówkami, w których odbijał się militarizm owych czasów, ale były to zaledwie notatki, tak że na ćwiartkach papieru znajdowały się na razie dopiero nagłówki prac, które miały powstać później:

„Charakterystyka żołnierzy wielkiej wojny”. — „Kto rozpoczął wojnę?” — „Polityka austriacko-węgierska a wybuch wojny światowej”. — „Notatki z wojny”. — „Austro-Węgry a wojna światowa”. — „Doświadczenia wojny”. — „Odczyt popularny o wybuchu wojny”. — „Uwagi wojenno-polityczne”. — „Sławny dzień Austro-Węgier”. — „Imperializm słowiański a wojna światowa”. — „Dokumenty z wojny”. — „Dokumenty do dziejów wojny światowej”. — „Dziennik wojny światowej”. — „Kronika wojny światowej”. — „Pierwsza wojna światowa”. — „Nasza dynastia w wojnie światowej”. — „Narody monarchii austro-węgierskiej w wojnie światowej”. — „Walka o panowanie nad światem”. — „Moje doświadczenia z wojny światowej”. — „Mój udział w kampanii wojennej”. — „Jak walczą wrogowie Austro-Węgier”. — „Kto zwycięży?” — „Nasi oficerowie i nasi żołnierze”. — „Znakomite czyny moich żołnierzy”. — „Z czasów wielkiej wojny”. — „O zapale walecznym”. — „Księga bohaterów austro-węgierskich”. — „Żelazna brygada”. — „Zbiór moich listów z frontu”. — „Bohaterowie naszego marszbatalionu”. — „Książka podręczna dla żołnierzy frontu”. — „Dni walki i zwycięstwa”. — „Co widziałem i czego doznałem na froncie”. — „W rowach strzeleckich”. — „Oficer opowiada...” — „Z synami Austro-Węgier naprzód!” — „Aeroplany nieprzyjacielskie a nasza piechota”. — „Po bitwie”. — „Nasza artyleria: wierni synowie ojczyzny”. — „Choćby się całe piekło sprzysięgło przeciw nam...” — „Wojna obronna i wojna zaczepna”. — „Krew i żelazo”. — „Zwycięstwo lub śmierć”. — „Nasi bohaterowie w niewoli”.

Gdy kapitan podszedł do kadeta Bieglera i przeczytał te nagłówki, zapytał, na co zastały one napisane i jak należy je rozumieć.

<sup>1</sup>pan się też bił z Niemcami w swej klasie — obaj panowie rozmawiali ze sobą po niemiecku i ustęp ten brzmiał w niemieckim: „*Sie haben sich damals auch mit den deutschen Mitschülern gerauft*”. [przypis autorski]

<sup>2</sup>*No to na zdar* — w niemieckiej rozmowie brzmiało to: „*Also! Na zdar!*” [przypis autorski]

Biegler odpowiedział mu w istnym natchnieniu, że każdy z tych nagłówków to tytuł książki, która zostanie napisana. Ile nagłówków, tyle książek.

— Pragnę, panie kapitanie, żeby po mnie została pamiątka, gdy polegnę w walce. Wzorem dla mnie jest profesor niemiecki, Udo Kraft. Urodził się w roku 1870, teraz gdy wybuchła wojna, zgłosił się na ochotnika i poległ dnia 22 sierpnia 1914 roku pod Anloy. Przed śmiercią wydał książkę: *Jak przygotować się na śmierć za cesarza*<sup>3</sup>.

Kapitan Sagner podprowadził kadeta Bieglera ku oknu.

— Niech pan pokaże, co pan ma jeszcze, kadecie Biegler. Ogromnie interesuje mnie pańska działalność — z ironią mówił kapitan Sagner. — Co to za zeszyt, który schował pan pod bluzą?

— To nic osobliwego, panie kapitanie — z dziecięcym rumieńcem odpowiedział kadet Biegler. — Służę panu.

Na zeszytcie podanym kapitanowi był napis:

„Schematy wielkich i sławnych bitew, stoczonych przez wojska austro-węgierskie, na podstawie studiów historycznych ułożone przez c. i k. oficera Adolfa Bieglera.

Uwagami i objaśnieniami zaopatrzył c. i k. oficer Adolf Biegler”.

Schematy te były straszliwie proste.

Od bitwy pod Nörlingen z 6 września r. 1634, poprzez bitwę pod Zentą z 11 września 1697, pod Caldiero z 31 września 1805, pod Aspern z 22 maja 1809, bitwę narodów pod Lipskiem w roku 1813, Santa Lucia w maju 1848, aż po bitwę pod Trutnovem 27 czerwca 1866 i zdobycie Sarajewa 19 sierpnia 1878 — wszystkie schemaciki były jednakowe.

W każdym z nich kadet Biegler narysował pewną ilość kwadracików, przy czym po jednej stronie były puste, po drugiej posiatkowane. Posiatkowane ukazywały, gdzie się ma rzekomo znajdować nieprzyjaciel. Po obu stronach było lewe skrzydło, centrum i prawe skrzydło. Następnie w tyle stały rezerwy i strzałki zwrócone tu i tam. Bitwa pod Nördlingen tak samo jak zdobywanie Sarajewa podobna była do rozstawienia graczy futbolowych na jakimkolwiek boisku, przy czym strzałki mogły bardzo dobrze oznaczać kierunek kopniętej piłki.

Taka też myśl przyszła do głowy kapitanowi Sagnerowi. Dlatego zapytał:

— Panie kadecie, pan grywa w piłkę nożną?

Biegler zarumienił się jeszcze bardziej i nerwowo zamrugał oczami. Przez chwilę, zdało się, że zaraz wybuchnie płaczem.

Kapitan Sagner z uśmiechem odwracał kartki zeszytu i zatrzymał się nad schematem bitwy pod Trutnovem podczas wojny austriacko-pruskiej. Kadet Biegler dopisał przy tym schemacie uwagę:

„Bitwa pod Trutnovem nie powinna być stoczona, ponieważ pagórkowata okolica uniemożliwiła rozwinięcie dywizji generała Mazzucheli, zagrożonej przez potężne kolumny pruskie, znajdujące się na wyżynach otaczających lewe skrzydło naszej dywizji”.

— A więc, zdaniem pańskim — rzekł z uśmiechem kapitan Sagner, oddając Bieglerowi zeszyt — bitwa pod Trutnovem mogła być stoczona jedynie w tym wypadku, gdyby Trutnov leżał wśród równin. Jesteś pan Benedek budziejowicki. Bardzo to pięknie z pańskiej strony, kadecie Biegler, że w czasie tak krótkiego przebywania w wojsku starał się pan przeniknąć wszystkie tajniki strategii, tylko że te usiłowania pańskie wypadły tak samo, jak to się zdarza chłopcom, gdy się bawią w wojsko i nadają sobie tytuły generałów. Sam pan się tak szybko awansował na oficera, aż miło patrzeć. C. i k. oficer Adolf Biegler! Zanim dojdziemy do Pesztu, będzie pan marszałkiem polnym. Onegdaj siedział pan u swego tatusia i ważył pan skóry krowie, a dzisiaj *k. u. k. Leutnant Adolf Biegler!*... Człowieku, przecie panu jeszcze daleko do oficera! Kadet to nie oficer. Wisisz pan w powietrzu między podoficerami a podchorążymi. Jest pan akurat takim samym oficerem jak frajter, który w knajpie każe się nazywać sierżantem sztabowym.

<sup>3</sup>wydał książkę: „Jak przygotować się na śmierć za cesarza” — Udo Kraft, *Selbsterziehung zum Tod für Kaiser.*, C. F. Amelang's Verlag, Leipzig. [przypis autorski]



Słuchaj no, Lukasz — zwrócił się do porucznika — skoro masz w swojej kompanii kadeta Bieglera, to go ćwicz, a zdrowo. Popisuje się jako oficer, więc niech sobie na ten tytuł zasłuży w bitwie. Jak będzie ogień huraganowy, a my będziemy atakowali, to niech ze swoim plutonem idzie przecinać zacieki z drutu kolczastego *der gute Junge*. A propos, każe ci się kłaniać Zykan, jest komendantem stacji w Rabie.

Kadet Biegler widząc, że rozmowa z nim jest skończona, zsalutował i zaczerwieniony przeszedł przez cały wagon, aż zaszył się wreszcie w jego końcu.

Jak lunatyk otworzył drzwi klozetu i spoglądając na niemiecko-madziarski napis: „Używanie klozetu dozwolone jedynie podczas jazdy pociągu”, załkał i rozplakał się na dobre. Potem rozpiął spodnie.... Potem siedział ocierając łzy. Potem użył zeszytu z napisem: „Schematy wielkich i sławnych bitew stoczonych przez wojska austro-węgierskie, ułożone przez c. i k. oficera Adolfa Bieglera”. Pohańbiony zeszyt zniknął w otworze klozetu i spadając na tor, objął się jeszcze przez chwilę między szynami pod pędzącym pociągiem wojskowym.

Kadet Biegler obmył sobie w umywalni klozetu zaczerwienione oczy i wyszedłszy na korytarzyk postanowił być mocnym, cholernie mocnym. Już od rana bolała go głowa i brzuch.

Przechodził obok końcowego przedziału, gdzie ordynans batalionu Matuszicz ze słującym dowódcy batalionu Batzerem grali w zechcyka.

Zajrzał do wewnątrz przez uchylone drzwi i zakaszłał. Gracze spojrzeli na niego i grali dalej.

— Co to, nie wiecie, jak zagrać? — zapytał Biegler.

— Nie mogłem — odpowiedział służący kapitana Sagnera Batzer swoją straszliwą niemczyzną z Gór Kasperskich. — *Mi'is'd Trump' ausganga*.

Należało wyjść w dzwonki, panie kadecie — mówił dalej — w wysokie dzwonki, a zaraz potem zagrać winnego króla... Tak należało...

Kadet Biegler nie rzekł już ani słowa i zaszył się w kącie wagonu. Gdy później podszedł do niego podchorąży Pleschner, żeby go poczęstować łykiem koniaku, którego butelkę wygrał w karty, to się zdziwił, że Biegler tak pilnie studiuje książkę profesora Udo Krafta: *Jak przygotowywać się na śmierć za cesarza*.

Zanim dojechali do Pesztu, kadet Biegler był taki pijany, że wychylał się z wagonu i wrzeszczał na całą pustą okolicę:

— *Frisch drauf! Im Gottes Namen frisch drauf!*

Na rozkaz kapitana Sagnera ordynans batalionu Matuszicz odciągnął go od okna i przy pomocy służącego kapitana Sagnera ułożył na ławie. Kadet Biegler zasnął i miał taki sen:

*Sen kadeta Bieglera przed Budapesztem.*

Miał *signum laudis*, żelazny krzyż, był majorem i jechał na inspekcję odcinka brygady, która była mu powierzona. Tylko że nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego ciągle jest majorem, gdy komenderował całą brygadą. Miał podejrzenie, że oczekiwał go awans na generał-majora, ale słówko „generał” musiało się widać gdzieś zapodziać na poczcie polowej.

W duchu musiał się śmiać z tego, że w pociągu, którym jechali na front, kapitan Sagner groził, iż każe mu przecinać zacieki z drutu kolczastego. Zresztą kapitan Sagner już dawno został przeniesiony do innego pułku, i to na jego, Bieglera, życzenie wyrażone w dowództwie dywizji. Przeniesiono go razem z porucznikiem Lukaszem do innej dywizji i do innego korpusu.

Ktoś mu potem opowiadał, że obaj nędznie zginęli w jakichś błotach podczas ucieczki.

Gdy autem podjeżdżał ku pozycjom dla obejrzenia odcinka swej brygady, wszystko było jasne i wyraźne. Właściwie był delegowany przez generalny sztab armii.

Koło niego przechodzili żołnierze i śpiewali pieśń, którą czytał kiedyś w zbiorze austriackich pieśni wojennych: *Es gilt*.

*Halt euch brav, ihr tapf'ren Brüder,  
Werft den Feind nur herzhaft nieder,  
Lasst des Kaisers Fahne web'n...*

Okolica była taka sama jak na obrazkach „Wiener Illustrierte Zeitung”.

Po prawej stronie koło stodoły widać było artylerię ostrzeliwującą nieprzyjacielskie okopy przy szosie, po której pędził samochód. Z lewej strony stał dom, z którego strzelano, podczas gdy nieprzyjaciel kolbami karabinów starał się wywalić drzwi. Przy szosie płonął zestrzelony aeroplan nieprzyjacielski. Na horyzoncie widać było kawalerię i palącą się wieś, dalej okopy marszbatalionu na małym wywyższeniu, skąd ostrzeliwano nieprzyjaciela z karabinów maszynowych. Dalej ciągnęły się okopy nieprzyjacielskie wzdłuż szosy. A szofer wiezie go dalej szosą prosto ku nieprzyjacielowi.

— Nie wiesz, gdzie mnie wieszysz? Tam jest nieprzyjaciel! — ryczy na szofera.

Ale szofer odpowiada mu zgoła spokojnie:

— Panie generale, to jedyna porządna droga. Szosa jest w stanie dobrym. Na drogach bocznych opony nie wytrzymałyby tej jazdy.

Im bliżej pozycji nieprzyjacielskich, tym wyraźniej słychać strzelanie. Po obu stronach okopów ciągnie się aleja drzew owocowych i granaty niszczą tę aleję.

A szofer spokojnie odpowiada na jego uwagi:

— Ta szosa jest wyborna, panie generale, jedzie się po niej jak po maśle. Gdybyśmy zboczyli w pole, to opony nie wytrzymają.

Niech pan spojrzy, panie generale — krzyczy szofer — ta szosa jest tak świetnie zbudowana, że nawet moździerz trzydziestocentymetrowe nic nam nie zrobią. Szosa ta to istne boisko, ale na kamienistych polnych drogach popękałyby opony. A wracać też nie możemy, panie generale.

Bzzz... dzum! — słyszy Biegler wybuch i auto robi ogromny skok.

— A co? Czy nie mówiłem, panie generale?! — ryczy szofer. — Przecież to jest cholernie dobra szosa. Właśnie wybuchnął przed nami pocisk trzydziestośmiocentymetrowy. Ale dziury nie ma. Szosa jak boisko. Lecz gdybym skręcił w pole, to zaraz popękają opony. Teraz ostrzeliwiają nas z odległości czterech kilometrów.

— Ale dokąd my jedziemy?

— To się pokaże — odpowiedział szofer. — Dopóki będzie taka szosa jak dotąd, to rękę za wszystko.

Lot, ogromny lot i samochód przystaje.

— Panie generale — krzyczy szofer — czy nie ma pan mapy sztabowej?

Generał Biegler zapala elektryczną lampkę i widzi, że trzyma mapę sztabową na kolanach. Ale jest to morska mapa wybrzeży Helgolandu z roku 1864, z czasu wojny austriacko-pruskiej przeciw Danii i Szlezwig.

— Jesteśmy na rozstajach — powiada szofer — a wszystkie drogi prowadzą ku pozycjom nieprzyjacielskim. Mnie chodzi o porządną szosę, żeby nie ucierpiały opony, panie generale... Ja odpowiadam za automobil sztabowy...

Nagle huk, ogłuszający huk i gwiazdy olbrzymie jak koła. Mleczna droga jest gęsta jak śmietana.

Płynie Biegler w bezkresach wszechświata, siedząc obok szofera. Tuż przed siedzeniem auto zostało przecięte na pół, gładko, jakby nożycami. Z całego auta pozostał tylko napastliwy, zaczepny przód.

— Całe szczęście, że mi pan akurat pokazywał mapę — mówi szofer. — Przeleciał pan do mnie, a resztę diabli wzięli. To była czterdziestodwucentymetrowka... Zaraz wiedziałem, że jak miniemy rozstaje, to szosa będzie diabła warta. Po trzydziestoósemce mogła być tylko czterdziestodwucentymetrowka. Nic lepszego nie wyrabiają jak dotąd, panie generale.

— Ale dokąd jedziemy?

— Lecimy do nieba, panie generale, i trzeba omijać komety. Takie komety są znacznie gorsze od największych granatów.

Teraz pod nami jest Mars — rzekł szofer po długim milczeniu.

Biegler czuł się znowu spokojny.

— Czy znasz pan dzieje bitwy narodów pod Lipskiem? — zapytał. — Kiedy to marszałek polny, książę Schwarzenberg, siedł na Libertkovicie 14 października 1813 roku i gdy 16 października toczyła się walka o Lindenau? Wtedy generał Merweldt staczał swoje waliki, wojska austriackie były w Vachovie, a 19 października padł Lipsk.

— Panie generale — rzekł szofer z wielką powagą — jesteśmy właśnie przed niebieską bramą, proszę wysiadać! Przez bramę niebieską przejechać nie podobna, bo jest tu wielki tłok. Sami żołnierze.

— Przejeżdż którego z nich, to nam poschodzą z drogi! — krzyczy na szofera.

I wychylając się z samochodu, woła:

— *Achtung, sie Schweinbande!* Co za bydło! Widzą generała, ale nie chce im się zrobić *rechts schaut*.

— Ciężka sprawa, panie generale — odpowiada na to szofer głosem łagodnym — prawie wszyscy mają poobrywane głowy.

Generał Biegler dopiero teraz zauważył, że ci, co się tłoczą w bramie niebieskiej, to najprzeróżniejsi inwalidzi, którzy w wojnie potracili różne części ciała i dźwigają je z sobą w plecakach. Głowy, ręce, nogi. Jakiś sprawiedliwy kanonier w podartym płaszczu, pchający się przez tłum przy niebieskiej bramie, miał w tłumoczku cały swój brzuch razem z dolnymi kończynami. Z innego tłumoka, dźwiganego przez jakiegoś sprawiedliwego landwerzystę, wyglądała na generała Bieglera połowa zadka, którą zacny ów człowiek stracił pod Lwowem.

— To gwoli porządkowi — odezwał się szofer przejeżdżając przez gęsty tłum. — Potrzebne to widać dla rajskiej superrewizji.

Przy bramie niebieskiej odźwierni puszczali jedynie na hasło, które i Bieglerowi od razu przyszło do głowy: „*Für Gott und Kaiser*”.

Samochód wjechał do rajcu.

— Panie generale — rzekł jakiś anioł-oficer ze skrzydłami u ramion, gdy przejeżdżali koło koszar aniołów-rekrutów — musi pan się meldować w dowództwie naczelnym.

Jechali dalej koło jakiegoś placu ćwiczeń, gdzie się roilo od rekrutów-aniołów, których uczono wołać chóralnie: Alleluja!

Przejeżdżali akurat koło pewnej grupy, gdzie rudy anioł-kapral obrabiał akurat jakiegoś ofermę anioła-rekruta, tłukł go pięścią po brzuchu i wołał:

— Gębę szerzej otwieraj, słoniu betlejemski! Czy to tak się woła: Alleluja? Skrzeczysz, jakbyś miał kluski w gębie. Chciałbym ja wiedzieć, co za wół wpuścił cię tutaj do rajcu, ty bydło jedno. Więc jeszcze raz... Hlahlelhuhja? Ach, ty bestio jedna, jeszcze nam tu w rajcu będziesz krzyczał przez nos?! Powtórz mi zaraz, cedrze libański!

Pędzili dalej, ale jeszcze długo słyszeli za sobą nosowe dźwięki biednego anioła-rekruta: „Hla... hle... hlu... hja”, i krzyk anioła-kaprała: „Alle... lu... ja! Alle... lu... ja! Ty krowo jordańska!”

Potem zajaśniało wielkie światło nad ogromną budowlą, podobną do Koszar Mariańskich w Budziejowicach, a nad nią dwa aeroplany, jeden z lewej strony, drugi z prawej, zaś pośrodku, między nimi, rozciągnięte było olbrzymie płótno z wielkim napisem:

„*K. u. k. Gottes Hauptquartier*”.

Do generała Bieglera podbiegli dwaj aniołowie w uniformach żandarmów polowych, wyciągnęli go z samochodu i ująwszy za kołnierz, zaprowadzili na pierwsze piętro wielkiego gmachu.

— Zachowujcie się przyzwoicie przed Panem Bogiem — napomnieli go zatrzymując się przed pewnymi drzwiami, otworzyli te drzwi i wepchnęli go do środka.

Na środku pokoju, na którego ścianach wisiały portrety Franciszka Józefa i Wilhelma, następcy trenu Karola Franciszka Józefa, generała Wiktora Dankła, arcyksięcia Fryderyka i szefa sztabu generalnego, Konrada Hötendorfa, stał Pan Bóg.

— Kadecie Biegler — rzekł Pan Bóg z naciskiem — nie poznajesz mnie? Ja jestem twój były kapitan Sagner z 11 kompanii marszowej.

Biegler zdrętwiał.

— Kadecie Biegler — odezwał się znowuż Pan Bóg — jakim prawem przywłaszczyłeś sobie tytuł generał-majora? Jakim prawem, kadecie Biegler, rozbijałeś się autem sztabowym po szosie i wśród pozycji nieprzyjacielskich?

— Posłusznie melduję...

— Stul gębę, kadecie Biegler, gdy rozmawia z tobą Pan Bóg.

— Posłusznie melduję — wyjąkał Biegler jeszcze raz.

— Więc ty nie zamkniesz gęby? — krzyknął na niego Pan Bóg i otworzywszy drzwi zawołał: — Dwóch aniołów! Żwawo!

Weszli dwaj aniołowie z karabinami przewieszonymi przez lewe skrzydła. Biegler poznał w nich Matuszicza i Batzera.

Z ust Pana Boga zabrzmiał rozkaz:

— Wrzucić go do latryny!

Kadet Biegler zapadał się gdzieś w straszliwy smród.

\*

Naprzeciwko śpiącego kadeta Bieglera siedział Matuszicz ze służącym kapitana Sagnera Batzerem i ciągle jeszcze grali w zechcyka.

— *Stink awer d' Kerl wie a' Stockfisch* — rzucił Batzer, który z zainteresowaniem przyglądał się, jak śpiący kadet zwija się na ławie i kręci. — *Muss' d' Hosen voll ha'n.*

— Taka rzecz może się zdarzyć każdemu — rzekł filozoficznie Matuszicz. — Daj mu spokój: przebierać go przecież nie będziesz. Lepiej rozdaj karty.

Nad Budapesztem widać już było lunę światła, a po Dunaju przeskakiwały błyski reflektora.

Kadetowi Bieglerowi śniło się teraz coś innego, bo przez sen mówił:

— *Sagen sie meiner tapferen Armee, dass sie sich in meinem Herzen ein unvergängliches Denkmal der Liebe und Dankbarkeit errichtet hat.*

Ponieważ przy tych słowach znowu zaczął się kręcić, pod nos Batzera zaleciał mocniejszy zapach. Splunął tedy i rzekł:

— *Stink wie a' Haizlputza, wie a' bescheissena Haizlputza.*

A kadet Biegler kręcił się coraz niespokojniej, zaś nowy jego sen był wielce fantastyczny. Był obrońcą miasta Linzu w wojnie o sukcesję austriacką.

Widział reduty, szańce i palisady dokoła miasta. Jego kwatera główna przemieniona była w ogromny szpital. Wszędzie, gdzie okiem rzucić, leżeli chorzy i trzymali się za brzuchy. Przed palisadami miasta harcowali dragoni Napoleona I.

Zaś on, dowódca miasta, stał nad tym mrowiem i także trzymał się za brzuch, a jednocześnie krzychał do jakiegoś francuskiego parlamentarzysty:

— Powiedźcie swemu cesarzowi, że się nie poddam...

Potem jak gdyby jego ból brzucha nagle ustąpił, pędzi on na czele batalionu z miasta na drogę chwały i zwycięstwa i widzi, jak porucznik Lukasz gołą ręką odbija cios pałasza francuskiego dragona, który chciał ciąć jego, Bieglera, obrońcę oblężonego miasta Linzu.

Porucznik Lukasz umiera u jego stóp z okrzykiem:

— *Ein Mann wie Sie, Herr Oberst, ist nötiger, als ein nichtsnutziger Oberleutnant!*

Obrońca Linzu ze wzruszeniem odwraca się od umierającego, gdy wtem nadlatuje kartacz i wali Bieglera w zadek.

Biegler odruchowo sięga ręką tam, gdzie go uderzył kartacz, i czuje wilgoć. Coś lepkiego rozmazuje mu się po ręku. Więc krzyczy:

— *Sanität! Sanität!* — i wali się z konia.

Batzer z Matusziczem podnieśli kadeta Bieglera z podłogi, na którą zwałił się z ławy, i znowu ułożyli go na niej.

Następnie Matuszicz poszedł do kapitana Sagnera, aby mu zameldować, że z kadetem Bieglerem coś jest bardzo nie w porządku.

— To chyba nie od koniaku — rzekł. — Na pewno dostał kadet cholery. Wszędzie na stacjach pił wodę. W Mosonie widziałem, że się...

— Cholera nie przychodzi tak szybko. W sąsiednim przedziale jest pan doktor, idźcie do niego i powiedzcie mu, żeby obejrzał chorego.

Do batalionu został przydzielony „wojenny doktor”, stary medyk i bursz, Welfer. Umiał pić i bić się, a medycynę miał w małym palcu. Przystudiował swój fach na różnych uniwersytetach austriacko-węgierskich, praktykę odbywał w najróżniejszych szpitalach, ale doktoratu nie robił po prostu dlatego, że w testamencie jego stryja była klauzula nakładająca na jego spadkobierców obowiązek wypłacania Fryderykowi Welferowi rocznego stypendium tak długo, dopóki ów Fryderyk Welfer nie otrzyma dyplomu lekarskiego.

To stypendium było przynajmniej cztery razy wyższe od wynagrodzenia, jakie asystenci otrzymują w szpitalach, więc *medicinae universae candidatus*, Fryderyk Welfer, rzetelnie starał się o to, aby promowanie go na doktora medycyny było odsunięte w czasie jak najbardziej odległe.

Spadkobiercy byli wściekli. Nazywali go idiotą, próbowali narzucić mu bogatą narzeczoną, żeby się go pozbyć. Aby spadkobiercom dokuczyć jeszcze bardziej, kandydat medycyny Fryderyk Welfer, członek jakichś dwunastu korporacji studenckich, wydał kilka zbiorów bardzo ładnych wierszy w Wiedniu, w Lipsku i w Berlinie. Pisywał do „*Simplicissimusa*” i dalej studiował medycynę, jakby nigdy nic.

Aż oto wybuchła wojna i podstępnie zarzuciła swoje zdradzieckie sidła na Fryderyka Welfera.

Poeta i autor książek *Lachende Lieder, Krug und Wissenschaft, Märchen und Parabeln* musiał po prostu ruszyć na wojnę, a jeden ze spadkobierców postarał się w Ministerstwie Wojny o to; że Fryderyk Welfer zrobił „wojenny doktorat”. Zrobił go na piśmie. Otrzymał szereg pytań i na wszystkie odpowiedział stereotypowo: „*Lecken Sie mir den Arsch!*” Po trzech dniach pułkownik oznajmił mu, że otrzyma dyplom doktora medycyny, że już dawno był dojrzały do otrzymania doktoratu, że starszy lekarz sztabu przydzielił go do szpitala uzupełnień i że od jego własnego postępowania zależy szybki awans. Wprawdzie wiadomo o nim, że w różnych miastach pojedynkował się z oficerami, ale na wojnie zapomina się o takich rzeczach.

Autor poezji *Dzban i wiedza* zacisnął zęby i zaczął służyć w wojsku.

Ponieważ ustalono, że w kilku przypadkach doktor Welfer był bardzo uprzejmy dla chorych żołnierzy i przedłużał im pobyt w szpitalu tak długo, jak tylko było można, doktora tego wyprawiono z 11 kompanią marszową na front. Bo wtedy obowiązywała powszechna zasada co do chorych: „Ma się taki wylegiwać w szpitalu i zdychać na łóżku, to niech lepiej zdechnie w rowie strzeleckim albo w tyralierze”.

Oficerowie służby czynnej całego batalionu uważali doktora Welfera za coś niższego od siebie, a oficerowie rezerwy także nie zwracali na niego uwagi i nie zaprzyjaźniali się z nim w obawie, żeby się przez to jeszcze bardziej nie pogłębiała przepaść między nimi a oficerami służby czynnej.

Oczywiście, że i kapitan Sagner czuł się niesłychanie wywyższony nad tego byłego kandydata medycyny, który podczas swoich bardzo długich studiów szpetnie posiekał kilku oficerów. Gdy doktor Welfer, „wojenny doktor”, przeszedł koło niego, kapitan nawet na niego nie spojrzął i dalej rozmawiał z porucznikiem Lukaszem o czymś zgoła obojętnym, że w Budapeszcie hodują dynie, na co porucznik Lukasz odpowiedział, że gdy był na trzecim roku szkoły wojskowej i bawił z kilku kolegami na Słowacyzynie, to przybyli oni raz w gościnę do pewnego ewangelickiego proboszcza, Słowaka. Gospodarz uraczył ich wieprzową pieczenią i jarzyną z dyni, a potem kazał im dać wina i mówił:

*Dynia, świnia  
Chce sa jej wina.*

czym Lukasz poczuł się mocno urażony<sup>4</sup>.

— Z Budapesztu niewiele zobaczymy — rzekł kapitan Sagner. — Objeżdżamy miasto bokiem. Według marszrutu mamy tu stać dwie godziny.

— Sądzę, że przesuną tu wagony — odpowiedział porucznik Lukasz — więc dostaniemy się na stację przeładunkową: Transport Militär-Bahnhof.

Obok nich przeszedł „wojenny doktor” Welfer.

— Nic osobliwego — rzekł z uśmiechem. — Tacy panowie, którzy z biegiem czasu chcą się stać oficerami i którzy jeszcze w Brucku chępią się swoimi wiadomościami historyczno-strategicznymi, powinni wiedzieć, że to niebezpiecznie zjeść od razu cały transport słodczy otrzymany od mamusi. Od chwili gdy wyjechaliśmy z Brucku, kadet Biegler zjadł trzydzieści ciastek z kremem, jak mi się przyznał, i wszędzie po stacjach pił tylko gotowaną wodę. Przypomina mi się pewien wiersz Schillera: „... *Wer sagt von...*”

<sup>4</sup>czym Lukasz poczuł się mocno urażony — kapitan Sagner i porucznik Lukasz prowadzili rozmowę w języku czeskim. [przypis autorski]

— Słuchaj pan, panie doktorze — przerwał mu kapitan Sagner — tu nie chodzi o Schillera. Jak się ma kadet Biegler?

„Wojenny doktor” Welfer roześmiał się.

— Aspirant na oficera, pański kadet Biegler, się zerznął... To nie cholera i nie czerwotka, ale prosty i powszedni kaktus. Pański aspirant na oficera wypił trochę więcej koniaku i zrobił w majtki... Zresztą byłby to niezawodnie zrobił i bez koniaku. Obzał się tak dalece ciastkami z kremem, które przysłano mu z domu, że i tego było dosyć... Taki dzieciak... W kasynie, jak mi wiadomo, pijał zawsze tylko jedną ćwiartkę... Abstynent.

Doktor Welfer splunął.

— Kupował sobie cukierki i ptysie.

— A więc nic osobliwego? — zapytał kapitan Sagner. — Taka rzecz jednak... Ale gdyby ta sprawa nabrała rozgłosu... Gdyby to było zaraźliwe...

Porucznik Lukasz powstał i rzekł:

— Dziękuję za takiego plutonowego...

— Trochę go poratowałem — rzekł Welfer nie przestając się uśmiechać — pan kapitan wyda odpowiednie zarządzenie... To jest, ja przekażę Bieglera do szpitala... Dam mu świadectwo, że to dyzenteria. Ciężki przypadek dyzenterii. Izolacja... Kadet Biegler dostanie się do baraku dezynfekcyjnego.

Jest to bezwarunkowo lepsze — mówił dalej Welfer ciągle z tym swoim wstrętnym uśmiechem — niż gdyby trzeba było powiedzieć prawdę o zasranym kadecie. Dyzenteria to sprawa bardziej honorowa niż taka pospolita przygoda.

Kapitan Sagner zwrócił się do porucznika Lukasa i rzekł tonem urzędowym:

— Panie poruczniku, kadet Biegler z pańskiej kompanii zachorował na dyzenterię i pozostanie na kuracji w Budapeszcie...

Kapitanowi Sagnerowi wydawało się, że Welfer śmieje się bardzo zaczepnie, ale gdy spojrział na „wojennego doktora”, widział, że jest on zgoła obojętny.

— A więc wszystko w porządku, panie kapitanie — dodał Welfer — kandydaci na oficerów...

Machnął ręką:

— Przy dyzenterii każdy zrobi w majtki.

Tak więc się stało, że dzielny kadet Biegler został zawieziony do wojskowego szpitala izolacyjnego w Uj Buda.

Jego powalane spodnie zginęły w zamęcie wojny światowej.

Marzenia kadeta Bieglera o wielkich zwycięstwach zostały zamknięte w pokoiku izolacyjnego baraku.

Dowiedziawszy się, że ma dyzenterię, kadet Biegler szczerzej się uradował.

Wszystko jedno, czy się otrzymuje rany za najjaśniejszego pana, czy też zapada się na jakąś chorobę przy wykonywaniu obowiązków żołnierskich.

Potem przytrafiła mu się jeszcze drobna przygoda. Ponieważ wszystkie miejsca w szpitalu dla chorych na dyzenterię były zajęte, więc kadeta Bieglera przeniesiono do baraku cholerycznego.

Jakiś madziarski lekarz sztabowy pokręcił głową, gdy kadeta wykąpano i przy mierzeniu temperatury stwierdzono, że ma akurat 37 stopni! Przy cholerycznym objawem jest poważny spadek temperatury. Chory staje się apatyczny.

Kadet Biegler nie okazywał rzeczywiście najmniejszego wzburzenia. Był niezwykle spokojny i w duchu powtarzał sobie, że czy tak, czy owak, cierpi za najjaśniejszego pana.

Lekarz sztabowy polecił tym razem wsunąć kadetowi Bieglerowi termometr do odbytnicy.

„Ostatnie stadium cholery — pomyślał w duchu — objawy końcowe, najwyższe wyczerpanie, chory traci zainteresowanie dla swego otoczenia, a świadomość jego jest przyćmiona. Uśmiecha się w przedśmiertelnym kurczach”.

Kadet Biegler przy gruntownym mierzeniu temperatury uśmiechał się istotnie, ale z miną męczennika, gdy wtykano mu termometr w miejsce tak niezwykle. Nie ruszał się.

„Objawy, które przy cholerycznej prowadzą ku końcowi — myślał węgierski lekarz sztabowy. — Bierna pozycja...”

Zapytał jeszcze podoficera-sanitariusza, czy w kąpielni kadet Biegler wymiotował i miał rozwolnienie.

Otrzymałszy odpowiedź przeczącą, zapatrzył się w Bieglera.

Gdy przy choleryze mija rozwolnienie i kończą się wymioty, to te objawy są oznaką zbliżającego się końca wypełniając ostatnie godziny życia.

Kadet Biegler, zupełnie nagi, po wyniesieniu go z ciepłej wanny poczuł chłód i zaczął szczękać zębami. Na całym ciele miał gęsią skórę.

— Widzisz pan — rzekł lekarz po madziarsku — okropne dreszcze. Kończyny zimne. To już koniec.

I pochylając się nad kadetem, zapytał go po niemiecku:

— *Also wie geht's?*

— *S... s... se... br... br gu... gu... tt* — zaszczękał zębami kadet Biegler. — *Ei... ei... ne De... deck... cke.*

— Świadomość częściowo jasna, częściowo przyćmiona — rzekł lekarz węgierski. — Ciało ogromnie wychudzone, wargi i paznokcie powinny być czarne... Już mam trzeci taki przypadek, że umierają u mnie ludzie na cholera bez czarnych paznokci i warg.

Pochylił się nad kadetem i mówił dalej po madziarsku:

— Serce ledwie bije...

— *Ei... ei... ne... ne De... de... de... deck... cke... cke* — dygotał kadet Biegler.

— To, co teraz mówi, to ostatnie jego słowa — rzekł lekarz sztabowy do podoficera-sanitariusza po madziarsku. — Jutro pochowamy go razem z majorem Kochem. Teraz traci przytomność. Czy papiery jego są w kancelarii?

— Pewno są — odpowiedział spokojnie sanitariusz.

— *Ei... ei... ne... ne De... de... de... deck... cke... cke* — wołał za odchodzącymi kadet Biegler szczękając zębami.

W całej sali na szesnaście łóżek było tylko pięciu ludzi. Jeden z nich był nieboszczykiem. Zmarł przed dwiema godzinami, był przykryty prześcieradłem i nazywał się tak samo jak odkrywca zarazków cholerycznych. Był to major Koch, o którym lekarz sztabowy mówił, że jutro będzie pochowany razem z kadetem Bieglerem.

Kadet Biegler uniósł się na łóżku i po raz pierwszy widział, jak to się umiera na cholera za najjaśniejszego pana, bo z czterech pacjentów dwaj konali, dusili się i sinieli. Z ich ust wydierały się jakieś słowa, ale nie wiadomo było, co mówią i w jakim języku. Był to raczej charkot zdławionego głosu.

Dwaj inni z ogromnie burzliwą reakcją, będącą oznaką wyzdrowienia, przypominali chorych na tyfus, bredzących w gorączce. Wykrzykiwali jakieś niezrozumiałe słowa i wierzgałi chudymi nogami, wysuwając je spod kołder. Nad nimi stał wąsaty sanitariusz, mówiący narzeczem styryjskim (co Biegler zauważył), i uspokajał ich:

— Ja też miałem cholera, moi złoci ludkowie, ale nie wierzę kulasami. Teraz już z wami dobrze. Dostaniecie urlop, jak tylko...

Nie rzucaj mi się tu tak bardzo — wrzasnął na jednego z nich, który tak porządnie wierzgnął nogą, że kołdra przeleciała mu przez, głowę. — Tęgo się u nas nie robi. Bądź kontent, że masz gorączkę, bo cię nie będą stąd wywozili z muzyką. I tak już najgorsze za wami.

Rozejrzał się dokoła.

— A tam oto znowu dwaj zmarli. Można się było spodziewać — rzekł dobroduszenie. — A wy bądźcie kontenci, że najgorsze już za wami. Muszę skoczyć po prześcieradła.

Po chwili wrócił. Nakrył umrzyków z wargami całkiem szerniałymi, wyprostował ich ręce ze szerniałymi paznokciami, którymi w agonii dusząc się darli naprężone przyrodzenie, próbował wetknąć im języki do ust, a potem ukląkł przy łóżku i zaczął odmawiać pacierz: „*Heilige Maria, Mutter Gottes...*”, i stary styryjski sanitariusz spoglądał przy tym na obu pacjentów, których maligna oznaczała powrót do zdrowia i nowego życia.

— *Heilige Maria, Mutter Gottes* — mówił dalej, gdy wtem, jakiś nagus potrząsnął go za ramię.

Był to kadet Biegler.

— Słuchajcie no — mówił — ja się kąpałem... To jest, mnie kąpali... Potrzebna mi kołdra... Mnie zimno...

— To dziwny przypadek — mówił po upływie pół godziny ten sam lekarz węgierski pochylając się nad kadetem Bieglerem, który odpoczywał pod kołdrą. — Pan jest rekonwalescentem, panie kadecie. Jutro wyprawimy pana do zapasowego szpitala do Tarnowa.

Pan jest siewcą bakterii cholerycznych... Wiedza posunęła się tak daleko, że wszystko już wiemy. Pan jest z 91 pułku...

— ...13 marszbatalionu — dodał sanitariusz za kadeta Bieglera — kompania 11.

— Proszę pisać — rzekł lekarz wojskowy. — Kadet Biegler, 13 marszbatalion, 11 kompania, 91 pułk piechoty, na obserwację do cholerycznego baraku w Tarnowie. Siewca zarazków cholerycznych...

W taki sposób z kadeta Bieglera, entuzjastycznego wojaka, stał się siewca bakterii cholerycznych.

## II. W BUDAPESZCIE

Na stacji wojskowej w Budapeszcie Matuszicz przyniósł kapitanowi Sagnerowi telegram z komendy stacji. Autorem tego telegramu był nieszczęśliwy dowódca brygady wyprawiony tymczasem do sanatorium. Telegram był nieszyfrowany jak na poprzedniej stacji i był tej samej treści:

„Szybko skończyć gotowanie i marsz na Sokal!”

Do tego był jeszcze dodatek:

„Taborzy zaliczyć do grupy wschodniej. Służba wywiadowcza zostaje zniesiona. 13 marszbatalion buduje most przez Bug. Szczegóły w gazetach”.

Kapitan Sagner udał się natychmiast do dowództwa stacji. Przywitał go mały grubawy oficer przyjaznym uśmiechem.

— Co ten nawyrabiał, ten wasz generał brygady — rzekł chichocząc na cały regulator — ale musieliśmy doręczać te idiotyzmy, ponieważ z dywizji jeszcze nie przyszło rozporządzenie, że depeze jego nie powinny być wręczane adresatom. Wczoraj przejeżdżał tędy 14 marszbatalion 75 pułku, a dowódca batalionu otrzymał depezę z rozkazem, aby wszystkim szeregowcom wypłacono po sześć koron, jako osobne wynagrodzenie za Przemyśl; w depezy było również podane, żeby każdy żołnierz z tych sześciu koron złożył w kancelarii dwie korony na pożyczkę wojenną... Według pewnych wiadomości ten generał brygady ma paraliż postępowy.

— Panie majorze — zapytał kapitan Sagner komendanta stacji wojskowej — czy według rozkazu pułku pojedziemy do Gödöllö, jak przewiduje marszruta? Szeregowcy mają dostać po 15 deka sera szwajcarskiego. Na stacji poprzedniej mieli dostać po 15 deka węgierskiego salami. Ale nic nie dostali.

— Tutaj widać także nic nie dostaną — odpowiedział major nie przestając się mile uśmiechać. — Nie wiem nic o takim rozkazie, który dotyczyłby *pułków z Czech*. Zresztą nie moja to sprawa; niech się pan zwróci do komendy zaopatrzenia.

— Kiedy odjeżdżamy, panie majorze?

— Przed wami stoi pociąg z ciężką artylerią idącą do Galicji. Puścimy go za godzinę, panie kapitanie. Na trzecim torze stoi pociąg sanitarny. Odchodzi w dwadzieścia pięć minut po pociągu z artylerią. Na torze dwunastym mamy pociąg z amunicją. Odjeżdża w dziesięć minut po pociągu sanitarnym, a w dwadzieścia minut po nim idzie pański pociąg. O ile, oczywiście, nie zajdą jakie zmiany — dodał z nieodmiennie miłym uśmiechem, który dla kapitana Sagnera stawał się wstrętny.

— Pan pozwoli, panie majorze — rzekł kapitan Sagner — czy mógłby mi pan objaśnić, jak to jest, że pan nic nie wie o rozkazie dotyczącym 15 deka sera szwajcarskiego dla *pułków z Czech*?

— To sprawa tajna — odpowiedział z uśmiechem komendant stacji wojskowej w Budapeszcie kapitanowi Sagnerowi.

„A tom się ubrał — myślał kapitan Sagner wychodząc z gmachu komendy. — Tam do diabła, po co ja kazałem porucznikowi Lukaszowi, żeby zebrał wszystkich dowódców i żeby razem z szeregowcami poszedł po 15 deka szwajcarskiego sera na osobę”.

Zanim dowódca 11 kompanii marszowej porucznik Lukasz wydał według rozkazu kapitana Sagnera rozporządzenie dotyczące żołnierzy marszbatalionu mających pójść do magazynu po 15 deka sera szwajcarskiego na osobę, podszedł do niego Szwejk razem z nieszczęśliwym Balounem.



Baloun dygotał ze strachu.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant — ze zwykłą uprzejmością rzekł Szwejk — że sprawa, o którą chodzi, jest bardzo ważna. Prosiłbym, panie oberlejtant, żebyśmy tę sprawę mogli załatwić gdzieś na uboczu, jak powiedział mój kamrat Szpatina ze Zhorza, gdy był družbą na weselu, a w kościele zachciało mu się nagle...

— Czego chcecie, Szwejku? — przerwał mu porucznik Lukasz, który tak samo zateęsknił za Szwejkim jak Szwejk za nim. — Chodźmy więc gdzieś na bok.

Baloun włókł się za nimi nie przestając drżeć. Ten poczciwy olbrzym stracił zupełnie równowagę ducha i w jakiejś rozpaczliwej beznadziejności kiwał się na wszystkie strony i machał rękoma.

— Więc o co wam chodzi, Szwejku? — zapytał porucznik Lukasz, gdy odeszli na bok.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant — rzekł Szwejk — że daleko lepiej zawsze przyznać się do wszystkiego, nim szydło wylezie z worka. Pan mi dał rozkaz, żeby Baloun przyniósł panu pański pasztet i bułkę, jak tylko przyjedziemy do Budapesztu. Dostałeś taki rozkaz czy nie? — zapytał Szwejk zwracając się do Balouna.

Baloun zaczął jeszcze bardziej wymachiwać rękoma, jakby się chciał obronić przed nacierającym nieprzyjacielem.

— Rozkazu tego — mówił Szwejk — nie można było, niestety, wykonać, panie oberlejtant, ponieważ ja ten pański pasztet zeżarłem.

Zeżarłem go — rzekł z naciskiem, dając wystraszonemu Balounowi sówkę w bok — bo pomyślałem, że taki pasztet może się zepsuć. Ja kilka razy czytałem w gazetach, że całe rodziny potruły się takim pasztetem. Pewnego razu na Zderazie się potruili, potem znowuż w Berounie, raz w Taborze i raz w Młodej Boleslavi, a także w Przi Bramie. Wszyscy ci otruci poumierali. Taki pasztet to drańska rzecz...

Baloun usunął się na bok, wsadził palec w usta i zaczął wymiotować.

— Co wam się stało, Balounie?

— Ja rzy... rzy... e... e... gam, panie ober... e... e... ober... lejt... nant... e... e... — mówił nieszczęsny Baloun korzystając z przerw w wymiotowaniu. — To ja... ja... ee... go zeżar... Hłem, ja... e... e... ja... eee sa... eemmm... e... e... e...

Z głębin biednego człowieka wyrzywały się kawałki pasztetu razem ze staniolem, w który pasztet był zawinięty.

— Jak pan widzi, panie oberlejtant — rzekł Szwejk ani na chwilę nie tracąc swej równowagi ducha — każdy zeżarty pasztet wyjdzie na wierzch jak oliwa na wodę. Ja chciałem tę rzecz wziąć na siebie, a ta mała tak się oto wysypuje. On jest człowiekiem na ogół bardzo porządnym, ale wszystko zeżre, co ma pod opieką. Znałem jednego takiego człowieka, był służącym w pewnym banku. Można było pozostawiać tysiące na jego opiece. Pewnego razu podejmował pieniądze w innym banku i dostał o tysiąc koron za dużo. Oddał je natychmiast, ale jak mu dali 15 grajcarów, żeby przyniósł wędzonki, to połowę jej po drodze zeżarł. Taki już był nienażarty, że gdy urzędnicy posyłali go po kiełbaski, to je dziurawił szczyrykiem i wydłubywał po trosze, a dziurki zalepiał plasterkiem angielskim, który przy pięciu kiełbaskach więcej go kosztował niż jedna cała kiełbaska.

Porucznik Lukasz westchnął i oddalił się.

— Czy ma pan dla mnie jakie rozkazy, panie oberlejtant? — wołał za nim Szwejk, podczas gdy niefortunny Baloun wciąż jeszcze wtykał sobie palec w usta.

Porucznik machnął ręką i podążył ku magazynom zaopatrzenia, przy czym do głowy przyszła mu myśl osobliwa, że skoro żołnierze pożerają swoim oficerom pasztety, to Austria wojny wygrać nie może.

Szwejk odprowadził tymczasem Balouna na drugą stronę toru wojskowego i pocieszał go, że razem zajrzą do miasta i stamtąd przyniosą dla pana oberlejtanta debreczyńskich parówek. Szwejkowi wydawało się, że Budapeszt pełen jest debreczyńskich parówek.

— Jeszcze by nam pociąg uciekł — biadał Baloun, który był nie tylko wiecznie głodny, lecz i chciwy zarazem.

— Gdy się jedzie na front, to nigdy spóźnić się nie można — zdecydował Szwejk — bo każdy taki pociąg, zanim ruszy z miejsca, dobrze się zastanowi, czy opłaciłoby mu się dojechać na miejsce z połową eszelonu. Zresztą, rozumiem cię, mój Balounie, masz węży w kieszeni.

Do miasta się, oczywiście, nie wybrali, ponieważ ozwał się sygnał wzywający do wsiadania do wagonów. Szeregowcy poszczególnych kompanii powracali z magazynów zaopatrzenia znowu z pustymi rękoma. Zamiast 15 deka sera szwajcarskiego, który miał być wydawany, każdy żołnierz dostał pudełko zapalek i pocztówkę, wydaną przez komitet opieki nad wojennymi grobami Austrii. Zamiast 15 deka sera szwajcarskiego każdy trzymał w ręku obrazek jednego z galicyjskich cmentarzy żołnierskich z pomnikiem zbudowanym ku czci nieszczęsnych landwerzystów przez dekującego się rzeźbiarza sierżanta Scholza, jednorocznego ochotnika.

Koło wagonu sztabowego panowało także niezwykle wzburzenie. Oficerowie marszbatalionu zebrali się dokoła kapitana Sagnera, który był bardzo zdenerwowany i coś im tłumaczył. Powrócił właśnie z komendy stacji i trzymał w ręku prawdziwy, bardzo tajny telegram ze sztabu brygady, ogromnie długi i nadziany wskazówkami, jak należy postępować wobec nowej sytuacji, w jakiej znalazła się Austria dnia 23 maja 1915 roku.

Dowództwo brygady telegrafowało, że Italia wypowiedziała Austrii wojnę.

Jeszcze w Brucku nad Litawą w oficerskim kasynie bardzo często rozmawiano przy obiadach i kolacjach o dziwnym postępowaniu Italii, ale na ogół nikt nie oczekiwał, że spełnią się prorocze słowa tego idioty kadeta Bieglera, który pewnego wieczoru przy kolacji odsunął talerz z makaronem i rzekł:

— Makaronu najem się jeszcze do syta pod bramami Werony.

Kapitan Sagner przestudiował instrukcje, otrzymane właśnie z dowództwa brygady, i kazał trąbić na alarm.

Gdy się wszyscy szeregowcy marszbatalionu zebrali, ustawiono ich w czworobok, a kapitan Sagner głosem ogromnie uroczystym odczytał żołnierzom dostarczony mu telegraficznie rozkaz dowództwa brygady:

„W bezprzykładnej zdradzie i chciwości zapomniał król włoski o tych bratnich związkach, które łączyły go jako sprzymierzeńca z naszym mocarstwem. Od chwili wybuchu wojny, w której winien był stanąć przy boku naszych dzielnych wojsk, odgrywał zdradziecki król włoski rolę zamaskowanego napastnika zachowując się dwuznacznie, a jednocześnie prowadząc sekretne układy z naszymi wrogami. Zdrada jego doszła do szczytu w nocy z dnia 22 na 23 maja przez wypowiedzenie wojny naszemu mocarstwu. Nasz wódz najwyższy jest przekonany, że nasza zawsze dzielna i sławna armia odpowie na nickszemną zdradę niewiernego wroga takim ciosem, iż zdrajca zrozumie, że sam siebie zgubił, rozpoczynając wojnę haniebnie i zdradliwie. Ufamy niezachwianie, że z pomocą bożą rychło nadejdzie dzień, w którym równiny italskie znowu ujrzą zwycięzców spod Santa Lucia, Vicenzy, Novarry, Custozzy. Chcemy zwyciężyć, musimy zwyciężyć i z pewnością zwyciężymy!”

Potem było zwykłe „dreimal hoch!” i wojsko posiadało znowu do wagonów, dziwnie milczące. Zamiast 15 deka sera szwajcarskiego otrzymało nową wojnę — z Italią.

\*

W wagonie, w którym siedział Szejek z sierżantem rachuby Vańkiem, telefonistą Chudounskim, Balounem i kucharzem Jurajdą, zawiązała się interesująca rozmowa o przyłączeniu się Włoch do wojny.

— Przy ulicy Táborskiej w Pradze było kiedyś takie samo zdarzenie — zaczął Szejek. — Był tam sobie kupiec, niejaki Horzejszi, a nieco dalej naprzeciwko miał sklep kupiec Poszmourny, a w samym środku między nimi miał kramik sklepikarz Havlasa. Więc ten kupiec Horzejszi wpadł któregoś dnia na taki koncept, żeby się złączyć z tym sklepikarzem Havlasą przeciw kupcowi Poszmournemu, i zaczął się z nim umawiać co do tego, że oba sklepy mogłyby istnieć pod wspólną firmą: „Horzejszi i Havlasa”. A ten sklepikarz Havlasa zaraz poleciał do kupca Poszmournego i powiada mu, że Horzejszi daje mu dwanaście setek za jego sklepik i chce z nim zrobić spółkę. Ale jeśli Poszmourny da mu o sześć setek więcej, to woli zrobić spółkę z nim przeciwko Horzejszemu. Więc się z sobą ugodzili, a ten Havlasa przez jakiś czas ciągle się kręcił koło tego Horzejszego, którego

zdradził, i udawał jak najlepszego przyjaciela, a gdy się czasem zgadało o połączeniu obu interesów, to zawsze mawiał: „No, już niedługo się połączymy. Czekam tylko, aż klienci wrócą z letniska”. A kiedy klienci przyjechali, to sprawa rzeczywiście była już załatwiona, jak to obiecywał Havlasa kupcowi Horzejszemu, co do tego połączenia. Gdy mój Horzejsi pewnego poranka otwierał swój sklep, ujrzał wielki napis nad sklepem swego konkurenta, firma jak byk:

#### POSZMOURNY I HAVLASA

— U nas — zauważył głupawy Baloun — też się zdarzył wypadek podobny. We wsi sąsiedniej chciałem kupić jałówkę. Już była stargowana, a rzeźnik z Votic zabrał mi ją sprzed nosa.

— Teraz, kiedy mamy nową wojnę — mówił dalej Szwejk — kiedy mamy o jednego wroga więcej i nowy front, będziemy musieli oszczędzać amunicji. „Im więcej dzieci w rodzinie, tym więcej zużywa się różeg” — mawiał dziadek Chovanec w Motole, który karciał wszystkie dzieci okolicznych rodzin i pobierał za to wynagrodzenie ryczałtowe.

— Ja się tylko jednego boję — rzekł Baloun trzęsąc się na całym ciele — że przez tę Italię porcje będą mniejsze.

Sierżant rachuby Vaniek zamyślił się głęboko i rzekł po chwili:

— Wszystko to być może, bo teraz na zwycięstwo wypadnie trochę poczekać.

— Teraz przydałby się nam nowy Radetzky — zawyrokował Szwejk. — Bo Radetzky znał już doskonale tamte okolice i wiedział o wszystkich stronach tych Włochów, wiedział, co trzeba szturmować i z której strony. Chociaż to nie takie proste wleźć na dobre do jakiegoś kraju, bo taką rzecz każdy potrafi, ale wydostać się stamtąd, to jest dopiero prawdziwy kunszt wojenny. Jeśli już człowiek gdzieś wlezie, to winien wiedzieć o wszystkim, co się dzieje dokoła niego, żeby czasem nie wpadł w jaką bryndzę, która nazywa się katastrofą. Pewnego razu w naszym domu, tam gdzie jeszcze dawniej mieszkałem, złapali na strychu złodzieja, ale chłopisko było sprytnie; gdy tam wlaź, wypatrzył, że właśnie murarze poprawiają mur od strony ślepego podwórka, więc też wyrwał się, powalił na ziemię dozorczyńnię domu i zesunął się po rusztowaniu na dół, na to ślepe podwórko. Ale stamtąd ani rusz dalej. Natomiast nasz tatuś Radetzky znał każdą ścieżkę i nigdzie go dogonić nie mogli. W jednej ciekawej książce o tym generale było to wszystko bardzo ładnie opisane, jak to on uciekł spod Santa Lucia, a znowuż Italiany uciekły w drugą stronę i dopiero na drugi dzień ten generał zmiarkował, że właściwie bitwę wygrał, kiedy przez lornetę nie dopatrzył się ani jednego nieprzyjaciela. Więc zaraz się wrócił i zajął opuszczoną Santa Lucję. Od tego czasu był marszałkiem.

— Italia, tak czy owak, kraj ładny — wtrącił kucharz Jurajda. — Byłem kiedyś w Wenecji i wiem dobrze, że Włoch każdego nazwie świnią. Gdy się rozzłości, to wszystko dla niego jest „porco maladetto”. Nawet papież jest dla niego *porco* i „*Madonna mia è porco*”, „*papa è porco*”.

Natomiast sierżant rachuby Vaniek wyraził się o Italii z wielką sympatią. W Kralupach przy swojej drogerii ma fabryczkę soku cytrynowego wyrabianego z gnijących cytryn, bardzo tanio kupowanych w Italii. Teraz kończy się przesyłanie cytryn z Włoch do Kralup. Nie ma co mówić: wojna z Włochami obfitować musi w różne niespodzianki, bo Austria będzie chciała zemścić się.

— Łatwo powiedzieć! Zemścić się! — uśmiechnął się Szwejk. — Niejeden myśli sobie, że się mści, a tymczasem wszystko zwali się raptem na takiego, którego sobie ten mściciel wybrał za narzędzie swej zemsty. Kiedy przed laty mieszkałem na Vinohradach, to w jednym domu był dozorca, a u tego dozorczy mieszkał jakiś drobny urzędniczyna z jakiegoś tam banku, który chodził stale do knajpki przy ulicy Crameriusa i w tej knajpce pokłócił się z jakimś panem, który miał na Vinohradach jakiś taki zakład do analizowania moczu. Ten pan o niczym innym nie myślał i nie mówił, tylko o tych analizach, i zawsze nosił przy sobie flaszeczki z uryną, wszystkim wtykał te swoje naczynia do rąk, żeby naurynowali, to on zanalizuje, bo to rzecz bardzo ważna, od której zależy często dobrobyt całej rodziny i szczęście, a kosztuje taka rzecz tylko sześć koron. Wszyscy goście tej knajpki, nawet gospodarz, kazali sobie mocz zanalizować, tylko ów urzędniczyna jeszcze się opierał, aczkolwiek ten pan od analizy łąził za nim zawsze, gdy tamten wychodził do pisuaru, i zawsze go troskliwie napominał: „Ej, panie Skorkowsky, mnie się

pańska uryna jakoś nie podoba. Naurytuj pan do buteleczki, zanim nie będzie za późno”. Nareszcie go namówił. Kosztowało to owego urzędniczka sześć koron, a analiza była dokumentna i akuratna, jak wszystkie poprzednie, które zrobił dla gości, dla gospodarza i dla gospodyni. Gospodarz patrzył na tego analizatora krzywo, bo mu psuł interes. Przy każdej analizie wywodził, że to przypadek bardzo poważny, że nikt nie powinien nic pić prócz wody, że nie wolno palić, że ten a ten nie powinien się żenić, a wszyscy powinni jadać tylko jarzyny. Więc gdy takich rzeczy nagadał i temu urzędniczynie, to ów bardzo się na niego rozgniewał i wybrał sobie za narzędzie zemsty swego dozorcę, u którego mieszkał, ponieważ wiedział, że to człowiek brutalny. Więc razu pewnego mówi do tego pana od analiz, że ten dozorca nie czuje się dobrze i że go prosi, żeby jutro rano o siódmej przyszedł do niego po urynę, bo chce, żeby była zbadana. No i tamten poszedł. Dozorca jeszcze spał, a ten go budzi i mówi do niego po przyjacielsku: „Moje uszanowanie, panie Malek. Dzień dobry panu! Oto jest buteleczka, niech pan do niej naurytuje i da mi pan sześć koron”. Istny dopust boży nastął wtedy, gdy ten dozorca wyskoczył w gaciach z łóżka, złapał swego gościa za kark, grzmotnął nim o szafę i wpakował go do niej! Potem wyciągnął go z szafy, złapał bykowca i sam w gaciach pędził go przed sobą ulicą Czelakowskiego, a ten skowyczał jak pies, gdy mu nadepnął na ogon, i dopiero na ulicy Havliczka wskoczył do tramwaju, a dozorcę złapał strażnik. Dozorca pobił się z policjantem, a ponieważ był w gaciach i było widać co nie trzeba, więc z powodu takiego publicznego zgorzienia wsadzili go do plecionki i zawieźli na policję, a on jeszcze w tej plecionce ryczał jak tur: „Ach, wy draby, ja wam pokażę analizę moczu!”. Siedział sześć miesięcy za zgorzienie publiczne i obrazę policji, a potem jeszcze, po ogłoszeniu wyroku, dopuścił się obrazy domu panującego, więc może siedzi jeszcze dzisiaj za kratami. Mówię tedy, że gdy się jeden mści na drugim, to cierpi z tego powodu człowiek niewinny.

Tymczasem Baloun rozmyślał nad czymś bardzo usilnie i wreszcie z wielkim strachem zadał Vańkowi pytanie:

— Proszę pana, panie rechnungsfeldfebel, więc pan przypuszcza, że przez tę wojnę porcje będą mniejsze?

— To przecież całkiem jasne — odpowiedział Vaniek.

— Jezus Maria! — krzyknął Baloun, ukrył twarz w dłoniach i cicho siedział w kącie. Na tym skończyła się ostatecznie dyskusja o Italii.

\*

W wagonie sztabowym rozmowa o nowej sytuacji na frontach wojny światowej, wynikłej na skutek przystąpienia Włoch do wojny, byłaby zapewne bardzo nudna, skoro wśród rozmawiających nie było sławnego teoretyka wojennego, kadeta Bieglera, ale sytuację ratował podporucznik Dub z 3 kompanii.

Jako cywil podporucznik Dub był nauczycielem języka czeskiego w gimnazjum i podobnie jak teraz, tak i dawniej korzystał z każdej sposobności, aby popisać się swoją prawomysłowością. W zadaniach piśmiennych wymagał od swoich uczniów opracowań na tematy z dziejów rodu Habsburgów. W klasach niższych straszył uczniów cesarz Maksymilian, który wlaź na skalę i nie umiał z niej zleźć, dręczył ich Józef II jako oracz i Ferdynand Łaskawy. W klasach wyższych tematy były, oczywiście, bardziej powikłane. W klasie siódmej zadawał np. tematy takie: „Cesarz Franciszek Józef, przyjaciel wiedzy i sztuki”. Temat ten stał się przyczyną wykluczenia jednego z gimnazystów ze wszystkich austriackich gimnazjów, ponieważ napisał on, że najpiękniejszym czynem tego monarchy było założenie mostu cesarza Franciszka Józefa I w Pradze.

Bardzo pilnował swoich uczniów, aby w dzień urodzin cesarza i w czasie innych uroczystości, związanych z domem panującym, z zapalem śpiewali hymn austriacki. W towarzystwie nie lubiono go, ponieważ wszyscy wiedzieli o nim, że denuncjuje swoich kolegów. W mieście, w którym nauczał, był jednym z trójki największych osłów i idiotów, do której prócz niego należał starosta powiatowy i dyrektor gimnazjum. W tym małym kółeczku nauczył się politykować o sprawach mocarstwa austro-węgierskiego. Oczywiście, że i teraz zaczął się popisywać swoimi mądrościami, wykładając je głosem i akcentem skostniałego belfra:

— Prawdę mówiąc, mnie wystąpienie Italii nie zaskoczyło wcale. Oczekiwałem czegoś podobnego już przed trzema miesiącami. Rzecz prosta, że Italia, skutkiem zwycięskiej wojny z Turcją o Trypolis, bardzo jest w sobie zadufana. Prócz tego liczy bardzo na swoją flotę i na nastroje mieszkańców w naszych krajach nadmorskich i w Tyrolu południowym. Jeszcze przed wojną rozmawiałem o tym z naszym starostą, żeby władze nasze nie lekcewały ruchu irredentystycznego na Południu. Zgodził się ze mną bez zastrzeżeń, ponieważ każdy przewidujący człowiek, któremu zależy na pomyślności tego państwa, już dawno zdawać sobie musiał sprawę z tego, że niedaleko byśmy zaszli, gdybyśmy byli zbyt wyrozumiali dla takich żywiołów. Pamiętam dobrze, że przed jakimiś dwoma laty podczas wojny bałkańskiej, gdy wynikła sprawa naszego konsula Prohazki, wyraziłem się do starosty, iż Włochy czekają tylko sposobności, aby na nas napaść zdradziecko.

No i stało się! — zawołał takim głosem, jakby mu słuchacze przeczyli, aczkolwiek przy jego wywodach wszyscy oficerowie myśleli w duchu, żeby ich ten cywil-gaduła pocałował w nos.

— Przyznać trzeba — mówił dalej tonem już nieco łagodniejszym — że w większości wypadków zapomniano o naszym dawniejszym stosunku do Italii także i w zadaniach szkolnych, że nie pamiętano o owych sławnych dniach naszych dzielnych i pełnych chwały wojsk oraz o zwycięstwach roku tysiąc osiemset czterdziestego ósmego i sześćdziesiątego szóstego, o których jest mowa w dzisiejszych rozkazach brygady. Co do mnie, to spełniałem zawsze swój obowiązek i jeszcze przed zakończeniem roku szkolnego, że tak powiem na samym początku wojny, zadałem uczniom temat: „*Unsere Helden in Italien von Vicenza bis zur Custozza, oder...*”

I cymbał podporucznik Dub dodał uroczyście:

„...*Blut und Leben für Habsburg! Für ein Oesterreich, ganz, einig, gross!...*”

Zamilkł oczekując, że w wagonie sztabowym wszyscy zabiorą się do omawiania sytuacji wojennej, wytworzonej przez wystąpienie Włoch, i że on jeszcze raz udowodni im, że o wszystkim wiedział już przed pięciu laty i przepowiedział, jak się Italia zachowa wobec swojego sojusznika. Ale podporucznik Dub zawiódł się bardzo, bo kapitan Sagner, któremu Matuszicz przyniósł ze stacji wieczorowe wydanie „Pester Lloyd”, zajrzał do gazety i rzekł:

— Wiecie, panowie, ta Weinerowa, którą widzieliście w Brucku na gościnnym występie, grała wczoraj tutaj na scenie Teatru Małego.

Na tym się dyskusja o Italii skończyła także w wagonie sztabowym...

\*

Prócz tych, którzy siedzieli nieco dalej, ordynans batalionu Matuszicz i służący kapitana Sagnera Batzer patrzyli na wojnę z Włochami ze stanowiska czysto praktycznego, ponieważ już dawno temu, przed laty, gdy odbywali służbę wojskową, obaj uczestniczyli w manewrach wojskowych w Tyrolu południowym.

— Kiepsko się będzie włożyło na włoskie kopczyki — rzekł Batzer — bo kapitan Sagner ma kuferków sporo. Wprawdzie ja pochodzę z gór, ale to co innego, gdy człowiek bierze flintę pod kapotę i idzie upatrzeć jakiego zajączka na gruntach księcia Schwarzenberga.

— Oczywiście pytanie, czy przerzucą nas na Południe, do Włoch. Mnie także nie podobałoby się łażenie po kopcach i lodowcach z rozkazami. No i żarcie tam mają psiakrewskie: nic tylko polenta i oliwa — ze smutkiem wywodził Matuszicz.

— A skąd pewność, że nas właśnie nie zapędzą między włoskie góry — sierdził się Batzer. — Nasz pułk był już w Serbii, w Karpatach, włożyłem kufry pana kapitana po różnych górach i dwa razy już je zgubiłem: w Serbii i w Karpatach podczas niezgorszego piekła. Kto wie, może po raz trzeci spotka mnie to samo we Włoszech. A co do tego żarcia na Południu... — Splunął i z wielkim zaufaniem przysiadł się bliżej Matuszicza. — Wiesz, u nas w Górach Kasperskich robią takie małe kluseczki z tartych surowych kartofli, gotuje się je, nurza w jajku, posypuje tartą bułką, a następnie opieka się je na słoninie...

Ostatnie słowo wymówił głosem uroczystym, namaszczonym.

— Najlepiej smakują takie kluseczki z kiszoną kapustą. W porównaniu z tymi kluseczkami to taki makaron włoski jest do dupy! — dodał melancholijnie.

Tymi słowy i tutaj zakończyła się rozmowa o Italii.

Ponieważ pociąg stał już ze dwie godziny i nie ruszał, żołnierze z innych wagonów byli święcie przekonani, że batalion będzie cofnięty i wysłany do Włoch.

W przekonaniu takim utwierdziła żołnierzy i ta okoliczność, że z eszelonem działa się tymczasem przedziwne rzeczy. Znowuż wszystkich żołnierzy powyganiano z wagonów, przyszła inspekcja sanitarna z personelem dezynfekcyjnym i wykropiła pięknie wszystkie wagony lizolem, co zostało przyjęte z wielkim niezadowoleniem, osobliwie w tych wagonach, w których wieziono duże zapasy komiśniaka.

Ale rozkaz to rozkaz: komisja sanitarna wydała rozkaz zdezynfekowania wszystkich wagonów eszelonu 728, więc z największym spokojem wykropiono lizolem kupy komiśniaka i worki z ryżem. Z tego można było ostatecznie wywnioskować, że dzieje się coś wyjątkowego.

Potem znowu pozapędzano wszystkich żołnierzy do wagonów, ale nie dano im spokoju, bo po upływie pół godziny jakiś starsuszek generał przyszedł obejrzeć batalion. Generał był taki stary i zwiędły, że Szwejk nie mógł się powstrzymać, aby go nie nazwać po swoim. Stojąc z tyłu za pierwszym szeregiem, zwrócił się do sierżanta rachuby Vańka i rzekł:

— Taki biedny zdechlaczek.

Zaś starsuszek generał dreptał przed frontem w towarzystwie kapitana Sagnera i zatrzymał się przed pewnym młodym żołnierzem, aby rozmową z nim wzbudzić zapał w reszcie szeregowców. Jął go więc pytać, skąd pochodzi, ile ma lat i czy posiada zegarek. Żołnierz wprawdzie zegarek posiadał, ale ponieważ myślał, że generał chce go obdarować, więc odpowiedział, że nie ma, na co stary zdechlaczek–generał z takim głupkowskim uśmiechem, jakim odznaczał się Franciszek Józef, gdy w podróżach swoich wdawał się w rozmowy z burmistrzami, odpowiedział:

— To dobrze, to dobrze.

Następnie zwrócił się do stojącego obok kaprała zaszczycając go pytaniem, czy jego żona jest zdrowa.

— Posłusznie melduję — wrzasnął dziesiętnik — że jestem nieżonaty.

Na to starsuszek generał odpowiedział z miłym uśmiechem:

— To dobrze, to dobrze.

Potem zdzienniały starsuszek wezwał kapitana Sagnera, żeby mu zaprezentował, jak żołnierze odliczają, gdy mają ustawiać się dwójkami, i po chwili słyhać było:

Raz — dwa, raz — dwa, raz — dwa...

Bardzo się to starszkowi podobało. Miał nawet w domu dwóch pucybutów, których ustawiał zwykle przed sobą i kazał im odliczać: „Raz — dwa, raz — dwa...”

Takich generałów miała Austria bardzo wielu.

Kiedy przegląd skończył się szczęśliwie, przy czym pan generał nie skąpił pochwał kapitanowi Sagnerowi, dano szeregowcom swobodę ruchu w granicach stacji, bo nadeszła wiadomość, że pociąg ojedzie dopiero za trzy godziny. Żołnierze łazili tedy po stacji i gapili się, a ponieważ na dworcach zawsze bywa dużo publiczności, więc niejedyn żołnierz zdołał wyżebrać papierosa.

Widać było, że pierwotny entuzjazm, wyrażający się w uroczystym witaniu eszelonów po wszystkich stacjach, bardzo się obniżył; była to już często żebranina.

Do kapitana Sagnera przybyła deputacja Stowarzyszenia Witania Bohaterów, złożona z dwóch starszych strasznie zmęczonych dam, które wręczyły kapitanowi prezent przeznaczony dla eszelonu, a mianowicie 20 pudełek pachnących pastylek do dezynfekcji ust. Była to reklama pewnej peszteńskiej fabryki cukierków, a pudełka wykonane były bardzo ładnie z blachy; na wieczku wymalowany był honwed węgierski ściskający rękę austriackiemu landszturmście, a nad nimi jaśniała korona świętego Szczepana. Dokoła wił się napis madziarski i niemiecki: „Für Keiser, Gott und Vaterland”.

Fabryka cukrów była tak lojalna, że cesarzowi dawała pierwszeństwo przed Panem Bogiem.

W każdym pudełku było osiemdziesiąt pastylek, tak że na ogół pięć pastylek przypa-  
dło na trzech szeregowców. Prócz tego umęczone damy przyniosły paczkę drukowanych  
modlitw dla żołnierzy, napisanych przez peszteńskiego arcybiskupa, Geze Szatmar-Bu-  
dafala. Modlitwy te były w językach niemieckim i madziarskim i zawierały najstraszliw-  
sze przekleństwa pod adresem wszystkich nieprzyjaciół. Były one napisane językiem tak  
jędrnym, że zdawało się, iż na końcu brak jedynie zawieszistego węgierskiego: „*Baszom  
a Kristusmarját!*”

Według życzenia czcigodnego arcybiskupa dobrotliwy Bóg winien był Rosjan, Angli-  
ków, Serbów, Francuzów, Japończyków rozsiekac na makaron i na paprykowany gulasz.  
Dobrotliwy Bóg winien był nurzać się we krwi nieprzyjaciół i wymordować ich wszyst-  
kich tak samo, jak brutal Herod wymordował niewinne dzieci.

Dostojny arcybiskup peszteński w modlitwach swoich używał na przykład takich  
wzruszających zwrotów: „Niech Bóg błogosławi wasze bagnety, aby głęboko wbijały się  
w brzuchy waszych nieprzyjaciół. Niech pan najsprawiedliwszy kieruje ogień artyleryjski  
na głowy sztabów nieprzyjacielskich. Miłosierny Bóg niechaj uczyni to, aby wrogowie  
nasi utonęli we własnej krwi z ran, które wy im zadacie!”

Toteż, jak się rzekło, do zakończenia tych modlitw brakło tylko plugawego przekleń-  
stwa węgierskiego: „*Baszom a Kristusmarját!*”

Gdy paniusie wręczyły kapitanowi Sagnerowi swoje prezenty, zwróciły się do niego  
z rozpaczliwym życzeniem asystowania przy rozdawaniu podarków. Jedna z nich okazała  
nawet tak wielką odwagę, iż wyraziła ochotę wygłoszenia przy tej sposobności przemowy  
do żołnierzy, których nie nazywała inaczej, jak tylko „*unsere braven Feldgrauen*”.

Obie uczuły się ogromnie dotknięte, gdy kapitan Sagner odmówił ich życzeniu. Tym-  
czasem prezenty, przyniesione przez obie panie, powędrowały do wagonu, w którym mie-  
ścił się magazyn. Czcigodne damy przeszły środkiem szeregu żołnierzy, a jedna z nich nie  
oparła się pokusie i poklepała po twarzy jakiegoś brodatego żołnierza. Był to niejaki Szy-  
mek z Budziejowic, który, nie wiedząc nic o wzniosłym posłannictwie tych dam, rzekł  
do swoich towarzyszy, gdy damy wędrowały dalej:

— Nachalne są te kurwy i zuchwale. Żeby jeszcze taka małpa była podobna do ludzi!  
Ale suche to jak bocian, niczego na niej nie widać prócz tych kulasów, gęba, jakby ją na  
męki brali, i jeszcze taka stara raszpla bierze się do żołnierzy!

Na stacji panował wielki ruch. Wystąpienie Italii spowodowało tu pewną panikę, po-  
nieważ zatrzymane zostały dwa eszelony z artylerią i skierowano je do Styrii. Był tu także  
eszelon Bośniaków, którzy czekali nie wiedzieć na co już dwa dni i czuli się zupełnie za-  
pomniani i zagubieni. Już od dwóch dni ci zacni Bośniacy nie fasowali chleba i włóczyli  
się żebrząc po Nowym Budapeszcie. Niczego też nie było tu słyhać prócz wzbudzonych  
głosów tych zagubionych Bośniaków, żywo gestykujących i klnących żwawo i bezu-  
stannie:

— *Jeben ti boga... jeben ti duszu... jeben ti majku.*

Potem 91 batalion został znowu spędzony do kupy i żołnierze posiadali do wagonów.  
Ale po chwili ordynans batalionu Matuszicz wrócił z dowództwa stacji z wiadomością, że  
pociąg pojedzie dopiero po trzech godzinach. Więc szeregowcy, których właśnie zapę-  
dzono do wagonów, ponownie zostali wypuszczeni na stację. Przed samym odjazdem do  
wagonu, w którym mieścił się sztab, wtargnął wzburzony podporucznik Dub i domagał  
się od kapitana Sagnera, aby natychmiast kazał aresztować Szwejka. Podporucznik Dub,  
stary znany denuncjant mieszkańców miasta, w którym pracował jako nauczyciel gim-  
nazjum, bardzo lubił wdawać się w rozmowy z żołnierzami, przy czym badał ich sposób  
myślenia, a jednocześnie korzystał ze sposobności, aby każdego z nich pouczać, dlaczego  
walczy i o co walczy.

W czasie swego obchodu ujrzał z tyłu za budynkiem stacyjnym w pobliżu latarni  
Szwejka, który z wielkim zainteresowaniem przyglądał się afiszowi jakiejś loterii dobro-  
czynnej i wojskowej zarazem. Afisz przedstawiał żołnierza austriackiego, który przybijał  
bagnetem do muru wystraszonego brodatego Kozaka.

Podporucznik Dub poklepał Szwejka po ramieniu i zapytał go, czy mu się obrazek  
podoba.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant — odpowiedział Szwejk — że to idiotyzm. Widziałem już dużo idiotycznych afiszów, ale takiego cymbalskiego afisza jeszcze nigdy nie widziałem.

— Cóż wam się na tym afiszu tak dalece nie podoba? — zapytał podporucznik Dub.

— Mnie się, panie lejtnant, nie podoba na tym afiszu to, że ten żołnierz tak nieostrożnie używa powierzonej mu broni. Przecież on może ten bagnet złamać o mur, a w dodatku bez najmniejszej potrzeby, i na pewno byłby za to ukarany, bo ten Moskał podniósł ręce do góry i poddaje się. To jest jeniec, a z jeńcami trzeba się obchodzić porządnie, bo tak czy owak oni także są ludźmi.

Podporucznik Dub dalej badał Szwejka i zapytał go:

— Wam pewno żal tego Moskala, co?

— Mnie żal, panie lejtnant obu, i tego Moskala, że jest przekłuty, i tego żołnierza, bo za taką rzecz dostałby się do ula. Bo przecież, panie lejtnant, on musiał swój bagnet złamać przy takiej okazji, na to nie ma rady. Tu twardy mur, a ten się pcha z bagnetem, jakby nie wiedział, że stal jest krucha. Kiedyś przed laty, gdy służyłem w wojsku, to mieliśmy pewnego lejtnanta w naszej kompanii. Nawet stary feldfelbel nie potrafił się tak wyrazić, jak ten pan lejtnant. Podczas ćwiczeń mawiał do nas: „Jak komenderuję *habacht*, to masz jeden z drugim wytrzeszczać gały jak kocur, gdy sra w sieczkę”. Ale poza tym był to człowiek porządny. Pewnego razu na Gwiazdkę zwariował i kupił dla kompanii pełen wóz orzechów kokosowych i właśnie od tej chwili wiem, jak te bagnety są kruche. Pół kompanii połamało bagnety przy otwieraniu tych orzechów, a nasz podpułkownik kazał zaarrestować całą kompanię i przez trzy miesiące nie wolno nam było wychodzić poza koszary. A ten lejtnant dostał areszt domowy...

Podporucznik Dub ze złością patrzył w beztroską twarz dobrego wojaka Szwejka i zapytał go:

— Znacie wy mnie?

— Znam pana, panie lejtnant.

Podporucznik Dub wytrzeszczał oczy i tupał.

— A ja wam mówię, że mnie jeszcze nie znacie.

Szwejk odpowiedział z takim samym beztroskim spokojem, jakby składał raport:

— Znam pana, panie lejtnant. Pan jest, posłusznie melduję, z naszego marszbatalionu.

— Wy mnie jeszcze nie znacie! — wrzeszczał podporucznik Dub — wy mnie znacie może z dobrej strony, ale jeszcze mnie poznacie i ze złej strony. Nie myślcie sobie, że nie umiem być zły! Ja potrafię doprowadzić ludzi do płaczu. Więc znacie mnie czy nie znacie?

— Znam, panie lejtnant.

— Mówię wam ostatni raz, że mnie nie znacie, wy osłe! Czy macie braci?

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że mam jednego brata.

Podporucznik Dub był wściekły i spoglądając na beztroską twarz Szwejka nie panował już nad sobą i wołał:

— Też pewno takie bydlę jak i wy! Czym jest ten wasz brat?

— Profesorem, panie lejtnant. Służył także w wojsku i zdał egzamin oficerski.

Podporucznik Dub spojrział na Szwejka, jakby go chciał przebić spojrzeniem. Z dostojnością i powagą wytrzymał Szwejk złe spojrzenie podporucznika Duba, tak że cała rozmowa skończyła się na razie komendą:

— *Abtreten!*

Każdy poszedł własną drogą z własnymi myślami.

Podporucznik Dub myślał o tym, że pójdzie do kapitana Sagnera i poprosi go, żeby kazał Szwejka aresztować, a znowuż Szwejk myślał, że widział już wielu idiotycznych oficerów, ale takiego jak podporucznik Dub należy uważać za osobliwość.

Postanowiwszy stać się wychowawcą żołnierzy, podporucznik Dub włócząc się po stacji znalazł sobie nowe ofiary swej pedagogii. Byli to dwaj żołnierze z tego samego pułku, ale z innej kompanii, targujący się z dwiema ulicznymi dziewczynami, jakich całe tuziny włóczyły się koło dworca.

Oddalający się Szwejk słyszał jeszcze całkiem wyraźnie ostry głos podporucznika Duba:

— Znacie mnie?!... A ja wam mówię, że mnie jeszcze nie znacie!... Ale poznacie wy mnie!... Znacie mnie pewno tylko z dobrej strony... Przyjdzie czas, że poznacie mnie



i ze złej strony!... Ja was nauczę płakać, wy osły!... Macie braci?... Też pewno takie same bydłeta jak i wy!... Czym są?... Przy taborach?... No, już dobrze... Ale pamiętajcie, że jesteście żołnierzami... Czesi?... A wiecie wy, co powiedział Palacky, że gdyby Austrii nie było, to należałoby ją stworzyć?... *Abtreten!*

Tropienie nieprawomyślności przez podporucznika Duba nie wydało pożądanego owocu. Zatrzymał po kolei ze trzy grupki żołnierzy, ale jego pedagogiczne usiłowania przymuszania ludzi do płaczu były daremne. Ludzie, których chciał wychowywać, należeli do takich, których oczy mówiły najwyraźniej, że każdy z nich myśli sobie o nim rzeczy bardzo nieprzyjemne. Czuł się dotknięty w swej pysze, a rezultat tego był taki, że przed odejściem pociągu prosił kapitana Sagnera, aby kazał Szwejka aresztować. Uzasadniając konieczność aresztowania, mówił o bardzo dziwnym i zuchwałym zachowaniu się Szwejka, którego ostatnie słowa odpowiedzi uważał za złośliwe docinki. Wywodził, że gdyby miało iść tak dalek, to wszyscy oficerowie tracą w oczach swoich podwładnych na powadze, o czym chyba żaden z panów oficerów nie wątpi. Sam on jeszcze przed wojną rozmawiał o tym z panem starostą, że każdy przełożony wobec podwładnych musi umieć zachować autorytet.

Pan starosta był tego samego zdania. Osobliwie teraz, gdy coraz bardziej zbliżamy się ku nieprzyjacielowi, trzeba żołnierzy trzymać w strachu. Żąda tego, aby Szwejk został dyscyplinarnie ukarany.

Kapitan Sagner, który jako oficer służby czynnej nienawidził wszystkich oficerów rezerwy, wywodzących się z różnych branż cywilnych, zwrócił uwagę podporucznika Duba, że podobne żądania mogą być podawane jedynie w postaci raportów, a nie w taki dziwaczny, sklepikarski sposób, jakby się targowało o cenę kartofli. O ile chodzi o Szwejka, to pierwszą instancją, której Szwejk podlega prawnie, jest porucznik Lukasz. Takie rzeczy robi się porządnie, w formie raportu. Z kompanii idzie taka rzecz do batalionu, o czym chyba pan podporucznik wie. Jeśli Szwejk dopuścił się czegoś takiego, to musi stanąć do raportu przed kompanią, a jeśli się odwoła, to stanie przed batalionem. Gdyby wszakże porucznik Lukasz uważał opowiadanie pana podporucznika Duba za wystarczające i gdyby sobie życzył na podstawie tego opowiadania ukarać Szwejka, to on, kapitan Sagner, nie ma nic przeciwko temu, aby Szwejk został wezwany i przesłuchany.

Porucznik Lukasz też nie miał nic przeciwko temu, zaznaczył jedynie, że z opowiadań Szwejka sam wie bardzo dobrze, że brat jego był istotnie profesorem i oficerem rezerwy.

Podporucznik Dub zachwiał się wobec tego i rzekł, że domaga się ukarania jedynie w sensie ogólniejszym i że bardzo być może, odnośny Szwejk nie umie się należycie wyrażać i że dlatego odpowiedzi jego wydały się zuchwałymi docinkami i brakiem szacunku dla przełożonego. Prócz tego z całego wyglądu odnośnego Szwejka widać, że jest to człowiek nietęgiego rozumu.

W taki sposób burza przeleciała nad głową Szwejka nie wyrządzając mu szkody.

W wagonie, w którym była kancelaria i magazyn batalionu, sierżant rachuby batalionu Bautanzel z wielką przyjemnością rozdawał dwóm pisarzom po garści dezynfekujących cukierków z tych pudełek, które miały zostać rozdane całemu batalionowi. Było to zresztą zjawiskiem stałym, że wszystko, co było przeznaczone dla szeregowców, musiało przejść przez taką samą manipulację w kancelarii batalionu jak owe nieszczęsne cukiereczki.

Zwyczajna rzecz w czasie wojny. Jeśli kiedy podczas inspekcji zostało stwierdzone, że tu czy tam nie ma złodziejstwa, to i tak ci najprzeróżniejsi sierżanci rachuby i pisarze kancelarii byli stale podejrzewani, że przekraczają budżet i że dopuszczają się różnych nadużyć, żeby jedno z drugim wyrównać.

Toteż tutaj, gdzie wszyscy obżerali się cukierkami, żeby tego świństwa użyć do sytości, skoro pod ręką nie było niczego lepszego, co można by było skraść szeregowcom, Bautanzel zaczął mówić o smutnych stosunkach panujących podczas tej podróży:

— Byłem już w dwóch marsz batalionach, ale takiej nędzy, jak podczas tej podróży, jeszcze nie zaznałem. Wtedy, zanim dojechalśmy do Preszowa, to mieliśmy całe stopy wszystkiego, czego tylko dusza zapragnęła. Miałem na boku dziesięć tysięcy papierosów „Memfis”, dwie olbrzymie bryły sera szwajcarskiego, trzysta puszek konserw, a potem, gdy szliśmy na Bardejov do okopów i gdy Rosjanie odcięli nas od Muszyny i przerwali komunikację z Preszowem, robiło się interesiki aż miło! Tak na oko oddałem z tego wszystkiego dziesiątą część dla marsz batalionu, że niby uciułałem, a całą resztę rozprzedałem

w taborach. Mieliśmy u nas majora Sojkę, a ten major to był wielka świnia. Oczywiście nie żaden bohater i najchętniej przesiadywał u nas przy taborach, gdy na górze gwizdały kule i pękały szrapnele. Zawsze się do nas przypętał, że niby musi się przekonać, czy się dla szeregowców gotuje, jak się należy. Zazwyczaj przychodził do nas na dół, gdy się rozchodziła wiadomość, że Moskale znowu coś szykują. Drżał na całym ciele, trzeba było dawać mu w kuchni araku i dopiero potem zabierał się do przeglądania wszystkich kuchni polowych, jakie znajdowały się w sąsiedztwie taborów, ponieważ droga na pozycje w górze była niedostępna i jedzenie wydawano w nocy. Stosunki były wtedy takie, że o jakiejś osobnej kuchni oficerskiej nawet mowy być nie mogło. Jediną drogę, jaka jeszcze była wolna i łączyła nas z tyłami, obsadzili Niemcy z Rzeszy, a ci Niemcy zatrzymywali wszystko lepsze dla siebie, nam zaś posyłali tylko to, czego sami nie chcieli. Było krucho, kuchni oficerskiej być nie mogło. Przez cały ten czas nie udało mi się nic więcej zaoszczędzić w kancelarii prócz prosiątka, które kazaliśmy sobie uwędzić, a ze strachu, żeby ten major Sojka nie wpadł na nie, przechowywaliśmy je o milę drogi przy artylerii, gdzie mieliśmy znajomego kanoniera. Więc ten major, jak tylko do nas przyszedł, to zaraz zaczął próbować w kuchniach zupy. Rzecz prosta, że mięsa nie mogliśmy dużo gotować, bo w okolicy rzadko trafiła się jaka świnia lub chuda krówka. A Prusacy robili nam jeszcze wielką konkurencję i płacili przy rekwizycjach bydła dwa razy tyle co my. Przez cały czas, gdy staliśmy pod Bardejovem, nie mogłem wiele więcej zaoszczędzić przy kupowaniu bydła jak jakieś tysiąc dwieście koron, i to jeszcze przeważnie dawałem zamiast pieniędzy asygnatę ze stemplem batalionu, osobliwie w ostatnich czasach, kiedy już było wiadomo, że na wschodzie przed nami Rosjanie są już w Radvaniu, a na zachodzie za nami w Podolinie. Najgorzej mieć do czynienia z takim narodem jak tamtejszy, nie umiejący czytać i pisać. Każdy z takich gospodarzy podpisywał się trzema krzyżykami, o czym nasza intendentura bardzo dobrze wiedziała, tak że gdy się posyłało do intendencji po pieniądze, nie można było załączać kwitów podrabianych. Subtelniejsze machlojki z wypłatami można robić tylko tam, gdzie naród jest bardziej oświecony i umie się podpisywać. No i jak już powiedziałem, Prusacy przelicytowywali nas i płacili gotówką, więc gdy się gdziekolwiek zjawiliśmy, to ludziska spoglądali na nas jak na bandytów, a intendentura wydała nadto rozkaz, że kwity podpisane krzyżykami będą przekazywane rachubie do kontrolowania. A tych drabów kontrolerów było zatrzęsienie. Przyszedł taki pieski syn, nażarł się i napił, a nazajutrz zrobił donos. Ten major Sojka włóczył się ciągle po kuchniach i próbował tak gorliwie, że razu pewnego powyciągał z kotła całe mięso przeznaczone dla całej 4 kompanii. Słowo honoru. Zaczął od głowizny wieprzowej, że niby, powiada, nie dogotowana i trzeba ją jeszcze trochę pogotować; mięsa się wtedy co prawda gotowało niewiele i na całą kompanię wypadało wszystkiego jakieś dwanaście dawnych, rzetelnych porcji. A major wszystko zjadł. Potem wziął się do próbowania polewki i zaczął robić piekło, że jest wodnista. „Co to, powiada, za porządek, mięsna polewka bez mięsa!” Kazał ją zaprawić prażoną mąką i wrzucił do niej mój ostatni makaron, który udało mi się zaoszczędzić przez cały ten czas. Ale najbardziej mnie złościło to, że na tę zaprawkę poszło dwa kilo masła śmietankowego, uciulanego jeszcze za czasów kuchni oficerskiej. Miałem to masło na półce nad pryczą, a ten z pyskiem na mnie, czyje to masło. Mówię mu, że według budżetu na utrzymanie żołnierzy, zgodnie z ostatnim rozkazem dywizji, na jednego żołnierza wypada po piętnaście gramów masła na odżywianie albo dwadzieścia jeden gramów słoniny, a ponieważ to, co jest, nie wystarcza dla wszystkich, więc się przechowuje, dopóki nie będzie tyle, żeby wszyscy żołnierze otrzymali, co im się należy według przepisanej wagi. Major Sojka rozgniewał się okrutnie i zaczął na mnie krzyczeć, że pewno czekam, aż przyjdą Moskale i zabiorą nam ostatnie dwa kilo masła. Natychmiast kazał wrzucić masło do polewki, skoro nie ma w niej mięsa. W taki sposób straciłem wszystkie swoje zapasy. Ten major miał już coś takiego do siebie, że gdzie się pojawił, przynosił z sobą jakąś biedę. Stopniowo tak sobie węż wykształcił, że od razu wytropił każdy mój najskromniejszy zapasik. Pewnego razu zaoszczędziłem wołowe cynadry i chciałem je sobie udusić, gdy wtem przyszedł major, zajrzał pod pryczę i znalazł je. Zaczął wrzeszczeć, więc mu powiedziałem, że te cynadry są przeznaczone do zakopania, bo są zepsute, co stwierdził dzisiaj przed południem konował artylerii, który jest po kursie weterynaryjnym. Major zabrał z sobą żołnierza z taboru i razem z tym żołnierzem gotowali sobie te cynadry na górze pod skałami w kociołkach. To przypieczętowało los

majora: Rosjanie ujrzeli blask płomienia, dali ognia z osiemnastki w kociołek i w majora, i szlus. Ale gdy poszliśmy potem popatrzeć w to miejsce, nie podobna było rozpoznać, czy po skałach są rozsmazane cynadry wołowe, czy nerki pana majora.

\*

Następnie przyszła wiadomość, że pociąg ruszy dopiero za cztery godziny, bo tor prowadzący na Hatvan jest zajęty pociągami z rannymi. Rozeszła się też wiadomość, że pod Chebem zderzył się pociąg sanitarny, pełen chorych i rannych, z pociągiem wiozącymi artylerię.

Z Budapesztu miano tam wyprawić dwa pociągi pomocnicze.

Po chwili wyobraźnia całego batalionu była w ruchu. Mówiono o dwustu zabitych i rannych, a także o tym, że to zderzenie było rozmyślne, dla zatarcia śladów różnych nadużyć popełnianych przy zaopatrywaniu chorych.

To było bodźcem do ostrej krytyki niedostatecznego zaopatrywania batalionu i złodziejstw popełnianych w kancelarii i w magazynie.

Większość żołnierzy była zdania, że feldfobel rachuby batalionu Bautanzel wszystkim dzieli się sumiennie z oficerami.

W wagonie sztabowym kapitan Sagner oświadczył, że według marszruty właściwie powinni już być na granicy galicyjskiej. W Chebie mieli fasować chleb i konserwy na trzy dni dla szeregowców. Do Cheba jest jeszcze dziesięć godzin jazdy. Ma tam być tyle pociągów z rannymi po ofensywie za Lwowem, że podług depeszy nie ma tam ani bochenka chleba, ani jednej puszki konserw. Otrzymał rozkaz, aby wypłacić szeregowcom po 6 koron i 72 halerze na głowę zamiast chleba i konserw, co ma być uskutecznione przy wypłacaniu żołdu za ostatnie 9 dni, o ile oczywiście nadejdą tymczasem pieniądze z brygady. W kasie jest zaledwie jakieś dwanaście tysięcy koron.

— Świństwo ze strony pułku — rzekł porucznik Lukasz — żeby nas puszczają w świat tak bez grosza.

Podchorąży Wolf i porucznik Kolarz zaczęli szeptać między sobą o tym, że pułkownik Schröder w ciągu ostatnich trzech tygodni przekazał na swoje konto do banku w Wiedniu szesnaście tysięcy koron.

Porucznik Kolarz opowiadał następnie, w jaki sposób robi się oszczędności. Okrada się pułk na sześć tysięcy koron, chowa się je do własnej kieszeni i z żelazną konsekwencją i logiką wydaje się rozkaz wszystkim kuchniom, żeby zmniejszyły rację grochu po trzy gramy dziennie na szeregowca.

Miesięcznie czyni to 90 gramów oszczędności na szeregowcu, a w każdej kuchni przy kompanii oszczędność musi wynosić co najmniej 16 kilogramów, czym kucharz musi się na żądanie wykazać.

Porucznik Kolarz i podchorąży Wolf opowiadali sobie o wypadkach konkretnych i będących na porządku dziennym, i przez nich samych zauważonych.

Wszyscy wiedzieli, że takie rzeczy działy się stale w całej administracji wojskowej. Zaczynało się od jakiegoś sierżanta rachuby marnej kompanijki, a kończyło się na zapobiegliwym generale, który skrzętnie robił zapasy na czarną godzinę.

Wojna wymagała dzielności także w kradzieży.

Intendenci spoglądali po sobie z miłością, jakby chcieli rzec: „Jesteśmy jednym ciałem i jedną duszą, kradniemy, kolego, dopuszczamy się oszustw, bracie, ale cóż my na to poradzimy? Trudno płynąć przeciwko prądowi. Jeśli my nie weźmiemy, to wezmą inni, i jeszcze o nas powiedzą, że nie kradniemy dlatego, iż nakradliśmy już dość!”

Do wagonu wszedł pan z czerwonymi i złotymi lampasami. Był to znowuż jeden z tych generałów, którzy jeździli po wszystkich szlakach na inspekcję.

— Siadajcie, panowie — rzekł uprzejmie, ciesząc się szczerze, że znowu przyłapał jakiś eszelon, o którym nie wiedział, czy w ogóle się z nim spotka.

Gdy kapitan Sagner chciał mu złożyć raport, generał machnął tylko ręką:

— Pański eszelon nie jest w porządku. Pański eszelon nie śpi. Pański eszelon powinien już spać. Eszelony powinny spać, gdy stoją na torze, tak samo jak w koszarach, od dziewiętej wieczór.

Mówił urywanymi zdaniem:

— Przed dziewiątą wyprowadza się szeregowców do latryny za stacją, a potem idzie się spać. Inaczej szeregowcy w nocy zanieczyszczają tor. Rozumie pan, panie kapitanie? Niech pan powtórzy. Albo niech pan tego nie powtarza i zrobi tak, jak ja sobie życzę. Zatrąbić na apel, zapędzić do latryny, zatrąbić *sztrajch* i spać! I kontrolować, kto nie śpi. Karać. Tak! To wszystko! Kolację wydawać o szóstej.

Mówił o czymś nieistotnym, o czymś, co się już nie dzieje, co było kiedyś. Stał przed oficerami niby upiór z czwartego wymiaru.

— Kolację wydawać o szóstej — mówił spoglądając na zegarek, który wskazywał dziesięć minut po jedenastej w nocy. — *Um halb neune Appel, Latrinenscheissen, dann schlafen gehen.* Na kolację tutaj o szóstej gulasz z kartoflami zamiast 15 deka sera szwajcarskiego.

Potem wydał rozkaz pokazania mu pogotowia. Znowuż tedy kapitan Sagner kazał zatrąbić na alarm, a inspekcyjny generał przyglądając się batalionowi stojącemu w szeregach, spacerował z oficerami, bezustannie mówił do nich o tym samym i stukając palcem w tarczę zegarka, powtarzał swoje słowa, jakby miał do czynienia z jakimiś idiotami, którzy nic zrozumieć nie mogą:

— *Also, sehen Sie. Um halb neune scheissen, und nach einer halben Stunde schlafen. Das genügt vollkommen.* W tych czasach przejściowych szeregowcy mają i tak rzadki stolec. Główna rzecz: spać! Jest to pokrzepienie do dalszego marszu. Dopóki szeregowcy siedzą w pociągu, winni wypocząć. O ile nie ma dość miejsca w wagonach, szeregowcy śpią *partienweise*. Trzecia część szeregowców kładzie się wygodnie i śpi od dziewiątej do północy, reszta szeregowców stoi tymczasem i czeka. Następnie ci, co się wypali, robią miejsce partii następnej, która śpi od północy do godziny trzeciej rano. Trzecia partia śpi od trzeciej do szóstej. Potem pobudka i szeregowcy się myją. Podczas jazdy nie pozwalają szeregowcom na wyskakiwanie z wagonów! Gdy żołnierzowi złamie nogę nieprzyjaciel... — generał postukał się przy tych słowach w nogę — ...to jest to powodem do słusznej dumy, ale niepotrzebne kaleczenie się przy wyskakiwaniu z wagonów jest karygodne.

— A więc to jest pański batalion? — pytał kapitana Sagnera przyglądając się żołnierzom ospałym i ociężałym. Niejeden, zbudzony ze snu, nie mógł się opanować i ziewał na chłodnym nocnym powietrzu od ucha do ucha. — To jest, panie kapitanie, batalion ziewający. Szeregowcy powinni spać od godziny dziewiątej.

Generał zatrzymał się przed kompanią II, gdzie na lewym skrzydle stał Szwejk. Ziewał jak lew na pustyni, ale elegancko zasłaniał usta, chociaż spod osłaniającej dłoni odzywało się takie buczenie, że porucznik Lukasz drżał ze strachu, żeby generał nie poświęcił temu buczeniu żywszej uwagi. Wydało mu się, że Szwejk ziewa z rozmyślną ostentacją. A generał, jakby wiedział o strachu porucznika, podszedł do Szwejka i zapytał:

— *Böhm oder Deutscher?*

— *Böhm, melde geborsam, Herr Generalmajor!*

— Dobrze — rzekł generał, który był Polakiem i umiał trochę po czesku. — Buczysz jak krowa na siano. Stul pysk, zamknij gębę, nie bucz. Byłeś już w latrynie?

— Posłusznie melduję, panie generale, że nie byłem.

— Dlaczego nie poszedłeś wysrać się razem z innymi?

— Posłusznie melduję, panie generale, że podczas manewrów pod Piskiem, gdy szeregowcy rozłazili się po życie, to pan pułkownik Wachtl mówił nam, że żołnierz nie powinien myśleć ciągle o *scheisserei*, żołnierz powinien myśleć o walczeniu. I jeszcze melduję posłusznie, że nie ma po co chodzić do latryny. I tak się nic nie robi. Podług marszruty już na kilku stacjach mieliśmy dostać kolację, a nie dostaliśmy nic. Z pustym żołądkiem nie ma co pchać się do latryny.

Objaśniwszy panu generałowi powikłaną sytuację słowy nader prostymi, Szwejk spojrział na niego okiem pełnym takiego zaufania, że generał wziął to spojrzenie za prośbę poratowania żołnierzy. Oczywiście, gdy już wydaje się rozkaz marszu do latryny oddziałami, to rozkaz taki musi być poparty realnymi faktami.

— Niech im pan każe wsiadać do wagonów — rzekł generał do kapitana Sagnera. — Jak to jest, że szeregowcy nie dostali kolacji? Wszystkie eszelony przejeżdżające przez tę stację winny otrzymać kolację. Jest to stacja zaopatrzenia. Istnieje ściśle określony plan.

Generał rzekł to z taką pewnością siebie i takim tonem, jakby chciał powiedzieć, że skoro teraz już jest godzina jedenasta w nocy, a żołnierze nie dostali kolacji o szóstej

wieczorem, to nie pozostaje nic innego, jak tylko zatrzymać tu pociąg przez noc i dzień następny aż do wieczora, aby żołnierze mogli otrzymać gulasz z kartoflami.

— Nie ma nic gorszego — rzekł z wielką powagą — nad zapominanie podczas transportu o zaopatrywaniu żołnierzy. Obowiązkiem moim jest dowiedzieć się, jak stoją sprawy dowództwa stacji. Albowiem, moi panowie, czasem dowódcy eszelonów winni są sami. Podczas rewizji stacji Subotiszcze na południowej kolei bośnińskiej stwierdziłem, że sześć eszelonów nie otrzymało kolacji dlatego, iż dowódcy tych eszelonów zapomnieli jej zażądać. Sześć razy przyrządzano na stacji gulasz z kartoflami i nikt go nie zażądał. Trzeba było jedzenie wyrzucać na kupę. Proszę panów, były istne pagórki gulaszu z kartoflami, a o trzy stacje dalej żołnierze żebrali, właśnie ci żołnierze, którzy w Subotiszczu przejechali obok kopców gulaszu i kartofli. Żebrali o kawałek chleba. Jak panowie widzicie, winę ponosiła nie administracja wojskowa. — Machnął energicznie ręką. — Dowódcy eszelonów nie spełnili swoich obowiązków. Chodźmy do kancelarii.

Oficerowie poszli za nim myśląc w duchu, że wszyscy generałowie się zbłąznili.

W komendzie stacji okazało się, że o gulaszu nic tu nie wiadomo. Prawda, że miano tu gotować kolację dla wszystkich przejeżdżających eszelonów, ale potem przyszedł rozkaz, żeby w rachubie wewnętrznej zaopatrzenia wojsk pozaliczać po 72 halerze na żołnierza, tak że każdy oddział przejeżdżający ma na swoim koncie po 72 halerze na szeregowca i sumę tę otrzyma przy najbliższej wypłacie żołdu. O ile chodzi o chleb, to żołnierze otrzymają go w Vatanie na stacji, po pół bochenka na żołnierza.

Dowódca punktu zaopatrzenia nie bał się generała. Rzekł mu prosto w oczy, że rozkazy co chwila są zmieniane. Czasem miewa przygotowane pożywienie dla eszelonów, ale przyjeżdża pociąg sanitarny, legitymuje się rozkazem wyższym, i koniec. Eszelon staje przed problemem pustych kotłów.

Generał gorliwie potakiwał, że tak jest, ale że stosunki się poprawią, bo na początku było znacznie gorzej. Wszystkiego nie podobna zrobić od razu, potrzebne jest doświadczenie, praktyka. Teoria przeszkadza właśnie praktyce. Im dłużej trwać będzie wojna, tym lepsze zapanują porządki.

— Mogę panom dać przykład z życia — rzekł z wielkim zadowoleniem, że przypomniał sobie coś kapitalnego. — Przed dwoma dniami eszelony, przejeżdżające przez stację Hatvan, nie dostały chleba, a wy go jutro będziecie fasowali. Teraz chodźmy do restauracji dworcowej.

W restauracji pan generał znowu zaczął mówić o latrynie i o tym, że to bardzo nieładny widok, gdy wszędzie na torze widać kaktusy. Jadł przy tym befsztyk i wszystkim się wydawało, że pan generał przeżuwa taki kaktus.

Na latryny kładł tak wielki nacisk, jakby od nich zależały losy monarchii.

Wobec sytuacji, jaka się wytworzyła skutkiem wystąpienia Włoch, zadeklarował, że właśnie w latrynach wojskowych spoczywa niezaprzeczona przewaga naszego żołnierza w kampanii włoskiej.

Wydawało się niemal, że zwycięstwo Austrii spoczywa w latrynie.

Dla pana generała wszystko było niesłychanie proste. Droga do sławy wojennej prowadziła według recepty: „O szóstej wieczorem żołnierze dostają gulasz z kartoflami, o pół do dziewiątej idzie wojsko do latryny, żeby się wyknocić, o dziewiątej idzie spać. Przed takim wojskiem nieprzyjacieli pierzcha ze zgrozą”.

Pan generał zadumał się, zapalił cygaro „Operas” i bardzo długo spoglądał w sufit. Namyślał się, co by tak jeszcze powiedzieć i o czym by tak pouczyć oficerów, skoro raz już wdał się z nimi w rozmowę.

— Rdzeń pańskiego batalionu jest zdrowy — rzekł niespodziewanie, gdy wszyscy byli przekonani, że jeszcze patrzeć będzie w sufit i milczeć. — Wszystko jest w zupełnym porządku. Ten żołnierz, z którym rozmawiałem, rzuca jak najlepsze światło na cały batalion swoją szczerością i postawą. To jest poręką, że batalion walczyć będzie do ostatniej kropli krwi.

Zamilkł i znowu się zapatrzył w sufit opierając się wygodnie o poręcz krzesła. W tej pozycji mówił dalej, przy czym jedynie podporucznik Dub z niewolniczą uległością spoglądał na sufit razem z panem generałem.

— Ale batalion pański winien dbać o to, aby czyny jego nie zostały zapomniane. Bataliony waszej brygady mają już swoją historię, a wasz batalion winien tworzyć dalszy

ciąg tej historii. Ale nie macie człowieka, który by prowadził dokładną kronikę czynów batalionu i tworzył jego historię. W ręku takiego kronikarza winny być wszystkie nici tego, co która kompania wykonała. Trzeba na to człowieka inteligentnego: osioł i bydlę nie zda się tu na nic. Panie kapitanie, musi pan zamianować *bataillongeschichtsschreibera*.

Potem spojrzął na zegar ścienny, który całemu ospałemu towarzystwu przypominał, że już czas się rozejść.

Na generała czekał na torze specjalny pociąg inspekcyjny; generał poprosił panów oficerów, aby go odprowadzili do wagonu sypialnego.

Komendant stacji westchnął, bo generał ani pomyślał, że trzeba zapłacić za befsztyk i butelkę wina. Znowuż będzie musiał wszystko zapłacić sam. Takie wizyty zdarzają się po kilka razy dziennie. Poszły na to już wagony siana, które kazał przesunąć na ślepy tor i sprzedał je firmie „Lowenstein”, wojskowym dostawcom siana w taki sam sposób, w jaki sprzedaje się żyto na pniu. Intendentura znowu kupiła te dwa wagony siana od firmy „Lowenstein”, ale dowódca stacji dla pewności pozostawił je dalej na ślepym torze. Nie wiadomo było, czy nie wypadnie mu jeszcze raz odprzedać je tej firmie.

Za to wszakże wszystkie wojskowe inspekcje, zawiadzające o tę stację, chwaliły sobie komendanta, że daje dobrze jeść i pić.

\*

Rano eszelon stał jeszcze na torze. Po pobudce żołnierze myli się przy pompach czerpiąc wodę do menażek, a pan generał, który jeszcze nie odjechał, poszedł osobiście rewidować latryny, do których według dziennego rozkazu kapitana Sagnera żołnierze chodzili „*schwarmweise unter Kommando der Schwarmkommandanten*”, żeby pan generał miał uciechę. Aby zaś uciechę miał także podporucznik Dub, kapitan Sagner zakomunikował mu, że ma dzisiaj dyżur.

Podporucznik Dub pilnował tedy latryn.

Były one długie, dwurzędowe i mieściły się w nich na raz dwie drużyny żołnierzy.

W tej chwili żołnierze grzecznie i ładnie siedzieli w kucki jeden przy drugim nad wykopanymi rowami jak jaskółki na drutach telegraficznych, kiedy jesienią wybierają się w podróż do dalekiej Afryki.

Białe kolana sterczały ze spuszczonej spodni, każdy żołnierz miał pas rzemienny przerzucony przez kark, jakby się chciał powiesić i tylko czekał na rozkaz.

I w tym widać było żelazną dyscyplinę wojskową, organizację.

Na lewym skrzydle siedział Szwejk, który przyplątał się tu także i z wielkim zainteresowaniem odczytywał kawałek papieru, wyrwanego z jakiejś powieści Rózeny Jasenskiej:

... tejszym pensjonacie, niestety, damy  
em nieokreślone, naprawdę zapewne więcej  
tkie przeważnie zamknięte koło  
ały menu do swoich pokojów albo też  
charakterystycznej zabawie. A jeśli czasem i  
człowiek, to tylko próżne tęsknoty budz  
się poprawiła albo nie chciała tak skutecznie  
czyć, jakby sobie życzyły,  
nic nie było dla młodego Krzyczki...

Podniósłszy oczy znad świstka Szwejk bezwiednie spojrzął ku wyjściu z latryny i zdziwił się. W pełnej gali stał tam wczorajszy pan generał ze swoim adiutantem, zaś obok nich wyprostowany podporucznik Dub gorliwie im coś tłumaczył.

Szwejk rozejrzał się dokoła siebie. Wszyscy siedzieli spokojnie nad rowami i tylko szarże stały jak skostniałe, bez ruchu.

Szwejk zrozumiał powagę sytuacji.

Zerwał się tak, jak był, ze spuszczonej spodni, z rzemiennym pasem na karku, szybko użył papieru, który trzymał w ręku, i wrzasnął:

— *Einstellen! Auf! Habtacht! Rechtsschau!*

I zasalutował. Dwa długie rzędy żołnierzy ze spuszczoneymi spodniami i z rzemiennymi pasami na karkach stanęły nad latrynami.

Generał uśmiechnął się uprzejmie i rzekł:

— *Ruht! Weiter machen.*

Dziesiątnik Malek pierwszy dał przykład swemu oddziałowi, że winien wrócić do pozycji pierwotnej. Tylko Szwejk stał i salutował dalej, bowiem z jednej strony podchodził ku niemu z groźną miną podporucznik Dub, z drugiej — z uśmiechem pan generał.

— Ja was widział w nocy — ozwał się generał do Szwejka, żołnierza zaiste bardzo dziwnej postaci.

— *Ich melde geborsam, Herr Generalmajor* — tłumaczył wzburzony podporucznik Dub zwracając się do generała — *der Mann ist blödsinnig und als Idiot bekannt, säghafter Dummkopf.*

— *Was sagen Sie, Herr Leutnant?* — wrzasnął nagle generał na podporucznika Duba i zaczął mu tłumaczyć, że jest właśnie całkiem przeciwnie. Żołnierz, który wie, co trzeba zrobić, gdy widzi przełożonego, nie jest taki głupi jak szarże, które tego nie wiedzą, czy udają, że nie wiedzą. Jest tu tak samo jak w polu. W chwili niebezpieczeństwa prosty żołnierz przejmuje dowództwo. Podporucznik Dub sam powinien był skomenderować: „*Einstelen! Auf! Habacht! Rechtsschaut!*”

— Podtarłeś sobie *Arsch*? — zapytał generał Szwejka.

— Posłusznie melduję, panie generale, że wszystko w porządku.

— Więcej srać nie będziesz?

— Posłusznie melduję, panie generale, że jestem *fertig*.

— No to zapnij spodnie jak się patrzy i stań na baczność. Ponieważ ostatnie słowo generał wymówił nieco głośnie, najbliżsi żołnierze zaczęli stawać nad latrynę. Ale generał jak najuprzejmiej skinął im ręką i tonem ojcowskiej życzliwości mówił:

— *Aber nein, ruht, ruht, nur weiter machen.*

Szwejk stał tymczasem przed generałem w pełnej gali, a pan generał wygłosił do niego po niemiecku krótkie przemówienie:

— Szacunek dla przełożonych, znajomość regulaminu służbowego i przytomność umysłu znaczy w wojsku bardzo wiele. A jeśli z tym łączy się jeszcze dzielność, to nie ma takiego nieprzyjaciela, którego musielibyśmy się obawiać.

Zwracając się do podporucznika Duba i szturchając Szwejka palcem w brzuch, generał mówił:

— Niech pan sobie zapamięta: żołnierza tego natychmiast po przybyciu na front koniecznie awansować, a przy najbliższej sposobności przedstawić go do odznaczenia brązowym medalem za ściśle pełnienie służby i znajomość... *Wissen Sie doch, was ich schon meine... Abtreten!*

Generał oddalał się od latryny, a podporucznik Dub wydawał tymczasem rozkazy tak głośne, aby mógł być słyszany przez generała:

— *Erster Schwarm auf! Doppelreiben... Zweiter Schwarm...*

Szwejk opuszczał tymczasem latrynę, a gdy przechodził obok podporucznika Duba, zasalutował z wielką energią, ale podporucznik i tak zatrzymał go i Szwejk musiał salutować jeszcze raz; podporucznik Dub powtarzał przy tym swoje:

— Znasz mnie? Nie znasz mnie! Ty mnie znasz z dobrej strony, ale jak mnie poznasz ze złej strony, to się rozplączesz!

Szwejk oddalił się wreszcie, aby wsiąść do wagonu, a po drodze myślał:

„Kiedyśmy stali w Karlinie w koszarach, był u nas lejtnant Chudavy, który gdy się rozżościł, to wygadywał inaczej: »Pamiętajcie, chłopcy, że ja potrafię być wielką świnią i taką świnią pozostanę, dopóki wy będziecie w naszej kompanii«”.

Kiedy przechodził koło wagonu sztabowego, skinął na niego porucznik Lukasz i kazał powiedzieć Balounowi, żeby mu prędko przyniósł kawę i żeby mleko skondensowane zamknął porządnie, bo się może zepsuć. Baloun gotował właśnie kawę dla porucznika na małej maszynie spirytusowej u sierżanta rachuby Vańka. Idąc z poleceniem porucznika do Balouna, Szwejk zauważył, że w tym czasie, kiedy go nie było, cały wagon zaczął pić kawę.

Puszka z kawą i puszka z mlekiem były już do połowy opróżnione, a Baloun, popijając ciepły napój, grzebał łyżeczką w mleku skondensowanym, żeby sobie kawę jeszcze poprawić.

Jurajda, kucharz-okultysta, i sierżant rachuby Vaniek obiecywali, że jak tylko nadejdą konserwy mleczne i kawowe, to się panu porucznikowi Lukaszowi wszystko odda.

Szwejkowi także zaproponowano kawę, ale on odmówił i rzekł do Balouna:

— W tej chwili ze sztabu armii przyszedł rozkaz, żeby każdego pucybuta, który swemu oficerowi ukradnie konserwę mleczną kawową, wieszając w przeciagu dwudziestu czterech godzin. Kazał ci to powiedzieć pan oberlejtant, który życzy sobie natychmiast otrzymać kawę.

Wystraszony Baloun wyrwał telefoniście Chodounskiemu jego porcję, daną mu przed chwilą, przystawił ją do ognia, żeby się ogrzała, dodał zgęszczonego mleka i pędził z filiżanką do wagonu sztabowego.

Z oczami wytrzeszczonymi podał kawę porucznikowi Lukaszowi, przy czym przez głowę przeleciała mu myśl, że porucznik Lukasz czyta mu w oczach, jak to on gospodarował w jego konserwach.

— Trochę się spóźniłem — jękał się Baloun — ponieważ nie mogłem puszkę otworzyć.

— Pewność znowu mleko rozlał, co? — pytał porucznik Lukasz upijając trochę kawy. — A może żarłeś mleko łyżkami jak zupę? Wiesz, co cię czeka?

Baloun westchnął i zaczął lamentować:

— Mam troje dzieci, posłusznie melduję, panie oberlejtant.

— Miej się na baczości, mój Balounie. Jeszcze raz ostrzegam cię przed skutkami twojej żarłoczności. Czy Szwejk nie mówił ci nic?

— W przeciagu dwudziestu czterech godzin mogę zostać powieszony — smutnie odpowiedział Baloun kiwając się na wszystkie strony.

— Nie kiwaj mi się tu, idioto — rzekł z uśmiechem porucznik Lukasz — i popraw się. Pozbądź się już raz tego obżarstwa i powiedz Szwejkowi, żeby się tu gdzie na stacji czy w okolicy rozejrzał za czymś dobrym do zjedzenia. Masz tu na to dziesiątaka. Wręcz go Szwejkowi, bo ciebie nie poślę. Ciebie wtedy dopiero poślę, gdy będziesz tak nażarty, że o mało nie pęknieš. Czyś mi aby nie zeżarł ostatniego pudełka sardynek? Mówisz, że nie; przynieś mi je i pokaż.

Baloun wręczył Szwejkowi pieniądze, powiedział mu, że oberlejtant życzy sobie otrzymać za nie coś dobrego do zjedzenia i z westchnieniem wyjął z porucznikowego kuferka pudełko sardynek. Serce ścisnęło mu się na myśl, że musi je pokazać swemu przełożonemu.

Tak bardzo cieszył się biedak, że porucznik może o tych sardynkach zapomniał, a tu masz! Porucznik zatrzyma je niezawodnie przy sobie i tyle z tego będzie. Baloun miał wrażenie, że został okradziony.

— Posłusznie melduję, że przyniosłem sardynki, panie oberlejtant — rzekł głosem cierpkim podając Lukaszowi pudełko. — Czy każe je pan otworzyć?

— Dobrze, Baloun. Nie otwieraj ich, ale zanieś je tam, gdzie były. Chciałem się tylko przekonać, czy do nich nie zajrzałeś. Gdyś mi podawał kawę, to mi się zdawało, że masz usta tłuste od oliwy. Czy Szwejk już poszedł?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że już poszedł — odpowiedział Baloun z twarzą rozjaśnioną. — Powiedział, że pan oberlejtant będzie bardzo zadowolony, że panu oberlejtantowi wszyscy będą zazdrościli. Poszedł w okolice dworca i powiedział, że tutaj wszystko dobrze zna aż do Rokosz Palaty. A gdyby pociąg odszedł bez niego, to się przyłączy do kolumny automobilowej i na najbliższej stacji dogoni nas. Powiada, że nie trzeba się o niego kłopotać, bo on zna swoje obowiązki. Dopędzi nas, choćby mu wypadło gonić nas w dorożce na własny koszt aż do Galicji. Zgadza się, aby mu to potem potrącać z żołdu. W ogóle niech się pan o niego nie martwi, panie oberlejtant.

— Idź już sobie — głosem przygnębnym rzekł porucznik Lukasz.

Z kancelarii dowództwa przyszła wiadomość, że pociąg ruszy dopiero po południu o godzinie drugiej na Gödölö-Aszód i że na dworcu fasuje się dla oficerów po dwa litry czerwonego wina i po butelce koniaku. Mówiono, że ma to być jakaś zagubiona przesyłka



Czerwonego Krzyża. Tak czy owak, spadło to wino z koniakiem jakby z nieba i w wagonie sztabowym zrobiło się weselej. Koniak miał trzy gwiazdki, a wino — było marki Gumpoldskirchen.

Tylko porucznik Lukasz nie odzyskał dobrego humoru. Minęła godzina, a Szwejk jeszcze ciągle nie wracał. Po upływie dalszej pół godziny do wagonu sztabu zbliżał się dziwny pochód, który wyszedł z kancelarii dowództwa stacji.

Na przedzie kroczył Szwejk z wielką powagą i tak jakoś wzniośle, jak niezawodnie chadzali pierwsi chrześcijanie-męczennicy, gdy prowadzono ich na arenę.

Po obu stronach szli honwedzi z bagnietami na karabinach. Na lewym skrzydle szedł plutonowy z komendy stacji, a za nim jakaś niewiasta w czerwonej sukni z falbanką i mężczyzna w ciżmach i okrągłym kapelusiku. Mężczyzna ten miał podbite oko i niósł żywą kurę, wystraszoną i gdaczącą.

Wszystko to pchało się do wagonu sztabowego, ale plutonowy wrzasnął po madziarsku na chłopca i babę, żeby poczekali na dworze.

Ujrzawszy porucznika Lukasz, Szwejk zaczął mrugać bardzo znacząco.

Plutonowy pragnął się rozmówić z dowódcą 11 kompanii marszowej. Porucznik odebrał od niego pismo komendy stacji i błędnie czytał:

Do dowódcy 11 kompanii marszowej, N marszbatlionu, 91 pułku piechoty dla dalszego przeprowadzenia sprawy.

Przysła się szeregowca Józefa Szwejka, rzekomo ordynansa tejże kompanii, N marszbatlionu, 91 pułku piechoty, oskarżonego o kradzież, jakiej dopuścił się na małżonkach Istvan w Isatarcza, w rejonie komendy stacji.

Dowody: Szeregowiec Józef Szwejk, schwytawszy kurę za domem małżonków Istvan w Isatarcza, w rejonie komendy stacji, która to kura jest własnością małżonków Istvan (w oryginale było nowo utworzone słowo niemieckie: *Istvangaten*), a zatrzymany przez właściciela, który kurę chciał mu odebrać, sprzeciwił się temu, uderzył właściciela Istvana kurą w prawe oko, a ujęty przez przywołaną straż, zostaje przekazany swemu oddziałowi. Kura została oddana właścicielowi.

*Podpis oficera dyżurnego*

Gdy porucznik Lukasz podpisywał potwierdzenie o przyjęciu Szwejka, kolana ugięły się pod nim.

Szwejk stał tak blisko niego, iż widział, że jego przełożony zapomniiał dopisać datę.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant — odezwał się Szwejk — że mamy dzisiaj dwudziestego czwartego. Wczoraj było dwudziestego trzeciego maja, bo nam akurat Italia wypowiedziała wojnę. Teraz, kiedy byłem za dworcem, to słyszałem, że o niczym innym się nie mówi, tylko o tej wojnie.

Honwedzi z plutonem oddalili się, a na torze pozostali jedynie małżonkowie Istvan, którzy bezustannie chcieli wejść do wagonu.

— Gdyby pan miał przy sobie jeszcze piątaką, to moglibyśmy tę kurę kupić. Ten gałgan chce za nią piętnaście złotych, ale wlicza w to już i dziesiątaką za siniec pod okiem — mówił Szwejk tonem pogodnego opowiadania. — Ale mnie się zdaje, że dziesięć złotych za takie parszywe oko to za wiele. „Pod Starą Panią” wybili cegłą tokarzowi Matejowi całą szczękę z sześciu zębami za dwadzieścia złotych, a wtedy pieniądze miały wartość większą niż dzisiaj. Nawet kat Wolschläger wiesz za cztery złocisz.

Pójdź tu — kiwnął Szwejk na człowieka z podbitym okiem i kurą, a ty, babo, czekaj.

Chłop wszedł do wagonu.

— On rozumie coś niecoś po niemiecku — wtrącił Szwejk — szczególnie, gdy się wymyśla, i sam też umie wymyślać niezgorzej.

— *Also zehn Gulden* — zwrócił się do chłopca. — *Fünf Gulden Henne, fünf Auge. Öt forint, widzisz, kikiriki, öt forint kukuk, igen?* Tutaj jest wagon sztabowy, złodzieju. Dawaj tu zaraz kurę!

Wetknął zgłupiałemu chłopu dziesiątaka w rękę, wziął kurę, ukręcił jej łeb, a jej właściciela wypchnął z wagonu podawszy mu uprzednio rękę i potrząsnawszy nią mocno, po przyjacielsku:

— *Jó napot, barátom adieu*, idź sobie do swojej baby, bo cię przepędzę na zbity łeb.

— Sam pan widzi, panie oberlejtant, że z ludźmi dogadać się można — rzekł Szwejk do porucznika Lukasz. — Najlepiej, gdy się wszystko udaje załatwić bez skandalu, bez wielkich ceremonii. Teraz z Balounem ugotujemy panu takiego rosół z kury, że w Siedmiogrodzie poczują jego zapach.

Porucznik Lukasz nie wytrzymał, wytrącił Szwejkowi nieszczęsną kurę z rąk i krzyknął na niego:

— Wiecie, Szwejku, na co zasługuje taki żołnierz, który w czasie wojny łupi spokojnych mieszkańców?

— Na honorową śmierć od kuli i prochu — uroczyście odpowiedział Szwejk.

— Wy zasługujecie tylko na stryczek, mój Szwejku, boście poszli łupić jak zbój. Wyście, drabie jeden, nawet nie wiem, jak was nazwać, zapomnieli o przysiędze. Przecież z wami można rozum stracić!

Szwejk spojrzął na porucznika okiem pytającym i szybko wyrecytował:

— Posłusznie melduję, że o przysiędze nie zapomniałem i pamiętam, co żołnierz przysięga. Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że uroczyście przysięgałem swemu najjaśniejszemu królowi i panu, Franciszkowi Józefowi I, że wierny i posłuszny będę także generałom jego cesarskiej mości i w ogóle wszystkim przełożonym swoim, że będę ich szanować i chronić, a ich rozkazy i rozporządzenia we wszystkich służbach spełniać gorliwie przeciwko wszelkiemu nieprzyjacielowi, ktokolwiek byłby nim i gdziekolwiek zażąda tego ode mnie wola jego cesarskiej i królewskiej mości, na wodzie, pod wodą, na ziemi, w powietrzu, w dnie i w nocy, w bitwach, natarciach, w potyczkach i w jakichkolwiek innych przedsięwzięciach, w ogóle na każdym miejscu...

Szwejk podniósł kurę i stojąc wyprostowany, patrzył w oczy porucznikowi Lukaszowi i recytował dalej:

— ...każdego czasu i we wszystkich okolicznościach mężnie i dzielnie walczyć, wojsk swoich, sztandarów i chorągwi oraz dział nigdy nie opuszczać, z nieprzyjacielem nigdy w żadne porozumienia nie wchodzić, a zawsze tak postępować, jak tego prawa wojenne wymagają i jak dzielni żołnierze czynić powinni, że takim obyczajem żyć pragnę i umierać. Tak mi dopomóż Bóg. Amen. A tej kury to ja, proszę pana, nie złupiłem, ale zachowywałem się przystojnie pamiętając o przysiędze swojej.

— Rzucisz tę kurę, bydle jedno, czy nie? — wrzasnął na niego porucznik Lukasz i zdzielił go jakimś papierami przez rękę, w której Szwejk trzymał nieboszczkę. — Spójrz na te papiery! Masz tu czarne na białym: „Przysła się szeregowca Józefa Szwejka, rzekomo ordynansa tejże kompanii... oskarżonego o kradzież”. A teraz powiedz mi, ty maruderze, ty hieno! nie, ja cię jednak kiedy zabiję, *zabiję*, rozumiesz? Powiedz mi, ty idioto, zbój, jak mogłeś być upaść tak nisko?

— Posłusznie melduję — rzekł uprzejmie Szwejk — że stanowczo o nic innego chodzić nie może, jeno o pomyłkę. Kiedym otrzymał pański rozkaz, żeby panu zbębnić coś dobrego do zjedzenia, to się zaczął zastanawiać, co jest najlepsze. Koło stacji nie było nic, tylko końskie salami i jakieś suszone ośle mięso. Więc posłusznie melduję, panie oberlejtant, wszystko sobie dobrze rozważyłem. Na wojnie trzeba się odżywiać dobrze i pożywnie, żeby można było znieść wszystkie wysiłki marszów. Więc chciałem panu zrobić wielką uciechę i postanowiłem, panie oberlejtant, ugotować panu rosół z kury.

— Rosół z kury! — powtórzył porucznik chwytając się za głowę.

— Tak jest, posłusznie melduję, panie oberlejtant, rosół z kury. Kupiłem cebulę i pięć deka makaronu. Wszystko, proszę pana, mam. W tej kieszeni cebula, w tej makaron. Sól mamy w kancelarii i pieprz także. Potrzebna była jeszcze tylko kura. Więc poszedłem za stację, do Iszatarczy. Właściwie jest to taka sobie wioska, a nie żadne miasto, chociaż zaraz na pierwszej ulicy jest tam taki napis: „*Iszatarcza városz*”. Idę jedną ulicą z ogródkami, drugą, trzecią, czwartą, piątą, szóstą, siódmą, ósmą, dziewiątą, dziesiątą, jedenastą, aż na trzynastej ulicy na samym końcu, gdzie za małym domkiem zaczynały się łąki, laziło sobie stado kurek. Podeszedłem do nich i wybrałem najlepszą, najcięższą i największą, niech pan spojrzy, panie oberlejtant, sam tłuszcz. Nie trzeba jej nawet

obmacywać, bo to się widzi na pierwsze spojrzenie, że kokoszka dostawała ziarno. Więc wziąłem ją do rąk publicznie i na oczach wszystkich mieszkańców, którzy coś tam po madziarsku wykrzykiwali. Trzymam tę kurkę za nogi i pytam się kilku ludzi, po czesku i po niemiecku, czyja to jest kura, żebym ją mógł kupić od właściciela. W tej samej chwili z owego domku na skraju wybiega chłop z babą i zaczyna pyskować po madziarsku, a potem po niemiecku, że w biały dzień ukradłem mu kurę. Mówię mu, żeby nie krzyczał, bo zostałem wysłany, żeby kurę kupić. I mówię mu, jak się rzeczy mają. Ale kura, którą trzymałem za nogi, zaczęła się raptem trzepotać i machać skrzydłami, a ponieważ trzymałem ją lekko, więc mi uniosła rękę i chciała widać usiąść na nosie swego pana. A ten zaraz z pyskiem na mnie, że go tą kurą siepnął w zęby. A jego baba w pisk i ciągle woła na kokoszkę: puta, puta, puta, A tu jakieś cymbały, nie wiedząc wcale o co chodzi, przyprowadziły honwedów, których też poprosiłem, żeby mnie odprowadzili na *Babnhofskommando*, żeby niewinność moja wypłynęła oliwa na wodę. Ale z tym panem lejtnantem dyżurnym nie można się było dogadać, chociaż go prosiłem, żeby się sam przekonał, że mnie pan posłał po coś dobrego do zjedzenia. Jeszcze na mnie zaczął krzyczeć, żebym stulił gębę, bo i tak, powiada, patrzy mi z oczu dobra gałąź z porządnym postronkiem. Musiał być w bardzo kiepskim humorze, bo mi nawet powiedział, że takim opasem może być tylko żołnierz, który kradnie i łupi. Mówił jeszcze, że do komendy stacji wpłynęło już wiele innych skarg: onegdaj gdzieś tam zapodział się na przykład indyk. Ja mu na to, że onegdaj byłem jeszcze w Rabie, a on swoje, że takie wykryty nic nie znaczą. Więc mnie posłali do pana i jeszcze się tam na mnie rzucił jakiś frajter, którego nie zauważyłem; czy, powiada, nie widzę, kogo mam przed sobą. Powiedziałem mu, że jest *Gefreiter*, gdyby służył w pułku strzelców, to byłby *Patrollführer*, a przy artylerii *Oberkanonier*.

— Szwejku — rzekł po chwili porucznik Lukasz — mieliście już tyle przygód i przypadków, tyle, jak wy mawiacie, „pomyłek” i „omyłek”, że z wszystkich tych tarapatów wyratuje was kiedyś chyba tylko solidny postronek z całą wojskową paradą i honorami w czworoboku. Rozumiecie?

— Owszem, panie oberlejtnant, czworobok, z tak zwanego *Geschlossenbataillon*, składa się z czterech, czasem wyjątkowo z trzech lub pięciu kompanii. Czy pan rozkaże włożyć do rosółu trochę więcej makaronu, żeby był gęstszy?

— Ja wam tylko rozkazuję, żebyście znikli razem z tą kurą, bo wam ją rozbiję o wasz idiotyczny łeb, cymbale jeden...

— Rozkaz, panie oberlejtnant, ale seleru, posłusznie melduję, nie znalazłem i marchewki też nie napotkałem. Włożę kartof...

Szwejk nie dokończył zdania i razem z kurą wyleciał z wagonu sztabowego. Porucznik Lukasz sięgnął po butelkę z koniakiem i napił się porządnie.

Szwejk zasalutował przed oknami wagonu i oddalił się.

Po szczęśliwie zakończonej walce duchowej Baloun zdecydował się ostatecznie, że otworzy pudełko sardynek swego porucznika, gdy w tej chwili wszedł Szwejk z kurą, co oczywiście wzbudziło wielkie zainteresowanie wśród wszystkich obecnych w wagonie. Spoglądali na Szwejka z takim wyrazem, jakby chcieli zapytać: „Gdzieś ją, bratku, buchnął?”

— Kupiłem dla pana oberlejtnanta — odpowiedział Szwejk wyjmując z kieszeni cebulę i makaron. — Chciałem mu ugotować rosół z kury, ale on tej kury już nie chce, więc podarował ją mnie.

— Może była zdechła? — zapytał podejrzliwie sierżant rachuby Vaniek.

— Sam jej łeb ukręciłem — odpowiedział Szwejk wyjmując z kieszeni nóż.

Baloun spojrział na Szwejka z wdzięcznością i szacunkiem i w milczeniu zaczął przygotowywać maszynkę spirytusową pana porucznika. Potem sięgnął po garnuszki i poleciał z nimi po wodę.

Do Szwejka podszedł telegrafista Chodounsky i zaoferował swoją pomoc przy skubaniu kury, przy czym zwrócił się do niego i zapytał go szeptem.

— Czy to daleko stąd? Czy trzeba przelazic przez płot, czy też łąką na wolności?

— Ja ją kupiłem.

— Daj spokój, kolego. Widzieliśmy, jak cię prowadzili.

Przy skubaniu kury był bardzo pomocny. Do wielkich i uroczystych przygotowań przyłączył się także kucharz-okultysta Jurajda, który krajał kartofle i cebulę do rosolu.

Pierze wyrzucone z wagonu wzbudziło zainteresowanie podporucznika Duba, który obchodził wagony.

Krzyknął tedy, żeby się pokazał ten, który skubie kurę, i we drzwiach wagonu ukazała się okrągła, zadowolona twarz Szwejka.

— Co to jest? — wrzasnął podporucznik podnosząc z ziemi kurzą głowę.

— To jest, posłusznie melduję — odpowiedział Szwejk — głowa kury gatunku czarnych włoszek. Bardzo nośne kury, panie lejtnant. Znoszą w ciągu roku do 260 jajek. Raczy pan spojrzeć, jaki miała duży jajnik. — Szwejk podsuwał podporucznikowi Dubowi pod nos różne wnętrzości kury.

Dub splunął i oddalił się, ale po chwili wrócił.

— Dla kogo ma być ta kura?

— Dla nas, posłusznie melduję, panie lejtnant. Niech pan popatrzy, ile miała sadła.

— Pod Filipi się spotkamy — mruczał podporucznik oddalając się.

— Co on mówił? — zapytał Szwejka Jurajda.

— Że się niby mamy spotkać gdzieś tam u Filipy. Ci uczeni panowie miewają takie rozmaite gusta.

Kucharz-okultysta oświadczył, że tylko esteci są homoseksualistami, co wynika z samej istoty estetyzmu.

Sierżant rachuby opowiadał następnie o nadużywaniu dzieci przez pedagogów w klasztorach hiszpańskich.

Podczas gdy woda gotowała się na maszynie i bulgotała, Szwejk przypomniał sobie, jak to pewnemu wychowawcy oddano kolonię opuszczonych wiedeńskich dzieci pod opiekę, a on nadużył zaufania wszystkich tych dzieci.

— Ano, taka już namiętność, ale najgorzej bywa, gdy to się trafi kobiecie. W Pradze II były przed laty dwie paniusie, opuszczone rozwódki, bo to były z przeproszeniem polatuchy. Jedna się nazywała Mourkova, a druga Szouskova. Pewnego wieczoru, gdy kwitły czereśnie, obie te paniusie złapały w alei roztockiej stuletniego impotentnego kataryniarza, zawlokły go do pobliskiego gaiku i zgwałciły. Okropnych rzeczy dopuszczały się na tym biedaku. Na Žižkovie jest niejaki profesor Axamit, który poszukuje starożytnych mogił i wykopał dużo dołów w Roztokach. Do jednego z takich dołów zawlokły te opuszczone rozwódki naszego kataryniarza i dręczyły go i nadużywały. Nazajutrz profesor Axamit widzi, że w jednej z rozkopanych mogilek coś leży. Ucieszył się, że to może zdobycz naukowa, a to był ten kataryniarz, umęczony przez owe dwie rozwiedzione paniusie. Dokoła niego leżało pełno takich jakichś patyczków. Ten kataryniarz umarł piątego dnia, a te megierzy były jeszcze takie zuchwałe, że poszły na jego pogrzeb. To już czysta perwersja.

— Soli wsypałeś? — zwrócił się Szwejk do Balouna, który, korzystając z powszechnego zainteresowania, z jakim śledzono opowiadanie Szwejka, chował coś w swoim tobołku. — Pokaż no, bratku, co ty tam masz i co robisz? Co ty chcesz zrobić z tym kurzym udem, mój Balounie? — rzekł Szwejk z wielką powagą. — Patrzcie więc, państwo, skradł nam kurze udo, żeby je sobie potem w sekrecie ugotować. Wiesz, Balounie, czegoś się dopuścił? Wiesz, jak karani bywają ci, co w polu okradają swoich towarzyszy? Takiego przywiązuje się do wylotu działa i strzela się szrapnelem. Teraz wzdychasz, ale już za późno. Jak tylko napotkamy po drodze artylerię, to się melduj pierwszemu z brzegu oberfeuerwerkerowi. A tymczasem będziesz ćwiczył za karę. Wylaż z wagonu!

Nieszczęśliwy Baloun wylaż z wagonu, a Szwejk, siedząc we drzwiach, komenderował:

— *Habt acht! Ruht! Habt acht! Rechtsschaut! Habt acht!* Patrz znowuż przed siebie! *Ruht!*

— Teraz będziesz wykonywał ruchy na miejscu. *Rechts um!* Człowieku! Ruszasz się jak krowa. Twoje nogi powinny znaleźć się tam, gdzie przedtem miałeś prawe ramię. *Herstellt! Rechts um! Links um! Halbrechts!* Nie tak, wole! *Herstellt! Halbrechts!* No widzisz, słoniu, że potrafisz! *Halblinks! Links um! Links! Front! Front,* idioto! Nie wiesz, co to jest front? *Gradaus! Kehrt euch! Kniet! Nieder! Setzen! Auf! Setzen! Nieder! Auf! Nieder! Auf! Setzen! Ruht! Auf! Ruht!*

— Widzisz, Balounie, taka rzecz jest bardzo zdrowa i przyspiesza trawienie.

Żołnierze zaczęli się zbierać dokoła nich i wybuchali wesołym śmiechem.

— Zróbcie z łaski swojej miejsce! — krzyczał Szwejk — Baloun będzie maszerował. No, mój Balounie, uważaj dobrze, żebym nie musiał cię hersztelować. Nie lubię dręczyć ludzi niepotrzebnie. Baczność! *Direktion Bahnhof!* Patrz, gdzie ci wskazuję kierunek. *Marschieren marsch! Glied halt!* Stój, do diabła, albo cię każę zamknąć! *Glied halt!* Nareszcie, idioto, stanąłeś. *Kurzer Schritt!* Nie wiesz, co to jest *kurzer Schritt!* Jak ja ci pokażę, to zsiniejesz! *Voller Schritt! Wechselt Schritt! Ohne Schritt!* Bawole jeden! Jak ci mówię: *ohne Schritt*, to przekładasz kulasami na miejscu!

Koło nich zebrały się już dwie kompanie. Baloun się poccił i zapomniał o całym świecie, a Szwejk komenderował dalej:

— *Gleicher Schritt! Glied rückwärts marsch! Glied halt! Laufschrift! Glied marsch! Schritt! Glied halt! Ruht! Habt acht! Direktion Bahnhof; Laufschrift marsch! Halt! Kebrt euch! Direktion Wagon, Laufschrift marsch! Kurzer Schritt! Glied halt! Ruht!* Teraz sobie przez chwilę odpoczniecie! A potem zaczniemy na nowo. Przy dobrej woli dużo można zrobić.

— Co się tu dzieje? — odezwał się głos podporucznika Duba, który zbliżył się zaniepokojony.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant — rzekł Szwejk — że się troszeczkę ćwiczymy, żebyśmy nie wyszli z wprawy i żebyśmy nie marnowali na próżno drogiego czasu.

— Wyłaźcie z wagonu — rozkazał podporucznik Dub — mam tego już dosyć. Zaprowadzę was do pana batalionskomendanta.

Gdy Szwejk znalazł się w wagonie sztabowym, porucznik Lukasz drugimi drzwiami wyszedł z wagonu na peron.

Podporucznik Dub meldował panu kapitanowi Sagnerowi o dziwnych zbytkach Szwejka w chwili, gdy dowódca batalionu był w bardzo dobrym usposobieniu, ponieważ wino marki „Gumpoldskirchen” było naprawdę świetne.

— Aha, więc wy nie chcecie marnować drogiego czasu? — roześmiał się złośliwie. — Matuszicz, chodźcie no tu!

Ordynans batalionu otrzymał rozkaz, że ma zawołać feldfebla 12 kompanii Nasaklo, który jak wiadomo, był największym tyranem. Szwejkowi kazano dać karabin.

— Ten oto szeregowiec — rzekł kapitan Sagner do feldfebla Nasaklo — nie chce marnować na próżno drogiego czasu. Zabrać go za wagon i przez godzinę ćwiczyć z nim chwyt. Ale bez miłosierdzia i bez odpoczynku. Przede wszystkim raz za razem: *Setzt ab, an, setzt ab!*

— Przekonacie się, mój, Szwejk, że nudzić się nie będziecie — rzekł mu kapitan na odchodnym. I po chwili odzywała się za wagonem szorstka komenda, rozbrzmiewająca uroczyście między szynami torów. Feldfelbel Nasaklo, który grał w oko i akurat trzymał bank, ryczał jak wściekły na cały boży świat:

— *Beim Fuss! Schulter! Beim Fuss! Schulter!*

Potem komenda ucichła na chwilę i słychać było głos Szwejka, spokojny, pełen powagi:

— Tęgo wszystkiego uczyłem się przed laty przy odbywaniu służby wojskowej. Na komendę „*Beim Fuss!*” — flintę opiera się o prawy bok. Koniec kolby znajduje się na jednej linii z palcami nóg. Prawa ręka jest bez wysiłku oparta na lufie, a mianowicie tak, że duży palec obejmuje lufę z tyłu, a inne palce obejmują lufę z przodu. Przy „*Schultert!*” — flinta wisi swobodnie na rzemieniu na prawym ramieniu, a wylot lufy zwrócony jest ku tyłowi...

— Dość tego gładzenia — odezwał się znowu głos feldfebla Nasaklo. — *Habt ach! Rechtsschaut! Herrgott*, jak wy to robicie!

— Mam „*Schultert!*”. Więc przy „*Rechtsschaut!*” moja prawa ręka zjeżdża po rzemieniu na dół, obejmuje szyjkę, a ja podrzucam głowę na prawo. Potem „*Habt acht!*”, więc prawą ręką chwytam rzemień, a głowa moja zwraca się prosto na pana.

I znowu odzywał się głos feldfebla:

— *In die Balanz! Beim Fuss! In die Balanz! Schul-tert! Bajonett auf! Bajonett ab! Fällt das Bajonett! Zum Gebet! Vom Gebet! Kniert nieder zum Gebet! Laden! Schiessen! Schiessen halbrechts! Ziel Stabswagon! Distanz 200 Schritt... Fertig! An! Feuer! Setzt ab! An! Feuer! An! Feuer! Setzt ab! Aufsatz normal! Patronen versorgen! Ruht!*

Feldfelbel skręcał papierosa, Szwejk zaś oglądał tymczasem numer karabinu i zaczął mówić:

— 4268! Akurat taki sam numer miała pewna lokomotywa w Pęczkach na szesnastym torze szlaku. Mieli ją wyprawić do depo w Łysej nad Łabą do remontu, ale sprawa nie była wcale taka prosta, jak się zdaje, bo ten maszynista, panie feldfelbel, co ją miał prowadzić, nie umiał zachowywać w pamięci liczb. Więc inspektor szlaku wezwał go do kancelarii i mówi: „Na szesnastym torze jest lokomotywa numer 4268. Ja wiem, że pan nie ma dobrej pamięci do liczb, a gdy się panu jaką liczbę wypisze na kartce, to pan kartkę gubi. Skoro więc mają pan taką słabą pamięć do liczb, to proszę uważać, a ja panu dowiodę, że to bardzo łatwo zapamiętać sobie jakąkolwiek liczbę. Patrz pan: lokomotywa, którą ma pan odstawić do Łysej nad Łabą, ma numer 4268. Więc baczność: pierwsza liczba — czwórka, druga — dwójka. Możesz pan już zapamiętać 42, to jest dwa razy dwa, o ile bierze się rzecz od dwójki, albo też mamy 4 podzielone przez 2 równa się dwóm i znowuż masz pan 4 i 2 obok siebie. A teraz tylko nic się pan nie bój, ile to będzie dwa razy cztery? Osiem, nieprawdaż? Więc wbij pan sobie w pamięć, że ósemka z tej liczby jest ostatnią w tym szeregu. Gdy więc już pan wie, że pierwsza liczba jest 4, potem idzie 2, a czwarta jest 8, to i trzecią zapamiętać nietrudno, jeśli się sprytnie zabrać do rzeczy. Strasznie to proste, bo chodzi o 6. Pierwsza 4, druga 2, czyli że razem 6. Murowane i pewne, że tej szóstki z trzeciego miejsca zapomnieć nie można. I oto masz pan liczbę 4268 utkwioną w głowie na zawsze. Albo też może pan dojść do tych samych wyników w sposób jeszcze prostszy...”

Feldfelbel przestał palić i wytrzeszczył oczy na Szwejka.

— *Kappe alb!* — zamruczał pod nosem, a Szwejk z wielką powagą mówił dalej:

— Więc zaczął mu objaśniać ten łatwiejszy sposób, żeby numer lokomotywy 4268 nie wyleciał z pamięci. Gdy się od 8 odejmuje 2, zostaje 6. A więc już masz 68. Sześć mniej dwa równa się cztery, jest więc i czwórka, czyli 4-68, a gdy się wstawi na drugie miejsce dwójkę, to się ma całą liczbę: 4-2-6-8. Można tę rzecz zrobić jeszcze łatwiej, przy pomocy mnożenia i dzielenia, a rezultat jest taki sam. Pamiętaj pan tylko tyle, że dwa razy 42 równa się 84. Rok ma dwanaście miesięcy. Odliczamy więc dwanaście od 84 i pozostaje nam 72, od tego odliczamy jeszcze 12 miesięcy, mamy 60. Szóstka jest już murowana, a zero odrzucamy. Wiemy już 42, 68, 4. Kiedyśmy już skreślili zero, to skreślmy i tę czwórkę na końcu i znowuż ogromnie jasno i wyraźnie otrzymujemy 4268, czyli numer lokomotywy, którą trzeba odstawić do depo w Łysej nad Łabą. A z dzieleniem sprawa też jest nietrudna. Wyliczam sobie koeficjent według taryfy celnej. Czy panu słabo, panie feldfelbel? Jeśli pan chce, to mogę zacząć od *general de charge. Fertig! Hoch an! Feuer!* E, do pioruna! Pan kapitan nie powinien był wysyłać nas na takie ostre słońce. Trzeba lecieć po nosze.

Przywołany lekarz stwierdził porażenie słoneczne albo też ostre zapalenie opon mózgowych.

Kiedy feldfelbel odzyskał przytomność, Szwejk, stojąc nad nim, rzekł:

— Muszę to panu dokończyć. Czy pan myśli, panie feldfelbel, że ten maszynista sobie to zapamiętał? Wszystko pomieszał i poplątał, i pomnożył przez trzy, ponieważ przypomniał sobie o Trójcy Bożej. No i nie znalazł tej lokomotywy, która zapewne jeszcze ciągle stoi na torze 16.

Feldfelbel znowuż zamknął oczy.

Szwejk wrócił do wagonu i na pytanie, gdzie bawił tak długo, odpowiedział:

— Kto innych uczy *laufschriftu*, sam musi robić sto razy „*Schultert!*”

Na końcu wagonu, w kącie trząśniętym ze strachu Baloun. Pod nieobecność Szwejka, kiedy się kura dogotowywała, zeżarł pół jego porcji.

\*

Jeszcze przed odjazdem eszelonu nadszedł inny pociąg wojskowy z żołnierzami, należącymi do przeróżnych oddziałów. Byli to żołnierze zapóźnieni, a także rekonwalescenci ze szpitali, doganiający swoje oddziały, i inne podejrzane indywidua, wracające z miejsca odkomenderowania lub z aresztów.

Z pociągu tego wysiadł także jednoroczny ochotnik Marek, który swego czasu oskarżony był o bunt, ponieważ nie chciał czyścić wychodków, ale sąd dywizyjny go uniewinnił, dochodzenie przeciwko niemu zostało umorzone i dlatego Marek zjawił się w wagonie sztabowym, aby się zameldować swemu dowódcy batalionu. Jednoroczny ochotnik Marek dotychczas nie był nigdzie przydzielony, ponieważ wędrował z aresztu do aresztu.

Kapitan Sagner, ujrawszy jednorocznego ochotnika Marka i przyjąwszy od niego papiery dotyczące jego powrotu, skrzywił się, bo na papierach była uwaga: „*Politisch verdächtig! Vorsicht!*”. Nie ucieszył się z przybycia jednorocznika, ale na szczęście przypomniał sobie latrynowego generała, który tak interesująco zalecał mu uzupełnienie batalionu przez batalionsgeschichtsschreibera.

— Jesteś pan bardzo opieszły, jednoroczny ochotniku — rzekł kapitan Sagner. — W szkole jednoroczników byłeś pan istną plagą. Zamiast starać się o to, aby się wybić i zająć miejsce, jakie się panu przy pańskiej inteligencji należy, wędrował pan z aresztu do aresztu. Pułk wstydić się musi za pana, panie jednoroczny ochotniku, ale błędy swoje może pan naprawiać przez gorliwe spełnianie swoich obowiązków. Znajdzie pan znowuż miejsce wśród porządných żołnierzy. Niech pan siły swoje z zapalem odda batalionowi. Zrobię próbę z panem. Jest pan inteligentnym człowiekiem i zapewne ma pan zdolności literackie, umie pan pisać. Czynię panu propozycję. Każdemu batalionowi podczas wojny potrzebny jest kronikarz, który zapisywałby wiernie wszystkie czyny batalionu na polu chwały. Trzeba zapisywać wszystkie zwycięskie marsze, wszystkie wyjątkowe i uroczyste chwile z życia batalionu, notować wydarzenia, w których batalion odgrywa wybitną rolę, i w ten sposób pomału gromadzić materiał do dziejów armii. Rozumie pan?

— Posłusznie melduję, że rozumiem, panie kapitanie. Chodzi tu o epizody z życia wszystkich oddziałów. Batalion ma swoje dzieje. Pułk na podstawie dziejów swoich batalionów układa dzieje własne. Historia pułków składa się na dzieje brygady, historia brygad na dzieje dywizji itd. Dołożę wszelkich starań, panie kapitanie.

Jednoroczny ochotnik Marek położył rękę na sercu.

— Będę zapisywał z prawdziwą miłością wszystkie uroczyste dni naszego batalionu, osobliwie teraz, gdy ofensywa rozwija się w całej pełni i gdy niebawem nasz batalion zaścienie pobojowiska swoimi bohaterskimi synami. Sumiennie zapisywać będę wszystkie wielkie wydarzenia, których nie braknie, aby karty dziejów naszego batalionu usiane były wawrzynami.

— Będzie pan się znajdował przy sztabie batalionu, panie jednoroczny ochotniku, i zwróci pan uwagę na to, kto był przedstawiony do odznaczenia, będzie pan zapisywał, oczywiście według naszych wskazówek, wszystkie marsze i wypadki, które charakteryzowałyby w sposób osobliwy waleczność batalionu i jego żelazną dyscyplinę. Nielatwa to praca, ale mam nadzieję, że posiada pan tyle talentu obserwacyjnego, że przy odpowiednich wskazówkach z mojej strony zdoła pan wynieść nasz batalion ponad inne oddziały. Wyprowadzę depeszę do pułku, że mianowałem pana batalionsgeschichtsschreiberem. Niech pan się zgłosi do sierżanta rachuby Wańka z 11 kompanii, żeby panu dał miejsce w wagonie. U niego jest jeszcze względnie najwięcej miejsca. I niech mu pan powie, żeby do mnie przyszedł. Oczywiście, że zaliczony pan będzie do sztabu batalionu. Zrobi się to rozkazem do batalionu.

\*

Kucharz-okultysta spał. Baloun drżał ciągle, ponieważ otworzył już także sardynki porucznika Lukasa, sierżant rachuby Vaniek udał się do kapitana Sagnera, a telegrafista Chodounsky, zbębniwszy gdzieś na stacji butelkę jałowcówki, wypił ją i znajdując się teraz w bardzo sentymentalnym nastroju, śpiewał:

Póki w słodkich dniach błędziłem,  
Wierność wszystko przyrzekało,  
Pierś ma wiarą oddychała,  
Serce wszystko kochało.  
Lecz gdym spostrzegł, że ta ziemia  
Jest fałszywa niby szakał,

Zwiędła wiara, zwiędła miłość,  
A ja z żalu gorzkom płakał.

Potem wstał, podszedł do stołu sierżanta rachuby Vańka i na ćwiartce papieru wypisał wielkimi literami:

„Niniejszym proszę uprzejmie o mianowanie mnie i awansowanie na  
trębacza batalionu. Chodounsky — telegrafista”.

\*

Kapitan Sagner niezbyt długo rozmawiał z sierżantem rachuby Vańkiem. Zwrócił mu jedynie uwagę na to, że tymczasem batalionsgeschichtsschreiber, jednoroczny ochotnik Marek, znajdując się będzie w wagonie razem ze Szwejkiem.

— Mogę panu powiedzieć tylko tyle, że ten Marek, że tak powiem, jest podejrzan. *Politisch verdächtig*. Ale, miły Boże, dzisiaj to nic osobliwego. Kogóż to nie uważa się za podejrzanego?! Istnieją różne podejrzenia. Pan mnie chyba rozumie. Więc tyle tylko panu powiem, że gdyby zaczął coś wygadywać, jednym słowem, coś takiego, to trzeba go zaraz przywołać do porządku, żebym i ja nie miał z tego przykrości. Powie mu pan po prostu, żeby dał spokój i nie gadał, i będzie dobrze. Oczywiście, nie chodzi o to, żeby pan zaraz leciał do mnie ze skargą. Przyjacielskie napomnienie jest zawsze lepsze niż jakiś głupi donos. Jednym słowem, nie życzę sobie dowiadywać się o niczym, ponieważ... Rozumiesz pan. Takie rzeczy rzucają zawsze cień na cały batalion.

Po powrocie od kapitana Sagnera sierżant Vaniek pociągnął jednorocznego ochotnika Marka na bok i rzekł do niego:

— Człowieku! Pan jesteś podejrzan, ale to nic nie szkodzi. Tylko niech pan tu dużo nie wygaduje przed tym Chodounskim, telegrafistą.

Ledwo wyrzekł te słowa, Chodounsky przyplątał się do nich, rzucił się sierżantowi rachuby na szyję i lkając po pijacku, zaczął śpiewać:

Gdy mnie wszyscy opuścili,  
Ja na pierś twą głowę schyle,  
Na twym wiernym, dobrym sercu  
Moja żalność spocznie chwilę.  
W oku twoim ogień płonie  
Niby gwiazda w czystym niebie,  
A twe usta szepczą słodko:  
Nigdy nie opuszczę ciebie!

— My się nigdy nie opuścimy! — wrzeszczał Chodounsky. — Co tylko usłyszę przez telefon, zaraz wam powiem. Ja sram na przysięgę.

Baloun siedzący w kącie przeżegnał się jęty zgrozą i głośno zaczął się modlić.

— Matko Boska, nie odrzucaj mego żalnego wołania, ale wysłuchaj mnie miłościwie i pociesz mnie dobrocią swoją. Wspomóż mnie biednego, który wołam do Ciebie z tego padołu płaczu z żywą wiarą, mocną nadzieją i gorącą miłością. O Królowo Niebieska, wesprzyj mnie orędownictwem Twoim i uczyni, abym w miłości bożej i pod ochroną Twoją aż do końca życia mego wytrzymał...

Błogosławiona Panna Maria widocznie ujęła się za nim, bowiem jednoroczny ochotnik z niewielkiego swego tobołka wyjął po chwili kilka pudełek sardynek i każdemu dał po jednym.

Baloun natychmiast otworzył kuferek porucznika Lukasa i włożył tam z powrotem pudełko sardynek, które jakby z nieba spadło dla niego.

Ale gdy wszyscy pootwierali swoje pudełka i delektowali się smacznymi rybkami, Baloun nie oparł się pokusie. Wyjął pudełko z kufierka, otworzył je i z wielką żarłocznością pochłoniął jego zawartość.



I wtedy niebo i błogosławiona Panna Maria odwróciła się od niego, bo właśnie w chwili gdy dopijał oliwę z blaszanki, przed wagonem ukazał się ordynans batalionu Matuszicz i wołał:

— Balounie, pan oberlejtant kazał, żebyś mu natychmiast zaniósł jego sardynki.

— No, dostanie on teraz po gębie! — rzekł sierżant Vaniek.

— Z próżnymi rękoma lepiej wcale nie chodź do niego — rzekł Szwejk. — Weź przynajmniej ze sobą pięć pustych pudełek.

— Co też mogliście zrobić takiego, że Bóg was tak karze? — rzekł jednoroczny ochotnik. — W przeszłości waszej musieliście popełnić jakiś wielki grzech. Czy nie dopuściliście się czasem świętokradztwa? Czy nie skradliście proboszczowi szynki, gdy się wędziła? Czy nie dobraliście się do jego mszalnego wina w piwnicy? Czy jako pacholę nie wślizgaliście na grusze w plebańskim ogrodzie?

Kiwając się na wszystkie strony, Baloun oddalił się z wyrazem jakiejś rozpaczliwej beznadziejności w oczach. Jego umęczona twarz zdawała się mówić: „Kiedyż nareszcie skończą się te wszystkie udręki?”

— Wyście, mój bracie, zapomnieli o Bogu — rzekł jednoroczny ochotnik słysząc westchnienia Balouna — wy nawet nie umiecie pomodlić się porządnie, żeby Pan Bóg uczynił koniec waszemu nędnemu żywotowi.

Szwejk dodał do tych słów:

— Bo nasz Baloun ciągle jeszcze nie może się zdecydować, żeby całe swoje życie żołnierskie, swój charakter, słowa, czyny i śmierć swoją poświęcić miłosierdziu bożemu, jak mawiał mój feldkurat Katz, gdy wypił za wiele i przypadkowo wślizł na ulicy na jakiegoś żołnierza.

Baloun jęknął, że już utracił ufność w Boga, bo tyle razy nadaremnie modlił się, żeby mu Bóg dał siły przetrzymać i żeby mu jakoś skurczył ten żołądek.

— Już jest tak od dawna — narzekał. — To już stara choroba ten głód nienasycony. Z tego powodu żona moja z dziećmi odbywała pielgrzymkę do Klokot.

— Znam Klokoty — zauważył Szwejk — to w pobliżu Tabora. Mają tam bardzo bogaty obraz Przenajświętszej Pani z fałszywymi brylantami i pewien kościelny ze Słowacji chciał ten obraz okraść. Człowiek to był bardzo pobożny. Przyjechał więc i pomyślał, że może mu się uda lepiej, gdy naprzód oczyści się ze wszystkich starych grzechów, a przy spowiedzi napomknął także o tym, że zamierza okraść Przenajświętszą Panią. Oczywiście nie tylko że nie zdążył odmówić tych trzystu *Ojcze nasz*, które mu ksiądz dał na pokutę, aby mu zaraz nie uciekł, ale nawet słowa nie wymówił, już go słudzy kościoła prowadzili ze świątyni prosto na posterunek żandarmerii.

Kucharz-okultysta zaczął się sprzeczać z telegrafistą Chodounskim, czy zachodzi tu straszliwy, wołający o pomstę do nieba wypadek zdrady tajemnicy spowiedzi, czy też w ogóle rzecz niewarta gadania, skoro brylanty były fałszywe. Wreszcie wszakże kucharz przekonał Chodounskiego, że to była karma, a więc los predestynowany z dalekiej nieznannej przeszłości, kiedy to ten kościelny ze Słowacji był jeszcze głownogiem na jakiejś nieznannej planecie. Tak samo przypieczętowany był los spowiednika. Temu paterowi z Klokot było pisane, że zdradzi tajemnicę spowiedzi, kiedy był jeszcze, dajmy na to, gryzoniem z gatunku torbaczy, dzisiaj już zaginionych. Aczkolwiek ze stanowiska prawnego podług ustaw kanonicznych udziela się rozgrzeszenia nawet wtedy, gdy chodzi o kradzież mienia klasztornego.

Do tych wywodów dodał Szwejk taką bardzo prostą uwagę:

— Tak to, tak, żaden z nas nie wie, co będzie wyrabiał za parę milionów lat, i dlatego niczego nie powinniśmy się wyrzekać. Oberlejtant Kvasniczka za czasów, kiedy jeszcze służył w *Ergänzungskommando* w Karlinie, mawiał do nas podczas swoich wykładów szkolnych: „Nie myślcie sobie, wy gówniarze, wy gnuśne krowy oraz wieprze, że służba wojskowa skończy się dla was już na tym świecie. My się jeszcze po śmierci spotkamy z sobą, a ja wam spreparuję taki czyściec, że zbaraniejecie na czysto, wy bando świńska!”

Tymczasem Baloun, który w beznadziejnej swojej rozpaczliwej był przekonany, że mówił tylko o nim i że każde słowo dotyczy jego osoby, spowiadał się dalej ze swojej biedy:

— Nawet Klokoty nic mi na mój wieczny głód nie pomogły. Żona z dziećmi wraca z pielgrzymki i zaraz zaczyna liczyć kury. Nie doliczyła się jednej czy dwóch. Ale cóż ja na to mogłem poradzić? Wiedziałem przecież, że kury są potrzebne do znoszenia jaj, ale

wychodzę na podwórze, popatrzę na kury i nagle czuję w żołądku otchłań, ale po godzinie już lepiej, bo kura zjedzona. Pewnego razu, gdy żona z dziećmi znowuż była w Klokotach i wszyscy modlili się, żeby tatuś tymczasem nic nie zeżał i nie narobił nowej szkody, chodzę sobie po podwórzu i nagle napatoczył mi się pod nogi indyk. Wtedy omal że nie przypląciłem tego życiem. W gardle utkwiała mi kość z uda tego indyka i gdyby nie mój mały młynarczyk, chłopczyna żwawy i roztropny, który mi ten gnacik z gardła wyjął, to już bym dzisiaj nie siedział tu z wami i nie byłbym się tej światowej wojny doczekał... Tak, tak, ten mój młynarczyk to był chłopczyk bardzo roztropny. Małutki był, szelma, ruchliwy, tłusciutki, okrągłutki...

Szwejk podszedł do Balouna i rzekł:

— Wysuń język.

Baloun wywalil na Szwejka język, a Szwejk obejrzawszy go zwrócił się do wszystkich obecnych w wagonie i mówił:

— Zaraz wiedziałem, że zeżał i tego młynarczyka. Przyznaj się, kiedyś go zeżał! Pewno znowuż wtedy, gdy żona z dziećmi odprowadzała pielgrzymkę do Klokot.

Baloun zrozpaczony składał ręce i błagał:

— Dajcie mi spokój, koledzy! Jeszcze takie drwiny ze strony kolegów...

— My was z tego powodu nie potępiamy — rzekł jednoroczny ochotnik. — Przeciwnie, bo widać, że będzie z was dobry żołnierz. Gdy Francuzi w czasach wojen napoleońskich oblegali Madryt, to hiszpański dowódca twierdzy madryckiej przed poddaniem fortecy zjadł swego adiutanta bez soli.

— No to już wielkie poświęcenie, ponieważ adiutant nasolony byłby stanowczo strawniejszy. Jak też ma na imię, panie rechnungsfeldfelbel, ten nasz adiutant batalionowy? Ziegler? Chuderlawa bestia. Z niego nie dałoby się zrobić porcji nawet na jedną kompanię.

— Patrzcie, państwo, Baloun ma w ręku różaniec — rzekł Vaniek, sierżant rachuby.

Rzeczywiście, Baloun u szczytu swej rozpaczki szukał ratunku w drobnych kulkach pistacjowych, z fabryki „Moritz i Löwenstein” w Wiedniu.

— Ten różaniec też z Klokot — rzekł smutny Baloun. — Wtedy, gdy mi go przynieśli, zeżałem dwie gąski, ale to nie żadne mięso, to galareta.

Po chwili w całym pociągu powtarzano rozkaz, że za kwadrans się jedzie. Ponieważ nikt w to nie wierzył, więc pomimo całej ostrożności zdarzyło się, iż ten i ów gdzieś się zabląkał. Gdy pociąg ruszył, brakowało osiemnastu szeregowców. Brakowało też feldfelbla Nasakło z 12 kompanii, bo kiedy pociąg już dawno znikł za Isatarczą, pan feldfelbel w małym akacyjnym gaiku za stacją w niewielkiej dolince ciągle jeszcze targował się z jakąś uliczną dziewczką, która gwałtem domagała się od niego pięciu koron, podczas gdy on proponował jej za wyświadczoną mu grzeczność koronę albo parę razy w pysk. Ostatecznie doszło do tego drugiego wyrównania i to z takim rozmachem, że na jej ryk zaczęli się zbiegać ludzie ze wszystkich stron.

### III. Z HATVANU DO GRANIC GALICJI

Przez cały czas podróży batalionu, który miał zbierać sławę wojenną dopiero po przejściu pieszo szlaku od Laborca do Galicji wschodniej, w wagonie, w którym znajdował się jednoroczny ochotnik i Szwejk, bezustannie prowadzono rozmowy mniej więcej takie, jakie przy odrobinie dobrej woli można zawsze zakwalifikować jako zdradę stanu. W mniejszych nieco rozmiarach takie same rozmowy prowadzono we wszystkich innych wagonach, a nawet w wagonie sztabowym, gdzie panowało duże niezadowolenie, ponieważ we Füzesabony przyszedł z pułku rozkaz dotyczący zresztą całej armii i obniżający oficerom porcję wina o ósemkę litra. Rzecz prosta, że przy takiej sposobności nie zapomniano i o szeregowcach, którym porcję sago pomniejszono o jedno deka dla szeregowca, co było tym bardziej zagadkowe, że nikt nigdy saga w wojsku nie widział.

Tym niemniej trzeba było powiadomić o tym sierżanta rachuby Bautanzla, który takim rozkazem czuł się żywo dotknięty i jakby osobiście okradziony. Wyraził się też, że sago jest dzisiaj rzeczą rzadką i że za kilogram można by dostać przynajmniej osiem koron.

We Füzesabony zauważono także i to, że jedna z kompanii zgubiła kuchnię polową, a zauważono to dlatego, że na tej stacji miano wreszcie gotować gulasz z kartoflami, na

który taki nacisk kładł „*latrinengeneral*”. Dochodzenie ustaliło, że owej nieszczęsnej polowej kuchni w ogóle z Brucku nie zabrano i że niezawodnie dotychczas stoi ona gdzieś za barakiem nr 186, opuszczona i zimna.

Personel tej kuchni został mianowicie na dzień przed wyjazdem aresztowany i osadzony na odwachu za awantury na mieście, a umiał się tak sprytnie urządzić, że jeszcze ciągle siedział, podczas gdy jego kompania marszowa już dawno przejeżdżała przez Węgry.

Kompania bez kuchni została więc przydzielona do drugiej kuchni polowej, co oczywiście musiało doprowadzić do zatargów. Między szeregowcami, których wyznaczono z obu kompanii do skrobania kartofli, doszło do ostrej kontrowersji, ponieważ jedni i drudzy twierdzili, że nie myślą być takimi osłami, żeby harować na innych. Ale w końcu pokazało się, że ten gulasz z kartoflami to tylko manewr, żeby żołnierzy zawczasu przyzwyczaić do tego, co się podczas wojny często zdarza, a mianowicie, że gdy się gulasz przyrządza, raptem przychodzi rozkaz „*alles zurück!*” — gulasz się z kotłów wylewa i wszyscy muszą obyć się smakiem.

Było to więc coś w rodzaju ćwiczenia, nie takiego znowu tragicznego, ale w każdym razie pouczającego. Kiedy miano gulasz rozdawać, przyszedł rozkaz wsiadania do wagonów i po chwili pociąg pędził do Miskovca. Nawet tam nie rozdano gulaszu, bo na torze stały rosyjskie wagony i szeregowcom nie pozwolono wysiadać. Żywa wyobraźnia żołnierzy ustaliła natychmiast, że gulasz będzie rozdawany dopiero w Galicji, po opuszczeniu pociągu, gdy okaże się, że jest zepsuty i gdy trzeba będzie wylać go jako niezdatny do użytku.

Następnie wieźli gulasz na Tiszalac, Sambor, a gdy już nikt nie przypuszczał, że gulasz będzie rozdawany, pociąg zatrzymał się w Nowym Mieście pod Satoraljujhely, gdzie znowu rozpalono ogień pod kotłami, gulasz ogrzano i rozdano go w końcu.

Stacja była przepełniona, naprzód miały być wyprawione dwa pociągi z amunicją, po nich dwa eszelony artylerii i pociąg z oddziałem pontonierów. W ogóle na stacji tej zgromadziły się pociągi z wojskami różnych rodzajów broni.

Za stacją huzarzy-honwedzi wzięli w obroty dwóch polskich Żydków, którym odebrali całe kosze wódki, a teraz w dobrych humorach, zamiast zapłacić, bili ich po twarzy, na co prawdopodobnie mieli zezwolenie, ponieważ w pobliżu stał ich rotmistrz i z miłym uśmiechem przyglądał się całej tej scenie. Jednocześnie zaś za magazynem kilku innych huzarów zabawiało czarnookie córeczki bitych Żydów sięgając im pod sukienki.

Stał tu także pociąg z oddziałem lotniczym. Na dalszych zaś torach stały wagony ze zniszczonym sprzętem wojennym. Widać tu było zestrzelone aeroplany, porozrywane lufy armat. Podczas gdy nowy sprzęt wojenny kierowany był na plac boju, te oto szczątki siły i chwały powracały do kraju dla naprawy i rekonstrukcji.

Podporucznik Dub oczywiście tłumaczył żołnierzom, którzy znajdowali się w pobliżu, że te szczątki to zdobycz wojenna; zauważył też, że w pobliżu stoi Szwejk i mówi o czymś z wielkim ożywieniem. Podeszedł tedy ku niemu i usłyszał stateczne wywody Szwejka:

— Czy tak, bratku, czy owak, a zawsze to zdobycz wojenna. Szpetna to wprawdzie i niemila sprawa, że tu i ówdzie czytasz na lawecie „*k. u. k. Artillerie-Division*”, ale to niezawodnie jest tak, że taka armata wpadła kiedyś w ręce Moskali, a my odebraliśmy ją sobie. Taka zdobycz wojenna jest daleko cenniejsza, ponieważ...

Ponieważ — rzekł uroczyście zauważywszy podporucznika Duba — nieprzyjacielowi nie należy pozostawiać w ręku nic a nic. Rzecz ma się tak samo jak z Przemyślem albo jak z tym żołnierzem, któremu nieprzyjaciel w bitwie wyrwał z rąk manierkę. Było to jeszcze za czasów wojen napoleońskich, a ten żołnierz udał się w nocy do obozu nieprzyjacielskiego po swoją manierkę i jeszcze na czysto zarobił, ponieważ nieprzyjaciel fasował na noc wódkę.

— Mój Szwejku, wynoście mi się stąd i starajcie się, żebym was tu więcej razy nie spotkał — rzekł podporucznik Dub.

— Rozkaz, panie lejtnant — odpowiedział Szwejk i poszedł ku drugiej grupie wagonów. Gdyby podporucznik Dub usłyszał, co Szwejk jeszcze dodał, to byłby niezawodnie wyskoczył z uniformu, aczkolwiek Szwejk zacytował tylko ów niewinny biblijny werset: „Maluczko, a nie ujrzycie mnie, i znowuż maluczko, a ujrzycie mnie”.

Podporucznik Dub pomimo wszystko był jeszcze taki głupi, że zwracał uwagę żołnierzy na pewien aeroplan jako na zdobycz wojenną, chociaż na kadłubie tego aeroplanu widać było wyraźny napis: „*Wiener Neustadt*”.

— Ten aeroplan zestrzeliliśmy Rosjanom pod Lwowem — rzekł podporucznik Dub.

Słowa te usłyszał porucznik Lukasz, przechodzący tamtędy, i dodał głośno:

— Przy czym obaj rosyjscy lotnicy spadli prosto na główkę.

I szybko szedł dalej, myśląc w duchu, że podporucznik Dub to porządne bydlę.

Za innymi wagonami spotkał się Lukasz ze Szwejkiem; próbował go ominąć, bo na twarzy Szwejka widać było wyraźnie, że człowiek ten dużo ma na sercu różnych spraw, którymi chciał się z nim podzielić. Ale Szwejk ruszył prosto ku niemu.

— *Ich melde geborsam, Kompanieordonnanz* Szwejk prosi o dalsze rozkazy. Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że już pana szukałem w wagonie sztabowym.

— Słuchajcie, Szwejku — rzekł porucznik Lukasz tonem zdecydowanie wrogim i odepchającym. — Wiecie, kim jesteście i jak was nazwałem?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że o takiej rzeczy nie zapomniałem, bo nie jestem znowuż taki jak niejaki jednoroczny ochotnik Żelazny. Było to jeszcze na długo przed tą wojną i staliśmy w Koszarach Karlińskich, a tam był oberstem niejaki Flieder von Bumerang czy tak jakoś.

Porucznik Lukasz mimo woli uśmiechnął się słysząc oryginalne nazwisko, a Szwejk szybko opowiadał dalej:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że ten nasz oberst był dużo niższy od pana, nosił brodę *à la* księżę Lobkowitz, tak że bardzo był podobny do małpy, a gdy się rozłożył, to skakał dwa razy wyżej, niż wynosił jego wzrost, więc wszyscy nazywaliśmy go kauczukowym dziadygą. Był wtedy jakiś pierwszy maj, a my mieliśmy ostre pogotowie, zaś ten pułkownik w wigilię tego dnia wygłosił do nas wielką mowę, że niby dlatego mamy jutro siedzieć wszyscy w koszarach i nie wychodzić na miasto, żebyśmy w razie potrzeby na najwyższy rozkaz całą tę socjalistyczną bandę mogli powystrzelać. Tak samo więc, jeśli który żołnierz ma dzisiaj wychodne, a nie wróci na czas i zasiedzi się na mieście aż do dnia następnego, to taki jest zdrajcą ojczyzny, bo jak się porządnie upije, to nie trafi w żadnego socjalistę i przy salwach będzie strzelał w powietrze. Więc ten jednoroczniak Żelazny wrócił do izby i powiada, że kauczukowy dziadyga zrobił jednak dobrze, iż zwrócił uwagę na dzień jutrzejszy. „Nikogo — powiada — do koszar i tak nie wpuszczają, więc najlepiej nie wracać”. Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że jak powiedział, tak też zrobił. Ale ten oberst Flieder to był znowuż drań nie byle jaki, Panie, świeć nad jego duszą, więc nazajutrz łąził po Pradze i rozglądał się, czy nie zobaczy kogo z naszego pułku, kto się odważył przekroczyć jego nakaz. Koło Bramy Prochowej spotkał naszego jednoroczniaka i zaraz na niego z wielkim krzykiem: „Ja ci dam, ja cię nauczę, popamiętasz!” Nagadał mu w tym guście jeszcze więcej, zabrał go z sobą i wlecz go do koszar, a po drodze urąga mu brzydki i ciągle go się pyta o nazwisko. „Sielezny, Sielesny, ty się teraz posrać, ja kontent, że złapać ciebie, ja tobie pokazać *den ersten Mai!* Sielesny, Sielesny, ty już mój, ja cię wsadzić do aresztu, tsimać w areszt!” Żelaznemu już było wszystko jedno. Więc gdy szli przez Porzeczce koło piwiarni Rozwarzilów, Żelazny skoczył w bramę, znikł jak kamfora i popsuł dziadydze uciechę osadzenia go w areszcie. Pana obersta tak to rozsierdziło, iż mu ten delikwent zwał, że ze złości zapomniał na dobre jego nazwisko. Pomieszało się mu w głowie i gdy przybył do koszar, to zaczął skakać aż pod sufit i wrzeszczał, zaś oficer dyżurny nie wiedział, dlaczego to kauczukowy dziadyga zaczął raptem mówić łamaną czeszczyzną: „Miedziany aresztować, nie Miedziany, Ołowiany aresztować, Cynkowy!” I tak się pan oberst męczył dzień w dzień i ciągle pytał, czy już aresztowali Miedzianego, Ołowianego, Cynowego. Kazał nawet całemu pułkowi stanąć do przeglądu, ale ponieważ było wiadomo, o co chodzi, więc Żelaznego umieścili w szpitalu, jako że był technikiem dentystycznym. Aż oto stała się rzecz taka: jednemu z naszego pułku udało się przebić jakiegoś dragona w gospodzie „U Bucków”, który to dragon chodził za jego dziewczyną. Cały pułk musiał stanąć do przeglądu, nawet chorzy z lazaretu, kto był słaby, tego dwaj koledzy podtrzymywali. Musiał więc chcąc nie chcąc pokazać się także Żelazny. I wtedy na dziedzińcu czytali nam rozkaz do pułku, mniej więcej w ten sens, że dragoni to także żołnierze i że nie należy przebijać ich bagnetem, dlatego że są to nasi *Kriegskameraden*. Jeden z ochotników tłumaczył ten rozkaz, a nasz

oberst rozglądał się dokoła jak tygrys. Najprzód chodził przed frontem, potem poszedł za szeregi i nagle odkrył Żelaznego, chłopca jak góra. Bardzo to, panie oberlejtant, było komiczne, gdy go wciągnął do środka czworoboku. Tamten jednoroczny ochotnik przestał tłumaczyć rozkaz do pułku, a nasz pułkownik zaczął skakać przed Żelaznym jak nie przymierzając pies, gdy szczeka na kobyłę, i ryczał: „Ty mi nie ucieknąć, ty się nie schować! Ty Sielesny, Sielesny, a ja furt mówić Miedziany, Ołowiany, Cynowy. A on jest Sielesny, ten łobuz jest Sielesny, ja ci nauczyć, Ołowiany! Cynowy! Miedziany! *Du Mistvieh! Du Schwein! Du Sielesny!*” Potem wlepił mu za to miesiąc, ale po jakich dwóch tygodniach zaczęły go boleć zęby, a on przypomniał sobie, że Żelazny jest dentystą, więc z aresztu kazał go przyprowadzić do lazaretu, żeby mu wyrwał ząb. Żelazny rwał mu ten ząb z pół godziny, tak że dziadygę musieli coś ze trzy razy obmywać. Jakoś go to ułagodziło, tak że darował Żelaznemu dwa tygodnie aresztu. Tak to bywa, panie oberlejtant, gdy przełożony zapomni nazwiska swego podwładnego. Ale podwładny nigdy nie powinien zapomnieć nazwiska swego przełożonego, jak nas napominał pan oberst. I rzeczywiście, jeszcze po wielu latach pamiętamy dobrze, że mieliśmy obersta Fliedera. Może ta opowieść była przydługa, panie oberlejtant.

— Wiecie, Szwejku — odpowiedział porucznik Lukasz — że im dłużej słucham waszych opowiadań, tym głębiej jestem przekonany, że nie macie szacunku dla swoich przełożonych. Żołnierz nawet po wielu latach powinien o przełożonych swoich mówić z szacunkiem i tylko dobrze.

Porucznik Lukasz zaczynał odzyskiwać humor.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant — przerwał mu Szwejk i zaczął się tłumaczyć — przecież pan oberst Flieder już dawno nie żyje, ale jeśli pan oberlejtant sobie życzy, to mogę opowiedzieć o nim wiele dobrego. Bo on, panie oberlejtant, był dla żołnierzy jak ten anioł. On był taki poczciwy jak święty Marcin, który rozdawał biednym i głodnym ludziom świętomarcińskie gęsi. Z pierwszym napotkanym żołnierzem dzielił się swoim oficerskim obiadem, a gdy przejadły się nam knedle drożdżowe z powidłami, to kazał nam dawać na obiad wieprzowy gulasz z kluskami kartoflanymi. Podczas manewrów był uosobieniem dobroci dla nas wszystkich. Gdyśmy przybyli do Królewic Dolnych, to wydał rozkaz, abyśmy wypili cały tamtejszy browar na jego koszt, a na swoje imieniny albo urodziny kazał napić zajęcy w śmietanie dla całego pułku i do tego knedle z bułki. To był taki zacny człowiek, że razu pewnego, panie oberlejtant...

Porucznik Lukasz po przyjacielsku trzepnął Szwejka przez ucho i rzekł:

— No idź już, stary łobuzie, i przestań gadać.

— *Zum Befehl, Herr Oberleutnant!*

Szwejk oddalał się w kierunku swego wagonu, a tymczasem przed eszelonem batalionu, tam gdzie w wagonie znajdowały się aparaty telefoniczne i druty, odgrywała się następująca scena. Przed wagonem stał posterunek, ponieważ z rozporządzenia kapitana Sagnera wszystko musiało być *feldmässig*. Wartowników rozstawiono więc po obu stronach wagonów, a każdemu z nich podano z kancelarii batalionu „*Feldruf*” i „*Losung*”.

Tego dnia *Feldruf* był „*Kappe*”, a *Losung* „*Hatvan*”. Przy wagonie telefonicznym, wartownikiem, który miał sobie zapamiętać oba te słowa, był Polak z Kołomyi; do 91 pułku dostał się jakimś dziwnym trafem.

Oczywiście, że nie miał pojęcia, co to jest „*Kappe*”, ale ponieważ miał jaką taką skłonność do mnemotechniki, więc zapamiętał sobie tyle przynajmniej, iż słowo zaczyna się na „k” i brzmi jak: kawa. Gdy więc podporucznik Dub podszedł do niego i zapytał o *feldruf*, wartownik z wielką dumą odpowiedział: „*Kafe*”. Było to rzeczą całkiem naturalną, bo Polak z Kołomyi, słysząc to słowo, przypomniał sobie kawę, otrzymywaną w obozie w Brucku na śniadanie i na kolację.

Więc gdy jeszcze raz wrzasnął: „*Kafe*”, a podporucznik Dub, niezadowolony z odpowiedzi, zbliżał się do niego coraz bardziej, wówczas wartownik, pamiętny przysięgi i obowiązku strażującego żołnierza, krzyknął groźnie: „*Halt!*” — a gdy podporucznik zrobił jeszcze dwa kroki, ciągle domagając się *feldrufu*, żołnierz wymierzył przeciw niemu karabin, a nie umiejąc dobrze po niemiecku, krzychał przedziwną polsko-niemiecką mieszaniną:

— Będę szajsu, będę szajsu.

Podporucznik Dub zrozumiał, że się nie dogada, i zaczął się cofać.

— *Wachtkommandant! Wachtkommandant!* — krzyczał głośno.

Przybiegł plutonowy Jelinek, który rozstawiał warty, i zapytał o *feldruf*, a za nim znowu powtórzył pytanie podporucznik Dub. W odpowiedzi brzmiało po całej stacji wciąż to samo słowo: „*Kafe! Kafe!*”

Z wagonów zaczęli wyskakiwać żołnierze z menażkami w przekonaniu, że będzie wydawana kawa, i skończyło się na popłochu i zamieszaniu, a pocziwego wartownika rozbrojono i zaprowadzono do wagonu aresztanckiego.

Ale podporucznik Dub miał w podejrzeniu Szwejkę, że to on wywołał całe zamieszanie, bo jego pierwszego widział wychodzącego z wagonu z menażką i słyszał jego głos:

— Z menażkami po kawę! Z menażkami po kawę!

Po północy pociąg ruszył na Ladovce i Trebiszov, gdzie z rana przywitało go stowarzyszenie weteranów, które pomieszało sobie ten marszbatalion z 14 marszbatalionem węgierskiego pułku honwedów. Honwedzi przejechali przez stację jeszcze w nocy. Weterani podpili sobie z samego rana i swoim wrzaskiem „*Isten, áldmeg a kiraly!*” — zbudzili ze snu cały batalion. Kilku bardziej uświadomionych żołnierzy wychyliło się z wagonu ze słowem powitania:

— *Całujcie nas w dupę! Eljen!*

Na co znowu weterani odpowiedzieli wrzaskiem, aż okna w wagonach brzęczały:

— *Eljén! Eljén a tizenégyedik regiment!*

Po pięciu minutach pociąg jechał dalej na Humienne. Tu już jasno i wyraźnie widać było ślady walk z czasów, gdy Rosjanie ciągnęli ku dolinie Cisy. Na zboczach były prymitywne rowy strzeleckie, a tu i ówdzie sterczały zgliszcza siedzib, a świeżo przylegające do nich bruzdy świadczyły, że właściciele już wrócili.

Gdy pociąg przybył na stację, i na niej widać było ślady walk. Poczyniono szybko przygotowania do obiadu, a żołnierze mieli tymczasem sposobność przekonać się, jak władze austriackie postępują z mieszkańcami po ustąpieniu Rosjan spokrewnionych z tymi mieszkańcami religią i językiem.

Na peronie w otoczeniu węgierskich żandarmów stała gromadka zaaresztowanych Rusinów węgierskich. Śród nich było kilku popów, nauczycieli i chłopów z całej okolicy. Wszyscy mieli ręce powiązane z tyłu i spętani byli parami. Ludzie ci mieli przeważnie posiniaczone nosy i poranione głowy, bo zaraz po aresztowaniu zostali doraźnie obici przez żandarmów.

O parę kroków dalej jeden z żandarmów węgierskich bawił się aresztowanym popem. Uwiązał go na postronku za lewą nogę, postronek trzymał w rękę i kolbą popędzał popa, aby tańczył czardasza. Żandarm szarpał postronkiem, pop padał na nos, a ponieważ ręce miał związane w tyle, więc nie mógł wstać, robił rozpaczliwe wysiłki, aby się przewrócić na plecy i w ten sposób wstać z ziemi. Żandarma tak serdecznie bawił ten widok, iż zaśmiewał się do łez, a gdy pop już się podnosił, znowu szarpał postronkiem i pop znowu padał na nos.

Koniec tej scenie położył oficer żandarmerii, który rozkazał żandarmom, aby zanim nadejdzie pociąg, zaprowadzili aresztantów do pobliskiej szopy, gdzie mogą ich bić do woli, a nikt tego widzieć nie będzie,

O tym epizodzie w wagonie sztabowym zawiązała się rozmowa i rzecz można, że na ogół większość była przeciwko takiemu znęcaniu się nad ludźmi.

Podchorąży Kraus był zdania, że skoro już ci aresztowani są zdrajcami, to trzeba wiesztać ich na miejscu bez znęcania się nad nimi, natomiast podporucznik Dub nie miał nic przeciwko widzianej scenie i tłumaczył ją tak, że żandarmi mszczą się właśnie za zamach sarajewski, którego ofiarą padł arcyksiążę Franciszek Ferdynand i jego małżonka. Dla dodania powagi swoim słowom powiedział, że prenumerował pewne pismo, a w tym piśmie jeszcze przed wybuchem wojny w lipcowym numerze był artykuł o tym, iż bezprzykładna zbrodnia sarajewska pozostawia w sercach ludzkich niezagojoną ranę, tym boleśniejszą, że zbrodnia ta zniszczyła życie nie tylko przedstawiciela władzy wykonawczej państwa, lecz także pozbawiła życia jego wierną i ukochaną małżonkę. Zbrodnia ta zniszczyła szczęśliwe, przykładowe życie rodzinne i osierociła dzieci przez wszystkich ukochane.

Porucznik Lukasz mruknął pod nosem, że widać i tutaj ci żandarmi prenumerowali to samo pismo i czytawali ów wzruszający artykuł. W ogóle wszystko zaczynało budzić w nim głębokie uczucie wstrętu. Postanowił upić się, żeby uciec od weltschmerzu. Wyszedł z wagonu i szukał Szwejka.

— Słuchajcie, Szwejku — rzekł do niego — nie wiecie, gdzie można by tu dostać butelkę koniaku? Czuję się jakoś niedobrze.

— To wszystko, posłusznie melduję, panie oberlejtant, z powodu zmiany pogody. Może się zdarzyć, że gdy przybędziemy na front, to pan się będzie czuł jeszcze gorzej. Im bardziej oddala się człowiek od swojej pierwotnej bazy wojennej, tym mu słabiej we wnętrzu. Pewien ogrodnik ze Strasznic, Józef Kalenda, też się kiedyś oddalił od domu, poszedł ze Strasznic na Vinohrady, zatrzymał się w gospodzie „Na Przystanku” i czuł się jeszcze jako tako, ale gdy się znalazł na ulicy Koronnej, to począwszy od samego wodociągu nie opuszczał ani jednej gospody aż poza kościół Św. Ludmiły i słabł coraz bardziej. Ale się tym nie zrażał, bo w wigilię tego dnia założył się w knajpie „Pod Remizą” w Strasznicach z jednym tramwajarzem, że obejdzie świat dokoła w ciągu trzech tygodni. Oddalał się więc coraz bardziej od swego domu, aż dotarł do „Czarnego Browaru” na Placu Karola, a stamtąd poszedł na Małą Stranę do Św. Tomasza do piwiarni, następnie do restauracji „U Montagów”, do „Króla Brabanckiego”, a w końcu do browaru klasztoru strahovskiego. Ale w tych okolicach zmiana klimatu już mu się na dobre dawała we znaki. Dotarł aż do Placu Loretańskiego, a tam ogarnęła go nagle taka tęsknota za stronami rodzinnymi, że rzucił się na ziemię, tarzał się na chodniku i wrzeszczał: „Ludzie kochane, ja już dalej nie pójdę, ja, powiada, przepraszam pana oberlejtanta, na całą podróż dokoła świata gwizdę”. Ale jeśli pan sobie życzy, panie oberlejtant, to za koniakiem rozejrzeć się mogę. Tylko żeby mi tymczasem pociąg nie uciekł.

Porucznik Lukasz zapewnił go, że pociąg ruszy dopiero za dwie godziny, i powiedział mu, że koniak sprzedają potajemnie na butelki tuż za stacją, że kapitan Sagner posyłał tam już Matuszicza, który za 15 koron przyniósł butelkę przyzwoitego trunku. Więc daje mu oto 15 koron, ale w razie czego niech nie mówi, że to dla porucznika Lukasz, bo właściwie jest to rzecz zakazana.

— Niech pan będzie spokojny, panie oberlejtant — rzekł Szwejk — wszystko zrobię jak się patrzy, ponieważ ja bardzo lubię rzeczy zakazane. Tak mi się zawsze zdarzało, iż sam nie wiem jak, a znalazłem się raptem w czymś zakazanym. Pewnego razu w Koszarach Karlińskich nakazali nam...

— *Kebrt euch — marschieren — marsch!* — przerwał mu porucznik Lukasz.

Szwejk ruszył tedy przed siebie i wyszedł poza budynki stacyjne powtarzając sobie szczegóły swej wyprawy, a mianowicie, że koniak ma być dobry, więc naprzód trzeba go skosztować, że ta rzecz jest właściwie zakazana, więc trzeba być ostrożnym.

Gdy właśnie skręcał za peron, zetknął się znowu z podporucznikiem Dubem.

— Po co się tu szwendasz? Znasz mnie? — zapytał Szwejk.

— Posłusznie melduję — odpowiedział Szwejk salutując — że nie życzę sobie poznać pana ze złej strony.

Podporucznik Dub zdreptał ze zgrozy, ale Szwejk stał spokojnie z ręką przy daszku czapki i mówił dalej:

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że pragnę poznać pana tylko z pańskiej dobrej strony, żeby mnie pan nie zmusił do płaczu, jak mi to pan obiecywał.

Od takiego zuchwalstwa podporucznikowi Dubowi aż się w głowie zakręciło, ale zdobył się tylko na słowa pogróżki:

— Idź na zbity łeb, gałganie! Jeszcze z sobą pogadamy!

Szwejk wyszedł ze stacji, a podporucznik Dub, ochłoniwszy nieco, poszedł za nim. Za stacją, tuż przy szosie, stał szereg koszy ustawionych dnem do góry, na których leżały koszałki, w koszałkach były różne niewinne przysmaki, jakie zazwyczaj kupują dzieci szkolne. Były tam karmelki i cukierki różnych kształtów i rozmiarów, a także kawałki ciemnego chleba z plasterkami salami, najniewątpliwiej końskiego pochodzenia. Ale pod koszami stały butelki z różnymi napojami alkoholowymi: z koniakiem, arakiem, jarzębinówką i z innymi likierami i wódkami.

Tuż za rowem przydrożnym znajdowała się buda i właśnie w tej budzie załatwiano wszystkie niedozwolone transakcje alkoholowe.

Żołnierze umawiali się o wszystko przy tych koszach-kramikach, po czym Żyd wyjmował spod niewinnego kosza butelkę z wódką i pod kapotą przenosił ją do owej budy, gdzie znowu żołnierz chował ją w kieszeń u spodni lub pod bluzę.

Do jednego z tych kramików podszedł także Szwejk nie wiedząc, że jest śledzony przez detektywa tak utalentowanego jak podporucznik Dub.

Transakcję załatwił Szwejk natychmiast przy pierwszym kramiku. Kupił sobie najpierw cukierków, zapłacił za nie i schował do kieszeni, przy czym słyszał oczywiście, co mu mówił Żydek:

— *Schnaps hab'ich auch, gnädiger Herr Soldat.*

Targ był krótki. Szwejk wszedł do budy, ale nie śpieszył się z płaceniem, dopóki Żyd butelki nie otworzył i nie dał mu skosztować. Był wszakże z koniaku zadowolony, zapłacił i schowawszy butelkę pod bluzą, wracał na stację.

— Gdzieś ty się włóczył, łobuzie? — zapytał podporucznik Dub zastępując mu drogę.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że kupiłem sobie cukierków — Szwejk sięgnął do kieszeni i wyjął garść zakurzonych cukierków. — Gdyby się pan lejtnant nie brzydził... Ja już próbowałem, są nie najgorsze. Mają taki przyjemny osobliwy smak, jakby były nadziewane powidłami, panie lejtnant.

Pod bluzą widać było obłe kształty butelki. Podporucznik Dub poklepał Szwejka po bluzie:

— Co ty tu niesiesz, łobuzie jeden? Pokaż no!

Szwejk wyjął spod bluzy butelkę ze złocistym płynem i niedwuznaczną etykietą: „Cognac”.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant — odpowiedział Szwejk nie tracąc równowagi — że do tej butelki od koniaku nabrałem trochę wody do picia. Po tym gulaszu, cośmy go wczoraj jedli, mam jeszcze ciągle straszliwe pragnienie. Tylko że woda w tamtej pompie jest, jak pan widzi, taka żółtawa, widać żelazista. Takie żelaziste wody są bardzo zdrowe i pożyteczne.

— Jeśli masz takie pragnienie, Szwejku — rzekł podporucznik Dub uśmiechając się szatańsko i przedłużając scenę, którą, zdaniem jego, Szwejk przegrać musiał — to się napij, ale porządnie. Wypij wszystko od razu!

Podporucznik Dub był przekonany, że po paru łykach Szwejk nie będzie mógł pić dalej, a wówczas on, podporucznik, zatriumfuje nad nim i powie: „Podaj i mnie butelkę, abym się napił, bo i ja mam pragnienie”.

Co za minę zrobi w takiej chwili ten gałgan Szwejk i jak się będzie kręcił, gdy zostanie na niego złożony raport!

Szwejk odkorkował butelkę, przyłożył ją do ust i opróżniał łyk za łykiem. Podporucznik Dub zdrętwiał, bo Szwejk w jego oczach wypił całą butelkę koniaku nie skrzywiwszy się nawet, pustą butelkę wrzucił przez szosę do stawu, splunął i rzekł, jakby wypił szklanczkę wody mineralnej:

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że ta woda ma naprawdę smak żelazisty. W Kamyku nad Wełtawą pewien szynkarz robił dla swoich gości żelazistą wodę w ten sposób, że do studni wrzucał stare podkowy.

— Ja ci dam stare podkowy! Chodź razem ze mną i pokaż zaraz mi tę studnię, z której brałeś wodę.

— To niedaleko stąd, panie lejtnant, zaraz za tą drewnianą budą.

— Idź naprzód, ty nicponiu, żebyśmy widział, czy idziesz prosto.

„Dziwna rzecz — pomyślał podporucznik Dub. — Na tym niegodziwcu nie znać, że wypił tyle koniaku”.

Szwejk szedł tedy naprzód, zdany na wolę bożą, ale nie tracił nadziei, że tam gdzieś studnia będzie; i rzeczywiście była. Co więcej, była tam nawet pompa, a gdy do niej podeszli i Szwejk zaczął pompować, popłynęła z rury żółtawa woda. Szwejk odzyskał zupełną pewność siebie i wołał triumfując:

— To tu jest ta żelazista woda, panie lejtnant!

Wystraszony handlarz zbliżył się do nich, a Szwejk rzekł do niego po niemiecku, żeby przyniósł szklanczkę, bo pan lejtnant chce się napić.



Podporucznik Dub zgłupiał z tego wszystkiego, więc wypił pełną szklanekę wody, po której miał w ustach wyraźny smak końskiego moczu i gnojówki. Ale tak dalece stracił równowagę ducha, że za tę szklaneczkę wody dał Żydowi pięć koron, a zwracając się do Szwejka, fuknął na niego:

— Co się tu włóczyysz? Marsz na stację!

Po pięciu minutach Szwejk ukazał się w wagonie sztabowym, tajemniczymi znakami wyciągnął porucznika Lukasa na dwór i zameldował mu:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że za pięć, a najdalej za dziesięć minut będę kompletnie pijany i będę leżał w swoim wagonie, więc proszę pana, żeby pan mnie przynajmniej przez trzy godziny nie wołał i nie udzielał mi żadnego rozkazu, dopóki się nie wyśpię. Wszystko w porządku, ale mnie przyłapał pan podporucznik Dub, powiedziałem mu, że to woda, więc musiałem przed nim tę całą butelkę koniaku wypić, żeby go przekonać, że to woda. Wszystko jest więc w porządku, niczego nie zdradziłem, jak mi to pan oberlejtnant nakazał, i byłem bardzo ostrożny, ale teraz czuję już, że mi nogi drętwieć zaczynają. Oczywiście, posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że jestem do picia przyzwyczajony, bo z panem feldkuratorem Katzem...

— Idź precz, bestio! — krzyknął porucznik Lukasz, ale bez cienia gniewu. Natomiast podporucznik Dub stał mu się daleko bardziej nienawistny niż dotąd.

Szwejk wlaźł ostrożnie do swego wagonu i układając się na swoim płaszczu i tobołku, rzekł do sierżanta rachuby i do pozostałych:

— Pewnego razu schlał się jeden człowiek i prosił, żeby go nie budzili...

Po tych słowach przewrócił się na drugi bok i zaczął chrapać.

Gazy, jakie wydzielał jego organizm, szybko napełniły cały wagon. Kucharz Jurajda pociągnął nosem i delektując się zapachem, zadeklarował:

— Psiamać, tu koniak pachnie.

Przy składanym stole siedział jednoroczny ochotnik Marek, który po szeregu najróżniejszych przejść dochrapał się stanowiska kronikarza batalionu.

W tej chwili opisywał na zapas bohaterskie czyny batalionu, a po jego minie było widać, że to wybieganie w przyszłość sprawia mu wielką przyjemność.

Sierżant rachuby Vaniek z zainteresowaniem przyglądał się piszącemu Markowi, który śmiał się przy pisaniu od ucha do ucha. Wstał więc i pochylił się nad piszącym, który począł mu tłumaczyć:

— Okropny to szpas pisanie dziejów batalionu na zapas. Rzecz główna trzymać się systemu i postępować metodycznie. We wszystkim musi być ład i porządek.

— Systematyczny system — rzucił Vaniek uśmiechając się dość wzgardliwie.

— Tak jest — rzekł niedbale jednoroczny ochotnik — usystematyzowany systematyczny system potrzebny jest koniecznie przy pisaniu dziejów batalionu. Nie można od razu zaczynać wielkimi zwycięstwami. Wszystko musi iść pomalutku, według określonego planu. Nasz batalion nie może przecie wygrać tak raptownie tej wojny światowej. *Nibil nisi bene*. Dla takiego historyka, jak ja, rzeczą główną jest zrobienie naprzód planu naszych zwycięstw. Tutaj na przykład opisuję, jak nasz batalion, dajmy na to za dwa miesiące, o mały figiel że nie przekroczył granicy rosyjskiej, mocno strzeżonej przez pułki, przypuścmy, dońskie, podczas gdy kilka nieprzyjacielskich pułków okrążało nasze pozycje. Zrazu zdaje się, że nasz batalion jest zgubiony, ale w tej chwili kapitan Sagner wydaje rozkaz do batalionu: „Bóg nie chce, abyśmy tutaj zginęli. Uciekajmy!” Nasz batalion bierze więc nóżki za pas, ale nieprzyjacielska dywizja, która już była na naszych tyłach widząc, że właśnie pędzimy za nią, rzuca się do panicznej ucieczki i bez wystrzału wpada w ręce rezerw naszej armii. Od tego właśnie zacznie się cała historia naszego batalionu. Z tych skromnych wydarzeń, iż wyrażę się stylem proroczym, rozwiną się rzeczy doniosłe. Batalion nasz pójdzie od zwycięstwa do zwycięstwa. Ciekawe będzie, jak to nasz batalion zaskoczy śpiącego nieprzyjaciela. Do opisu takich wydarzeń potrzeba stylu ilustrowanego „Sprawozdawcy Wojennego”, który wychodził podczas wojny rosyjsko-japońskiej nakładem Wilimka. Nasz batalion zaskoczy więc śpiącego nieprzyjaciela. Każdy żołnierz upatrzy sobie jednego z nieprzyjaciół i z całej siły wbije mu bagnet w piersi. Bajecznie wyostrzony bagnet wjedzie w pierś jak w masło i tylko tu i ówdzie trzaśnie łamane żebro, śpiący nieprzyjaciele miotają się i wiją, wytrzeszczają zdziwione oczy, charczą i sztywnieją.

Śpiącym nieprzyjaciółom pokazują się na ustach krwawe śliny, sprawa jest załatwiona, nasz batalion odniósł zwycięstwo. Jeszcze lepiej będzie za jakie trzy miesiące, gdy batalion nasz weźmie do niewoli rosyjskiego cara. Szczegóły tego wydarzenia opowiem wszakże nieco później, bo tymczasem muszę sobie przygotować na zapas nieco epizodów świadczących o bezprzykładnym bohaterstwie naszych żołnierzy. Będę musiał stworzyć zgoła nowe terminy wojenne. Jeden taki termin już sobie wymyśliłem. Będę pisał o ofiarnej dzielności naszych żołnierzy, naszpikowanych odłamkami granatów. Skutkiem wybuchu nieprzyjacielskiej miny jeden z naszych plutonowych, powiedzmy 12 czy 13 kompanii, straci głowę.

Ale, a propos — rzekł jednoroczny ochotnik uderzając się w czoło — bez mała byłbym zapomniął, panie rechnungsfeldfel, czyli po ludzku mówiąc, panie Vaniek, że ma mi pan dostarczyć spisu wszystkich szarż. Proszę mi wymienić jakiego plutonowego 12 kompanii. Houska? Dobrze, niech sobie będzie Houska. To on straci głowę przy wybuchu miny. Głowa odleci na bok, ale ciało jego zrobi jeszcze parę kroków i zestrzeli nieprzyjacielski aeroplan. Rzecz prosta, że takie zwycięstwa będą obchodzone w rodzinnym kółku cesarskim w Schönbrunnie. Austria ma bardzo wiele batalionów, ale tylko jeden batalion się wyróżni, to jest nasz, i właśnie na jego cześć odbędzie się mała rodzinna uroczystość w domu cesarskim. Wyobrażam to sobie w swoich zapiskach tak, że arcyksiężca rodzina Marii Walerii przeprowadzi się w tym celu z Wallsee do Schönbrunnu. Uroczystość ta będzie zgoła intymna i odbywać się będzie w sali sąsiadującej z sypialnią cesarską, oświetloną białymi świecami woskowymi, albowiem, jak wiadomo, na dworze nie lubią lampek elektrycznych obawiając się krótkiego spięcia. O godzinie szóstej wieczorem zacznie się ta uroczystość ku czci i chwale naszego batalionu. W tej chwili do sali zostają wprowadzone wnuki jego cesarskiej mości, a sala ta należy właściwie do apartamentów zmarłej cesarzowej. Powstaje kwestia, kto ma być obecny prócz rodziny cesarskiej. Oczywiście, że musi być obecny i będzie obecny generał adiutant monarchy, hrabia Paar. Ponieważ podczas takich rodzinnych uroczystości robi się czasem któremu z uczestników słabo, chociaż nie chcę bynajmniej twierdzić, że hrabia Paar porzyga się koniecznie, pożądana jest obecność lekarza przybocznego, radcy dworu doktora Kerzla. Dla porządku, aby na przykład lokaje dworscy nie pozwolili sobie na jakieś poufałości w stosunku do dam dworu, biorących udział w uroczystości, przybywa najwyższy ochmistrz, baron Lederer, podkomorzy hrabia Bellegarde i najwyższa dama dworu hrabina Bombelles, która wśród dam dworu odgrywa taką samą rolę, jaką w zamtuziku „U Szuhów” odgrywa madam. Gdy dostojne towarzystwo już się zebrało, powiadomiono o tym cesarza, który ukazał się następnie w towarzystwie swoich wnuków, zasiadł przy stole i wznosił toast na cześć naszego marszbatalionu. Po nim zabrała głos arcyksiężna Maria Waleria, która z wielkimi pochwałami odzywa się osobliwie o panu, panie rechnungsfeldfel. Oczywiście, że według notatek moich nasz marszbatalion ponosi ciężkie i dotkliwe straty, ponieważ batalion bez zabitych to nie żaden batalion. Trzeba będzie napisać jeszcze nowy artykuł o naszych poległych. Dzieje batalionu nie mogą się składać jedynie z suchych relacji o zwycięstwach, których przygotowałem już przeszło czterdzieści. Pan, panie Vańku, zginiesz na przykład nad małą rzeczulką, a znowuż Baloun, który tak dziwnie wytrzeszcza na nas oczy, nie zginie ani od kuli karabinowej, ani od szrapnela, czy też granatu, lecz umrze śmiercią zgoła osobliwą. Uduszony zostanie za pomocą lassa, zarzuczonego mu na szyję z aeroplanu nieprzyjacielskiego w chwili, gdy pożerać będzie obiad swego oberlejtanta Lukasa,

Baloun cofnął się, rozpaczliwie zamachał rękoma i westchnąwszy powiedział:

— Czy ja temu winien, że mam taki charakter? Jeszcze za dawnych czasów, kiedym odslugiwał wojsko, to nieraz po kilka razy chodziłem do kuchni po obiad, dopóki mnie nie wsadzili do paki. Pewnego razu wyfasowałem na obiad trzy żeberka i z powodu tych żeber siedziałem miesiąc. Niech się dzieje wola boża.

— Nie bójcie się, Balounie — pocieszał go jednoroczny ochotnik — w dziejach batalionu nie będzie mowy o tym, że zginęliście w drodze z kuchni oficarskiej do okopów. Będziecie wymieniony razem z innymi bohaterami naszego batalionu jako jeden z tych, którzy polegli na chwałę monarchii, jak na przykład sierżant rachuby Vaniek.

— A jaką śmierć przeznacza pan mnie, panie Marek?

— Niech pan się tak bardzo nie śpieszy, panie rechnungsfeldfelbel, bo tak szybko nie można.

Jednoroczny ochotnik zamyślił się i mówił dalej:

— Pochodzisz pan z Kralup, prawda? Więc pisz pan do domu do Kralup, że znikniesz pan bez śladu, ale pisz pan ostrożnie. Czy może pragniesz pan otrzymać ciężką ranę i leżeć przed zasiekami z drutu kolczastego? Możesz pan sobie z przetrąconą nogą w taki sposób przeleżeć ślicznie i ładnie cały dzień. W nocy nieprzyjaciel reflektorem oświetli nasze pozycje i zauważy pana. Pomyśli, że pan pełni służbę wywiadowczą, i zacznie walić w pana granatami i szrapnelami. Dokona pan dla naszego wojska niesłychanie wiele, ponieważ nieprzyjaciel zużyje na pana taką masę amunicji, jakiej potrzeba na cały batalion, a szczątki pańskie, rozlatujące się w powietrzu na wszystkie strony, śpiewać będą pieśń wielkiego zwycięstwa. Jednym słowem, każdy doczeka się swej kolejki i każdy się odznaczy, tak że karty dziejów naszego batalionu jaśnieć będą zwycięstwami pełnymi chwały. Nie chciałbym gromadzić zbyt wiele materiału, ale trudna rada, wszystko musi być wykonane dokładnie, aby pozostała po nas jaka taka pamiątka, zanim, powiedzmy, w miesiącu wrześniu nie pozostanie po nas zgoła już nic, prócz tych świetnych kart, które przemawiać będą do serc Austriaków, że wszyscy ci, którzy już nigdy nie ujrzą swoich stron rodzinnych, bili się dzielnie i mężnie. Zakończenie tego nekrologu już ułożyłem, panie Vaňku. Cześć i chwała poległym. Ich miłość dla monarchii jest miłością najświętszą, albowiem nie cofnęła się przed śmiercią. Imiona ich niechaj będą wymawiane ze czcią, jak na przykład imię Vaniek. Ci zaś, którzy w poległych stracili żywicieli, niechaj z uczuciem dumy otrą łzy, albowiem polegli należą do bohaterów naszego batalionu.

Telefonista Chodounsky i kucharz Jurajda z wielkim zainteresowaniem słuchali zmyślonej a sławnej historii batalionu.

— Przybliżcie się, panowie — rzekł jednoroczny ochotnik przerzucając kartki swoich zapisków. — Oto stronica piętnasta: „Telefonista Chodounsky poległ 3 września równocześnie z kucharzem batalionu Jurajdą”. A oto dalsze moje zapiski: „Bezprzykładne bohaterstwo. Chodounsky z narażeniem własnego życia uratował druty telefonu w swoim schronie, pełniąc służbę przez trzy dni bez przerwy. Jurajda natomiast, widząc niebezpieczeństwo okrążenia oddziału przez nieprzyjaciela zachodzącego od skrzydła, z kotłem gotującej się zupy rzuca się na wrogów siejąc wśród nich zgrozę i oparzeliny. Piękną śmierć ponieśli. Pierwszy został rozszarpany przy wybuchu miny, drugiego udusiły gazy trujące, które podsunęto mu pod sam nos, gdy biedak już nie miał czym się bronić. Obaj giną z okrzykiem: »*Es lebe unser Bataillonskommandant!*« Dowództwo armii dzień w dzień wydaje rozkazy z podziękowaniem dla nas, aby i inne oddziały wojska dowiedziały się o dzielności naszego batalionu i brały nas sobie za przykład”. Mogę wam przeczytać wyjątek z rozkazu do armii, który odczytywany będzie po wszystkich oddziałach armii, a który bardzo jest podobny do owego rozkazu arcyksięcia Karola, gdy w roku 1805 stał z wojskiem pod Padwą i nazajutrz po tym rozkazie dostał porządne lanie. Słuchajcie więc, co się będzie odczytywało o naszym batalionie jako o przykładnie bohaterskim oddziale: „...Mam nadzieję, że cała armia weźmie sobie przykład z wyżej wymienionego batalionu, osobliwie zaś, że przyswoi sobie tego ducha samodzielności i zaufania we własne siły, przewyciężając wszystkie niebezpieczeństwa, że przejmie się duchem bezprzykładnego bohaterstwa, miłości i zaufania względem swoich przełożonych, które to cnoty, wyróżniające ów batalion, prowadzą go do czynów godnych podziwu, ku szczęściu i pomyślności naszego państwa. Niech wszyscy idą za tym przykładem!”

Z miejsca, na którym leżał Szwejk, ozwało się ziewnięcie i dały się słyszeć słowa mówione przez sen:

— Ma pani rację, pani Müllerowo, że ludzie są do siebie podobni. W Kralupach budował pompy niejaki pan Jarosz, a ten Jarosz podobny był do zegarmistrza Lejhanza z Pardubic, jakby był jego bratem rodzonym, a ten zegarmistrz przypominał znowu pana Piskora z Jiczina, a wszyscy razem podobni byli do nieznanego samobójcy, którego mocno już zgniętego znaleziono w stawie koło Jindrlichova Hradca, akurat koło kolei, gdzie się ten samobójca zapewne rzucił pod pociąg. — Dało się słyszeć nowe ziewnięcie i takie oto słowa: — Potem ich wszystkich skazali na wysoką grzywnę, a jutro niech mi pani Müllerowa ugotuje na obiad makaron.

Szwejk przewrócił się na drugi bok i chrapał dalej, gdy między kucharzem-okultystą Jurajdą a jednorocznym ochotnikiem wywiązała się dyskusja dotycząca rzeczy przyszłych. Okultysta Jurajda był zdania, że chociaż na pierwsze spojrzenie wydaje się to być głupstwem, gdy człowiek pisze o rzeczach przyszłych, to jednak pewne jest, że i takie głupstwa zawierają fakty prorocze, gdy człowiek okiem ducha przenika tajemnicze siły, przesłaniające przyszłość. Od tego słowa poczynając Jurajda mówił dużo o jakichś tajemniczych zasłonach. Co zdanie, to zasłona przyszłości, aż wreszcie przeszedł do tematu regeneracji, czyli do odnawiania się ludzkiego ciała, zmieszał to ze zdolnością odnawiania ciała u wymoczków i zakończył wywodem, że każdy może urwać jaszczurce ogon, a ogon odrośnie.

Na to zauważył telefonista Chodounsky, że ludzie obrywaliby się po kawalczku, gdyby u nich było tak samo, jak jest z ogonem jaszczurki. Byłoby dobrze. Na przykład dla administracji wojskowej byłoby to bardzo pożądane: jednemu kula urwie głowę, drugiemu inną część ciała i pełno jest inwalidów, a tak już by żadnych inwalidów nie było. Jeden taki austriacki żołnierz, któremu stale odrastałyby ręce, nogi, głowa, byłby więcej wart niż cała brygada.

Jednoroczny ochotnik zadeklarował, że dzisiaj skutkiem udoskonalonej techniki wojennej można nieprzyjaciela rozerwać gładko i składnie na dwie, a nawet trzy części w poprzek. Śród wymoczków każda rozdwojona część zaczyna żyć całkiem samodzielnie; otrzymuje własny organizm i żyje sobie na własną ręką. Gdyby tak samo było z ludźmi, to po każdej bitwie austriackie wojsko stawałoby się dwukrotnie, trzykrotnie, a nawet dziesięciokrotnie liczniejsze, bo do każdej oderwanej nogi przyrósłby nowy szeregowiec.

— Gdyby tę rozmowę słyszał Szwejk — zauważył sierżant rachuby Vaniek — to na pewno przytoczyłby nam niejeden stosowny przykład.

Szwejk zareagował na dźwięk swego imienia mruknięciem: „*Hier*”, i chrapał dalej, uczyniwszy zadość dyscyplinie wojskowej.

W uchylonych drzwiach wagonu ukazała się głowa podporucznika Duba.

— Czy jest tu Szwejk? — zapytał.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że śpi — odpowiedział jednoroczny ochotnik.

— Gdy pytam o Szwejka, panie jednoroczny ochotniku, to masz pan skoczyć i zawołać mi go.

— Tego uczynić nie mogę, panie lejtnant, bo on śpi.

— To go trzeba obudzić. Aż mi dziwno, że jednoroczny ochotnik sam na taki koncept nie wpadnie. Trzeba przecie okazywać swoim przełożonym więcej usłużności. Jeszcze wy mnie nie znacie, ale gdy mnie poznacie...

Jednoroczny ochotnik zaczął budzić Szwejka.

— Wstawaj, Szwejku, pali się.

— Jak się onego czasu paliły młyny odkolkovskie — mruczał Szwejk przewracając się na drugi bok — to strażacy przyjechali aż z Vysoczan...

— Sam pan widzi, panie lejtnant — rzekł uprzejmie jednoroczniak zwracając się do podporucznika Duba — że go budzę, ale to ciężka sprawa.

Podporucznik Dub się rozzłościł.

— Jak się nazywacie, jednoroczny ochotniku? — zapytał. — Marek? Aha, to ten jednoroczny ochotnik Marek, co to ciągle siedział w areszcie, prawda?

— Prawda, panie lejtnant. Odbyłem swój jednoroczny kurs, że tak powiem, w kryminale, ale zostałem zdegradowany, to jest uwolniono mnie przez sąd dywizyjny, gdzie niewinność moja wyszła na jaw, zostałem mianowany batalionsgeschichtsschreiberem z pozostawieniem mnie w randze jednorocznego ochotnika.

— Zbyt długo nim nie będziecie — rzekł podporucznik Dub purpurowiejąc ze złości, jakby mu twarz czerwieniała po niedawnym obiciu — już ja się o to postaram.

— Proszę pana, panie lejtnant, o wezwanie mnie do raportu — rzekł z powagą jednoroczny ochotnik.

— Tylko ze mną nie igrajcie! — rzekł podporucznik Dub. — Ja wam dam raport. My się z sobą jeszcze spotkamy, ale miło wam nie będzie, bo mnie wtedy poznacie, jeśli mnie jeszcze nie znacie.

Podporucznik Dub oddał się od wagonu rozzłoszczony zapomniawszy we wzburzeniu o Szwejku, aczkolwiek jeszcze przed chwilą miał zamiar zbudzić Szwejka, kazać mu

stanąć przed sobą i rzec: „Chuchnij na mnie!” — aby spróbować ostatniego sposobu ustalenia jego nielegalnego alkoholizmu. Potem było już za późno; gdy bowiem po pół godzinie podporucznik znowu podszedł do wagonu, szeregowcom rozdano tymczasem czarną kawę z arakiem, Szwejk już nie spał i na wezwanie podporucznika Duba jak jelonek wyskoczył z wagonu.

— Chuchnij na mnie! — wrzasnął na niego podporucznik Dub.

Szwejk wionął na niego całym zapachem swoich płuc, jakby na pola powiał wiatr od gorzelnii.

— Czym ciebie, drabie, czuć?

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że mnie czuć arakiem.

— Więc widzisz, mój gagatku — zwycięsko zawołał podporucznik Dub — że narzecie cię złapałem.

— Tak jest, panie lejtnant — rzekł Szwejk bez jakiegokolwiek zaniepokojenia — bo akurat fasowaliśmy arak do kawy, a ja naprzód wypilem arak. A jeśli wyszło jakie nowe rozporządzenie, że naprzód trzeba pić kawę, a dopiero potem arak, to przepraszam pana i na przyszłość zastosuję się do rozkazu.

— A czemuś tak chrapał, kiedym przed półgodziną był przed wagonem? Nie można było zbudzić cię.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że całą noc nie spałem, ponieważ wspominałem sobie czasy, kiedyś mieli manewry pod Vesprimem. Wtedy pierwszy i drugi korpus armii maszerował przez Styrię i Węgry zachodnie, a nas okrążył czwarty korpus, który obozował w Wiedniu i okolicach, gdzie mieliśmy umocnienie, ale oni nas okrążyli i dostali się aż do mostu zbudowanego przez pontonierów z prawego brzegu Dunaju. My mieliśmy robić ofensywę, a na pomoc miały nadejść wojska z północy, a następnie także z południa, od Osjaku. Odczytali nam w rozkazie, że na pomoc zdąża nam trzeci korpus armii, żebyśmy nie zostali rozbici między jeziorem Błotnem a Preszburgiem, gdy wyruszymy przeciwko drugiemu korpusowi armii. Ale na nic nam się to nie zdało; właśnie wtedy, kiedyś już już wygrywali, trębacz zatrąbili i zwyciężyli tamci, z białymi opaskami.

Podporucznik Dub nie rzekł ani słowa i oddalił się zakłopotany. Kręcił głową, ale niebawem zawrócił od wagonu sztabowego i rzekł do Szwejka:

— Zapamiętajcie sobie wszyscy, że przyjdzie taki czas, iż będziecie skowyczeć przede mną.

Na nic więcej się nie zdobył i poszedł do wagonu oficerskiego, gdzie kapitan Sagner przesłuchiwał akurat jakiegoś nieszczęśnika z 12 kompanii, przyprowadzonego przez sierżanta Strnada. Ów badany nieszczęśnik już obecnie zaczął się troszczyć o swoje bezpieczeństwo w okopach i skądś ze stacji przywłókł sobie drzwiczki od świńskiego chlewu obite blachą. Stał przed kapitanem wystraszony, z wytrzeszczonymi oczami, tłumacząc się, że chciał zabrać te drzwiczki z sobą do okopów jako ochronę przeciwko szrapnelom, bo chciał się zabezpieczyć.

Sposobności tej użył podporucznik Dub do wygłoszenia wielkiego kazania o tym, jak się ma zachowywać żołnierz, jakie są jego obowiązki wobec ojczyzny i monarchy, który jest najwyższym wodzem i panem armii. Skoro istnieją w batalionie takie żywioly, to trzeba je wytępić, ukarać i aresztować. Głędzenie podporucznika było tak dalece wstrętne, że kapitan Sagner poklepał przestępcę po ramieniu i rzekł:

— No, zamiar był dobry, ale głupi. Na przyszłość takich głupstw nie róbcie, drzwiczki odnieście na swoje miejsce i wynoście mi się do wszystkich diabłów.

Podporucznik Dub zacisnął zęby i postanowił czuwać uważając, że już od niego tylko zależy zabezpieczenie rozkładającej się dyscypliny batalionu. Dlatego jeszcze raz obszedł wszystkie okolice stacji i koło magazynu, na którym był napis, że nie wolno tam palić, znalazł żołnierza czytającego gazetę. Żołnierz siedział i tak był osłonięty gazetą, że nie było widać, co to za jeden. „*Habtacht!*” — krzyknął na niego podporucznik Dub, ale nie zdało się to na nic, bo żołnierz należał do pułku węgierskiego stojącego tam w rezerwie.

Wściekły podporucznik zatrzęsł żołnierzem, ten podniósł się, ale nie uznał za potrzebne nawet zasalutować, wsadził gazetę do kieszeni i powłókł się w stronę szosy. Podporucznik Dub ruszył za nim oszołomiony, ale węgierski żołnierz przyśpieszył kroku,

a następnie odwróciwszy się, z drwiącym uśmiechem podniósł ręce do góry, aby podporucznik ani przez chwilę nie wątpił, iż został poznany jako oficer jednego z pułków czeskich. Po chwili żwawy Madziar zniknął między bliskimi domami przy szosie.

Podporucznik Dub, pragnąc widać pokazać, że z tą sceną nie ma nic wspólnego, majestatycznie wszedł do małego kramiku przy szosie, zmieszany wskazał dużą szpulkę czarnych nici, wsadził ją do kieszeni, zapłacił i powrócił do wagonu sztabowego, gdzie ordynansowi batalionu kazał, aby mu przyprowadził jego służącego Kunerta.

— O wszystkim muszę pamiętać ja sam. Z pewnością zapomniałeś o niciach — rzekł podając służącemu szpulkę.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że mamy cały tuzin szpulek.

— Natychmiast mi je pokażcie, i to na jednej nodze! Czy wy myślicie, że ja wam wierzę?

Kiedy Kunert wrócił z całym pudełkiem nici białych i czarnych, podporucznik Dub rzekł do niego:

— Przyjrzyj się, drabie, dobrze tym niciom. Popatrz na szpuleczki, któreś ty kupował, i na tę dużą szpulkę, którą ja przyniosłem. Widzisz, jakie twoje niteczki są cienkie i jak łatwo je przerwać, a moje grube i mocne? W wojsku nie potrzebna tandeta, bo wszystko musi być jak się patrzy. Więc zabierz te wszystkie nici, czekaj moich rozkazów i pamiętaj, żebyś mi na drugi raz nic nie robił na własną rękę i żebyś się o wszystko pytał, gdy chcesz coś kupować. Nie pragnij mnie poznać. Jeszcze mnie nie znasz ze złej strony.

Kiedy Kunert odszedł, podporucznik Dub zwrócił się do porucznika Lukaszka:

— Mój pucybut jest człowiekiem bardzo inteligentnym. Czasem zrobi jakiś błąd, ale na ogół jest bardzo pojętny. Najważniejsze, że jest bezwzględnie uczciwy. Szwagier mój mieszkający na wsi przysłał mi do Brucku kilka pieczonych gąsek. Kunert nie tknął ich, a ponieważ nie zdążyłem zjeść ich sam, zepsuły się, zaśmierdły. Jest to oczywiście sprawa dyscypliny. Oficer musi swoich żołnierzy wychowywać.

Porucznik Lukasz, chcąc okazać, że nie słucha głędzenia tego idioty, odwrócił się ku oknu i rzekł:

— Istotnie, dzisiaj środa.

Podporucznik Dub, odczuwając potrzebę gadania, zwrócił się do kapitana Sagnera i zaczął tonem koleżeńskim i poufałym:

— Słuchajcie, panie kapitanie, co sądzicie...

— Przepraszam na chwileczkę — rzekł kapitan Sagner i wyszedł z wagonu.

\*

Tymczasem Szwejk z Kunertem opowiadali sobie o podporuczniku Dubie.

— Gdzie siedziałeś tak długo, że cię wcale widać nie było? — pytał Szwejk.

— Co tu dużo gadać — odpowiedział Kunert. — Z tym moim starym idiotą mam dużo roboty. Co chwila woła człowieka i pyta o rzeczy, które nikogo nic nie obchodzą. Pytał mnie także, czy się z tobą przyjaźnię, a ja mu odpowiedziałem, że widzimy się bardzo rzadko.

— To bardzo pięknie z jego strony, że pyta o mnie. Ja go bardzo lubię, tego twojego lejtnanta. Taki jest miły, poczciwy i dla żołnierzy jak ten ojciec rodzony — mówił Szwejk z wielką powagą.

— Tak ci się zdaje — zastrzegł się Kunert — ale to niezgorsza świnią, a głupi jak gówno. Już go mam po dziurki w nosie, bo mnie stale szykanuje.

— Dałbyś spokój, bracie — uspokajał go Szwejk. — Myślałem zawsze, że to naprawdę taki zacny, poczciwy człowiek, a ty tak jakoś dziwnie się wyrażasz o swoim lejtnancie. Ale to już wrodzone u wszystkich pucybutów. Taki na przykład pucybut majora Wenzla, to się o swoim panu nie wyrazi inaczej, tylko wciąż powtarza, że ten jego major to kawał idiotycznego bałwana, a gdy pucybut pułkownika Schrödera mówi o swoim przełożonym, to go nazywa zaszczańą pokraką i cuchnącym śmierdzielem. Pochodzi to stąd, że każdy ordynans nauczył się takich rzeczy od swego pana. Gdyby panowie nie pyskowali, toby służący ich wyzwisk nie powtarzali. W Budziejowicach był w służbie aktywnej lejtnant Prochazka, który pucybuta nie wyzywał, ale mówił do niego krótko: „Ty krowo wspaniała”. Innego wyzwiska jego pucybut, niejaki Hibman, nigdy z jego ust nie słyszał.

Otóż ten Hibman tak się do tego wyzwiska przyzwyczaił, że gdy powrócił z wojska do domu, to do ojca, matki i siostr mówił: „Ty krowo wspaniała”. Tak samo odezwał się do swojej narzeczonej, która się o to na niego pogniewała, zerwała z nim i zaskarżyła go do sądu o obrazę, ponieważ takimi słowami odezwał się do niej, do ojca i matki na jakiejś zabawie publicznej. I nie darowała mu, a przed sądem wywodziła, że gdyby ją był nazwał krową gdzieś na uboczu, toby poszła na zgodę, ale takie publiczne słowo to wstyd europejski. Między nami mówiąc, Kunercie, nigdy bym sobie nie wyobrażał, że i twój lejtnant taki sam jak inni. Na minie zrobił ogromnie dobre wrażenie już wówczas, gdy rozmawiałem z nim po raz pierwszy; był taki miły jak kielbaski prosto z wędzarni. Przy drugiej rozmowie wydał mi się człowiekiem bardzo czytany, pełnym życia i polotu. A ty skąd właściwie pochodzisz? Prosto z Budziejowic? Bardzo lubię, gdy ktoś pochodzi prosto skądciś. A gdzie mieszkasz? W podcieniach? No to dobrze, bo w lecie masz cień. Żonatyś? Żona, powiadasz, i troje dzieci? No toś szczęśliwy, kolego, przynajmniej będzie miał kto ciebie oplakiwać, jak mawiał zawsze w swoich kazaniach feldkurat Katz. Feldkurat miał rację, bo taką samą mowę wygłosił pewien oberst do landwerzystów w Brucku, gdy odjeżdżali do Serbii. Dowodził, że gdy taki landwerzysta polegnie, to zrywa wprawdzie wszystkie stosunki łączące go z rodziną, ale to nic nie szkodzi. Ten pan oberst mówił mniej więcej tak: „Kiedy solnirz sabita, to familie sabita, już nie ma solnirz rodzina ani swionski szadny, ale ma fiency, bo jest *Held*, ponieważ on *bat* swój sicie *geopfert* za fięksi familia za *Vaterland*”. Na czwartym piętrze mieszkasz czy na pierwszym? Ano, masz rację, teraz sobie przypominam, że na budziejowickim rynku nie ma ani jednego domu czteropiętrowego. Gdzie tak lecisz? Aha, twój pan oficer stoi przed sztabowym wagonem i spogląda tutaj. Gdyby cię zapytał, czy o nim nie mówiłem, to mu powiedz szczerą prawdę, że i owszem, ale nie zapomnij dodać, że mówiłem o nim bardzo ładnie i że mało kiedy spotykałem takich oficerów, którzy zachowaliby się wobec żołnierzy tak po przyjacielsku i po ojcowsku jak on. Nie zapomnij mu powiedzieć, iż zdaje mi się być bardzo czytany i taki, uważasz, inteligentny. I dodaj jeszcze, że cię napominałem, żebyś był grzeczny i żebyś szybko spełniał wszystkie życzenia, jakie wyczytasz w jego oczach. Nie zapomnisz?

Szwejk wrócił do wagonu, a Kunert z niemi poszedł do swego legowiska.

Po kwadransie pociąg jechał dalej do Nowej Czabyni przez pogorzelska wsi Brestow i Wielki Radvan. Widać było, że walczone tu do upadłego.

Podnóża i zbocza gór karpackich były pobrużdżone rowami strzeleckimi, ciągnącymi się z doliny do doliny wzdłuż toru, którego szyny poukładane były na nowych podkładach. Po obu stronach widniały głębokie wyrwy od granatów. Tu i ówdzie na rzeczulkach i strumieniach, będących dopływami Mezilaborca, widać było nowe mosty i opalone belki starych mostów. Pociąg biegł równoległe z rzeką.

Cała dolina Mezilaborca była rozorana i skopana, jakby tu pracowały wielkie stada olbrzymich kretów. Szosa za rzeką była poszarpana i zryta na wszystkie strony, tylko miejscami widać było udeptane drogi, którymi waliły wojska.

Nawałnice i deszcze potworzyły w wyrwach sadzawki, a dokoła nich wszędzie leżały strzępy austriackich uniformów.

Za Nowa Czabynią na starej, opalanej sośnie wisiał śród płataniny gałęzi but jakiegoś austriackiego piechura z częścią goleni.

Widziało się tu lasy bez liści i bez igliwia, bo wszystko pozmiatał ogień artyleryjski; tu i ówdzie stały drzewa bez koron, popalone samotne gospodarstwa.

Pociąg jechał powoli, bo tory kolejowe były świeżo zbudowane na nowych nasypach, więc batalion miał czas dokładnie przypatrzeć się skutkom uciech wojennych. Spoglądając na cmentarze wojskowe, usiane białymi krzyżami po płaszczyznach i spustoszonych zboczach, batalion przygotowywał się powoli, ale nieodmiennie do wkroczenia na pole chwały, która to chwała kończy się zabloconą austriacką czapką, powiewającą strzępami na białym krzyżu.

Niemcy z Kasperskich Gór, ulokowani w ostatnich wagonach, jeszcze w Michalovcach na stacji ryczeli: „*Wann ich kumm, wann ich wiewa kumm...*” — ale od Humiennego zamilkli i zamyślili się snadź nad tym, że niejeden z tych, których czapki widać na grobach, także śpiewał o tym, jak to będzie ładnie, gdy się wróci do domu, aby na zawsze pozostać przy swojej wybranej.

Koło Mezilaborca był przystanek za rozbitym i spalonym dworcem, z którego zgłiszcz sterczały poskręcane żelazne trawersy.

Nowy długi drewniany barak, naprędce zbudowany koło spalonego dworca, był oblepiony plakatami we wszystkich językach: „Subskrybujcie austriacką pożyczkę wojenną”.

W drugim podobnym baraku znajdował się nawet punkt Czerwonego Krzyża. Wyszły stamtąd dwie siostry z otłym lekarzem wojskowym i śmiały się hałaśliwie z dowcipów pana doktora, który naśladował różne głosy zwierzęce i nieudanie chrząkał jak świnia.

Pod nasypem kolejowym, w dolinie nad potokiem, leżała rozbita kuchnia. Wskazując na nią, rzekł Szwejk do Balouna:

— Patrzajcie, Balounie, co nas czeka w niedalekiej przyszłości. Właśnie mieli wydawać jedzenie, gdy wtem nadleciał granat i oto tak kuchenkę urządził.

— To straszne! — westchnął Baloun. — Nigdy dotychczas nie pomyślałem, że spotka mnie coś podobnego, ale moja to wina, bo sobie, drań stary, kupiłem ostatniej zimy w Budziejowicach skórkowe rękawice. Taka pycha mnie rozparła. Nie dość mi było nosić na dwóch wiejskich łapskach stare plecione rękawice, jakie nosił nieboszczyk ojciec, i ciągle mi się zachciewało takich miejskich rękawiczek skórkowych. Ojciec jadał pęczak, a ja na takie rzeczy, jak na przykład groch, nawet patrzeć nie mogę, tylko drobiu mi się zachciewa. Zwyczajny schab też mi się nie bardzo podobał i moja stara musiała mi go przyrządzać, Boże odpuść winy, na piwie.

Z wyrazem najczarniejszej rozpaczyny Baloun zaczął odprawiać generalną spowiedź.

— Ja przecież bluźniłem świętym Pańskim wybrańcom i wybrankom na Malszy w karczmie, a w Dolnym Zagaju spralem wikarego. W Boga jeszcze wierzyłem, to trzeba powiedzieć, ale co do świętego Józefa, to już zaczynałem powątpiewać. Wszystkich świętych jeszcze ścierpiałem w mieszkaniu, ale obrazek świętego Józefa kazałem wyrzucić, więc teraz karze mnie Pan Bóg za moje grzechy i za moją niemoralność. Ilu i jakich niemoralnych uczynków nadopuszczałem się w swoim młynie, jak często przejechałem się po teściu, czyniąc gorzkim jego dożywocie, i jak bardzo szykanowałem żonę.

— Wyście młynarz, prawda? — rzekł Szwejk w zamyśleniu. — To powinniście byli wiedzieć, że młyny boże miały powoli, ale nieodmiennie, i że z waszej winy wybuchnie ta wojna światowa.

Do rozmowy wtrącił się jednoroczny ochotnik Marek:

— Na tych bluźnierstwach, Balounie, i na nieuznawaniu wszystkich wybrańców i wybranek Pańskich wyjdziecie kiepsko, bo trzeba przecie pamiętać, że nasza armia austriacka jest już od wielu lat armią czysto katolicką, mającą najjaśniejszy przykład w naszym najwyższym wodzu i panu. Co za zuchwalstwo ruszać do boju z trucizną powątpiewania o niektórych wybrańcach i wybrankach Pańskich, skoro nasze ministerstwo wprowadziło dla dowództwa załóg, to jest panów oficerów, jezuickie egzorty i skoro braliśmy udział w wojskowej rezurekcji? Zrozumieliście, Balounie? Czy pojmujecie, że dopuszczacie się właściwie czegoś przeciwko samemu duchowi naszej sławnej armii? Co do świętego Józefa, którego obrazek kazaliście wyrzucić z izby, to zrobiliście wielkie głupstwo, bo on, Balounie, jest właściwie patronem wszystkich tych, którzy pragną z wojny powrócić, wymigać się z niej. Był on cieślą, a każdy zna przecie przysłowie: „Patrzaj, gdzie cieśla zostawił dziurę”. Iluż to ludzi z takim hasłem poszło do niewoli. Widząc sytuację bez wyjścia i okrążenie ze wszystkich stron przez nieprzyjaciela, starali się oni ratować nie tyle z pobudek egoistycznych, ale ratować siebie jako członka armii, aby następnie, po powrocie z niewoli, mogli rzec najjaśniejszemu panu, że oczekują jego dalszych rozkazów. Rozumiecie więc, Balounie?

— Nie rozumiem — z westchnieniem odpowiedział Baloun — ja mam w ogóle łeb tępy. Mnie wszystko trzeba powtarzać dziesięć razy.

— Akurat dziesięć razy? Może mniej wystarczy? — pytał Szwejk. — Ja ci w każdym razie jeszcze raz wytłumaczę. Słyszałeś tu, że masz się trzymać tego ducha, jaki panuje w armii, że powinieneś wierzyć w świętego Józefa, a gdy będziesz okrążony przez nieprzyjaciela, masz pamiętać o przysłowiowej dziurze pozostawionej przez cieślę, abyś się ocalił dla najjaśniejszego pana do następnej wojny. Teraz chyba już wszystko rozumiesz i powiesz nam nieco dokładniej, jakich to niemoralności dopuszczałeś się w swoim młynie. Tylko, uważasz, bez wykretów, żeby nie było tak jak z pewną dziewczyną, która się spowiadała, a gdy już wszystkie grzechy wyliczyła, to dopiero zaczęła się wstydzić i dodała,



że co noc dopuszczała się wszeteczeństwa. Naturalnie, że gdy pleban usłyszał takie słowo, to go język zaswędziało i rzekł: „No, nie wstydz się, moja córko, bo ja tu zastępuję Pana Boga, i opowiedz mi szczegółowo o tych wszeteczeństwach”. A dziewczyna w bek, że się strasznie wstydzi, bo takie okropne wszeteczeństwa, a on znowuż ją napominał, że on jest ojcem duchownym. Po długim wzdraganiu zaczęła wreszcie od tego, że co wieczór się rozbierała i kładła do łóżka. Ale dalej mówić nie mogła, tylko ryczała jeszcze głośniejsze. Więc on znowuż dodawał jej otuchy, że człowiek jest naczyniem grzesznym z natury swojej, ale miłosierdzie boże nie ma granic. Więc się dziewczyna wreszcie zdecydowała i z wielkim płaczem mówiła: „Gdy się rozebrana w łóżku ułożyłam, to spomiędzy palców u nóg wydłubywałam brud i wachałam go”. Takich więc dopuszczała się ta dziewczyna wszeteczeństw. Ale ja mam nadzieję, Balounie, żeś ty we młynie takich rzeczy nie robił i że nam opowiesz coś rzetelniejszego, jakieś porządniejsze wszeteczeństwo.

Okazało się, że Baloun, według swego wyrażenia, dopuszczał się wszeteczeństw z gospodyniami wiejskimi, a wszeteczeństwa te polegały na fałszowaniu mąki, co Baloun w prostocie swego ducha uważał za niemoralne. Najbardziej był rozczarowany telegrafista Chodounsky i pytał go, czy aby naprawdę nie miał jakich sprawek z gospodyniami na worach z mąką, na co Baloun wymachując rękoma odpowiedział:

— Na takie rzeczy byłem za głupi.

Żołnierzom ogłoszono, że obiad będzie wydawany za Palotą w Przełęczy Łupkowskiej. Istotnie, do Mezilaborca wyruszył sierżant rachuby batalionu z kucharzami kompanii, z podporucznikiem Cajthamlem, który zajmował się sprawami gospodarczymi batalionu. Czterech szeregowców dodano im jako patrol.

Powrócili w niespełna pół godziny z trzema wieprzami uwiązanyymi za zadnie łapy i z wrzeszczącą rodziną miejscowego Rusina, któremu wieprza zarekwirowano, oraz z otyłym wojskowym lekarzem z baraku Czerwonego Krzyża, który bardzo gorliwie tłumaczył coś podporucznikowi Cajthamlowi wzruszającemu ramionami.

Przed wagonem sztabowym spór stał się bardzo ostry; lekarz wojskowy zaczął przekonywać kapitana Sagnera, że wieprze te przeznaczone są dla szpitala Czerwonego Krzyża, o czym jednakże chłop nie chciał nic wiedzieć, domagał się, aby mu jego wieprze oddano, wywodził, że to jego ostatnie mienie i że stanowczo nie może je oddać za tę cenę, jaką mu wypłacono.

Przy tych słowach wtykał kapitanowi Sagnerowi pieniądze, które otrzymał za wieprze, zaś gospodyni trzymała kapitana za drugą rękę i obcałowywała ją z uniżonością, jaką kraj ten zawsze się wyróżniał.

Kapitan Sagner nie wiedział, co ma robić, i dopiero po chwili udało mu się odepchnąć starą gospodynię. Nie na wiele to się przydało, bo zamiast niej obstały go dzieci, które także rzuciły się do obcałowywania jego rąk.

Podporucznik Cajthaml wywodził przy tym tonem zgoła kupieckim:

— Ten drab ma jeszcze dwanaście świń i otrzymał zapłatę zgodnie z ostatnim rozkazem dywizji numer 12420, referat gospodarczy. Według paragrafu 16 tego rozkazu należy kupować wieprze w miejscowościach przez wojnę nie dotkniętych nie drożej jak po 2 korony i 16 halerzy za kilogram żywej wagi; w miejscowościach przez wojnę nawiedzonych należy dodać 36 halerzy na kilogram żywej wagi, czyli że należy płacić za kilogram 2 korony 52 halerze. I jest jeszcze taka uwaga: „O ile w miejscowościach przez wojnę dotkniętych znajdują się gospodarstwa z niepomniejszym stanem nierogacizny, która może być zajęta dla celów zaopatrywania przechodzących wojsk, należy wypłacać za zabrane wieprze takie ceny, jakie się wypłaca w miejscowościach przez wojnę nie dotkniętych, z osobną dopłatą 12 halerzy za kilogram żywej wagi. Gdyby sytuacja nie była zupełnie jasna, należy natychmiast na miejscu powoływać specjalną komisję, składającą się z interesanta, dowódcy przechodzącego oddziału i z tego oficera lub sierżanta rachuby (o ile chodzi o formacje mniejsze), którzy zajmują się sprawami gospodarczymi oddziału”.

Wszystko to przeczytał podporucznik Cajthaml z kopii rozkazu do dywizji, którą to kopię stale nosił przy sobie i znał jej treść na pamięć, wiedząc na przykład, że na terytorium przyfrontowym cenę za marchew podnosi się do 15, 30 halerzy za kilogram, a dla „*Offiziersmenageküchenabteilung*” za kalafior na terytorium przyfrontowym płaci się 1 koronę i 75 halerzy za kilogram.

Ci, którzy w Wiedniu te cenniki układali, wyobrażali sobie niezawodnie, że terytorium przyfrontowe jest krainą opływającą w marchew i kalafiory.

Podporucznik Cajthaml przeczytał to wszystko wzburzonemu gospodarzowi w języku niemieckim i zapytał go w tym samym języku, czy go rozumiał. Gdy chłop zakręcił głową, ryknął na niego:

— Więc chcesz komisję?

Chłop rozumiał słowo „komisja”, bo kiwnął głową, i podczas gdy wieprze jego zostały tymczasem zawleczone do kuchni polowych na stracenie, obścapił go przydzieleni do rekwirowania żołnierze z bagnetami na karabinach i komisja udała się do jego gospodarstwa, aby ustalić, czy chłop ma otrzymać 2 korony 52 halerze za kilogram, czy też tylko 2 korony 28 halerzy.

Nim doszli do drogi prowadzącej ku wsi, od strony kuchen polowych doleciał potrójny śmiertelny kwik wieprzy i chłop rozumiał, że wszystko skończone, więc w rozpaczy tylko zawołał:

— *Dawajcie mnie za każdego swinju dwa rynskija!*

Czterej żołnierze otoczyli go z bliska, a cała rodzina zagroziła drogę kapitanowi Sagnerowi i porucznikowi Cajthamlowi, uklękłszy przed nim na środku szosy.

Matka z dwiema córkami obejmowała kolana obu oficerów, nazywając ich dobrodziejami, aż gospodarz wrzasnął na nie w narzeczu Rusinów, mieszkających na Węgrzech, aby wstały. Niech żołnierze zeżrą wieprze i pozdychają po nich.

Nie powołano więc komisji, a ponieważ chłop się nagle zbuntował i zaczął grozić pięścią, więc od jednego z żołnierzy dostał kolbą tak porządnie, aż pod jego kożuchem zadudniło, a cała rodzina się przeżegnała i razem z ojcem wzięła nogi za pas.

W dziesięć minut później sierżant rachuby batalionu razem z ordynansem batalionu Matusziczem delektowali się mózdzkiem wieprzowym. Siedzieli w swoim wagonie i obżerali się statecznie, docinając pisarzowi jadłowitymi uwagami:

— Żarlibyście i wy, co? Ba, takie rzeczy to tylko dla szarż. Dla kucharzy cynaderki i wątróbka, mózdzek i głowizna dla panów rechnungsfeldfeblów, a dla pisarzy tylko podwójne porcje mięsa z tych, co przeznaczone są dla szeregowców.

Kapitan Sagner już też wydał rozkaz dotyczący kuchni oficerskiej:

„Pieczeń wieprzowa na kminku: wybrać mięso co najlepsze, żeby nie było bardzo tłuste!”

Stało się więc, że kiedy w Łupkowskiej Przełęczy rozdawano szeregowcom jedzenie, na dnie menażki w porcji polewki znajdował piechur dwa małe kawałeczki mięsa, a jeśli się który urodził pod planetą jeszcze gorszą, to znajdował tam tylko kawałek szperki.

W kuchni panował zwykły nepotyzm wojskowy, obdzielający tych wszystkich, którzy byli blisko klikki panującej. Pucybuty w Łupkowskiej Przełęczy laźli z zatuszczonymi gębami, a każdy ordynans miał brzuch twardy jak kamień. Działy się rzeczy wołające o pomstę do nieba.

Jednoroczny ochotnik Marek zrobił w kuchni skandal, bo chciał być sprawiedliwy. Kiedy kucharz wrzucił mu do menażki z zupą porządną kawał gotowanej szynki i dodał: „To dla naszego geschichtsschreibera” — Marek zadeklarował, że w wojsku wszyscy, którzy służą w szeregach, są sobie równi, co zostało przyjęte wyrazami głośnego uznania i stało się pobudką do wymyślenia na kucharza.

Jednoroczniak rzucił otrzymany kawał mięsa z powrotem do kotła i oświadczył, że nie uznaje żadnej protekcji. Ale w kuchni tego nie rozumieli i sądzili, że batalionsgeschichtsschreiber nie jest zadowolony, więc mu kucharz rzekł, żeby przyszedł później, gdy jedzenie będzie rozdane, to mu da kawał nogi.

Pisarze też mieli pyski na glanc, sanitariusze posapywali z nadmiernego dobrobytu, a dokoła tego wielkiego błogosławieństwa bożego widać było wszędzie ślady niedawnych ciężkich walk. Wszędzie leżały magazyny od nabojów, puste blaszane pudełka od konserw, strzepy rosyjskich, austriackich i niemieckich uniformów, części zdruzgotanych wozów, długie pokrzwawione pasma gazy i waty.

W starej sośnie koło dawnego dworca kolejowego, z którego pozostała tylko kupa rumowisk, tkwił granat, który nie wybuchł. Wszędzie widać było skorupy granatów, a gdzieś w bezpośredniej bliskości musiano pochować zwłoki żołnierzy, ponieważ zalatywało straszliwym odorem zgnilizny.

O tym, że tędy przechodziły masy wojsk i że tu krótko lub długo obozowały, świadczyły kupki ludzkich nieczystości pochodzenia międzynarodowego, należące do wszystkich narodów Austrii, Niemiec i Rosji. Te kupki po żołnierzach wszystkich narodowości i wszystkich wyznań religijnych leżały obok siebie lub warstwiły się jedne na drugich i ani myślały bić się z sobą.

Zrzucony wodociąg kolejowy, drewniana budka stróża i wszystko w ogóle, co miało jaką taką ścianę, było poprzewiercane kulami karabinowymi jak rzeszoto.

Gwoli pełniejszemu wrażeniu uciech wojennych, za niedalekim szczytem górskim wznosiły się kłęby dymu, jakby się paliła cała wieś i jakby tam był ośrodek operacji wojennych. Spalono tam baraki choleryczne i biegunkowe ku wielkiej radości pewnych panów, którzy przykładali ręce do urządzania owych szpitali pod protektoratem arcyksiężnej Marii, a którzy kradli i nabijali sobie kieszenie przedstawieniem rachunków za nieistniejące baraki.

Teraz właśnie ta grupa baraków paliła się za wszystkie inne i w smrodzie palących się sienników wznosiło się ku niebu arcyzłodziejstwo arcyksiążęcego protektoratu.

Za dworcem, na skale, Niemcy z Rzeszy pokwapili się już z ustawieniem pomnika na cześć poległych brandenburskich żołnierzy *czcąc* ich napisem: „*Den Helden von Lupkapass*”, i wielkim orłem cesarstwa odlanym w brązie. U dołu na cokole znajdowała się bardzo rzeczowa uwaga, że ten symbol odlany został z armat rosyjskich, zdobytych przez pułki niemieckie przy wyzwaniu Karpat.

W tej dziwnej i dla żołnierzy niezwyklej atmosferze batalion odpoczywał po obiedzie w wagonach, a kapitan Sagner z adiutantem batalionu jeszcze ciągle nie mogli dogadać się za pomocą szyfrowanych telegramów z bazą brygady co do dalszego marszu batalionu. Wiadomości przychodziły takie dziwne, że wyglądało na to, iż batalion nie powinien być w ogóle przybywać do Przełęczy Łupkowskiej i miał jechać zgoła inną drogą do Nowego Miasta pod Sziatorem, bo w telegramach wymienione były miejscowości: Csap-Ungvar, Kis-Berezna-Uzsok.

Po dziesięciu minutach okazało się, że w brygadzie siedzi jakiś pętaś sztabowy, bo oto nadszedł szyfrowany telegram z zapytaniem, czy to mówi 8 marszbatalion 75 pułku (szyfr wojskowy G. 3). Pętaś z brygady jest zdziwiony, gdy otrzymuje odpowiedź, że chodzi o 7 marszbatalion 91 pułku, i pyta, kto dał rozkaz jazdy na Mukaczew, szlakiem wojskowym na Stryj, kiedy marszruta prowadzić ma przez Przełęcz Łupkowską na Sanok do Galicji. Pętaś strasznie się dziwi, że mu telegrafują z Łupkowskiej Przełęczy, i wysłał szyfr: „Marszruta niezmieniona, na Łupkowską Przełęcz–Sanok, gdzie dalsze rozkazy.

Po powrocie kapitana Sagnera powstaje w wagonie sztabowym dyskusja o czymś tam bezhołowi i padają przytyki, że gdyby nie Niemcy z Rzeszy, to wschodnia grupa wojskowa byłaby zupełnie bez głowy.

Podporucznik Dub próbował usprawiedliwiać ten chaos w sztabie austriackim i głądził coś o tym, że tutejsza okolica była bardzo spustoszona niedawnymi walkami i że tor kolejowy nie mógł zostać doprowadzony do należytego porządku.

Wszyscy oficerowie spoglądali na niego ze współczuciem, jakby chcieli powiedzieć, że ten pan za swój idiotyzm nie odpowiada. Ponieważ nikt mu nie przeczył, więc podporucznik Dub głądził dalej o potężnym wrażeniu, jakie wywarła na nim ta spustoszona okolica, świadcząca o tym, jak potrafi walić żelazna pięść naszego wojska. Znowuż nikt mu nie odpowiada, on zaś mówi:

— Tak to, tak, naturalnie, Rosjanie cofali się tu w szalonej panice.

Kapitan Sagner postanawia sobie w duchu, że wyśle podporucznika Duba przy najbliższej sposobności jako patrol oficerski, gdy sytuacja w okopach stanie się w najwyższym stopniu niebezpieczna. Niech idzie na zasieki z drutu kolczastego rozpoznawać pozycje nieprzyjacielskie. Kapitan Sagner i porucznik Lukasz wychylają się z okna wagonu, przy czym Sagner szepcze Lukaszowi do ucha:

— Diabli nadali nam tych cywilów. Im większy inteligent, tym większe bydlę.

Ma się wrażenie, że podporucznik w ogóle nie przestanie mówić. Opowiada dalej wszystkim oficerom, co czytał w gazecie o tych walkach karpackich i o zmaganiach o przełęcz karpackie podczas ofensywy austriacko-niemieckiej na linii Sanu.

Opowiada o tym tak, jakby nie tylko uczestniczył w tych walkach, ale jakby nimi osobiście kierował. Osobliwie wstrętne są na przykład takie jego zdania:

— Potem szliśmy na Bukovsko, aby sobie zabezpieczyć linię Bukovsko–Dynov, mając połączenie z grupą bardejovską pod Wielką Polanką, gdzie rozbiliśmy samarską dywizję nieprzyjaciela.

Porucznik Lukasz nie wytrzymał i rzekł do podporucznika Duba:

— O czym niezawodnie rozmawiałeś ze swoim starostą powiatowym jeszcze przed wojną.

Podporucznik Dub spojrział na Lukusza nienawistnie i wyszedł z wagonu.

Pociąg wojskowy stał na nasypie, a pod nim na kilkumetrowym zboczach widniały różne przedmioty porzucone przez ustępujące wojska rosyjskie, które najwidoczniej cofały się tędy. Widać tu było zardzewiałe czajniki, jakieś garnki, ładownice. Obok najróżniejszych rzeczy leżały tu także zwoje drutu kolczastego i znowu dużo tych pokrwawionych strzępów waty i gazy. Nad tym zboczem stała w pewnym miejscu gromada żołnierzy, a podporucznik Dub natychmiast wypatrzył, że między nimi znajduje się Szwejk i o czymś mówi.

Podszedł więc do tej grupy.

— Co tu się stało? — zapytał podporucznik Dub głosem surowym stając prosto przed Szwejkiem.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant — odpowiedział Szwejk za wszystkich — że się przypatrujemy.

— A czemu wy się tu przypatrujecie? — wrzasnął podporucznik Dub.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że patrzymy z nasypu na dół.

— A kto wam na to pozwolił?

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że takie jest życzenie naszego pana obersta Schlagera z Brucka. Gdy odjeżdżaliśmy na front, a on się z nami żegnał, to w przemówieniu swoim wezwał nas, żebyśmy się wszystkiemu dobrze przypatrywali, gdy będziemy przejeżdżali przez opuszczone pobojowiska, żebyśmy wiedzieli, jak to się tam wojowało, i żebyśmy się z tego uczyli. Więc my teraz patrzymy, panie lejtnant, na ten rów i widzimy, ile to różnych rzeczy musi porzucić uciekający żołnierz. My tu widzimy, panie lejtnant, jakie to głupie, gdy żołnierz zabiera z sobą różne niepotrzebne rzeczy i dźwiga nad siły. Zmęczy się takim dźwiganiem, gdy wlecze tyle tobołów, i potem nie może lekko wojować.

Podporucznikowi Dubowi błysnęła nagle iskierka nadziei, że nareszcie zdoła może pociągnąć Szwejka przed sąd polowy za propagandę antymilitarną, więc zapytał go prosto z mostu:

— Więc wy sądzicie, że żołnierz powinien porzucać ładownice, które tu leżą, albo i bagnety, które tam widzimy?

— O, bynajmniej, o nie, posłusznie melduję, panie lejtnant — odpowiedział Szwejk uśmiechając się przyjemnie. — Raczy pan lejtnant spojrzeć tutaj w rów na ten porzucony nocnik blaszany.

Istotnie, pod nasypem wyzywająco leżał nocnik z poobtlukiwaną emalią, zżarty rdzą, a dokoła niego pełno było jakichś potłuczonych garów, które to naczynia, nie nadające się już do użytku domowego, układał tu zawiadowca stacji jako ewentualny materiał do dyskusji archeologicznych przyszłych stuleci. Po odkryciu tych garnków archeologowie zgłupieją, a w szkole dzieci uczyć się będą o epoce nocników emaliowanych.

Podporucznik Dub zapatrzył się na ten przedmiot, ale nie zdołał stwierdzić nic ponadto, że jest to istotnie jeden z tych inwalidów, których młodość upłynęła pod łóżkiem.

Spostrzeżenie Szwejka wywarło na wszystkich ogromne wrażenie, więc gdy podporucznik Dub milczał, głos zabrał znowu Szwejk:

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że z takim samym nocnikiem był kiedyś ładny szpas w Podiebradach. Opowiadano sobie o tym u nas na Vinobradach, w gospodzie. W owym czasie zaczęto wydawać w Podiebradach–Zdroju taką sobie gazetkę „Niezawisłość”, a głową jej był podiebradzki aptekarz, zaś redaktorem zrobili niejakiego Władysława Hajka z Domažlic. A ten pan aptekarz był to sobie taki dziwak, że zbierał stare garnki i inne takie drobiazgi, aż sobie uzbierał całe muzeum. Otóż pewnego razu ten domažlicki Hajek zaprosił do wód podiebradzkich jakiegoś kolegę, który także pisywał do gazet, i obaj wstawili się porządnie, bo się już z tydzień nie widzieli, no i gość obiecał gospodarzowi redaktorowi, że za tę fetę napisze mu felieton do jego niezawisłej gazetki,

niby do „Niezawisłości”, od której jednak sam był zależny. Więc napisał ten jego kolega taki felieton o jakimś zbieraczu, który znalazł w piasku na brzegu Łaby stary blaszany nocnik i myślał, że to przyłbica świętego Wacława, i narobił tyle hałasu, że na miejsce zjechał aż biskup Brynych z Hradca z procesją i z chorągwiami. Ten aptekarz wziął to wszystko do serca, że to niby przytyk do niego, więc i on, i ten pan Hajek zaczęli się boczyć na siebie.

Podporucznik Dub byłby najchętniej strącił Szwejka na łeb z nasypu, ale się opanował i tylko wrzasnął na wszystkich:

— Mówię wam, żebyście się tu nie gapili. Wy mnie wszyscy jeszcze nie znacie, ale poznacie wy mnie jeszcze...

A wy zostaniecie tutaj! — wrzasnął na Szwejka głosem srogim, gdy ten razem z innymi chciał się oddalić.

Stali tak naprzeciw siebie i podporucznik Dub zaczął się zastanawiać, co by tak powiedzieć straszliwego. Uprzedził go Szwejk:

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że byłoby dobrze, gdyby ta ładna pogoda trwała dalej. Za dnia nie bywa zbyt gorąco, a noce są także dość przyjemne, tak że pogoda do wojowania jest w sam raz.

Podporucznik Dub wyjął rewolwer i zapytał:

— Znasz to?

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, znam to. Pan oberlejtnant Lukasz ma taki sam.

— Więc sobie, ty łobuzie, zapamiętaj — powiedział podporucznik chowając rewolwer — że mogłoby cię spotkać coś bardzo nieprzyjemnego, gdybyś w dalszym ciągu uprawiał tę swoją propagandę.

Podporucznik Dub oddał się zadowolony i myślał w duchu;

„Teraz powiedziałem mu jak się należy: propagandę, tak jest, propagandę”.

Przed wejściem do wagonu Szwejk przechadzał się jeszcze przez chwilę i mruczał pod nosem:

— Jak takiego nazwać?

Myślał długo i intensywnie, aż wreszcie wyłoniła się z tego myślenia nazwa najodpowiedniejsza: „Wicipierdoła”.

W słowniku wojskowym słowo „pierdoła” było od dawna używane z wielką miłością, osobliwie gdy chodziło o pułkowników lub starych kapitanów i majorów, a było stopniem wyższym ulubionego epitetu: „Pieski dziadyga”. Bez tego przymiotnika słowo „dziadyga” było raczej uprzejmością w stosunku do starego pułkownika czy majora, który dużo ryczał, ale pomimo to żołnierzy swoich lubił i stawał w ich obronie wobec innych pułków, osobliwie zaś gdy chodziło o obce patrole, które wylądowały jego żołnierzy z różnych spelunek, gdy ci żołnierze nie mieli zezwolenia na pozostawanie na mieście po capstrzyku. Dziadyga troszczył się o swoich żołnierzy, jedzenie musieli dostawać jak się patrzy, ale miewał także swoje dziwactwa. Czepiał się tego czy owego i dlatego nazywano go dziadygą.

Ale gdy dziadyga niepotrzebnie szykanował żołnierzy i szarżę kombinując na przykład ćwiczenia nocne i podobne rzeczy, to mówiono o nim „pieski dziadyga”.

Z „pieskiego dziadygi” awansowano zwolenników idiotycznych szykan i głupich zaczepek na „pierdołów”. To słowo znaczyło bardzo wiele i trzeba podkreślić, że między pierdołą cywilnym a pierdołą wojskowym jest różnica ogromna.

Pierdoła cywilny to także jakiś pan przełożony w urzędzie, plaga niższych urzędników i woźnych. Jest to filister-biurokrata, który potrafi zrobić piekło o to, że jakiś papierek nie jest należycie osuszony bibułą itp. Jest to w ogóle idiotyczna i bydlęca postać w ludzkim społeczeństwie, ponieważ taki cymbał udaje uosobienie roztropności, jest przekonany, że na wszystkim się zna, że wszystko umie wytłumaczyć, i wszystkim czuje się dotknięty.

Kto służył w wojsku, temu nie potrzeba mówić, jaka istnieje różnica między pierdołą-cywilnym, a pierdołą w uniformie. W wojsku słowo to oznaczało „dziadygę pieskiego”, naprawdę „pieskiego”, który wszystkiego się czepiał, o wszystko zrzędził, ale cofał się przed najmniejszymi przeszkodami; żołnierzy nie lubił i niepotrzebnie ich szykanował, bo o pozyskaniu ich szacunku czy zaufania, którym mógł się jeszcze poszczycić „dziadyga”, w tym wypadku nie mogło być w ogóle mowy.

W niektórych garnizonach, jak na przykład w Trydencie, zamiast „pierdoła” mówiło się „nasza stara dupa”. W każdym z tych wypadków chodziło o osobę starszą, więc gdy Szwejk nazwał podporucznika Duba „wicepierdołą”, to doskonale wyraził istotę rzeczy, ustalając, że zarówno co do wieku, jak i co do stanowiska całego „pierdoły” brak podporucznikowi Dubowi 50 procent.

Wracając do swego wagonu Szwejk myślał o tych rzeczach i zgoła niespodzianie spotkał się z pucybutem podporucznika Duba, Kunertem, który miał spuchniętą twarz i coś tam pod nosem belkotał, że akurat spotkał się ze swoim podporucznikiem, który bez najmniejszego powodu obił go po twarzy za to, że jakoby zadaje się ze Szwejkem.

— W takim razie — rzekł Szwejk z dostojenstwem — pójdziemy do raportu. Austriacki żołnierz powinien dać się bić po gębie w określonych wypadkach. Ale ten twój Dub przekroczył wszelkie granice, jak mawiał stary Eugeniusz Sabaudzki: „Stąd — do tam”. Więc teraz sam musisz iść do raportu, a jeśli, nie pójdziesz, to i ode mnie dostaniesz po gębie, żebyś wiedział, co to jest dyscyplina w armii. W Karlińskich Koszarach mieliśmy niejakiego lejtnanta Hausnera, a ten lejtnant też miał pucybuta, którego bił po twarzy i kopał. Pewnego razu ten pucybut był tak mocno obity po twarzy, że zgłupiał z tego wszystkiego i stanął do raportu, a przy raporcie meldował, że został skopany, tak mu się to wszystko w głowie poplątało, a tymczasem jego pan bez trudu dowiódł, że ten pucybut kłamie, bo go owego dnia nie skopał, lecz tylko obił po twarzy, więc zacnego pucybuta za fałszywe oskarżenie wsadzili na trzy tygodnie do paki.

Ale to nie ma nic do rzeczy — mówił Szwejk dalej — bo to wszystko jedno, jak mawiał medyk Houbiczka, czy w zakładzie medycyny sądowej krajesz człowieka, który się powiesił, czy też takiego, który się otruł. Pójdę z tobą. I w mordobiciu musi być umiarkowanie.

Kunert zgłupiał do reszty i ruszył za Szwejkem do wagonu sztabowego. Podporucznik Dub wyglądał akurat oknem i wrzasnął:

— Czego tu szukacie jeden z drugim, wy draby?

— Zachowaj się z godnością — strofował Szwejk Kunerta wpychając go do wagonu.

Na korytarzu ukazał się porucznik Lukasz, a za nim szedł kapitan Sagner.

Porucznik Lukasz, który miał już tyle razy do czynienia ze Szwejkem, ogromnie się zdziwił, bo twarz Szwejka nie miała tego zwykłego wyrazu poczciwości, ale była tak jakoś zacięta w sobie i poważna, że wyraz ten można było wziąć za zapowiedź jakichś niemiłych wydarzeń.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtнант — rzekł Szwejk — że sprawa idzie do raportu.

— Tylko mi się tu nie bałwań, mój Szwejk, bo ja też mam tego dosyć.

— Raczy pan pozwolić — rzekł Szwejk — ja jestem ordynansem pańskiej kompanii, pan raczy być dowódcą kompanii II. Ja wiem, że to jest rzecz bardzo dziwna, ale i to wiem, że pan podporucznik Dub jest pod panem.

— Tyś, mój Szwejk, w ogóle zgłupiał — przerwał mu porucznik Lukasz. — Jeśli się upileś, to zrobisz najlepiej, gdy, pójdziesz co rychlej na zбитy łeb. Rozumiesz, ty bydlę jedno? Ty idioto?!

— Posłusznie melduję, panie oberlejtнант — mówił Szwejk popychając przed sobą Kunerta — że to jest tak samo, jak pewnego razu robili w Pradze próbę z ramą ochronną, zabezpieczającą od przejechania przez tramwaj elektryczny. Ten pan, co tę ramę wynalazł, sam się ofiarował na próbę, jak ta rama działać będzie, a potem miasto musiało płacić odszkodowanie jego wdowie.

Kapitan Sagner nie wiedząc, co ma powiedzieć, kiwał głową, a twarz porucznika Lukaszka wyrażała beznadziejną rozpacz.

— Wszystko musi być załatwiane drogą służbową, przez raport, posłusznie melduję, panie oberlejtнант — mówił nieustępliwy Szwejk dalej. — Jeszcze w Brucku mawiał pan do mnie, panie oberlejtнант, że skoro jestem ordynansem kompanii, to mam na głowie inne jeszcze obowiązki, nie tylko jakieś tam rozkazy. Że niby powinienem być o wszystkim poinformowany, co się w kompanii dzieje. Na podstawie tego rozporządzenia pozwałam sobie zameldować panu, panie oberlejtнант, że pan lejtnant Dub spotkał swego ordynansa i obił go po twarzy bez wystarczającej przyczyny. Ja bym tego, posłusznie melduję, panie

oberlejtant, może i nie mówił, ale skoro widzę, że pan lejtnant Dub jest oddany pod pańską komendę, więc myślę sobie, że to trzeba pociągnąć do raportu.

— To jakaś osobliwa sprawa — rzekł kapitan Sagner. — Czemu wleczenie tutaj tego Kunerta?

— Posłusznie melduję, panie batalionskommandant, że wszystko musi iść do raportu. On zgłupiał, bo został obity po twarzy przez pana lejtnanta Duba, a nie może sobie pozwolić na to, żeby sam poszedł do raportu. Posłusznie melduję, panie hauptman, żeby pan spojrzął na niego, jak mu się trzęsą kolana. On jest na pół żywy, że musi iść do tego raportu. I żeby nie ja, toby się do tego raportu wcale może nie dostał jak ten Kudela z Bytouchova, który podczas służby w wojsku tak długo chodził do raportu, aż został przeniesiony do marynarki, stał się kornetem, a na jakiejś wyspie na Oceanie Spokojnym został ogłoszony jako dezertor. On się potem ożenił na tej wyspie i rozmawiał z podróżnikiem Havlasą, który go już nie odróżnił od tubylców. W ogóle jest to rzecz bardzo smutna, gdy ktoś dla takiego głupiego mordobicia musi stawać do raportu. Ale on wcale nie chciał iść tutaj, ponieważ mówił, że nie pójdzie. W ogóle jest to taki mordobity pucybut, że nawet nie wie, o które mordobicie tutaj chodzi. On by tu w ogóle nie przyszedł, on w ogóle nie chciał się ruszyć do tego raportu, on nieraz da się jeszcze mocniej sprać. Posłusznie melduję, panie hauptman, niech pan spojrzy na niego, że on z tego wszystkiego jest już cały zafajdany. Z drugiej strony powinien był natychmiast skarżyć się, że dostał po gębie, ale się nie odważył, bo uważał, że lepiej być skromnym fiołkiem, jak powiedział pewien poeta. Bo on jest służącym pana lejtnanta Duba.

Popychając Kunerta przed sobą, rzekł Szwejk do niego:

— Nie trzęś się tak, mazgaju, jak dąb na osice!

Kapitan Sagner zapytał Kunerta, jak się rzeczy miały.

Ale Kunert drżąc na całym ciele zadeklarował, że wszyscy mogą zapytać pana lejtnanta Duba, że go w ogóle nie zbil po twarzy.

Zdrajca Kunert trzęsąc się na całym ciele oświadczył nawet, że wszystko w ogóle zmyślił sobie Szwejk.

Sytuacja była wysoce kłopotliwa i nie widać było wyjścia z niej, ale jak na zawołanie przypatoczył się podporucznik Dub i wrzasnął na Kunerta:

— Chcesz jeszcze raz dostać po pysku?

Sprawa została więc całkowicie wyjaśniona i kapitan Sagner, zwracając się do podporucznika Duba, rzekł krótko i węzłowato:

— Od dzisiaj Kunert przechodzi do kuchni batalionu, co zaś do nowego służącego, to pan podporucznik Dub zwróci się do sierżanta rachuby Vańka.

Podporucznik Dub zasalutował i oddalając się, warknął pod adresem Szwejka:

— Założę się, że będziecie kiedyś wisieć.

Gdy podporucznik Dub odszedł, Szwejk zwrócił się do porucznika Lukasa i rzekł do niego tonem przyjemnym i przyjacielskim:

— W Mnichovie-Hradiszczu też był taki jeden pan i też w taki sposób rozmawiał z drugim panem, a tamten mu odpowiedział: „Na szafocie się spotkamy”.

— Szwejku — rzekł porucznik Lukasz — jesteście piramidalnie głupi, ale nie ważcie mi się odpowiedzieć, jak macie w zwyczaju: „Posłusznie melduję, że jestem głupi!”

— *Frapant!* — odezwał się kapitan Sagner wychylając się z okna. Najchętniej byłby się cofnął, ale już nie było czasu na ucieczkę przed biedą: podporucznik Dub stał tuż pod oknem.

Zaczął od tego, że jest mu bardzo przykro, iż kapitan Sagner oddalił się nie wysłuchawszy jego wywodów o ofensywie na wschodnim froncie.

— Jeśli chcemy zrozumieć tę olbrzymią ofensywę — wołał podporucznik Dub wspinając się ku oknu wagonu — to musimy sobie uświadomić, jak rozwijała się ofensywa pod koniec kwietnia. Musieliśmy przerwać front rosyjski i za najdogodniejszy punkt dla tej operacji uznaliśmy miejsce między Karpatami a Wisłą.

— Ja się z twymi wywodami najzupełniej zgadzam — odpowiedział kapitan Sagner i oddalił się od okna.

Kiedy po upływie pół godziny pociąg ruszył dalej na Sanok, kapitan Sagner wyciągnął się na siedzeniu i udawał, że śpi, aby podporucznik Dub mógł tymczasem zapomnieć o swoich oklepnych poglądach na ofensywę.

W wagonie, którym jechał Szwejk, nie było Balouna. Na jego prośbę pozwolono mu mianowicie wytrzeć chlebem kocioł po gulaszu. Znajdował się na platformie z kuchniami połowymi w sytuacji bardzo nieprzyjemnej, bo gdy pociąg ruszył, zacny Baloun wpadł do kotła głową na dół, tak że tylko nogi wystawały z gulaszowego naczynia. Ale Baloun przystosował się do tej sytuacji i z kotła odzywało się takie forsowne mlaskanie, jakie bywa słychać, gdy jeź poluje na prusaki. Po chwili ozwało się nawet wołanie:

— Koledzy, na miłość boską, rzućcie mi tu kawałek chleba, bo w kotle jest jeszcze sporo sosu.

Ta sielanka trwała aż do następnej stacji, a rezultat był taki, że wewnątrz kotła 11 kompanii błyszczało jak nowe.

— Bóg wam zapłać, koledzy — dziękował Baloun serdecznie. — Od czasu, jak jestem na wojnie, szczęście uśmiechnęło się do mnie po raz pierwszy.

Rzeczywiście, Baloun mógł mówić o szczęściu. W Łupkowskiej Przełęczy dostał aż dwie porcje gulaszu, a porucznik Lukasz zadowolony, że jego służący przyniósł mu z kuchni oficerskiej obiad nietknięty, dał mu za to dobrą połowę tego obiadu. Baloun czuł się więc całkiem szczęśliwy, bujał nogami spuszczoneymi z wagonu i nagle cała ta wojna wydała mu się czymś miłym, pełnym rodzinnego ciepła.

Kucharz kompanii zaczął sobie z niego pokpiwać, że po przybyciu do Sanoka będzie się gotowało kolację i jeszcze jeden obiad, a mianowicie obiad zaległy, którego nie dostali w drodze. Baloun potakiwał głową z wielkim zadowoleniem i powtarzał co chwila:

— Zobaczcie, koledzy, że Pan Bóg nas nie opuści.

Wszyscy śmieli się serdecznie, a kucharz siedząc na kuchni zaśpiewał:

Niech się duch wszelki weselo śmieje,  
Chyba nas Pan Bóg nie zapodzieje.  
A choćbyśmy się gdzieś zapodzieli,  
To i tak dobrze będziemy się mieli.  
Choćbyśmy się zapodzieli w rowie,  
To i z rowu wyleziemy, panowie...

Za stacją Szczawna, w dolinach, znowu zaczęły się pokazywać cmentarze żołnierskie. Koło stacji widać było wielki krzyż przydrożny z Chrystusem, któremu pocisk w czasie ostrzeliwania torów urwał głowę.

Pociąg biegł coraz szybciej z górki na pazurki ku Sanokowi, horyzont stawał się coraz szerszy, a po obu stronach toru widać było coraz więcej spustoszonych wsi.

Pod Kulaśną widać było na dole w rzeczulce zdruzgotany pociąg Czerwonego Krzyża, który runął z nasypu kolejowego.

Baloun wytrzeszczył na ten widok oczy. Osobliwie dziwiły go części lokomotywy porzucane na wszystkie strony. Komin maszyny wtłoczony był w nasyp kolejowy i sterczał zeń niby lufa działa 28-centymetrowego.

Widok ten wzbudził także zainteresowanie w wagonie, w którym znajdował się Szwejk. Najbardziej oburzył się kucharz Jurajda.

— Czyż to wolno strzelać do wagonów Czerwonego Krzyża?

— Nie wolno, ale można — rzekł Szwejk. — Wycelowali akuratnie, a wytłumaczyć się nietrudno, że to było w nocy i że znaków Czerwonego Krzyża nie było widać. W ogóle dużo jest na świecie takich rzeczy, których robić nie wolno, ale można. Najważniejsze to, żeby spróbować, czy zakazanej rzeczy zrobić nie można. Podczas cesarskich manewrów w okolicy Pisku przyszedł rozkaz, że nie wolno wiązać żołnierzy w kij. Ale nasz kapitan wymiarkował, że robić to można, bo taki rozkaz był strasznie śmieszny: każdy przecie mógł łatwo wymiarkować, że żołnierz związany w kij nie mógłby maszerować. Więc się nad tym *befelem* nie zastanawiał tak bardzo, żołnierzy związanych w kij kazał wrzucać na wóz taborowy i maszerowało się dalej aż miło. Albo weźmy taki przypadek, który zdarzył się u nas przed sześciu laty. Na naszej ulicy mieszkał niejaki pan Karlik na pierwszym piętrze. A na drugim piętrze mieszkał bardzo porządny człowiek, student konserwatorium, Mikesz. Ogromnie lubił kobiety i między innymi zaczął się też zalecać do córki tego pana Karlika, który był właścicielem domu transportowego i cukierni, a gdzieś na Morawach miał podobno zakład intrologatorski pod jakąś obcą firmą. Otóż,



gdy ten Karlik dowiedział się, że ten student zaleca się do jego córki, poszedł do niego do mieszkania i powiada: „Z córką moją żenić się panu nie wolno, mój panie łapserdaku, bo jej panu nie dam!” „No, dobrze — odpowiedział pan Mikesz — jeśli żenić mi się z nią nie wolno, to się przecież na kawalki nie rozszarpie”. Po dwóch miesiącach pan Karlik przyszedł znowu do tego Mikesza, przyprowadził z sobą nawet swoją małżonkę i oboje rzekli jednogłośnie: „Pan, panie łapserdaku, pozbawił naszą córkę honoru”. „Tak jest — odpowiedział Mikesz — pozwoliłem sobie zhańbić ją, szanowna pani”. Ten pan Karlik zaczął na niego niepotrzebnie wrzeszczeć i przypominać mu, że przecie powiedział, że z jego córką żenić mu się nie wolno, bo mu jej nie da, ale mu tamten całkiem rzeczowo odpowiedział, że ani myśli się z nią żenić, skoro nie wolno. Wtedy zaś nie było mowy o tym, co wolno. A ponieważ o tym nie było mowy, więc on dotrzyma słowa i prosi, żeby się nie niepokoiili, bo on jest człowiekiem charakteru, nie żadna chorągiewka, bo zawsze dotrzymuje słowa, to co powie, to jest święte, więc córki państwa Karlików nie chce i nigdy chcieć nie będzie. A gdyby z tej racji miał być narażony na prześladowania, to także nie robi sobie z tego nic, bo sumienie ma czyste, a jego nieboszczka mamusia jeszcze na łożu śmiertelnym zaklinała go, żeby nigdy w życiu nie kłamał, on zaś przyrzekł jej to uroczyście, a takie przyrzeczenie obowiązuje. W jego rodzinie w ogóle nikt nie kłamał, on zaś miewał w szkole zawsze stopnie celujące z zachowania. Widzicie więc — wywodził Szwejk — że wielu rzeczy czynić nie wolno, ale ostatecznie można. Drogi ludzkie mogą być różne, byle cel był wzniosły.

— Drodzy przyjaciele — rzekł jednoroczny ochotnik, który notował coś z wielką gorliwością — nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Ten oto pociąg Czerwonego Krzyża, wysadzony w powietrze, na polu spalony i zrzuty z nasypu, wzbogaca dawne dzieje naszego batalionu nowym bohaterskim czynem przyszłości. Wyobrażam sobie, że około 16 września, jak to sobie już zaznaczyłem w notatniku, z każdej kompanii naszego batalionu zgłosi się na ochotnika kilku prostych żołnierzy pod wodzą kaprała, aby wysadzić w powietrze pancerny pociąg nieprzyjacielski, który nas ostrzeliwuje i nie pozwala nam przejść przez rzekę. Zaszczynie spełnili swoje zadanie przebrani za wieśniaków...

Co ja widzę! — zawołał jednoroczny ochotnik zaglądając w swoje notatki. — W jaki sposób dostał się do moich notatek nasz pan Vaniek?

Słuchaj pan, panie rechnungsfeldfelbel — zwrócił się do Vańka — co za piękny artykułik będzie o panu w dziejach batalionu, zdaje mi się, że już pana gdzieś opisałem, ale to będzie stanowczo lepsze i bardziej przekonujące. — I jednoroczny ochotnik zaczął czytać głosem podniesionym i uroczyście:

„Bohaterska śmierć sierżanta rachuby Vańka.

Do ryzykownej wyprawy, mającej na celu wysadzenie w powietrze pancernego pociągu nieprzyjacielskiego, przyłączył się także sierżant rachuby Vaniek w przebraniu wieśniaczym jak i inni uczestnicy tej wyprawy. Wywołany przez siebie wybuchem został ogłuszony, a gdy odzyskał przytomność, ujrzał się otoczonym przez nieprzyjaciela i niebawem zaprowadzono go do sztabu nieprzyjacielskiej dywizji, gdzie w obliczu śmierci odmówił jakichkolwiek wyjaśnień co do sytuacji i liczebności naszego wojska. Ponieważ ujęty został w przebraniu, przeto jako szpiega skazano go na śmierć przez powieszenie, którą to karę przez wzgląd na jego wysokie stanowisko zamieniono mu na śmierć przez rozstrzelanie. Egzekucja została wykonana natychmiast pod murem cmentarnym, a dzielny sierżant Vaniek prosił, aby mu nie zawiązywano oczu. Na pytanie, czy nie ma jakiego specjalnego życzenia, odpowiedział: »Przekażcie za pośrednictwem parlamentariusza mojemu batalionowi ostatnie pozdrowienie ode mnie oraz donieście mu, że umieram przekonany, iż nasz batalion kroczyć będzie nadal drogą zwycięstwa«. Dalej donieście panu kapitanowi Sagnerowi, że według ostatniego rozkazu brygady dzienna porcja konserw została podniesiona do pół trzeciej puszki na jednego szeregowca. Tak umarł nasz sierżant rachuby wzbudzając ostatnim swoim zdaniem popłoch u nieprzyjaciela, który był przekonany, że broniąc przejścia przez rzekę, odcina nas od punktów zaopatrywania, że więc doprowadzi do rychłego wygłodzenia nas, a tym samym do zdemo-

ralizowania. O jego spokoju, z jakim spoglądał śmierci w oczy, świadczy i ta okoliczność, że przed straceniem grał w zechcyka z nieprzyjacielskimi oficerami sztabowymi. »Kwotę przeze mnie wygraną proszę wręczyć rosyjskiemu Czerwonemu Krzyżowi« — rzekł stojąc przed lufami karabinów. Ta szlachetna wspaniałomyślność wzruszyła obecnych wojskowych aż do łez».

Niech mi pan wybaczy, panie Wańku — mówił dalej jednoroczny ochotnik — że pozwoliłem sobie w taki sposób rozporządzić się pieniędzmi przez pana wygranymi. Zastanawiałem się nad tym, czy nie należałoby raczej oddać je austriackiemu Czerwonemu Krzyżowi, ale wreszcie doszedłem do wniosku, że ze stanowiska ludzkiego wszystko to jedno, która humanitarna instytucja te pieniądze otrzyma.

— Mógł ten nasz nieboszczyk przeznaczyć swoje pieniądze na kuchnię dla ubogich w Pradze — rzekł Szwejk — ale właściwie lepiej się stało, bo burmistrz praski mógłby tę sumę przejąć sam w jakim barze.

— Trudna rada, ludzie kradną wszędzie — rzekł telefonista Chodounsky.

— Najwięcej kradną ludziska w Czerwonym Krzyżu — z wielkim gniewem zawołał kucharz Jurajda. — Miałem w Brucku znajomego kucharza, który gotował dla siostrzyczek pracujących w baraku, i ten kucharz powiedział mi, że przełożona i starsze pielęgniarki wysyłają do domu całe skrzynki malagi i czekolady. Do kradzieży zachęca człowieka okazja; powiedziałbym, że takie już jest przeznaczenie człowieka. Każdy człowiek w ciągu swego nieskończonego istnienia przebył niezliczone przemiany, więc przynajmniej raz musi zjawić się na tym świecie jako złodziej w określonych fazach swej działalności. Sam już przebyłem jedną taką fazę.

Kucharz-okultysta Jurajda wyjął ze swego tobołka butelkę koniaku.

— Oto jest nieomyślny dowód mego twierdzenia — rzekł otwierając butelkę. — Zabrałem tę butelkę przed odjazdem z kuchni oficerskiej. Koniak ten jest najlepszej marki i przeznaczony był jako dodatek do lukrów na torty i ptysie. Ale przeznaczeniem jego było, aby go ukradziono, podobnie jak przeznaczeniem moim było, abym się stał złodziejem.

— Byłoby nieźle, gdyby przeznaczenie nasze skazywało nas na współwinowajców pańskich. Nawet mi się zdaje, że tak jest istotnie — rzekł Szwejk.

Przeznaczenie było rzeczywiście nieubłagane. Butelka krążyła z rąk do rąk pomimo protestów sierżanta rachuby Wańka, który twierdził, że koniak trzeba pić kubkiem i że należy podzielić się nim sprawiedliwie, bo wszystkich jest pięciu, więc przy takiej nieparzystej liczbie łatwo może się zdarzyć, iż ten albo ów pociągnie o łyk więcej, niż mu się należy.

Na to odpowiedział Szwejk:

— Całkiem słusznie. Jeśli pan Vaniek chce mieć liczbę parzystą, to niech się wyłączy ze spółki, a będzie po sporach i kłopotach.

Vaniek cofnął więc swój projekt i zaproponował wielkodusznie, aby ofiarodawca Jurajda ustawił się tak, iżby miał możliwość napić się dwa razy, co wywołało burzę protestów, bo ofiarodawca już się raz napił próbując koniak przy otwieraniu butelki.

Wreszcie przyjęty został projekt jednorocznego ochotnika Marka, żeby pić podług alfabetu; uzasadniał to tym, że pisownia nazwiska przesądza losy człowieka.

Resztę koniaku dopił Chodounsky, który był pierwszy według abecadła. Towarzyszyło mu gniewne spojrzenie Wańka, który liczył na to, że ponieważ jest ostatnim, więc będzie miał o jeden łyk więcej, co oczywiście było grubym błędem matematycznym, bo łyków było dwadzieścia i jeden.

Potem grali w stukulkę, a jednoroczniak Marek wygłaszał przy dokupywaniu kart mnóstwo nabożnych sentencji zaczerpniętych z Pisma świętego.

Gdy dostał waleta, wołał:

— Panie mój, poniechaj mi tego waleta i tym razem, aby mi owoce dobrego przyniósł, zanim nawozić i orać będę.

A gdy wszystkich ogarniał gniew, że dobierając karty stale dostawał aty, nawet gdy wyciągał ósemkę, wtedy jednoroczny ochotnik Marek wołał wielkim głosem:

— Azali niewiasta, mająca groszy dziesięć, a zgubiwszy jeden, nie zapaliłaby świecy, nie przetrząsnęłaby domu swego, póki nie znajdzie grosza onego? A skoro znalazła, zwoła

sąsiedzi swe i przyjaciółki serca swego, wołając: „Radujcie się, albowiem dostałam ósemkę i dokupiłam atutowego króla wraz z asem”. Dajcie już te karty, wszyscyście wpadli.

Jednoroczny ochotnik Marek miał doprawdy wyjątkowe szczęście w kartach. Podczas gdy inni przebijali sobie nawzajem atuty, on bił te przebite już lewy zawsze najwyższym atu, tak że jeden za drugim niesłusznie wpadali, a jednoroczny ochotnik Marek brał lewą za lewą i wołał do przegrywających:

— I nastanie po miastach wielkie trzęsienie ziemi i głód, i zaraza, a ogniste znaki na niebie pokazywać się będą.

Wreszcie wszyscy mieli już tego dość; przestali więc grać, gdy telefonista Chodounsky oświadczył, że przegrał swój żold za całe półrocze naprzód. Był tym bardzo zgnębiony, a Marek domagał się rewersów, aby przy wypłacie żoldu należność wypłacana była nie Chodounskiemu, lecz jemu.

— Nie martw się, Chodounsky — pocieszał go Szwejk — jeśli będziesz miał szczęście, to polegniesz w pierwszej potyczce, a Marek dostanie figę, nie twój żold. Podpisz mu rewers i kpij sobie z niego.

Uwaga o możliwości padnięcia w pierwszej potyczce dotknęła Chodounskiego bardzo niemile. Odpowiedział z całą stanowczością:

— Ja paść nie mogę, bo jestem telefonistą; telefoniści siedzą zawsze w miejscu bezpiecznym, a druty się przeprowadza albo poprawia dopiero po bitwie.

Jednoroczniak Marek wywodził, że telefoniści wręcz przeciwnie narażeni są na wielkie niebezpieczeństwo, bo nieprzyjacielska artyleria szuka zawsze przede wszystkim telefonistów. Żaden telefonista w swoim schronie nie jest bezpieczny. Choćby się schron znajdował dziesięć metrów pod ziemią, to i tam go nieprzyjacielska artyleria znajdzie. Że telefoniści giną jak muchy, o tym świadczy fakt, że gdy opuszczał Bruck, to właśnie urządzali tam dwudziesty ósmy kurs dla telefonistów.

Chodounsky spoglądał na mówiącego okiem posmutniałym, co pobudziło Szwejka do przyjacielskiej uwagi:

— Całe telefonowanie to też ładna bujda i szwindel.

— Nie gadajcie, kumie — odpowiedział Chodounsky.

— Zajrzę do swoich notatek dotyczących dziejów batalionu — rzekł Marek. — Co też tam jest pod literą „Ch”?... Chodounsky, Chodounsky. Aha, jest. „Telefonista Chodounsky zasypany przy wybuchu miny. Ze swego grobu telefonuje do sztabu: »Umieram, i wieszczę batalionowi zwycięstwa«”.

— Powinieneś być zadowolony — rzekł Szwejk. — Czy może pragniesz dodać coś od siebie? Pamiętasz tego telegrafistę z „Titanica”, który gdy statek już tonął, ciągle telegrafował na dół do zanurzającej się kuchni pytając, kiedy nareszcie będzie obiad.

— Mnie na szczegółach nie zależy — rzekł jednoroczny ochotnik. — Ewentualnie można przedśmiertne zdanie Chodounskiego uzupełnić na przykład okrzykiem: „Pozdrówcie ode mnie naszą żelazną brygadę!”

#### IV. *Marchieren! Marsch!*

Po przyjeździe do Sanoka okazało się, że ci, co jechali razem z Balounem, który puszczał wiatry po wielkiej wyzerce, mieli rację. Będzie kolacja, a oprócz kolacji rozdawany będzie komiśniak za te wszystkie dni, w których żołnierze chleba nie otrzymywali. Okazało się także, że właśnie w Sanoku znajduje się sztab „żelaznej brygady”, do której przydzielony został batalion 91 pułku piechoty. Ponieważ linia kolejowa, prowadząca stąd pod sam Lwów, a w kierunku północnym na Wielkie Mosty, nie była uszkodzona, przeto było zagadką, dlaczego sztab wschodniego odcinka wydał dyspozycję, aby „żelazna brygada” ze swoim sztabem koncentrowała się sto pięćdziesiąt kilometrów za frontem, skoro przebiegał on w owym czasie od Brodów w stronę Bugu, a potem wzdłuż rzeki na północ ku Sokalowi.

Ta wysoce interesująca kwestia strategiczna została rozstrzygnięta w sposób wyjątkowo prosty, gdy kapitan Sagner składał w Sanoku meldunek o przybyciu batalionu.

Adiutantem brygady był tam kapitan Tayrle.

— Bardzo się dziwię — rzekł kapitan Tayrle — że nie otrzymaliście dokładnych wiadomości. Marszruta jest przecież z góry podana. O trasie swego marszu powinniście byli,

rzecz prosta, powiadomić nas zawczasu. Podług dyspozycji sztabu głównego przybyście o dwa dni za wcześniej.

Kapitan Sagner zacerwienił się z lekka, ale nie przyszło mu na myśl, aby się legitymować tymi wszystkimi telegramami szyfrowanymi, jakie otrzymywał w ciągu całej jazdy.

— Ja się panu bardzo dziwię — rzekł adiutant Tayrle.

— Zdaje mi się, że wszyscy oficerowie są z sobą na „ty” — odpowiedział kapitan Sagner.

— Niech i tak będzie — zgodził się kapitan Tayrle. — Powiedz mi, czyś ty w służbie czynnej, czy rezerwista? Ach tak, aktywny! A, to całkiem co innego... Tu panuje taki zamęt, że sam diabeł się nie rozezna w tym wszystkim. Przejechało tędy bardzo wielu takich idiotów-podporuczników rezerwy. Kiedyśmy się cofali spod Kraśnika i od Limanowej, to wszyscy ci niby-podporucznicy potracili głowy, jak tylko zobaczyli patrol kozacki. My w sztabie nie lubimy takich pasożytów. Taki fujara po skończeniu gimnazjum wstępuje do wojska albo jako jednorocznik zda egzamin oficerski, a potem głupiej dalej jako cywil, a gdy trzeba ruszyć na wojnę, to taki pan robi ze strachu w majtki.

Kapitan Tayrle splunął i poufale poklepał kapitana Sagnera po ramieniu:

— Zabawicie tu ze dwa dni. Postaram się, żeby wam się nie przykrzyło. Mamy tu takie ładne kurewki, „Engelhuren”. Potańcujemy sobie. Jest tu także córka jednego generała, która dawniej uprawiała miłość lesbijską. Przebieramy się wszyscy w suknie kobiece i bywa wesoło; zobaczysz, co ona potrafi. Taka sucha małpa, że trudno sobie wyobrazić, ale zna się na rzeczy, przyjacielu. Ananas pierwszej klasy, zresztą sam zobaczysz. Pardon! — zawołał nagle. — Będę znowu wymiotował. Powtarza się to już trzeci raz.

Kiedy po chwili wrócił, tłumaczył się Sagnerowi, że to skutki wczorajszego wieczoru, w którym uczestniczył także oddział inżynieryjny. Tłumaczył się zaś tylko dlatego, aby kapitan Sagner widział, jak tu bywa wesoło.

Z dowódcą oddziału inżynieryjnego, który miał także stopień kapitana, zapoznał się kapitan Sagner bardzo szybko. Do kancelarii wpadł chłop jak tyka chmielowa, niby w półśnie przeoczył obecność kapitana Sagnera i w tonie najfamiliarniejszym zwrócił się do kapitana Tayrle:

— Co robisz, stara świnię? Wczoraj wieczorem ładnie urządziłeś naszą hrabiankę! — Usadził się na krzesło i waląc się trzcina po łydkach, wołał: — Pękam ze śmiechu, gdy sobie przypominam, żeś jej porzygał całe łono...

— Masz rację — odpowiedział Tayrle — wczoraj było rzeczywiście bardzo wesoło.

Dopiero potem zapoznał kapitana Sagnera z przybyłym oficerem, następnie wszyscy trzej przeszli przez kancelarię administracyjnego wydziału brygady i udali się do kawiarni, która powstała w ciągu jednej nocy z dawnej piwiarni.

Gdy przechodzili przez kancelarię, kapitan Tayrle wziął z ręki oficera inżynierii trzcinę i uderzył nią w długi stół, dokoła którego ustawiono na komendę dwunastu pisarzy wojskowych. Byli to wyznawcy dekowania się przy spokojnej i zgoła bezpiecznej pracy na tyłach armii, mieli ładne, okrągłe brzuszki i ubrani byli w odświętne uniformy.

Do tych dwunastu spasionych apostołów dekowania rzekł kapitan Tayrle chcąc się widocznie popisać przed kapitanem Sagnerem i drugim kapitanem:

— Nie wyobrażajcie sobie, że trzymamy was tutaj niby w karmniku. Wy świnię! Trzeba mniej żreć i chlać, a więcej biegać!

— Teraz pokażę wam jeszcze inną tresurę — rzekł kapitan Tayrle do towarzyszy.

Znowu uderzył trzcina w stół i zapytał pisarzy stojących przy stole:

— Kiedy popękacie, prosięta?

— Według rozkazu pana kapitana.

Śmiejąc się z własnego błazeństwa i idiotyzmu kapitan Tayrle wyszedł z kancelarii.

Gdy znaleźli się w kawiarni, kapitan Tayrle kazał podać butelkę jarzębiaku i przysłać kilka wolnych pańienek. Okazało się, że cała ta kawiarnia to po prostu najzwyczajniejszy zamtuż. Ponieważ żadna z pańienek nie była wolna, kapitan Tayrle rozzłościł się okrutnie, w sieni zwymyślał od ostatnich zarządzającą madam i głośno rozpytywał się, kto jest u panny Elly. Kiedy mu odpowiedziano, że siedzi u niej jakiś podporucznik, Tayrle krzyczał jeszcze głośnie.

U panny Elly siedział tymczasem podporucznik Dub, który gdy już batalion rozlokowany był w gimnazjum, zwołał swój oddział i w długim przemówieniu wywodził, że Rosjanie przy odwróceniu wszędzie zakładali domy rozpusty z personelem pozarażanym chorobami płciowymi, aby tym podstępem narazić armię austriacką na wielkie straty. Niniejszym ostrzega przeto żołnierzy przed udawaniem się do takich domów rozpusty. Sam osobiście przekona się, czy żołnierze usłuchali jego rozkazu, który jest surowy dlatego, że wojsko znajduje się już w strefie przyfrontowej. Każdy żołnierz przyłapany w domu rozpusty będzie pociągnięty przed sąd polowy.

Podporucznik Dub poszedł przekonać się osobiście, czy żołnierze nie wykraczają przeciwko jego rozkazowi i dlatego za punkt oparcia dla swojej kontroli wybrał sobie kanapkę panny Elly w pokoiku na pierwszym piętrze tak zwanej miejskiej kawiarni. Na kanapce owej bawił się bardzo mile.

Tymczasem kapitan Sagner powrócił już do swego batalionu. Towarzystwo kapitana Tayrle rozlało się, bo Tayrle wezwali do brygady, gdzie generał dowodzący już od godziny szukał swego adiutanta.

Przyszły nowe rozkazy z dywizji i trzeba było wyznaczyć ostatecznie marszrutę dla przybyłego 91 pułku, ponieważ trasą, która była dla niego pierwotnie wyznaczona, ma obecnie według nowych dyspozycji jechać marszbatalion 102 pułku.

Wszystko było beznadziejnie poplątane, Rosjanie wycofywali się z północno-wschodniego zakątka Galicji bardzo szybko, tak że niektóre oddziały armii austriackiej pomieszały się tam ze sobą, a w tę mieszaninę wbijały się klinem oddziały armii niemieckiej tworząc chaos potęgowany jeszcze przybywaniem na front nowych marszbatalionów i różnych formacji wojskowych. Tak samo było na odcinkach frontowych, znajdujących się jeszcze dalej na tyłach, jak i tutaj w Sanoku, do którego przybyły nagle rezerwy niemieckiej dywizji hanowerskiej pod dowództwem pułkownika o tak ponurym spojrzeniu, że dowódca brygady stracił ostatecznie głowę. Pułkownik rezerw niemieckich pokazał mianowicie dyspozycje swego sztabu, według których miał rozlokować swoich żołnierzy w gmachu gimnazjum, zajętym właśnie przez pułk 91. Dla ulokowania swego sztabu zażądał opróżnienia domu Banku Krakowskiego, w którym właśnie przebywał sztab brygady.

Dowódca brygady połączył się bezpośrednio z dywizją i przedstawił jej sytuację jak najściślej, następnie rozmawiał z dywizją ponury hanowerczyk, w wyniku czego do brygady przyszedł następujący rozkaz:

„Brygada wychodzi z miasta o szóstej wieczorem na Turową – Wolską – Liskowiec – Starą Sól – Sambor, gdzie otrzyma dalsze rozkazy. Razem z nią idzie marszbatalion 91 pułku jako ochrona, według podziału opracowanego w brygadzie. Przednia straż wychodzi na Turową o godzinie pół do szóstej, między strażą boczną na południowym skrzydle i północnym odległość trzech i pół kilometra. Straż tylna wyrusza o godzinie kwadrans po szóstej”.

W gimnazjum wszczął się z tego powodu wielki ruch; do rozpoczęcia konferencji oficerów batalionu brakło tylko podporucznika Duba i Szwejkowi polecono odszukać go.

— Mam nadzieję, że znajdziecie go bez wielkiego trudu, bo stale coś ze sobą macie — rzekł porucznik Lukasz.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że proszę o pisemny rozkaz dowództwa kompanii. Właśnie dlatego, że zawsze coś ze sobą mamy.

Podczas gdy porucznik Lukasz na kartce notatnika wypisywał wezwanie, aby podporucznik Dub przybył natychmiast na konferencję, Szwejk meldował dalej:

— Tak jest, panie oberlejtant, i tym razem, jak zawsze, może pan być o wszystko spokojny. Już ja go znajdę. Ponieważ żołnierzom nie wolno chodzić do burdelów, więc pan podporucznik Dub na pewno siedzi w jednym z nich, aby się przekonać, czy za przekroczenie tego zakazu nie udałoby się pociągnąć któregoś z żołnierzy przed sąd polowy, którym zawsze wszystkich straszy. On sam uprzedził żołnierzy swego oddziału, że zbada wszystkie burdele i że biada przyłapanym, bo go potem poznają ze złej strony. Zresztą ja wiem, gdzie on jest. Siedzi w tej kawiarni naprzeciwko, bo wszyscy żołnierze patrzyli za nim, aby wiedzieć, który z tych domów zbada najpierw.

„Połączone Domy Rozrywek” i „Kawiarnia Miejska”, czyli przedsiębiorstwo, o którym Szwejk wspominał, było podzielone na dwie części. Kto nie chciał przechodzić przez

kawiarnię, wchodził od tyłu, gdzie wygrzewała się na słońcu jakaś stara kobieta. Po niemiecku, po polsku i po węgiersku przemawiała ona do przybywających mniej więcej tymi słowami:

— Niech pan pozwoli, panie żołnierzu, mamy tu bardzo ładne panienki.

Gdy pan żołnierz przyjmował zaproszenie, prowadziła go korytarzem do jakiegoś przedpokoju czy poczekalni i wołała jedną z panienek, która przybiegała natychmiast w koszuli. Naprzód żądała pieniędzy, które z kolei inkasowała madam, podczas gdy pan żołnierz odpinał bagnet.

Oficerowie wchodziłi przez kawiarnię. Droga panów oficerów była nieco trudniejsza, bo prowadziła obok gabinetów w tyle kawiarni, gdzie był bogaty wybór panienek lepszej kategorii, przeznaczonej dla szarż oficerskich; były tam też koronkowe koszulki, pijano tam wino i likiery. Madam surowo przestrzegała obyczajów i na nic tu nie zezwalała; wszystko odbywało się na górze w pokoikach. W jednym z takich rajów na kanapie pełnej pluskwów leżał w kalesonach podporucznik Dub, a panna Elly opowiadała mu zmyśloną, jak to już zawsze bywa, tragedię swego życia. Jej ojciec, wywodzący się z Budapesztcie, a puściła się z nieszczęśliwej miłości.

Za podporucznikiem Dubem na stoliku pod ręką stała butelka jarzębiaka i kieliszki. Ponieważ butelka była opróżniona dopiero do połowy, a podporucznik Dub i panna Elly mówili już od rzeczy, widać było, że podporucznik nie ma tęgiej głowy. Ze słów jego łatwo też można było wywnioskować, że mu się w głowie wszystko pomieszało i że pannę Elly uważa za swego służącego Kunerta. Nazywał ją też Kunertem i zwyczajem swoim groził jej stale:

— Kunert, Kunert, bestio jedna, poznasz ty mnie kiedyś ze złej strony...

Szwejk chciano poddać tej samej procedurze, jakiej poddawano wszystkich innych żołnierzyków, którzy przybywali tu wchodząc tylnym wejściem, ale on wyrwał się statecznie jakiejś dziewczynie w koszuli. Na jej krzyk przybiegła ta polska madam i w żywe oczy łgała, że nie bawi tutaj żaden pan lejtnant.

— Niech szanowna pani nie wyjeżdża na mnie z pyskiem — rzekł uprzejmie Szwejk uśmiechając się słodko — bo trzasnę w zęby. U nas przy ulicy Płatnerskiej pewnego razu sprali taką madam tak dokumentnie, że straciła przytomność. Syn tam szukał ojca swego, niejakiego Vondraczka, handel pneumatykami. Tamta madam nazywała się Krzovanova, ale gdy ją ocucili i pytali jej się o imię, to odpowiedziała, że nazywa się jakoś na „Ch”. A jaka godność szanownej pani?

Czcigodna matrona zaczęła straszliwie wrzeszczeć, gdy po tych słowach Szwejk ją odepchnął i z wielką powagą szedł po drewnianych schodach na pierwsze piętro.

Na dole zjawił się sam właściciel tego domu, jakiś podupadły polski szlachcic. Polecał za Szwejkem po schodach i zaczął go szarpać za bluzę wykładając mu po niemiecku, że na piętro wchodzić mu nie wolno, bo to dla panów oficerów, a dla wojska na dole.

Szwejk powiedział mu, że przybywa tutaj w interesie całej armii i że szuka pewnego pana lejtnanta, bez którego armia nie może wyruszyć w pole. Gdy zaś właściciel poczynął sobie coraz napastliwiej, Szwejk zepchnął go po schodach na dół, a sam zabrał się do przeglądania pokojów. Przekonał się, że wszystkie pokoje są puste i dopiero na samym końcu korytarza, gdy zapukał, ujął za klamkę i uchylił nieco drzwi, odezwał się wrzaskliwy głos panny Elly: „Besetzt!”, a w ślad za nią przemówił podporucznik Dub, któremu zdawało się widać, że jest jeszcze w swoim pokoju w obozie: „Herein!”

Szwejk wszedł do pokoju, zbliżył się do kanapy i oddając kartkę z wezwaniem podporucznikowi Dubowi, rozglądał się po pokoju, gdzie porozrzucone były części garderoby pana podporucznika, i meldował:

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że ma się pan ubrać i stawić natychmiast podług tego rozkazu, który panu wręczam, w naszych koszarach, w gimnazjum, bo odbywamy tam wielką naradę wojenną.

Podporucznik Dub wytrzeszczył na niego oczy o malutkich źrenicach, ale był prawie przekonany, że nie jest znowu tak dalece wstawiony, żeby nie mógł poznać Szwejka. Przyszło mu jednak na myśl, że posyłają mu Szwejka do raportu, rzekł do niego:

— Zaraz zabiorę się do ciebie. Zobaczysz... co... z tego... będzie...

— Nalej mi jeszcze jeden, Kunert — zwrócił się do panny Elly.

Napił się i drąc pisemny rozkaz, śmiał się:

— To ma być... pisemne usprawiedliwienie? U... nas... żadne... usprawiedliwienie... nic... nie znaczy... Teraz... jest... wojna... a nie... szkoła... No, bratku... złapaliśmy... cię... w burdelu... co? Chodź... no tu... Szwejku... bliżej... dostaniesz... po... pysku. W którym... roku... Filip... Macedoński... pobił... Rzymian... tego... nie... wiesz... ty... ogierze!

— Posłusznie melduję, panie lejtnant — nastawał Szwejk nieubłaganie dalej — że to jest najwyższy rozkaz z brygady, że panowie oficerowie mają się ubrać i pójść na konferencję batalionową, bo ruszamy w pole, a teraz ma być zadecydowane, która kompania będzie strażą przednią, boczną lub tylną. Teraz będzie o tym mowa, a ja sędzę, że i pan lejtnant powinien zabrać głos w tej sprawie.

To dyplomatyczne przemówienie trochę oprzytomniło podporucznika Duba. Zaczynał się orientować, że jednak nie jest w koszarach, ale dla pewności zapytał:

— Gdzież to ja jestem?

— Raczy pan się znajdować w burdelu, panie lejtnant. Ludzie bowiem różnymi chadzają drogami.

Podporucznik Dub odsapnął ciężko, wstał z kanapy i zaczął zbierać części swego uniformu, przy czym Szwejk mu pomagał. Gdy podporucznik był już ubrany, wyszli obaj razem z pokoju, ale po chwili Szwejk wrócił i nie zwracając uwagi na pannę Elly, która na swój sposób tłumaczyła ten jego powrót i z nieszczęśliwej miłości natychmiast ułożyła się w łóżku, wypił resztę jarzębinówki i pośpieszył za podporucznikiem.

Na ulicy znowu wódka uderzyła podporucznikowi Dubowi do głowy, ponieważ był wielki upał. Opowiadał Szwejkowi największe głupstwa bez jakiegokolwiek związku. Mówił, że w domu ma markę pocztową z Helgolandu i że natychmiast po maturze poszli z kolegami grać w bilard i nie ukłonili się wychowawcy swej klasy. Przy każdym zdaniu dodawał:

— Sędzę, że mnie należy rozumiecie.

— Tak jest, rozumiem pana należy — odpowiadał Szwejk. — Mówił pan lejtnant mniej więcej tak samo, jak blacharz Pokorny w Budziejowicach. Gdy go ludzie zapytywali, czy się tego roku kąpał w Malszy, odpowiadał: „Nie kąpałem się, ale za to urodzi się tego roku dużo węgiełek”. Albo go pytali: „Czy jadł pan tego roku grzyby?”. A on odpowiadał: „Nie jadłem tego roku grzybów, ale ten nowy sułtan marokański ma być podobno bardzo porządnym człowiekiem”.

Podporucznik Dub przystanął i zawołał:

— Sułtan marokański? Ten facet już nic nie znaczy. — Otarł pot z czoła i spoglądając na Szwejka zamglonymi oczyma mruczał: — Nawet zimną nie pocilem się tak jak teraz. Zgadzasz pan się ze mną? Zrozumiałeś pan?

— Rozumiem, panie lejtnant. Do naszej gospody „Pod Kielichem” chodził pewien starszy pan, niejaki radca emerytowany z Komisji Krajowej, i twierdził słowo w słowo to samo. Mawiał zawsze, że mu dziwno, iż taka jest różnica między temperaturą letnią a zimową. I bardzo się dziwił, że ludzie tej przyczyny jeszcze nie poznali.

W bramie gimnazjum Szwejk opuścił podporucznika Duba, który zataczając się wszedł po schodach na piętro do auli, gdzie odbywała się narada wojenna, i natychmiast zameldował się kapitanowi Sagnerowi jako zupełnie pijany. Podczas obrad siedział ze spuszczoną głową, a w czasie dyskusji wstawał od czasu do czasu i wołał:

— Wasze poglądy są słuszne, moi panowie, ale ja jestem kompletnie pijany.

Gdy wszystkie dyspozycje były już opracowane, a kompanii porucznika Lukaszka wyznaczone zostało zadanie straży przedniej, zerwał się Dub na równe nogi i rzekł:

— Pamiętam, panowie, naszego profesora-wychowawcę w ósmej klasie! Sława mu! Sława mu! Sława mu!

Porucznikowi Lukaszowi przyszło na myśl, że będzie najlepiej, gdy podporucznika Duba ułoży jego służący Kunert w gabinecie fizycznym, gdzie stała straż pilnująca, aby ktoś nie ukradł reszty nie rozkradzionych jeszcze mineralów, znajdujących się w gabinecie. Na pilnowanie tego gabinetu stale zwracało uwagę dowództwo brygady.

Troskliwość dowództwa zrodziła się w chwili, gdy jeden z batalionów honwedów, ulokowany w gimnazjum, zabrał się do rabowania gabinetu. Honwedom podobał się osobiście zbiór mineralów, barwne kryształy i kamyki, więc ponapychali sobie nimi toristry.

Na jednym z okolicznych cmentarzyków znajduje się biały krzyż z napisem: „Laszlo Gargany”. Pod tym krzyżem śpi snem wiecznym jeden honwed, który podczas rabowania tego gabinetu wypił wszystek denaturowany spirytus z naczynia, w którym znajdowały się różne płazy.

Wojna światowa wymordowywała pokolenie ludzkie nawet przy pomocy spirytusu konserwującego węże.

Gdy się wszyscy porozchodzili, porucznik Lukasz wezwał służącego podporucznika Duba, Kunerta, i kazał mu ułożyć pijanego na kanapie w gabinecie.

Podporucznik Dub stał się nagle grzeczny jak małe dziecko. Ujął Kunerta za rękę, zaczął się przyglądać jego dłoni i zapewniał go, że z dłoni wyczyta imię jego przyszłej małżonki.

— Jak pan się nazywa? Niech pan wyjmie notatnik i ołówek z kieszeni mej bluzy. Więc nazywa się pan Kunert. No to przyjdź pan za kwadrans, a ja zostawię tu dla pana kartkę z imieniem pańskiej małżonki.

Ledwie wymówił te słowa, zasnął i chrapał, ale rychło się przebudził i zaczął coś pisać w swoim notatniku. Co napisał, to wyrzywał i rzucał na podłogę, a kładąc palec na ustach, mamrotał:

— Teraz jeszcze nie, dopiero za kwadrans. Najlepiej będzie szukać papierka z zawiazanymi oczyma.

Kunert był takim zdeklarowanym pocziwcem, że po kwadransie przyszedł istotnie, zbierał papierki i na jednym z nich odcyfrował bazgroły podporucznika Duba:

„Imię pańskiej przyszłej małżonki — pani Kunertowa”.

Gdy po chwili karteczkę pokazywał Szejkwowi, ten poradził mu, aby ją sobie dobrze schował, bo na wojnie takie dokumenty, pochodzące od panów oficerów, są osobliwie cenne. Dawniej tego nigdy nie było, żeby oficer korespondował ze swoim służącym i żeby się do niego odzywał per „panie”.

\*

Gdy wszystkie przygotowania do wymarszu były wykonane według ustalonych dyspozycji, generał brygady, który tak ładnie został wystrychnięty na dudka przez hanowerskiego pułkownika, kazał cały batalion ustawić w czworobok i wygłosił do niego przemowę. Ten pan w ogóle bardzo lubił wygłaszać mowy, więc głądził piąte przez dziewiąte, a gdy już nie wiedział, co by tak jeszcze powiedzieć, przypomniał sobie pocztę polową.

— Żołnierze! — grzmiał jego głos na cały batalion. — Obecnie zbliżamy się ku frontowi nieprzyjacielskiemu, od którego dzieli nas kilka marszów dziennych. Dotychczas, żołnierze, nie mieliście możności przesłać swoim bliskim, których opuściliście, adresu, aby wiedzieli, jak do was pisać trzeba, iżby was uradowali domownicy wasi listami pełnymi dobrych wiadomości.

Jakoś nie wiedział, co ma powiedzieć dalej, i z dziesięć razy powtarzał słowa o ukochanych krewnych, drogich domownikach, opuszczonych, bliskich itd., aż wreszcie wyrwał się z tego zaczarowanego koła potężnym okrzykiem:

— Od tego mamy poczty polowe na froncie!

Dalszy ciąg jego mowy wyglądał tak, jakby wszyscy ci ludzie w szarych uniformach powinni byli pójść na śmierć z największą uciechą jedynie dlatego, że na froncie istnieją poczty polowe i że jeśli komuś granat oberwie obie nogi, to śmierć musi być dla takiego nieszczęśnika wielką przyjemnością, gdy pomyśli, że jego poczta polowa ma numer 72 i że na tej poczcie leży może list z domu od jego dalekich krewnych, a przy liście jest paczka z kawałem wędzonki, słoniny i sucharów domowych.

Po mowie tej, gdy orkiestra wojskowa odegrała hymn cesarski i gdy wzniesiono trzykrotny okrzyk na cześć cesarza, poszczególne grupy tego mięsa ludzkiego, przeznaczonego dla armat gdzieś tam za Bugiem, ruszyły po kolei w drogę.

Kompania 11 wyszła o pół do szóstej na Turową-Wolską. Szejwk włókł się w tyle ze sztabem kompanii i z sanitariuszami, a porucznik Lukasz objeżdżał całą kolumnę i co chwila zajeżdżał ku sanitariuszom, aby się przekonać, czy dobrze został przez nich ułożony



na sanitarnym wózku podporucznik Dub, wieszony ku bohaterskim czynom nieznaną przyszłości. Dla zabicia nudy porucznik Lukasz wdawał się w rozmowę ze Szwejkem, który cierpliwie dźwigał swój plecak i karabin i opowiadał sierżantowi rachuby Vańkowi o tym, jak to się ładnie maszerowało onego czasu na manewrach koło Wielkiego Międzyrzecza.

— Okolica była zupełnie taka sama jak tutaj, tylko że nie maszerowali tak „feldmässig”, bo wtedy nawet nikt nie wiedział, co to są zapasowe konserwy. Jeśliśmy czasem fasowali konserwy, tośmy je na najbliższym noclegu zeżarli, a zamiast puszek wkładaliśmy do plecaka cegłę. W jednej wsi przybyła inspekcja i powyrzucała nam cegły z plecaków, a było ich tyle, że z tych cegieł jakiś człowiek wybudował sobie później domek rodzinny.

Po chwili Szwejk maszerował przy koniu porucznika Lukaszka i opowiadał o pocztach połowych:

— Ładna była ta mowa i każdemu jest bardzo przyjemnie, gdy mu do wojska poślą jaki ładny list z domu. Ale gdy ja służyłem przed laty w wojsku w Budziejowicach, to dostałem całego kramu tylko jeden list, który noszę zawsze przy sobie.

Szwejk wyjął z brudnego i wymiętego portfela zatuszczony list i dotrzymując kroku koniowi porucznika Lukaszka, który popędzał swego wierzchowca, czytał:

„Ty łobuzie obrzydliwy, ty morderco i łotrze! Pan kapral Krzyż przyjechał do Pragi na urlop, więc z nim tańcowałam »Pod Indykami«, a on mi opowiadał, że ty w Budziejowicach tańczysz »Pod Zieloną Żabą« z jakąś głupią fładrą i że mnie już na dobre puścisz kaniem. Żebyś wiedział, że list ten piszę w wychodku na desce koło dziury i już koniec z nami. Twoja dawna Bożena. Aha, żebyś nie zapomniała. Ten kapral to majster i będzie cię szykanował porządnie, bo go o to prosiłam. I jeszcze muszę ci napisać, że mnie nie znajdziesz wśród żyjących, jak przyjedziesz na urlop”.

Naturalnie — wywodził Szwejk biegnąc łagodnym truchcikiem — kiedy przyjechałam na urlop, to była między żyjącymi, i jeszcze między jakimi żyjącymi! Spotkałam się z nią także „Pod Indykami”, gdzie ubierali ją dwaj żołnierze z jakiegoś obcego pułku, a jeden z nich był taki żwawy, że publicznie sięgał pod jej sukienkę, jakby chciał, posłusznie melduję, panie oberlejtant, wydostać stamtąd puszek jej niewinności, jak się wyraża powieściopisarka, pani Winczesława Lużicka, albo też jak to w podobny sposób odezwała się na lekcji tańca pewna szesnastoletnia panienka do gimnazysty, który w tańcu uszczyptał ją w ramię: „Panie, pan stał puszek mego panieństwa!” — i wybuchła płaczem. Oczywiście, że wszyscy się z tego śmieli, a jej matka, która ją tam pilnowała, wyciągnęła swoją głupią na korytarz i sprząła ją po łbie. Ja, proszę pana oberlejtanta, jestem zdania, że wiejskie dziewczyny są jednak szersze niż te mizdrzące się panienki miejskie, które chodzą na lekcje tańca. Kiedy przed laty staliśmy w obozie w Mniszku, to chodziłem na tańce do „Starego Knina”, namówiłem tam sobie jakąś Karolinę Veklev, ale nie bardzo się jej podobałem. Pewnego niedzielnego wieczora poszedłem z nią nad staw, usiedliśmy sobie na grobli, a gdy słońce zachodziło, zapytałem się jej, czy mnie lubi. Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że wieczór był ciepły, wszystkie ptaszki śpiewały, a ona mi odpowiedziała z okrutnym śmiechem: „Owszem lubię cię jak zadrę w dupie. Przecież jesteś głupi”.

A ja byłem naprawdę głupi, taki straszliwie głupi, bo, posłusznie melduję, panie oberlejtant, chodziliśmy po miedzach w wysokim zbożu, gdzie nie było żywego ducha, i nawet nie przysiedliśmy, a ja pokazywałem jej ciągle całe to błogosławieństwo boże i mówiłem jej, ja głupi, tej wiejskiej dziewczynie, że to jest żyto, a to pszenica, a tamto znowu owies.

Jakby na potwierdzenie tego owsa gdzieś na czele kolumny dobrzmiewały głosy żołnierzy śpiewających pieśń, z którą pułki czeskie chodziły już pod Solferino, aby krwawić się i ginąć za Austrię:

A gdy było po północy,  
Owies z worka wyskoczył.  
Żupajdija, żupajda,  
Każda panna da...

Co znowu uzupełniały inne głosy:

Oj da, oj da, oj da,  
Bo czemuż nie dać ma?  
Gdy się gratka nadarzy,  
Da ci buzi dwa razy!  
Żupajdija, żupajda,  
Każda panna da!  
Oj da, oj da, oj da,  
Bo czemuż nie dać ma?

Potem Niemcy zaczęli śpiewać tę samą piosnkę po niemiecku.

Jest to stara piosnka żołnierska, którą soldateska śpiewała być może już podczas wojen napoleońskich we wszystkich językach. Teraz grzmiała uciechą wśród kurzawy szosy prowadzącej na Turową-Wolską przez równinę Galicji, gdzie po obu stronach tej drogi aż po zielone pagórki na południu rozciągały się stratowane pola, zniszczone kopytami koni i podeszwami tysięcy i setek tysięcy ciężkich butów żołnierskich.

— Tak samo urządziliśmy jedno pole podczas manewrów w okolicy Pisku — odezwał się Szwejk rozglądając się dokoła. — Był tam z nami jeden pan arcyksiążę, ale to był pan bardzo sprawiedliwy, bo gdy ze względów strategicznych włączył się ze sztabem swoim po polu obsianym zbożem, to tuż za nim jechał adiutant, który całą wyrządzoną szkodę szacował. Niejaki Picha, gospodarz wiejski, nie umiał się cieszyć z takich wysokich odwiedzin i nie przyjął od urzędu skarbowego osiemnastu koron odszkodowania za pięć morgów stratowanego zboża, chciał się prawować i dostał za to, panie oberlejt-nant, osiemnaście miesięcy. A ja sądzę, panie oberlejt-nant, że właściwie powinien się być cieszyć, że ktoś z domu cesarskiego przebywał na jego gruncie. Inny gospodarz, trochę sprytniejszy, byłby wszystkie swoje dziewczuchy poubierał w białe suknie jako drużny, byłby im powkładał w ręce bukiety i porozstawiał je na swoich gruntach, żeby witały dostojnego pana. Czytałem kiedyś o wielkim władcy indyjskim, którego poddani tak samo pozwalali się tratować takiemu słoniowi.

— Co wy wygadujecie, Szwejku? — wołał na niego z konia porucznik Lukasz.

— Posłusznie melduję, panie oberlejt-nant, że mówię o słoniu, który na swoim grzbiecie dźwigał tego władcę, o którym czytałem.

— Bardzo dobrze, mój Szwejku, że umiecie wszystko należycie wytłumaczyć — rzekł porucznik Lukasz i ruszył żwawiej ku czołu kolumny.

Kolumna rwała się coraz bardziej. Żołnierze, nie przyzwyczajeni do maszerowania po długim wypoczynku w pociągu i obciążeni pełnym ekwipunkiem polowym, czuli zmęczenie i ból w ramionach i każdy chciał sobie ulżyć, jak umiał. Przekładali karabiny z ramienia na ramię, większość nie niosła ich już na pasie, ale taszczyła je niedbale jak jakie widły czy grabie. Niejeden myślał, że mu będzie lepiej, gdy pójdzie miedzą lub rowem, gdzie grunt pod nogami wydawał im się bardziej miękki niż na zakurzonej szosie.

Ludzie szli przeważnie z głowami pochylonymi ku ziemi i wszyscy mieli wielkie pragnienie, bo chociaż słońce już zaszło, było tak samo duszno i parno jak w południe, a żaden z żołnierzy nie miał ani kropli wody w manierce. Był to pierwszy dzień marszu, a ta niezwykła sytuacja, będąca jakby wstępem do coraz większych udręków, osłabiała wszystkich coraz bardziej i przygnębiała. Przestali też śpiewać i zaczęli w rozmowach ze sobą zgadywać, jak też może być daleko do Turowej-Wolskiej i gdzie się będzie nocowało. Niektórzy siadali na chwilę w rowie, a dla zamaskowania tego kradzionego odpoczynku zdejmowali obuwie i na pierwsze spojrzenie wywierali wrażenie ludzi, którzy źle owinęli stopy onuckami i teraz poprawiają je, aby im nie przeszkadzały w marszu. Inni znowu skracali lub podłużali pasa od karabinu, zdejmowali plecaki i przekładali w nich swoje rzeczy, jakby im chodziło o równomierny rozkład ciężaru na oba ramiona. Gdy porucznik Lukasz zbliżał się do nich, wstawali i meldowali, że coś ich tam uwierało i że trzeba było poprawić. Oczywiście najczęściej wpędzali ich z powrotem do szeregu plutonowi lub kadeci, gdy z daleka widzieli nadjeżdżającego porucznika Lukasa.

Mijając ich, porucznik Lukasz dość grzecznie zachęcał do dalszego maszerowania mówiąc, że do Turowej-Wolskiej już tylko trzy kilometry, a tam będzie odpoczynek.

Tymczasem zbudził się i oprzytomniał podporucznik Dub, podrzucany na wszystkie strony sanitarną dwukólką, na której go ułokowano. Nie oprzytomniał wprawdzie na dobre, ale zdołał się już usadowić i wychylić z wózka. Zaczął krzyczeć na sztab kompanii, który maszerował sobie swobodnie w pobliżu, ponieważ wszyscy, począwszy od Balouna aż po Chodounskiego, poukładali swoje toboły na dwukólkach. Tylko Szwejk kroczył statecznie z plecakiem na ramionach i z karabinem zawieszonym po dragońsku na piersi. Palił fajkę i śpiewał:

Gdyśmy szli do Jaromierza,  
Niech nam wierzą czy nie wierzą,  
Dostaliśmy tam wieczereć...

Dalej niż na pięćset kroków przed podporucznikiem Dubem wznosiły się nad szosą chmury kurzu, otaczające żołnierzy gęstą mgłą. Podporucznik Dub, który odzyskał tymczasem swój zapal wojenny, wychylił się z dwukółki i zaczął ryczeć w te kłęby kurzu:

— Żołnierze! Nasze wzniosłe zadanie jest trudne! Oczekują nas ciężkie marsze, najróżniejsze niedostatki, braki wszystkiego i różne udręki! Ale z całkowitym zaufaniem oczekuję od was dowodów wytrwałości, pokażcie, jaką macie silną wolę!

— Ach, ty wole! — zrymował Szwejk.

Podporucznik Dub improwizował dalej:

— Dla was, żołnierze, żadna przeszkoda nie jest tak wielką, byście nie zdołali jej pokonać! Jeszcze raz, żołnierze, powtarzam wam, że nie prowadzę was ku zwycięstwu łatwemu. Twardy to dla was będzie orzech do zgryzienia, ale wy go zgryziecie! A dzieje wieków głośić będą waszą chwałę!

— Nabierz wody w gębę, bo dostaniesz w pałę... — deklamował Szwejk.

A podporucznik Dub jakby usłyszał, jakby napił się letniej wody, wychylił się z dwukółki i ze spuszczoną głową zaczął wymiotować na zakurzoną szosę i dopiero gdy mu trochę ulżyło, wrzasnął z całej siły:

— Żołnierze, naprzód! — Natychmiast wszakże opadł z powrotem na tobolek telegrafisty Chodounskiego i spał bez przerwy aż do Turowej-Wolskiej, gdzie go wreszcie zbudzono i ściągnięto z wozu na rozkaz porucznika Lukaszka, który miał z nim uciążliwą i długą rozmowę. Podporucznik otrzeźwiał ostatecznie tak dalece, że zdołał oświadczyć:

— Logicznie rzecz biorąc zrobiłem głupstwo, ale naprawię je w obliczu nieprzyjaciela.

Musiał jednak nie być jeszcze całkiem trzeźwy, bo odchodząc do swego oddziału, rzekł do porucznika Lukaszka:

— Jeszcze wy mnie nie znacie, ale poznacie mnie!

— Niech pan się poinformuje u Szwejka o tym wszystkim, co pan wyrabiał.

Przed udaniem się więc do swego oddziału, podporucznik Dub poszedł do Szwejka, którego znalazł w towarzystwie Balouna i sierżanta rachuby Vańka.

Baloun opowiadał właśnie o tym, że u siebie w młynie miewał zawsze butelkę piwa w studni i że piwo było takie zimne, aż zęby drętwiały. I w innych młynach wszędzie zapijano takim piwem gomółki, ale on w żarłoczności swojej, za którą teraz Pan Bóg go karze, zjadł po gomółkach jeszcze porządny kawał mięsa. A teraz oto sprawiedliwość boża ukarała go ciepłą, zaśmierdłą wodą ze studni w Turowej-Wolskiej, do której to wody żołnierze dla zabezpieczenia się przed cholera wysypywać musieli kwas cytrynowy, rozdany im przed chwilą, gdy plutony fasowały wodę ze studzien. Baloun wyraził przekonanie, że ten kwas cytrynowy jest chyba na to tylko, żeby w ludziach wzbudzać tym większy apetyt. Nie można co prawda zaprzeczyć, że w Sanoku trochę się pożywił, co więcej, że oberlejtant Lukasz podarował mu połowę porcji cielęciny, którą Baloun przyniósł dla niego z brygady, ale swoją drogą jest to rzecz okropna, iż jedzenia jest tak mało, bo przez całą drogę był przekonany, że gdy przybędą gdzieś na nocleg, to dostaną porządną kolację. Był o tym przekonany tym bardziej, że kucharze nabierali wody do kotłów; zaraz też poszedł do kuchni przepytac się co i jak, ale mu odpowiedzieli, że tymczasem kazano naczepać wody, ale za chwilę może przyjdzie rozkaz, że wodę trzeba wylać.

W tej właśnie chwili zbliżył się do nich podporucznik Dub, a ponieważ nie miał zwykłej pewności siebie, więc zapytał:

— Rozmawiacie sobie?

— Rozmawiamy sobie, panie lejtnant — odpowiedział w imieniu wszystkich Szwejk. — Bawimy się wesoło, bo zawsze najlepiej jest dobrze się bawić. Właśnie rozmawiamy o kwasie cytrynowym. Bez przyjemnej rozmowy żaden żołnierz wytrzymać nie może, jako że przy rozmowie zapomina się o trudach wojennych.

Podporucznik Dub wezwał Szwejka, żeby mu towarzyszył kawałek drogi, bo ma go o coś zapytać. Kiedy oddalili się od reszty żołnierzy, rzekł do niego bardzo niepewnym głosem:

— A czy nie rozmawialiście o mnie?

— Bynajmniej, panie lejtnant, nic podobnego, tylko rozmawialiśmy o kwasie cytrynowym i o mięsie wędzonym.

— Oberlejtant Lukasz mówił mi, że niby coś wyrabiałem, a wy, Szwejku, macie o tym jakoby wiedzieć.

Szwejk z wielką powagą i z naciskiem odpowiedział:

— Nic takiego pan nie wyrabiał, panie lejtnant, był pan tylko z wizytą w pewnym domu rozpusty. Ale to musiało być przez pomyłkę. Blacharza Pimpra z Koziego Placyku też zawsze musieli szukać, gdy wybierał się do miasta po blachę, i znajdowali go w takim samym lokalu albo „U Szuhów”, albo „U Dvorzaków”, jak ja znalazłem pana lejtnanta. Na dole była kawiarnia, a na górze w naszym przypadku były dziewczyny. Pan lejtnant widać nie bardzo się orientował, gdzie się znajduje, ponieważ było bardzo gorąco, a gdy człowiek nie jest przyzwyczajony do picia, to przy takim gorącu upije się nawet zwykłym arakiem, nie tylko jarzębiakiem jak pan, panie lejtnant. Więc otrzymałem rozkaz wręczenia panu zaproszenia na konferencję, która miała się odbyć przed wyruszeniem w pole, no i znalazłem pana podporucznika u tej dziewczyny na górze. Skutkiem tego gorąca i tego jarzębiaka pan mnie wcale nie poznał i leżał pan tam na kanapie rozebrany. Wcale pan tam nic nie wyrabiał i nie mówił pan: „Wy mnie jeszcze nie znacie”. Taka rzecz może się przytrafić każdemu, gdy jest tak gorąco. Niejedną latą za takimi przygodami jak opętany, drugiemu przytrafił się taka rzecz jak ślepej kurze ziarno. Gdyby pan był znał, panie lejtnant, starego Vejvodę podmajstrzego, toby pan wiedział, co się może stać człowiekowi na tym świecie. Postanowił on mianowicie, że nie będzie używał żadnych napojów, którymi można się upić. Więc kazał sobie nalać jeszcze jednego na drogę i ruszył w świat na poszukiwanie tych napojów bez alkoholu. Najpierw zatrzymał się w gospodzie „Na Przystanku”, kazał sobie podać ćwiarteczkę wermutu i nieznacznie zaczął przepytывать gospodarza, co też pijają ci niby abstynenci. Całkiem słusznie wyrozumował, że czysta woda byłaby nawet dla abstynentów napojem okrutnym. Gospodarz wytłumaczył mu tedy, że abstynenci piją wodę sodową, limoniadę, mleko, a następnie wina bez alkoholu, napoje chłodzące i podobne rzeczy czyste. Z tego wszystkiego najbardziej przemówiły do przekonania tego Vejvody owe wina bez alkoholu. Zapytał potem, czy istnieją wódki bez alkoholu, wypił jeszcze jedną ćwiarteczkę, porozmawiał z gospodarzem o tym, że to doprawdy grzech schlać się zbyt często, na co gospodarz mu odpowiedział, że wszystko na świecie znieść potrafi, tylko nie pijanego człowieka, który uchla się, Bóg wie gdzie, i do niego przyjdzie wytrzeźwieć przy flaszczyce wody sodowej i jeszcze zrobi piekło. „Schlaj się u mnie — powiada szynkarz — to cię będę uważał za swego, ale jak się upijesz gdzie indziej, to cię znać nie chcę”. Stary Vejvoda dopił swoje i poszedł dalej, aż dotarł, panie lejtnant, na Plac Karola do handlu win, w którym był już dawniej, i pytał, czy nie mają win bez alkoholu. „Win bez alkoholu nie mamy, panie Vejvodo — odpowiedzieli mu — ale gdyby pan chciał wermutu albo sherry...” Stary Vejvoda wstydził się odejść bez spożycia czegoś, więc wypił ćwiartkę wermutu i ćwiartkę sherry, a podczas gdy siedział i pił, zapoznał się, panie lejtnant, z pewnym człowiekiem, który też był abstynentem. Pogadali ze sobą, wypili jeszcze po ćwiartce i wreszcie ten nowy znajomy wygadał się, że wie, gdzie mają wina bez alkoholu. „Jest to przy ulicy Bolzano, schodzi się tam po schodach na dół i mają tam gramofon”. Za tę dobrą wiadomość pan Vejvoda zafundował całą butelkę wermutu, a potem ruszyli obaj na ulicę Bolzano, gdzie to się schodzi po schodach na dół i gdzie mają gramofon. I rzeczywiście, tam podawano tylko wina owocowe bez alkoholu. Najpierw każdy z nich kazał sobie podać pół litra wina agrestowego, potem pół litra wina porzeczkowego bez alkoholu, aż zaczęło im się robić ciepło po tych wszystkich wermutach i sherry, które przedtem wypili, więc dalejże hałasować i domagać się urzędowego potwierdzenia, że to wino, co piją, jest rzeczywiście bez alkoholu. Bo oni są abstynenci,

a jeśli nie przedstawią im takiego zaświadczenia, jakiego żądają, to wszystko porozbijają w drobne kawałki razem z gramofonem. Potem policjant musiał ich obu taszczyć po tych schodach na górę, żeby ich wywlec na ulicę Bolzano. Trzeba ich było wsadzić do plecionki i zamknąć w areszcie i obaj jako abstynenci zostali skazani za pijaństwo.

— Czemu wy mi o tym opowiadacie! — krzyknął podporucznik Dub, który podczas tego opowiadania wytrzeźwiał ostatecznie.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że to właściwie nie ma nic do rzeczy, ale ponieważ się tak zgadło...

Podporucznikowi Dubowi wydało się w tej chwili, że Szwejk obraził go znowu, a ponieważ odzyskał tymczasem pełnię swej samowiedzy, więc krzyknął na niego:

— Ty mnie poznasz kiedyś! Jak stoisz?

— Posłusznie melduję, że stoję źle, bo zapomniałem, posłusznie melduję, złożyć pięty do kupy. Zaraz się robi.

Szwejk stanął jak najpoprawniej, według przepisu. Podporucznik Dub zastanawiał się, co by tak jeszcze powiedzieć, ale wreszcie zdobył się tylko na uwagę:

— Ty się, uważasz, pilnuj, żebym ci tego nie musiał drugi raz powtarzać. — I starym swoim zwyczajem dodał: — Ty mnie jeszcze nie znasz... — i dla odmiany dokończył: — Ale ja cię znam.

Oddalając się od Szwejka, podporucznik Dub pomyślał o pedagogicznym wpływie na niego:

„Kto wie, czy nie byłbym na niego wpłynął lepiej, gdybym mu powiedział: ja cię, drabie, już dawno znam z twojej złej strony”.

Potem podporucznik Dub zawołał swego służącego Kunerta i kazał mu się postarać o dzban wody.

Ku czci Kunerta trzeba powiedzieć, że bardzo długo szukał po Turowej-Wolskiej i dzbana, i wody.

Udało mu się wreszcie ukraść księdzu plebanowi dzban, napełnił go wodą z pewnej studni, całkiem zabitej deskami. W tym celu musiał oczywiście wyrwać kilka desek, ponieważ studnia była zabita nimi jako podejrzana, że ma wodę tyfusową.

Podporucznik Dub wypił wszakże cały dzban wody bez jakiegokolwiek szkody dla zdrowia, czym potwierdził prawdziwość przysłowia:

— Dobry wieprz i na wodzie się upasie.

Wszyscy mylili się, oczywiście, przypuszczając, że nocować będą w Turowej-Wolskiej.

Porucznik Lukasz wezwał telefonistę Chodounskiego, sierżanta rachuby Vańka, ordynansa kompanii Szwejka oraz Balouna. Rozkazy były proste. Wszyscy pozostawią ekwipunek u sanitariuszy i drogą polną ruszą natychmiast na Mały Połaniec, a następnie wzdłuż potoku na południowy wschód pójść w kierunku na Liskowiec.

Szwejk, Vaniek i Chodounsky są kwatermistrzami. Wszyscy muszą starać się o nocleg dla kompanii, która przybędzie za nimi najwyżej za godzinę lub półtorej godziny. Zaś Baloun na kwaterze, która zostanie wyznaczona dla porucznika Lukasz, każe upiec gęś, a wszyscy trzej pilnować będą Balouna, żeby połowy nie zeżał. Prócz tego Vaniek i Szwejk muszą kupić taką świnię dla kompanii, żeby każdy żołnierz dostał taki kawałek mięsa, jaki przewiduje odnośny przepis. W nocy będzie się przyrządzało gulasz. Noclegi dla szeregowców muszą być porządne. Unikać chałup zawszonych, żeby żołnierze mogli należycie odpocząć, bo kompania już o pół do siódmej rano rusza z Liskowca na Krościenko do Starej Soli.

Batalion nie był już taki ubogi jak jeszcze do niedawna. Intendentura brygady w Sanoce wypłaciła batalionowi zaliczkę na przyszłą rzeź. W kasie kompanii znajdowało się przeszło sto tysięcy koron, a sierżant rachuby Vaniek otrzymał już rozkaz powypłacania żołnierzom należności i zaległości za nie wydany komiśniak i strawę, jak tylko kompania znajdzie się na miejscu, to znaczy w okopach, w obliczu śmierci.

Podczas gdy wszyscy czterej wybrali się w drogę, aby wypełnić rozkazy, do kompanii przybył miejscowy pleban i rozdawał żołnierzom według ich narodowości karteczki z „pieśnią lourdską” we wszystkich językach. Miał tych pieśni całą pakę, bo pozostawił je u niego — z myślą o rozdaniu ich przechodzącym wojskom — jakiś wysoki wojskowy dostojnik kościelny, przejeżdżający przez opustoszałą Galicję samochodem w towarzystwie jakichś kobiet. Pieśń była taka:

Kędy rzeczułka wytryska z górskich łon,  
Anielskie wieści zwiastuje wszem wiernym dzwon:  
*Ave, ave, ave, Maria! — Ave, ave, ave, Maria!*

Bernardo, dziewczę, cóż to dokoła za ruch?  
Na zieleń łąki spływa niebiański duch. *Ave!*

Przed skałą wstrzymaj, dziewczyno, krok,  
Gwiazd blaskiem patrzy na ciebie najświętszy wzrok. *Ave!*

Cudnie ją zdobi szata liliowej bieli  
I pas ma z obłoku na swojej szacie anielej. *Ave!*

Z jej rąk złożonych różaniec spływa,  
O Pani, Królowo nasza miłościwa! *Ave!*

Cóż to, Bernardo, tak cudnie ci błyszczą na twarzy,  
Jakby się na niej jasny niebieski odbłask rozżarzył? *Ave!*

Już klęka oto, pacierz odmawia do swojej Pani,  
A Ona w odpowiedzi niebiańskiej słowo dla niej. *Ave!*

O dziecię moje, wiedz, że bez grzechu jestem poczętą,  
Dla wszystkich chcę być ochroną tutaj możną i świętą. *Ave!*

Do tego świętego miejsca przybywaj, ludu mój.  
Składając hołd Niebieskiej Matce, ucisz żal swój. *Ave!*

Świadczy: tutaj miejsce zjawienia mam,  
Chcę, by mi tutaj wzniesiono z marmuru chram. *Ave!*

A źródło żywej wody, co tryska tu z ziemi,  
Jest zmiłowania mojego poręką nad wszystkimi. *Ave!*

Chwała tobie, dolinko pełna miłości,  
Bo tutaj nasza Matka Najświętsza gości. *Ave!*

W skale cudowna się mieści grotą Twa,  
A Ty nas rajem obdarzasz, Królowo miłościwa. *Ave!*

Od chwili świętej, kiedyś zjawiała się tu,  
Mężów i niewiast przybywa tutaj pobożny tłum. *Ave!*

Ty, która tutaj, o Pani, czczona być chcesz,  
Zmiłuj się, Ciebie prosimy, nad nami też. *Ave!*

Gwiazdo zbawienia, blaskami swymi nam świeć  
I ku tronowi bożemu drogami ziemi nas wiedz. *Ave!*

O Panno Święta, opiekę swoją nam daj  
I miłosierdziem nam otwórz po śmierci raj. *Ave!*

W Turowej-Wolskiej było pełno latryn, a w każdej z nich wałało się mnóstwo takich karteczek z pieśnią lourdską.

Kapral Nachtigal, pochodzący z okolic Kasperskich Gór, zdobył butelkę wódki od jakiegoś wystraszonego Żyda, zebrał kilku kamratów i wszyscy popijając śpiewali lourdską pieśń po niemiecku na nutę *Prinz Eugen*, opuszczając refren „Ave”.

Droga, jaką szli po zachodzie słońca owi czterej wysłańcy, którzy mieli się wystarać o nocleg dla kompanii II, była okropna; dostali się oni wreszcie do lasu nad potokiem, który miał ich zaprowadzić do Liskowca.

Baloun, który po raz pierwszy znalazł się w takiej sytuacji, iż nie wiedział, dokąd właściwie idzie, a któremu wszystko wydało się ogromnie tajemnicze i zastanawiające, i to, że jest ciemno, i to, że idą szukać noclegu, powziął nagle straszliwe podejrzenie, że coś tu jest nie w porządku.

— Koledzy — rzekł szeptem, potykając się co chwila na drodze nad potokiem — zostaliśmy wysłani na stracenie.

— Jak to? — krzyknął na niego Szwejk.

— Koledzy, nie wrzeszczmy tak głośno — błagał po cichu Baloun — ja już czuję tę całą hecę w krzyżach. Usłyszą nas i zaczną do nas strzelać. Ja już wiem: posłali nas naprzód, żeby się przekonać, czy tu gdzie nie ma nieprzyjaciela, a gdy usłyszą strzelanie, to zaraz będą wiedzieli, że dalej już iść nie można. My, koledzy, jesteśmy takim patrolem, co go się wysyła naprzód, jak mnie tego uczył kapral Terna.

— No to idź naprzód — rzekł Szwejk. — My pójdziemy grzecznie za tobą, żebyśmy mieli w tobie ochronę, skoro już jesteś taki olbrzym. Jak cię postrzelą, to nam zamelduj, żebyśmy mogli upaść na ziemię. Ładny z ciebie żołnierz, że się boisz, iż do ciebie będą strzelali. Przecie każdy żołnierz to właśnie najbardziej powinien lubić, jako że każdy żołnierz wie, iż zapasy amunicji nieprzyjacielskiej maleją tym bardziej, im częściej do żołnierza naszego strzelają. Z każdym wystrzałem wymierzonym przez nieprzyjaciela przeciwko tobie zmniejsza się jego siła bojowa. Zresztą on też kontent, że może strzelać do ciebie, bo potem nie potrzebuje dźwigać patronów i łatwiej mu uciekać.

— Kiedy ja mam w domu gospodarstwo — ciężko westchnął Baloun.

— Pluń ty, bratku, na gospodarstwo — radził mu Szwejk. — Lepiej polegnij za najjaśniejszego pana. Czy cię tego w wojsku nie uczyli?

— Mówili o tym tylko jakby mimochodem — rzekł zgłupiały Baloun. — Tyle tylko, że mi kazali chodzić na plac ćwiczeń i nic podobnego już potem nie słyszałem, bo potem zostałem już pucybutem... Żeby najjaśniejszy pan kazał nam przynajmniej dawać lepiej jeść!...

— Ach, ty nienasycona, przekłeta świnio! Żołnierzowi przed bitwą w ogóle nie powinni dawać jeść. Mówił nam o tym już przed laty kapitan Untergriez, który nauczał w szkole żołnierskiej. Mawiał on przy każdej sposobności: „Ej, łobuzy przekłete, gdyby kiedyś doszło do wojny, to pamiętajcie, żeby się przed bitwą nie obżerać. Kto się obezre i zostanie ranny w brzuch, przepadnie jak amen w pacierzu, bo komiśniak i zupa wyleżą mu zaraz z kiszek i zapalenie murowane. Ale gdy żołądek ma pusty, to taka rana w brzuchu jest głupstwem, jakby go ukąsiła osa, jednym słowem, sama uciecha”.

— Ja szybko trawię — rzekł Baloun — w moim żołądku nic się nie zależy. Ja, kolego, wsunę na przykład miskę knedli ze schabem i kapustą, a za pół godziny więcej ci po tym wszystkim nie wysram, jak jakie trzy łyżki. Reszta gdzieś tam we mnie przepada. Mówią ludzie, że takie bedłki, jak na przykład kurki, są niestrawne, że wychodzą nienaruszone, więc można by je wymyć i przyrządzić z octem. U mnie przeciwnie: nażrę się tych kurków tyle, że inny pękłby chyba, a gdy idę za stodołę, to tyle tam wszystkiego, co w pieluszcze półrocznego dziecka. Reszta też się gdzieś gubi we mnie. Powiem ci nawet, kolego — zwierzał się Baloun coraz szczegółowiej — że we mnie rozpuszczają się ości ryb i pestki śliwek. Pewnego razu umyślnie pestki liczyłem. Zjadłem siedemdziesiąt knedli ze śliwkami, nie wypływając pestek, a potem za stodołą grzebałem w tym wszystkim patykiem, odkładałem pestki na bok i liczyłem. Połowy się nie doliczyłem, rozpuściły się we mnie.

Z piersi Balouna wyrwało się głębokie westchnienie:

— Moja żona robiła knedle ze śliwkami z ciasta ziemniaczanego, do którego dodawała trochę twarogu, żeby było pożywniejsze. Sama wołała posypywane makiem, a ja znowu

chciałem, żeby były posypywane tartym serem. Raz ją nawet z tego powodu sprąłem... Ach, nie umiałem uszanować swego szczęścia rodzinnego!

Baloun przystanął, mlasnął językiem i głosem smutnym rzekł miękko:

— Wiesz, kolego, teraz, kiedy tych klusek nie mam, to mi się zdaje, że żona jednak miała rację, że te kluski z tym jej makiem są jednak lepsze. Wtedy zawsze mi się wydawało, że mi ten mak wchodzi między zęby, a teraz myślę sobie często: niechby go włożyło w zęby jak najwięcej... Moja biedna żona miała ze mną nieraz ciężkie życie i często płakała, kiedyś się na przykład upominał, żeby do podgardlanek dawała więcej majeranku, a przy sposobności szturchnąłem ją zdrowo pod żebro. Pewnego razu sprąłem ją, biedaczkę, tak, że leżała dwa dni, za to, że na kolację nie chciała dla mnie zarznąć indyka i kazała mi się zadowolić kogutkiem.

Ech, kolego — rozpląkał się Baloun — gdyby teraz była podgardlanka nawet bez majeranku i kogut... A sos koperkowy lubisz? Widzisz, o ten sos koperkowy pieklilem się często, a teraz piłbym go jak kawę.

Baloun zapominał powoli o domniemanym niebezpieczeństwie i w ciszy nocnej, już nawet wtedy, gdy skręcali na drogę do Liskowca, opowiadał Szwejkowi o wszystkim, czego onego czasu nie szanował i nie lubił, a co teraz jadłby, a żeby mu się uszy trzęsły.

Za nimi szedł telefonista Choudounsky z sierżantem rachuby Vańkiem.

Choudounsky opowiadał Vańkowi, że zdaniem jego, ta wojna światowa to błazeństwo. Najgorsze na tej wojnie jest to, że gdy się czasem przerwą przewody telefoniczne, to trzeba je w nocy naprawiać, a jeszcze gorsze to, że teraz mają reflektory, jakich dawniej nie znano. Otóż teraz, właśnie w chwili gdy naprawiasz te przeklęte druty, nieprzyjaciel wyszuka cię reflektorem i poszczuje na ciebie całą artylerię.

We wsi, w której mieli wyszukać nocleg dla kompanii, było ciemno i rozszczękały się wszystkie psy, co zmusiło wyprawę do zatrzymania się i naradzenia, w jaki sposób zabezpieczyć się przed tymi kundlami.

— Czy nie byłoby lepiej zawrócić? — szepnął Baloun.

— Balounie, Balounie, gdybyśmy powtórzyli twoje słowa komu należy, to zostałbyś rozstrzelany za tchórzostwo — napominał go Szwejk.

Psy szczekały coraz bardziej, odzywały się nawet w stronie południowej za rzeką Ropą, w Krościenku i w innych wsiach, bo Szwejk wrzeszczał w ciszę nocy:

— Leżeć! leżeć! leżeć! — jak niegdyś wrzeszczał na swoje psy, kiedy nimi handlował.

Psy szczekały coraz natarczywiej, tak że sierżant rachuby rzekł do Szwejka:

— Nie wrzeszczcie tak, Szwejku, bo się na nas rozszczęka cała Galicja.

— Coś podobnego — odpowiedział Szwejk — przytrafiło się nam na manewrach w Taborszczyźnie. Przybyliśmy tam w nocy do pewnej wsi, a psy zaczęły okropnie ujadąć. Okolice są tam wszędzie bardzo ludne, tak że to psie szczekanie przerzucało się ze wsi do wsi, coraz dalej, a gdy psy tej wsi, w której obozowaliśmy, milkły, to słyszały szczekanie innych psów, na przykład z Pelhrzimova, więc znowu zaczynały ujadąć i po chwili szczekała cała Taborszczyzna, Pelhrzimovszczyzna, Budziejowskie, Humpolecczyzna, Trzebońskie i Jihlavszczyzna. Nasz kapitan był to taki nerwowy dziadyga, który nie mógł wytrzymać psiego szczekania, nie spał przez całą noc, kręcił się i bezustannie pytał wartowników: „Kto szczeka? Co szczeka?” Żołnierze posłusznie meldowali, że psy szczekają, a jego to tak rozzłościło, że ci, co wtedy stali na warcie, dostali za to koszarniaka po skończonych manewrach. Potem zawsze wyznaczał „psią komendę” i wysyłał ją naprzód. Ta psia komenda miała za zadanie powiadomić mieszkańców wsi, żeby pilnowali psów i nie pozwalali im szczekać w nocy, bo każdy pies, który zaszczęka, zostanie zastrzelony. Ja też należałem do takiej psiej komendy, a gdy przybyliśmy do pewnej wsi w Milevsku, pomieszało mi się wszystko w głowie i zawiadomiłem wójta, że każdy właściciel psa, który zaszczęka w nocy, zostanie ze względów strategicznych stracony. Wójt się przeraził, zaprzął konie do wozu i natychmiast pojechał do sztabu głównego prosić o łaskę dla całej wsi. Do sztabu nie dopuścili go w ogóle, a wartownicy byliby go o mały figiel zastrzelili. Musiał więc wracać do domu z niczym i zanim przybyliśmy do wsi, wszyscy właściciele psów poowiazywali swoim kundlom pyski gałganami, żeby nie mogły szczekać, z czego trzy psy dostały wścieklizny.

Wchodzili do wsi ostrożnie, przyjąwszy do wiadomości doświadczenia Szwejka, że psy boją się w nocy ognika zapalonego papierosa. Na nieszczęście nikt z nich papierosów nie



palił, tak że rada Szwejka pozostała bez znaczenia. Pokazało się wszakże, że psy szczekają z uciechy, bo przypomniały sobie oddziały wojskowe, które, przechodząc przez wieś, zawsze zostawiały coś pieskom do zjedzenia.

Mądre stworzenia czuły już z daleka, iż zbliżają się ci, co pozostawiają po odejściu kości i padlinę końską. Nie wiadomo skąd otoczyły Szwejka cztery duże psiska i zaczęły się z nim burzliwie witać wymachując ogonami na wszystkie strony.

Szwejk głośno je, klepał po karkach i rozmawiał z nimi jak z dziećmi:

— Więc przyszedliśmy do was, moje pieski, będziemy tu lulać i papusiać, damy wam kosteczki i skórki, a rano ruszymy dalej przeciwko nieprzyjacielowi.

We wsi po chałupach ludzie zapalali światła, a gdy kwatermistrze zaczęli pukać do drzwi pierwszej z brzoza chałupy, aby się dowiedzieć, gdzie mieszka wójt, zza zamkniętych drzwi odezwał się jękliwy i wrzaskliwy głos kobiecy, który z polska po ukraińsku wywołał, że mąż na wojnie, w domu dzieci chore na ospę, a Moskale wszystko zabierali i jak mąż wyruszał na wojnę, to nakazywał, żeby w nocy nikomu nie otwierać. Dopiero gdy szturm do chałupy poparli oświadczeniem, że są kwatermistrzami, drzwi otworzyła im jakaś tajemnicza ręka, a wtedy pokazało się, że to właśnie tutaj mieszka wójt, który daremnie starał się Szwejka przekonać, że to nie on przemawiał takim jęklwym kobiecym głosem. Tłumaczył się, że spał na sianie i że jego żona, gdy ją w nocy niespodzianie obudzić, zaczyna mówić od rzeczy. Co do noclegu dla kompanii, to wioska jest taka mała, że nawet jeden żołnierz się w niej nie zmieści. W ogóle nie ma gdzie spać. Do kupienia też tu nie ma niczego, bo Moskale wszystko zabrali.

Gdyby panowie dobrodzieje nie pogardzili jego towarzystwem, to zaprowadziłby ich do Krościenka, gdzie są wielkie gospodarstwa, a wszystkiego kwadrans drogi dalej. Miejsca jest tam dużo, każdy żołnierz będzie się mógł przykryć baranim kozuchem, a krów tam tyle, że każdy dostanie pełną menażkę mleka. I woda tam jest dobra, panowie oficerowie będą mogli spać we dworze, ale tutaj w Liskowcu? Bieda, paruchy i wszy. On sam miał niegdyś pięć krów, ale Moskale wszystko mu zabrali, tak że on sam, gdy potrzebuje mleka dla swoich chorych dzieci, musi po nie chodzić aż do Krościenka.

Jakby na dowód prawdziwości jego słów z pobliskiej obory ozwało się buczenie krówek pomieszane z głosem kobiecym, który nakazywał nieszczęsnym krowom milczenie i życzył im, żeby je cholera pokręciła.

Ale wójta nie zmieszalo to bynajmniej. Wdziewając buty z cholewami, mówił dalej.

— Jedyną krowę ma tutaj sąsiad Wojciech, której głos panowie dobrodzieje raczyli słyszeć. Jest to krowa chora, melancholijna. Moskale zabrali jej cielątko. Od tego czasu mleka nie daje, ale gospodarzowi jej żal, nie chce jej zarżnąć, bo ma nadzieję, że Matka Boska Częstochowska przemieni wszystko na lepsze.

Mówiąc to wdziewał sukmanę.

— Chodźmy, panowie dobrodzieje, do Krościenka. Niedaleczko. Trzech kwadransów nie będzie. Co ja grzeszny człowiek mówię: za pół godziny zajdziemy. Znam drogę przez strumień, potem przez gaik brzozowy koło dębu... Wieś jest duża, a w karczmie jest tam dużo mocnej wódki. Chodźmy, panowie dobrodzieje! Na co jeszcze czekać? Panom żołnierzom z waszego szanownego pułku trzeba wyszukać nocleg porządny, wygodny. Pan żołnierz cesarsko-królewski bije się z Moskalami, więc potrzebuje koniecznie porządnego i czystego noclegu... A u nas? Wszy, paruchy, ospa i cholera. Wczoraj u nas, w naszej przeklętej wsi, szerniało trzech chłopów chorych na cholere... Miłosierny Bóg przeklął Liskowiec...

W tej chwili Szwejk majestatycznie skinął ręką.

— Panowie dobrodzieje — zaczął naśladować styl wójta — czytałem kiedyś, że za czasów wojen szwedzkich, gdy trzeba było kwaterować wojsko, a wójt wykręcał się, to go wieszali na najbliższej gałęzi. Następnie, dzisiaj mówił mi w Sanoku pewien polski kapral, że gdy przychodzą kwatermistrze, to wójt ma zwołać wszystkich radnych i razem z nimi chodzi się po wszystkich chałupach i po prostu mówi: „Tutaj zmieści się trzech, tam czterech, na plebanii będą mieszkali panowie oficerowie, a za pół godziny wszystko musi być w porządku”. Panie dobrodzieju — rzekł Szwejk, zwracając się do wójta — gdzie masz tutaj porządne drzewo?

Wójt nie zrozumiał, o jakie drzewo chodzi, więc mu Szwejk wytłumaczył, że to wszystko jedno, czy to będzie brzoza czy dąb, czy grusza, czy jabłoń, bo chodzi o drzewo,

które ma krzepkie gałęzie. Wójt znowu, nie rozumiał, ale gdy usłyszał, że jest mowa o drzewach owocowych, zląkł się, bo czereśnie już dojrzewały, więc powiedział, że o niczym podobnym nie wie, ale przed domem ma dąb.

— Dobrze — rzekł Szwejk robiąc ręką międzynarodowy znak wieszania — powiesimy cię więc przed chałupą, bo powinieneś zdawać sobie sprawę z tego, że jest wojna i że mamy rozkaz spać tutaj, a nie w jakimś Krościenku. Ty nam, drabie, nie będziesz zmieniał naszych planów strategicznych, bo będziesz dyndał, jak o tym jest napisane w tej książce opisującej wojny szwedzkie... Zdarzyło się, moi panowie, na manewrach koło Wielkiego Międzyrzecza...

Przerwał mu sierżant rachuby Vaniek:

— Opowiecie nam to później, mój Szwejku. — Zwracając się do wójta, Vaniek rzekł: — A teraz stawiaj wieś na nogi i dawaj kwatery!

Wójt zaczął dygotać ze strachu, tłumaczył się, że miał wobec panów dobrodziejów jak najlepsze zamiary, ale skoro się już tak uparli, to może i w tej wsi da się coś zrobić ku ogólnemu zadowoleniu. Zaraz przyniesie latarnię.

Gdy wyszedł z izby, bardzo lichy oświetlonej małą lampką naftową, wiszącą pod obrazem jakiegoś świętego, który przypominał biednego kalekę, Chodounsky zawołał nagle:

— Gdzież to się podział nasz Baloun?

Zanim zdolali się zorientować, otworzyły się jakieś drzwi za piecem, zza nich wysunął się Baloun, rozejrzał się dokoła, czy nie na w izbie wójta, i głosem tubalnym, jakby miał wielki katar, mówił:

— Jha hbyłem w sphiharni nhamhacalhem cohoś, wsahadzilhem dho ghęby i wszyhstko mhi się w ghębie zlephiło. Nie, słohone, nie słohodkie, tho jest ciahasto na chleheb.

Sierżant rachuby Vaniek oświetlił go latarką elektryczną i wszyscy stwierdzili, że w życiu swoim nie widzieli jeszcze nigdy takiego umazanego austriackiego żołnierza. Przestraszyli się też, bo spostrzegli, że bluza na Balounie tak się wydeła, jakby był w ostatnim stadium brzemienności.

— Co tobie, Balounie? — zapytał Szwejk ze współczuciem i trącił go w wydęty brzuch.

— To są ogórki — charczał Baloun dławiąc się ciastem, którego nie mógł ani połknąć, ani wypluć. — Ostrożnie, to są kiszone ogórki. Sam zjadłem trzy, a parę zabrałem dla was.

Zaczął wyjmować z zanadru ogórki jeden za drugim i podawał je towarzyszom.

Tymczasem wrócił wójt z latarnią, a widząc od progu, co się święci, przeżegnał się i zaczął narzekać:

— Moskale zabrali i nasi zabierają.

Wszyscy wyszli na drogę. Towarzyszyła im sfóra psów, które trzymały się Balouna i obwąchiwały jego kieszeń u spodni, bo miał w niej kawał słoniny, zdobyty również w spiżarni, ale przez chciwość zdradliwie zatajony przed towarzyszami.

— Czemu te psy otaczają cię tak wiernie? — zapytał Szwejk Balouna.

— Czują we mnie dobrego człowieka — odpowiedział zapytany po dłuższym namyśle, ale nie dodał, że trzymał rękę w kieszeni na słoninie i że jeden z psów bezustannie chwyta go za nią zębami...

Przy wędrownie kwaterek po wsi stwierdzono, że Liskowiec jest wielką osadą, która jednakże została już porządnie nadszarpnięta przez wojnę. Nie było tu pożarów, żadna ze stron walczących cudem nie wzięła jej pod ogień swej artylerii, ale za to osadzono tu mieszkańców pobliskich zniszczonych osiedli: Chyrowa, Grabowa i Hołobli.

W niektórych chatkach mieszkało czasem po osiem rodzin w największej nędzy, bo łupieska wojna pierwszym swoim impetem przewaliła się nad głowami tych rodzin niby niszczycielska powódź.

Kompanię trzeba było częściowo ulokować w spustoszonej gorzelni na drugim końcu wsi, gdzie w samej drożdżowni mogło się zmieścić pół kompanii. Reszta żołnierzy została rozmieszczona po dziesięciu w większych gospodarstwach, których właściciele nie dopuścili do siebie zubożonych biedaków.

Sztab kompanii z wszystkimi oficerami, sierżantem rachuby Vańkiem, ze służącymi oficerów, z telefonistą, sanitariuszami, kucharzami i ze Szwejkem usadowił się u księdza

na plebani, który także nie przyjął żadnej ze zrujnowanych rodzin, chociaż miał dużo wolnego miejsca.

Pleban był wysokim chudym starcem w znoszonej i zatłuszczonej sutannie. Swoje skąpstwo posuwał tak daleko, że prawie wcale nie jadał. W domu rodzinnym wpojono mu wielką nienawiść do Rosjan, ale nienawiść ta znikła nagle, gdy ci ustąpili, a po nich przyszli Austriacy i pożarli wszystkie jego gęsi i kury pozostawione mu przez wrogów, chociaż mieszkało u niego kilku kudłatych zabajkalskich Kozaków.

Znienawidził austriackie wojska jeszcze bardziej, gdy do wsi przybyli Węgrzy i wybrali mu z ulów wszystkie miód. Z wielką nienawiścią spoglądał teraz na swoich niespodziewanych nocnych gości i bardzo był zadowolony, że mógł chodzić koło nich, wzruszać ramionami i powtarzać:

— Nic nie mam. Jestem zupełny żebrak. Nie znajdziecie, panowie, u mnie nic, nawet kromki chleba.

Najbardziej przygnębiało to oczywiście Balouna, który omal że się nie rozplakał nad taką nędzą. Po głowie tłukła mu się bezustannie jakaś nieokreślona wizja prosiątka, którego skórka jest złocista jak miód, chrupie i pachnie. Marząc tak Baloun podzrywał w kuchni plebana, do której co chwila zaglądał wyrostek, będący na plebani parobkiem i kucharką zarazem. Pleban surowo nakazał mu pilnować, żeby żołnierze czego nie ukradli.

Baloun nie znalazł w kuchni nic prócz odrobiny kminu w papierku na solniczce. Wsywał go sobie do ust i właśnie zapach tego kminu wywołał w nim wizję prosiątka.

Na podwórzu małej gorzelni za plebanią płonął ogień pod kotłami kuchen polowych, bulgotała woda, ale w tej wodzie nie gotowało się nic.

Sierżant rachuby razem z kucharzami biegali po całej wsi i szukali wieprza, lecz szukali na próżno. Wszędzie powtarzano im to samo, że Moskale wszystko zjedli i pobrali.

Zbudzili także Żyda w karczmie, który rwał włosy i głośno lamentował z wielkiego żalu, iż nie może panom żołnierzom niczym posłużyć, i wreszcie zaczął ich namawiać, żeby kupili od niego starą stuletnią krowę, chude zdechlactwo, składające się tylko ze skóry i z kości. Żądał za nią horrendalnych pieniędzy, szarpał brodę i zapewniał, że takiej krowy nie znajdują w całej Galicji, w całej Austrii i Niemczech, a nawet w całej Europie, na całym świecie, przy czym wył, przysięgał i z płaczem wywodził, że jest to najtłustsza krowa, jaka kiedykolwiek z dopuszczenia Jehowy przyszła na ten świat. Zaklinał się na wszystkich praojców, że krowę tę przyjeżdżają oglądać aż z Wołoczysk, że w całej okolicy mówią o niej jak o postaci z bajki, że to nawet nie krowa, ale najsoczystszy bawół. Wreszcie ukląkł i obejmując przybyłych za kolana, wołał:

— Zabijcie raczej starego biednego Żyda, ale bez krowy nie odchodźcie!

Od jego lamentu i gadania wszyscy wreszcie tak zbaranieli, że to zdechlactwo, od którego hycel byłby się odwrócił ze wstrętem, powlekli ku kuchni polowej. Zaś Żyd długo jeszcze wywodził, że go zupełnie zgubili, zniszczyli, że sam zrobił z siebie żebraka, gdy krowę tak wspaniałą sprzedał za takie marne pieniądze. Gadał, chociaż już miał pieniądze w kieszeni. Prosił ich, żeby go powiesili za to, że na swoje stare lata zrobił takie głupstwo, za które ojcowie jego muszą się w grobie przewracać.

Jeszcze trochę potarzał się w kurzu, potem wstał, strząsnął z siebie wszystką żalność, poszedł do domu i rzekł do swojej żony:

— *Elsaleben*, żołnierze głupie chamy, ale twój Natan ma delikatny rozum.

Z krową było dużo roboty. Chwilami zdawało się, że skóry w ogóle nie da się z niej ściągnąć. Kilka razy skóra się przerwała, a pod nią ukazały się mięśnie poskręcane i twarde jak liny okrętowe.

Tymczasem skądś przytaszczyli żołnierze worek kartofli i kucharze zabrali się do gotowania tych beznadziejnych żył i gnatów, gdy tymczasem w sąsiedniej kuchni oficerskiej kucharz z rozpaczą w sercu pitrasił z tego strasznego mięsa jedzenie dla oficerów.

Owa nieszczęśliwa krowa, jeśli ten dziwaczny kaprys natury w ogóle nazwać można krową, pozostała wszystkim uczestnikom w żywej pamięci. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdyby później przed bitwą pod Sokalem dowódcy przypomnieli żołnierzom liskowiecką krowę, to 11 kompania z rykiem strasliwej wściekłości byłaby rzuciła się z bagnetami w rękę na nieprzyjaciela.

Krowa ta była w ogóle taka bezwstydna, że nie udało się zrobić z niej nawet czegoś przypominającego rosół. Im dłużej mięso się gotowało, tym mocniej przylegało do gnatów, zespalając się z nimi w jedną całość, skostniało jak biurokrata, który przez pół wieku gnieździ się w aktach urzędowych i żywi się tylko papierem.

Szwejk, który jako kurier utrzymywał stałą łączność między sztabem a kuchnią, aby donieść zainteresowanym, kiedy mięso będzie ugotowane, meldował wreszcie porucznikowi Lukaszowi:

— Panie oberlejtnant, mięso jest jak porcynela. Mięsem tej krowy można krajać szkło. Kucharz Pavliczek razem z Balounem próbowali mięso i kucharz wyłamał sobie przedni ząb, a Baloun złamał ząb mądrości.

Baloun podszedł z wielką powagą do porucznika Lukasa i podał swój wyłamany ząb, zawinięty w lourdską pieśń.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że robiłem, co mogłem. Ząb ten wyłamałem sobie w kuchni oficerskiej, kiedy z kucharzem próbowałem, czy z tego mięsa nie dałoby się zrobić befsztyka.

Po tych słowach z fotela pod oknem dźwignęła się jakaś smutna postać. Był to podporucznik Dub, którego na sanitarnej dwukółce przywieziono jako człowieka zgnębnionego ostatecznie.

— Proszę, żeby było cicho — rzekł głosem zrozpaczonym. — Jest mi słabo.

Usiadł znowu na czcigodnym fotelu, w którego każdej szparce pluskwy złożyły tysiące jajeczek.

— Jestem zmęczony — rzekł głosem tragicznym — jestem chory i słaby, więc proszę, żeby ze mną nikt nie mówił o wyłamanych zębach. Mój adres jest: Smichov, Kralovska 18. Jeśli nie dożyję do jutra, to proszę, aby rodzina moja została o wszystkim powiadomiona w sposób delikatny, i proszę, aby na moim nagrobku nie zapomniano dodać, że przed wojną byłem także c. i k. profesorem gimnazjum.

Zaczął delikatnie chrapać, więc nie słyszał już, jak Szwejk odśpiewał słowa pieśni po-grzebowej:

Któryś Marii zmazał winę,  
A lotrowi grzech przebaczył  
I mnie wybaw w tę godzinę.

Potem sierżant rachuby Vaniek doniósł, że znakomita krowa musi się jeszcze pogotować dwie godziny, że w kuchni oficerskiej o jakimś befsztyku nawet mowy być nie może, więc zamiast befsztyku będzie się robiło gulasz.

Postanowiono, że przed wydawaniem jedzenia szeregowcy zdrzemną się troszkę, bo kolacja i tak będzie dopiero nad ranem.

Sierżant rachuby Vaniek przytaszczył skądś wiązkę siana, położył się na niej w plebańskiej jadalni, nerwowo podkręcał wąsa i szeptem rzekł do porucznika Lukasa, który tuż obok odpoczywał na starej kanapie:

— Niech mi pan wierzy, panie oberlejtnant, że w ciągu całej wojny jeszcze ani razu nie żarłem podobnej krowy.

W kuchni przy zapalonym ogarku świecy kościelnej siedział telefonista Chodounsky i pisał zapasowy list do domu, żeby miał gotowy, gdy wreszcie zostanie im zakomunikowany numer poczty polowej. Pisał tak:

„Kochana i droga żono, najmilsza Boženko!

Już noc, ale ja stale wspominam Ciebie, moje Ty złoto, i widzę Cię w duchu, jak i Ty o mnie wspominasz spoglądając na puste łóżko obok siebie. Musisz mi wybaczyć, że mi przy tym to i owo przychodzi na myśl. Wiesz dobrze, że już od samego początku wojny jestem w wojsku i że wiele rzeczy słyszałem od swoich kolegów, którzy jako ranni mieli urlop i pojechali do domu, ale woleliby zginąć niż widzieć na własne oczy, jak jakiś przybłąda włóczy się za rodzoną żoną. Bardzo to dla mnie przykre, kochana Boženko, że takie rzeczy muszę Ci pisać. Nawet nie pisałbym Ci o tym, ale Ty sama zwierzylaś się przecie, że nie jestem pierwszym, który miał z Tobą stosunek

poważny, i że przede mną miał Cię już pan Kraus z ulicy Mikołaja. Teraz, gdy myślę o tym w nocy i gdy wyobrażam sobie, że ten nędzarz w czasie mojej nieobecności mógłby odnawiać swoje pretensje do Ciebie, to mi się wydaje, kochana Bożenko, że mógłbym go udusić na miejscu. Długo tłumilem to w sobie, ale gdy pomyślę, że znowuż mógłby się włóczyć za Tobą, to serce mi się ściska i muszę Ci zwrócić uwagę, że nie zniósłbym obok siebie takiej świni, która kurwiłaby się z pierwszym lepszym i przyniosłaby wstyd mojemu nazwisku. Daruj mi, kochana Bożenko, moje ostre słowa, ale pilnuj się, żebym o Tobie nie usłyszał nic złego. W przeciwnym razie byłbym zmuszony wypuścić flaki jednemu i drugiemu z was, ponieważ na wszystko jestem zdecydowany, choćbym za to miał życie postradać. Po tysiackroć całuję Ciebie oraz pozdrawiam ojca i matkę, Twój Tolek.

P.S. *A nie zapomnij, że nosisz moje nazwisko!*"

Zabrał się do pisania drugiego listu zapasowego:

„Moja najmiłsza Bożenko!

Gdy będziesz czytać te słowa, my będziemy odpoczywali po wielkiej bitwie, w której szczęście nam dopisało. Między innymi zestrzeliliśmy z dziesięć nieprzyjacielskich aeroplanów i jednego generała z wielką brodawką na nosie. W najcięższych walkach, gdy nad nami pękały szrapnele, myślałem o Tobie, droga Bożenko, co też porabiasz, jak się masz i co słyhać u Ciebie nowego. Często wspominam o tym, jak to pewnego wieczoru byliśmy w browarze »U Tomasza« i jak potem prowadziłaś mnie do domu; a nazajutrz bolała Cię ręka od wysiłku. Teraz znowu ruszamy naprzód, tak że już nie mam czasu pisać więcej. Mam nadzieję, że pozostałaś mi wierną, bo dobrze wiesz, że w tych sprawach potrafię być draniem. Ale już czas na mnie: ruszamy w pole. Całuję Cię po tysiackroć, droga Bożenko, i miej nadzieję, że wszystko skończy się dobrze.

*Twój szczerze Ci oddany Tolek*”.

Telefonista Chodounsky zaczął się kiwać i zasnął nad stołem.

Pleban, który nie spał i chodził bezustannie po swoim domu, uchylił drzwi od kuchni i przez oszczędność zdmuchnął ogarek świecy kościelnej, który palił się obok Chodounskiego.

W jadalni prócz podporucznika Duba nie spał nikt. Sierżant rachuby Vaniek, który w Sanoku w kancelarii brygady otrzymał nowe przepisy dotyczące zaopatrywania wojska w produkty żywnościowe, studiował je starannie i dochodził do wniosku, że im bardziej wojsko przybliży się do frontu, tym mniejsze wyznacza się mu racje żywnościowe. Musiał się uśmieć serdecznie nad jednym paragrafem rozkazu, w którym zakazano zaprawiania polewek dla żołnierzy szafranem i imbirem. Znajdowała się też w rozkazie uwaga, że kuchnie polowe mają zbierać kości i odsyłać je na tyły do składów dywizji. Było to trochę niejasne, bo nie wiadomo było, o jakie kości chodzi: o kości ludzkie, czy też o kości innego, prowadzonego na rzeź bydła.

— Słuchajcie no, Szwejku — rzekł porucznik Lukasz ziewając z nudy — zanim dadzą nam coś zjeść, moglibyście mi opowiedzieć jakie zdarzenie.

— Ojej — odpowiedział Szwejk — zanim dadzą nam coś zjeść, panie oberlejtant, to musiałbym panu opowiedzieć całe dzieje narodu czeskiego. A ja znam tylko krótką opowieść o pewnej pani pocztmistrzowej z Sedlczanska, która po śmierci swego męża odziedziczyła po nim urząd. Przypomniało mi się o niej natychmiast, jak tylko zaczęło się u nas mówić o pocztach polowych, chociaż nie ma to nic wspólnego z pocztami polowymi...

— Szwejku — przerwał mu porucznik Lukasz leżąc na kanapie — znowu zaczynacie straszliwie głupieć.

— Tak jest, panie oberlejtant, ta historia jest naprawdę bardzo głupia. Ja sam nie wiem, w jaki sposób przyszło mi do głowy, żeby mówić o czymś podobnie głupim. Albo

jest to głupota wrodzona, albo też są to wspomnienia młodości. Proszę pana oberlejtanta, na naszej kuli ziemskiej są różne charaktery i zdaje się, że nasz kucharz Jurajda miał jednak rację, gdy pewnego razu w Brucku wstawił się i wpadł w dół z gnojówką, a nie mogąc się z niego wydrapać, krzyczał w tym dole: „Człowiek jest powołany i przeznaczony ku temu, aby poznał prawdę, aby panował nad duchem swoim w zgodzie i harmonii ze wszechświatem, aby się stale rozwijał i kształcił, podnosząc się stopniowo w sfery wyższe, inteligentniejszych światów i pełniejszych umiłowañ”. Gdy chcieliśmy go z owego dołu wyciągnąć, to gryzł i drapał. Zdawało mu się, że jest u siebie w domu i dopiero, gdyśmy go nazad zepchnęli, zaczął żebrać i jęczeć, żeby go wyciągnąć.

— Ale co się stało z tą pocztmistrzową? — zawołał zrozpaczony porucznik Lukasz.

— To była bardzo porządna niewiasta, tyle tylko że była świnią, panie oberlejtant. Wszystkie swoje obowiązki pocztowe spełniała, jak się należy, ale miała jedną wadę, bo jej się zdawało, że wszyscy ją prześladowają, że myślą tylko o tym, jakby jej dokuczyć, więc po pracy dziennej pisywała na nich raporty do swoich władz według tego, jak się różne okoliczności zbiegały. Pewnego ranka poszła do lasu na grzyby, a przechodząc obok szkoły, zauważyła, że pan nauczyciel już nie śpi i stoi przed szkołą. Oczywiście, że jej się uklonił i zapytał, dokąd wybrała się o tak wczesnej godzinie. Gdy mu powiedziała, że idzie na grzyby, odpowiedział jej, że przyjdzie tam za nią. Z tego wynioskowała, że miał względem niej, starej babiny, jakieś nieuczciwe zamiary, a następnie, gdy go ujrzała wynurzającego się z gąszcza, przestraszyła się, uciekła i napisała na niego do miejscowej rady szkolnej doniesienie, że chciał ją zgwałcić. Przeciwno nauczycielowi wdrożono dochodzenie dyscyplinarne, aby zaś nie powstał z tego jaki wielki skandal publiczny, przyjechał sam pan inspektor szkolny dla zbadania tej sprawy i zwrócił się do wachmistrza żandarmerii z zapytaniem, czy uważa nauczyciela za zdolnego do takiego czynu. Wachmistrz żandarmerii zajrzał do akt i powiedział, że to niemożliwe, bo ów nauczyciel już raz był oskarżony przez proboszcza, że niby miał się kręcić dokoła proboszczowskiej kuzynki, która wcale nie była kuzynką proboszcza, ale z którą proboszcz sobie sypiał. Wtedy to nauczyciel przedstawił świadectwo lekarskie, że od lat sześciu jest impotentem, bo jakoś bardzo nieszczęśliwie spadł ze strychu okrakiem na dyszel wozu drabiniastego. Więc ta stara pokraka podała skargę na wachmistrza żandarmerii, na lekarza okręgowego i na inspektora szkolnego, że niby wszyscy zostali podkupieni przez tego nauczyciela. Wszyscy trzej zaskarżyli ją do sądu i została skazana, ale odwołała się do wyższej instancji jako osoba niepoczytalna. Została więc zbadana przez lekarzy sądowych, którzy orzekli, że idiotką jest istotnie, ale wszelkie obowiązki urzędowe spełniać może.

Porucznik Lukasz zawołał:

— Jezus Maria! — i dodał do tego: — Powiedziałbym wam coś, mój Szwejk, ale nie chcę sobie psuć kolacji.

— Mówiłem panu oberlejtantowi — odpowiedział Szwejk — że ta historia jest straszliwie głupia.

Porucznik Lukasz machnął ręką i odpowiedział:

— No, od was nie nasłuchałem się znowu opowieści o wiele mądrzejszych.

— Nie wszyscy mogą być mądrzy, panie oberlejtant — rzekł Szwejk tonem głębokiego przekonania. — Głupi muszą stanowić wyjątek, bo gdyby wszyscy ludzie byli mądrzy, to na świecie byłoby tyle rozumu, że co drugi człowiek zgłupiałby z tego. Gdyby na przykład wszyscy znali prawa natury, to posłusznie melduję, panie oberlejtant, każdy mógłby sobie obliczyć odległości między ciałami niebieskimi i molestowałby swoje otoczenie, jak to czynił niejaki Czapek, który, przesiadując „Pod Kielichem”, w nocy wychodził zawsze z szynku na dwór, rozglądał się po gwiazdzistym niebie, a gdy potem wracał na salę, to chodził od jednego do drugiego i mówił: „Dzisiaj bardzo ładnie błyszczy Jowisz, ale ty, drabie, nawet nie wiesz, co masz nad głową. To są takie odległości, że gdyby cię, gałganie, wystrzelili z armaty, to byś z szybkością kuli armatniej leciał w tamte strony wiele milionów lat”. Bywał przy tym taki ordynarny, że potem zwykle sam wylatywał z gospody z szybkością zwykłego tramwaju elektrycznego, posłusznie melduję, panie oberlejtant, mniej więcej dziesięć kilometrów na godzinę... Albo weźmy na przykład, panie oberlejtant, mrówki...

Porucznik Lukasz usiadł na kanapie i złożył ręce.

— Aż się dziwię, doprawdy, że wdaję się z wami, mój Szwejku, w rozmowę, chociaż was znam już od dość dawna.

Szwejk potakiwał głową na znak zupełnej zgody.

— To z przyzwyczajenia, panie oberlejtant, to właśnie skutkiem tego, że już się bardzo dawno znamy i żeśmy razem bardzo wiele przeżyli. A gdy nam się czasem coś przytrafiło, to tak jak ślepej kurze ziarno. Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że to już taki los. Co najjaśniejszy pan postanowił, to jest dobre; on nam kazał trzymać się kupy, więc i ja nic innego sobie nie życzę, tylko być panu pożytecznym, panie oberlejtant. A może pan głodny?

Porucznik Lukasz, który tymczasem wyciągnął się znowu na starej kanapie, odpowiedział, że ostatnie pytanie Szwejka jest najlepszym przypomnieniem, co w tej chwili zrobić należy. Szwejk został wysłany do kuchni oficerskiej, aby się przekonać, czy jedzenie już gotowe, czy jeszcze nie. W ogóle lepiej będzie, gdy Szwejk przejdzie się trochę i opuści go na chwilę, bo to gładzenie, którym go bezustannie częstuje, męczy bardziej niż cały marsz na Sanok. Chciałby chwilę pospać, ale nie może zasnąć.

— To pluskwy spać nie dają, panie oberlejtant. Istnieje stary zabobon, że nie ma plebanii bez pluskiew. Rzeczywiście, nigdzie nie ma tyle pluskiew co na plebaniach. W Górnych Stodółkach był proboszcz i napisał całą książkę o pluskwach, które nawet podczas kazania po nim łaziły.

— Więc słyszeliście, Szwejku, co macie zrobić czy nie? Pójdziecie do kuchni czy ja mam pójść za was?

Szwejk wyszedł na dwór, a za nim jak cień wykradł się na palcach Baloun...

Gdy nazajutrz rano wyruszyli z Liskowca na Starą Sól – Sambor, wieźli z sobą w kuchni połowej ową nieszczęsną krowę, która jeszcze się nie ugotowała. Postanowiono gotować ją w drodze i zjeść w połowie drogi, gdy będzie odpoczynek między Liskowcem a Starą Solą.

Na drogę dostali szeregowcy czarnej kawy.

Podporucznika Duba znowu wieźli na sanitarnej dwukółce, bo po wczorajszym dniu był jeszcze słabszy niż przedtem. Najwięcej kłopotu miał z nim jego służący, bo musiał biec tuż przy dwukółce, a podporucznik stale krzyczał na niego, że wczoraj nie pielęgnował go wcale i że zabierze się do niego, jak tylko przyjadą na miejsce. Co chwila kazał sobie podawać wodę, ale po wypiciu natychmiast ją zwracał.

— Z kogo, z czego wy się śmiejecie? — krzyczał ze swego wózka. — Ja was nauczę! Wy ze mną nie igrajcie, bo mnie poznacie!

Porucznik Lukasz jechał wierzchem i rozmawiał ze Szwejkim, który tak bystro marszerował obok niego, jakby się nie mógł doczekać chwili spotkania z nieprzyjacielem. Idąc opowiadał:

— Czy pan już zauważył, panie oberlejtant, że niektórzy nasi ludzie są jak te muchy? Na plecach mają niecałe trzydzieści kilo i nie mogą tego wytrzymać. Należałoby im urządzić kilka odczytów, jakie wygłaszał nam pan oberlejtant Buchanek, co to się zastrzelił z powodu kaucji na żeniączkę, którą wziął od swego przyszłego teścia i przelajdaczył ją z innymi dziewczkami. Potem wziął drugą kaucję od innego przyszłego teścia i używał jej już trochę oszczędniej: po troszku przegrywał ją w karty, a od dziewczek stronił. Ale też mu pieniędzy nie na długo starczyło, więc musiał się udać do trzeciego przyszłego teścia. Za trzecią kaucję kupił sobie konia arabskiego, ogiera, ale niestety nierasowego...

Porucznik Lukasz zeskoczył z konia.

— Jeśli zaczniecie mówić o czwartej kaucji, to was zrzucę do rowu! — rzekł surowo.

Wskoczył na konia, a Szwejk z wielką powagą mówił dalej:

— Posłusznie melduję, że o czwartej kaucji nie może być nawet mowy, bo już po trzeciej się zastrzelił.

— Nareszcie! — rzekł Lukasz.

— Aha, co to ja panu chciałem powiedzieć — wywodził Szwejk. — Takie odczyty wygłaszał nam zawsze ten pan oberlejtant Buchanek, gdy podczas marszów żołnierze padali ze zmęczenia, i podług mego skromnego mniemania podobne odczyty powinny być wygłaszane naszym żołnierzom. On nakazywał odpoczynek, gromadził nas wszystkich dokoła siebie jak kwoka kurczęta i zaczynał przemawiać: „Wy lobuzy, wy nie doznajecie

uczucia dumy, że maszerujecie po kuli ziemskiej, bo jesteście jeden z drugim nieokrzesaną bandą. Rzygać się chce, kiedy człowiek na was patrzy. Na słońce należałoby was przenieść, żebyście tam maszerowali, gdzie człowiek, który na naszej biednej planecie ma sześćdziesiąt kilogramów, waży przeszło tysiąc siedemset kilogramów! Pozdychalibyście chyba, gdybyście w plecaku musieli dźwigać przeszło dwieście osiemdziesiąt kilogramów, a karabin ważyłby półtora korca. Stękalibyście i wywieszali jęczory jak zziąbane psy”. Był tam między nami pewien nieszczęśliwy nauczyciel, który rozzuchwalił się tak dalece, że też zabrał głos w tej sprawie: „Z przeproszeniem, panie oberlejtant, odezwał się, na księżycu człowiek ważący u nas sześćdziesiąt kilogramów, waży tylko trzynaście kilogramów. Na księżycu lepiej by nam się maszerowało, ponieważ nasz plecak ważyłby tylko cztery kilogramy. Na księżycu nie maszerowalibyśmy, lecz, że tak powiem, wznosilibyśmy się”. „To straszne, odpowiedział na to nieboszczyk pan oberlejtant Buchanek, ty drabie wyszczekany, przymawiasz się, żeby dostać po pysku. No, bądź szczęśliwy, że dam ci tylko zwyczajnie po ziemsku w pysk, bo gdybym ci dał po księżycowemu, to zaleciałbyś aż gdzieś na Alpy i spadłbyś na nie jak jaki niemrawy placuszek. A gdybym ci dał po słonecznemu, to mundur zamieniłby się na tobie w kaszkę, a głowa twoja odleciałaby aż gdzieś do Afryki”. Więc mu dał w pysk zwyczajnie po ziemsku, wścibski nauczyciel rozbeczał się, a my maszerowaliśmy dalej. Przez całą drogę ten nauczyciel płakał, panie oberlejtant, i ciągle gadał o jakiejś tam ludzkiej godności i o tym, że się z nim obchodzą jak z jakim niemym stworzeniem. Potem pan oberlejtant posłał go do raportu i wlepili mu dwa tygodnie i musiał dosługiwać jeszcze sześć tygodni, ale nie dosłużył ich, bo miał przepuklinę, a w koszarach kazali mu się forsownie gimnastykować na rękę, a on tego nie wytrzymał i umarł w szpitalu jako symulant.

— Osobliwa rzecz, mój Szwejku — rzekł porucznik Lukasz — że wy, jak już wam to mówiłem nieraz, macie zwyczaj pogardliwie odzywać się o korpucie oficerskim.

— Nic podobnego we zwyczaju nie mam, panie oberlejtant — odpowiedział Szwejk. — Chciałem panu tylko opowiedzieć, jak to dawnymi czasy ludzie samochcąc pchali się w nieszczęście. Taki człowieczyna wyobrażał sobie, że jest mądrzejszy od tego pana oberlejtanta, chciał się swoim księżycem pochwalić, pomniejszyć jego autorytet przed szeregowcami tym swoim księżycem, ale gdy dostał w pysk po ziemsku, to nam wszystkim ulżyło, nikomu nawet na myśl nie przyszło, żeby się dąsać o to, przeciwnie, byliśmy radzi, że pan oberlejtant zrobił taki dobry dowcip dając człowiekowi w twarz po ziemsku. To się nazywa ratowanie sytuacji. Chodzi o to, żeby się tylko nie znaleźć w kropce i wszystko już w porządku. Naprzeciwko Karmelitów w Pradze, panie oberlejtant, miał przed laty handelek królikami i innym ptactwem niejaki pan Jenom. Zapoznał się on z córką introligatora Bilka. Pan Bilek nie życzył sobie, żeby jego córka utrzymywała znajomość z tamtym panem i publicznie w gospodzie się wyraził, że gdyby pan Jenom przyszedł prosić o rękę jego córki, to by go zrzucił ze schodów na łeb, jak jeszcze nikt nikogo nie zrzucił. Pan Jenom napił się dla dodania sobie odwagi i pomimo wszystko poszedł do pana Bilka z oświadczeniami, a pan Bilek przyjął go w przedpokoju z wielkim nożem w rękę, jakim introligatorzy obcinają książki. Nóż był ostry i krzepki. Mój introligator ryknął na gościa, czego szuka u niego, a pan Jenom puścił ze strachu tak głośno, aż od tego zegar ścienny stanął. Pan Bilek roześmiał się wesoło, podał gościowi rękę i stał się bardzo uprzejmy: „Pan pozwoli, panie Jenom, niech pan siada, przypuszczam, że nie narobił pan w majtki, bo widzi pan, ja nie jestem znowu taki zły człowiek, chociaż prawda, że chciałem pana wyrzucić za drzwi, lecz teraz widzę, że pan jest bardzo miły człowiek, jest pan oryginał. Jako introligator czytuję dużo powieści i nowelek, ale jeszcze ani razu nie czytałem, aby się konkurent przedstawiał w taki sposób”. Śmiał się przy tym, aż się za brzuch trzymał, i wywodził, że mu się wydaje, jakby się znali od samego urodzenia, jakby byli rodzonymi braćmi. Podawał mu cygara, posłał natychmiast po piwo i serdelki, zawołał żonę i przedstawił go jej ze wszystkimi szczegółami tego przypadku. Pani Bilkowa splunęła i wyszła. Potem zawołał córkę i powiada: „Ten pan przyszedł prosić o twoją rękę i przytrafiło mu się to a to”. Córka rozplakała się natychmiast i oświadczyła, że tego człowieka nie zna, że go nawet widzieć nie chce, więc nie pozostało nic innego, tylko wypić piwo we dwójkę, zjeść serdelki i rozejść się. Potem pan Jenom najadł się jeszcze wstydu w gospodzie, do której chodził pan Bilek, i wreszcie w całej dzielnicy nie mówiło



się o tym panu Jenomie inaczej, jak „ten zafajdany Jenom”, i wszędzie sobie opowiadali o nim, jak to on chciał uratować sytuację. Życie ludzkie, posłusznie melduję, panie oberlejtant, jest takie powikłane, że w porównaniu z nim człowiek jest szmata. Do nas, do gospody „Pod Kielichem” na Boisku, chodził jeszcze przed wojną starszy posterunkowy policyjny, niejaki pan Hubiczka, i pewien pan redaktor, który zapisywał wszystkie złamane nogi, przejechanych ludzi i samobójców i zanosił wszystko do gazet. Był to taki wesoly pan, że więcej się wysiedział na policyjnym odwachu niż w redakcji. Więc ów redaktor pewnego razu upił starszego posterunkowego Hubiczkę, a potem w kuchni zamienili się ubraniami, tak że starszy posterunkowy stał się cywilem, a pan redaktor policjantem. Otóż ten pan redaktor przebrany za posterunkowego zakrył numer rewolweru i ruszył na miasto jako patrol. Na ulicy Resslera, za dawnym więzieniem Św. Wacława, spotkał w ciszy nocnej jakiegoś starszego pana w cylindrze i w futrze, a ten pan prowadził pod rękę starszą panią w płaszczu futrzanym. Oboje śpieszyli do domu i nie odzywali się do siebie ani słowem. A mój przebrany redaktor rzucił się na nich i wrzasnął temu staremu panu nad uchem: „Nie rycz pan tak głośno, bo pana zaaresztuję!” Niech pan sobie wyobrazi, panie oberlejtant, jak się oboje przestraszyli. Daremnie mu tłumaczyli, że to pewno jakaś omyłka, ponieważ oboje wracają do domu z przyjęcia u pana namiestnika. Ekwipaż podwiózł ich aż do Teatru Narodowego, a teraz idą pieszo, żeby użyć trochę świeżego powietrza, bo mieszkają niedaleko stąd na Morani, a on, niby ten pan w futrze, jest starszym radcą namiestnictwa i idzie z małżonką. „Proszę sobie ze mnie nie kpić — wrzeszczał dalej domniemany policjant. — Wstydz się pan, jeśli pan jesteś takim jakimś radcą namiestnictwa, a na ulicy zachowuje się pan jak łobuziak. Przyglądam się panu już dość dawno, jak pan walił łaską w żaluzje sklepów mijanych po drodze i jeszcze panu ta pani, jak pan mówi, małżonka, pomagała”. „Przecież ja nawet żadnej laski nie mam, jak pan widzi. To widać szedł tu ktoś przed nami”. „Jak pan może mieć łaskę, skoro ją pan połamał tam na rogu na tej babie, która po gospodach roznosi pieczone kartofle i kasztany”. Ta pani radczyni nawet płakać nie mogła z tego wszystkiego, a pan radca taki był wzburzony, że zaczął mówić coś o hultajstwie, za co został aresztowany i przekazany najbliższemu patrolowi policyjnemu, spotkanemu w rejonie komisariatu, który mieścił się przy ulicy Salma. Ten niby starszy posterunkowy kazał tych państwa zaprowadzić do komisariatu i powiedział, że sam jest z dzielnicy Św. Jindrzicha i przy obchodzie służbowym przyłapał tę dwójkę na zakłócaniu ciszy nocnej, przy bijatyce, a w dodatku ludzie ci dopuścili się obrazy władzy. On sam załatwi, co ma załatwić w komisariacie, w dzielnicy Św. Jindrzicha, i za godzinę przyjdzie do komisariatu przy ulicy Salma. Więc policja zabrała tych państwa i zaprowadziła do komisariatu, gdzie siedzieli do samego rana i czekali na tego starszego posterunkowego, który tymczasem klucząc, powrócił „Pod Kielich” na Boisku, zbudził starszego posterunkowego Hubiczkę, delikatnie powiedział mu, co się stało i jakie dochodzenie dyscyplinarne czeka go, jeśli nie będzie milczał...

Porucznik Lukasz zdał się być zmęczony tym opowiadaniem, ale zanim żwawszym klusem ruszył dalej, aby dotrzeć do czoła kolumny, rzekł do Szwejka:

— Choćbyście gadali, mój Szwejku, do samego wieczora, to gadanie wasze byłoby tylko coraz głupsze.

— Panie oberlejtant — wołał Szwejk za odjeżdżającym porucznikiem — czy nie życzy pan sobie dowiedzieć się, jak to się skończyło?

Porucznik popędził tym żwawiej.

Stan podporucznika Duba poprawił się tak dalece, że chory mógł opuścić dwukótkę. Zebrał więc dokoła siebie cały sztab kompanii i jak w gorączce zaczął wszystkich o czymś pouczać. Wygłosił długą mowę, która wszystkim wydała się daleko cięższa niż plecaki i karabiny.

W mowie tej była mieszanina różnych przypowieści. Mówił tak:

— Miłość żołnierzy do panów oficerów umożliwia czyny niewiarogodnej ofiarności, ale to zupełnie obojętne, bo jeśli taka miłość nie jest wrodzona, to trzeba ją wymusić. W życiu cywilnym miłość wymuszona, powiedzmy, na przykład, miłość ucznia dla ciała profesorskiego trwa tak długo, jak długo trwa siła zewnętrzna, która tę miłość wymusza. Ale na wojnie widzimy coś zgoła przeciwnego, ponieważ żołnierzowi nie można pozwolić na najdrobniejsze pomniejszenie owej miłości, która przywiązuje żołnierza do jego prze-

łożonych. Miłość ta nie jest bynajmniej zwyczajną miłością, ale jest to właściwie szacunek, strach i dyscyplina.

Przez cały czas Szwejk kroczył po lewej stronie i podczas gdy podporucznik Dub przemawiał, patrzył na niego jakby na komendę: „W prawo patrz!”

Podporucznik Dub jakoś tego zrazu nie zauważył i mówił dalej:

— Ta dyscyplina i obowiązek posłuszeństwa, nakazana miłość żołnierza dla oficera, wyraża się bardzo zwięźle, ponieważ stosunek między żołnierzem a oficerem jest bardzo prosty: jeden rozkazuje, drugi musi słuchać. Już dawno czytaliśmy w książkach o sztuce wojskowej, że wojskowy lakonizm, czyli zwięźłość, jest właśnie tą cnotą, którą każdy żołnierz pielęgnować powinien, bo czy chce, czy nie chce, musi kochać swego przełożonego. A ten przełożony w oczach żołnierza musi być najwyższym, jasnym i skryształizowanym wyrazem niezachwianej i doskonałej woli.

Teraz dopiero zauważył, że Szwejk przy swoim „w prawo patrz” nie spuszcza z niego oczu, co mu się nie bardzo podobało, ponieważ sam wyczuwał, że w mowie swojej nieraz się płacze tak dalece, iż nie wie, jak wybrnąć z płątaniny miłości żołnierza dla swoich przełożonych. Wrzasnął tedy na Szwejka:

— Czemu się na mnie gapisz jak cielę na malowane wrota?

— Według rozkazu, panie lejtnant, pan sam raczył mnie napominać, abym patrzył na jego usta, gdy przemawia. Ponieważ każdy żołnierz winien spełniać rozkazy swoich przełożonych i pamiętać o nich, więc spełniam swój obowiązek.

— Patrz teraz — krzyczał podporucznik Dub — w drugą stronę, ty drabie idiotyczny, i nie gap się na mnie, bo wiesz, że tego nie lubię, ja ci jeszcze pokażę...

Szwejk zrobił głową zwrot na lewo i dalej maszerował obok podporucznika Duba tak sztywno, że podporucznik Dub znowu krzyknął:

— Gdzie ty się gapisz, kiedy z tobą rozmawiam?

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że trzymam głowę według pańskiego rozkazu „w lewo patrz!”

— Ach — westchnął podporucznik Dub — z tobą jest krzyż pański. Patrz prosto przed siebie i myśl o sobie: jestem taki idiota, że nie trzeba mnie będzie żałować. Zapamiętałeś to sobie?

Szwejk patrzył prosto przed siebie i rzekł:

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, czy mam na to odpowiedzieć?

— Na co ty sobie pozwalasz! — wrzasnął na niego podporucznik Dub. — Jak rozmawiasz ze mną i co to znaczy?

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że to znaczy, że sobie przypomniałem pewien rozkaz pański dany mi na jednej stacji, że w ogóle mam milczeć, gdy pan przestaje mówić.

— Więc się mnie boisz — rzekł uradowany podporucznik Dub — chociaż jeszcze mnie nie poznałeś. Przede mną drżeli nie tacy jak ty, zapamiętaj to sobie. Nauczyłem moresu większych od ciebie łobuziaków, więc stul pysk i zostań w tyle, żebyś się wcale nie widział.

Szwejk przyłączył się tedy na końcu kolumny do sanitariuszy i wygodnie jechał na dwukółce, aż dojechali wreszcie na miejsce wyznaczone na odpoczynek, gdzie żołnierze doczekali się zupy i mięsa z nieszczęsnej krowy.

— Krowę tę powinni położyć przynajmniej na dwa tygodnie w ocet, a jeśli nie tę krowę, to przynajmniej tego, co ją kupował — oznajmił Szwejk.

Z brygady przycwalał konny kurier z nowymi rozkazami dla 11 kompanii, a mianowicie, że marszruta została zmieniona i prowadzi na Felsztyn; Woralicze i Sambor należy ominąć, gdyż nie można by tam rozkwaterować żołnierzy, jako że są tam już dwa pułki poznańskie.

Porucznik Lukasz wydał natychmiast odpowiednie dyspozycje. Sierżant rachuby Vaniek i Szwejk wyszukają dla kompanii nocleg w Felsztynie.

— Ale pamiętajcie, Szwejk, żebyście w drodze nie robili żadnych głupstw — napominał go porucznik Lukasz. — Najważniejsze, żebyście się wobec ludności zachowywali przyzwoicie!

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że będę się starał, chociaż miałem jakiś obrzydliwy sen, gdy się nad ranem trochę zdrzemnąłem. Śniło mi się o nieckach, któ-

re miały dziurę, tak że przez całą noc ciekła woda na korytarz tego domu, w którym mieszkalem. Woda przeciekła na sufit mieszkania gospodarza, który natychmiast kazał mi się wyprowadzić. Taka rzecz, panie oberlejtant, zdarzyła się w rzeczywistości. Było to w Karlinie za wiaduktem...

— Dajcie nam spokój, Szwejku, ze swoim głupim gadaniem i razem z Vańkiem popatrzcie raczej na mapę, żebyście wiedzieli, którądy macie iść. Więc tutaj oto macie te wsie: od tej wsi ruszacie na prawo ku rzeczulce, potem z biegiem rzeczki idziecie do najbliższej wioski, a stamtąd idziecie dalej aż do miejsca, w którym do rzeczulki tej wpada pierwszy strumień. Będzie to po stronie prawej. Potem pójdziecie polną drogą na północ i nie możecie się dostać nigdzie indziej, tylko do Felsztyna! Zapamiętacie to sobie?

Szwejk ruszył tedy razem z sierżantem rachuby Vańkiem według marszruty.

Było już po południu i w panującej spiekocie cała okolica zdawała się ciężko dyszeć. Z płytkich grobów żołnierskich dobywał się zaduch zgnilizny. Dotarli w okolice, w których staczano walki podczas marszu na Przemyśl i gdzie karabiny maszynowe skosiły całe bataliony. W niedużych laskach nad rzeczulką widać było ślady ognia artyleryjskiego. Na wielkich przestrzeniach i zboczach zamiast drzew sterczały z ziemi jakieś ułamki i pniaczki, a pustynia ta była jakby zorana rowami strzeleckimi.

— Trochę tu inaczej niż pod Pragę — rzekł Szwejk, aby przerwać milczenie.

— U nas już będzie po żniwach — rzekł na to sierżant rachuby Vaniek. — W okolicach Kralup żniwa zaczynają się najwcześniej.

— Tutaj po wojnie będą bardzo dobre urodzaje — rzekł po chwili Szwejk. — Nie trzeba będzie kupować żadnych mączek kostnych. Dla rolnika jest to rzeczą bardzo korzystną, gdy na polu spróchnieje cały pułk. Jednym słowem, obłowi się niejeden gospodarz, i to porządnie. Tylko o jedno się boję, a mianowicie, żeby ci rolnicy nie dali się nabrać i nie sprzedawali tych kości żołnierskich cukrowniom. W Karlińskich Koszarach był na przykład oberlejtant Holub, taki uczony, że cała kompania uważała go za idiotę, ponieważ z powodu swej uczoności nie nauczył się wyzywać żołnierzy i nad wszystkim zastanawiał się tylko ze stanowiska naukowego. Pewnego razu żołnierze zameldowali mu, że komiśniaka, który właśnie fasowali, żreć nie podobna. Innego oficera takie zuchwałstwo rozżłościłoby, ale on nic; zachował spokój, nikogo nie nazwał świnią czy bydlakiem i nikomu nie dał w pysk. Tyle tylko, że zwołał wszystkich swoich szeregowców i rzekł do nich swoim bardzo przyjemnym głosem: „Po pierwsze, musicie sobie uświadomić, że koszary to nie żaden *delikatessenbandlung*, żebyście sobie mogli do woli wybierać marynowane węgorki, sardynki i sandwicze. Każdy żołnierz winien być na tyle inteligentny, żeby bez szemrania żreć wszystko, co fasuje, i ma mieć tyle dyscypliny, żeby się nie zastanawiać nad gatunkiem tego, co mu każą żreć. Wyobraźcie sobie, żołnierze, że może być wojna. Tej ziemi, w której was po bitwie pochowają, będzie wszystko jedno, jakiego komiśniaka nażarliście się przed śmiercią. Matka ziemia rozłoży was i zeżre razem z butami. Na świecie nic zginąć nie może. Z was, żołnierze, wyrosnie nowe zboże na komiśniak dla nowych żołnierzy, którzy znowu może tak samo jak wy nie będą zadowoleni z otrzymanego chleba, pójdą na skargę i natkną się na kogoś, kto każe ich wsadzić do paki, aż oko zbieleje, ponieważ będzie miał do tego prawo. Teraz wam wszystko ładnie wytłumaczyłem, moi żołnierze, i nie potrzebuję wam chyba dodawać, że kto by się w przyszłości chciał skarżyć, to miałby tylko tę jedną przyjemność, a mianowicie, wyjście z paki na wolny świat boży”. „Żeby choć trochę urągał” — mówili między sobą żołnierze, a te wszystkie delikatne słowa, jakich używał w swych przemówieniach pan oberlejtant, mocno ich oburzały. Więc pewnego razu wybrała mnie kompania, żebym mu o tym delikatnie powiedział, że go wszyscy bardzo lubimy, ale że wojsko bez wyzwisk to nie wojsko. Więc poszedłem do niego do mieszkania i prosiłem go, żeby się nie krępował, że wojsko to rzecz przecie twarda jak rzemień, a żołnierze już są przyzwyczajeni do tego, iż co dzień im się powtarza, że jeden w drugiego pies i świnia, bo w przeciwnym razie tracą szacunek dla przelozonych. Zrazu się wymawiał, mówił coś o inteligencji, o tym, że dzisiaj już się nie służy pod batem, ale wreszcie dał się przekonać, sprzął mnie po pysku i wyrzucił za drzwi, żeby słowa jego nabrały większej wagi. Kiedy powiedziałem kolegom o rezultacie swojej wizyty u niego, wszyscy się ogromnie ucieszyli, ale on popsuł nam uciechę już następnego dnia. Podchodzi do mnie i wobec wszystkich powiada: „Szwejku, ja się

wczoraj zapomniałem. Macie tu guldena i napijcie się za moje zdrowie. Z żołnierzami trzeba umieć postępować”.

Szwejk rozejrział się po okolicy. Po chwili rzekł:

— Zdaje mi się, że nie idziemy tak jak trzeba. Pan oberlejtant wytłumaczył nam przecie wszystko jak należy. Najprzód idzie się pod górkę, potem na dół, następnie w lewo i na prawo, potem znowu w prawo i na lewo — a my ciągle idziemy prosto. A może szliśmy dobrze, tylko że przy gadaniu nie zauważyliśmy, czy dobrze idziemy. Ja tu stanowczo widzę przed sobą dwie drogi wiodące do tego Felsztyna. Proponowałbym, żebyśmy teraz ruszyli tą drogą, która prowadzi w lewo.

Sierzant rachuby, jak zawsze, gdy dwoje ludzi znajdzie się na rozstajach, zaczął dowodzić, że trzeba iść na prawo.

— Moja droga byłaby wygodniejsza niż pańska — rzekł Szwejk. — Ja pójdę wzdłuż strumienia, nad którym rosną niezapominajki, a pan idź sobie zakurzoną drogą wśród tej spiekoty. Ja się trzymam tego, co nam powiedział pan oberlejtant, że w ogóle nie wolno nam zabił, a jeżeli nie możemy już zabił, to po co leż pod górę. Pójdę łąkami, przypnę kwiatek do czapki i narwę bukiet niezapominajek dla pana oberlejtanta. Zresztą przekonamy się niedługo, kto z nas miał rację, więc mam nadzieję, że się rozejdziemy jako dobrzy towarzysze. Okolica jest tu taka, że wszystkie drogi prowadzą do tego Felsztyna.

— Nie małpujcie, Szwejku — rzekł Vaniek. — Podług mapy z tego miejsca ruszyć musimy, jak już powiedziałem, w prawo.

— Mapa też się może mylić — odpowiedział Szwejk zbaczając ku strumieniowi w dolince. — Pewnego razu wędliniarz Krzenek, mieszkający na Vinohradach, wracał do domu od „Montagów” z Małej Strany na Królewskie Vinohrady podług planu miasta Pragi, błąkał się całą noc, a nad ranem dotarł do Rozdzielova koło Kladna. Znaleźli go w życie; leżał zdrtwiał ze zmęczenia i chłodu. Skoro pan nie chce mnie słuchać, panie rechnungsfeldfel, i trwa przy swoim, to się musimy rozejść i spotkamy się dopiero w Felsztynie. Niech pan spojrzy na zegarek, żeby było wiadomo, kto prędzej dojdzie do celu. A gdyby panu zagrażało jakie niebezpieczeństwo, to niech pan wystrzeli w powietrze, żebym wiedział, gdzie pan się znajduje.

Po południu Szwejk dotarł do niedużego stawu, gdzie natknął się na zbiegłego jeńca rosyjskiego. Zbieg kąpał się właśnie, ale gdy ujrzał Szwejka, wyskoczył z wody i nagi zaczął uciekać.

Szwejk był ciekaw, czy pasowałby mu rosyjski mundur leżący nad stawem pod wierzbami, więc rozebrał się i przywdział mundur nieszczęsnego zbiegłego nagusa, który uciekł z transportu zakwaterowanego we wsi za lasem. Szwejk chciał się dokładnie przejrzeć przynajmniej w wodzie stawu, więc tak długo chodził po grobli, aż go tam dostrzegł i zabrał patrol żandarmerii polowej szukając zbiegłego jeńca. Byli to Węgrzy, więc pomimo protestów Szwejka odprowadzili go na etap w Chyrowie, gdzie został włączony do szeregu jeńców rosyjskich, pracujących właśnie przy naprawie toru linii kolejowej wiodącej do Przemyśla.

Wszystko to stało się tak szybko, że Szwejk dopiero nazajutrz zdał sobie sprawę ze swojej przygody; wtedy to na białej ścianie izby szkolnej, w której ulokowana była część jeńców, wypisał kawałkiem węgla drzewnego:

TU NOCOWAŁ JÓZEF SZWEJK Z PRAGI,  
ORDYNANS II KOMPANII MARSZOWEJ 91 PUŁKU,  
KTÓRY JAKO KWATERMISTRZ  
PRZEZ POMYŁKĘ DOSTAŁ SIĘ  
POD FELSZTYNEM  
DO NIEWOLI AUSTRIACKIEJ

# TOM CZWARTY. PO PRZESŁAWNYM LANIU

## I. SZWEJK W TRANSPORCIE JEŃCÓW ROSYJSKICH

Kiedy Szwejk, błędnie uważany za jeńca rosyjskiego, zbiegłego ze wsi w pobliżu Felsztyna, pisał węglem na ścianie swoje rozpaczliwe okrzyki, nikt nie zwracał na to uwagi, a kiedy w Chyrowie na etapie chciał wszystko szczegółowo objaśnić jednemu z oficerów, przechodzącemu właśnie obok niego, gdy im rozdawano po kawałku twardego chleba kukurydzowego, jeden z żołnierzy węgierskich, pilnujący transportu jeńców, dzielił go kolbą w ramię wołając:

— *Baszom az élet.* Do szeregu, ruska świnió!

Działo się to oczywiście w taki sam sposób, w jaki żołnierze węgierscy obchodzili się z jeńcami rosyjskimi, których języka nie rozumieli.

Szwejk stanął w szeregu i zwrócił się do najbliższego jeńca:

— Człowiek ten spełnia swój obowiązek, ale i sam siebie naraża przy tej sposobności na niebezpieczeństwo. Przecież mogłoby się zdarzyć, że karabin byłby nabity, a zamek otwarty, więc gdy taki zacznie prać człowieka kolbą, a lufę ma przeciwko sobie, to karabin mógłby wystrzelić, a cały nabój mógłby wlecieć mu w gębę. Mógłby więc spełnienie obowiązku przypłacić życiem. Na Szumawie w pewnym kamieniołomie robotnicy kradli zapalniki dynamitowe, żeby mieć zapas przy karczowaniu pni w zimie. Dozorca kamieniołomu otrzymał rozkaz rewidowania każdego robotnika, a zabrał się do tego z wielką miłością; zaraz pierwszego z brzegu zaczął tak zamazywać tłuc po kieszeniach, że zapalniki wybuchły i obaj razem z dozorcą wylecieli w powietrze i to tak jakoś śmiesznie, jakby się trzymali za szyje.

Jeniec rosyjski, któremu Szwejk to wszystko opowiadał, spoglądał na niego tak poczciwie, jakby chciał rzec, że ze wszystkich tych wywodów nic nie rozumie.

— *Nie ponymat, ja krymski Tataryn, Allah achper* — rzekł wreszcie i usiadł na ziemi, podwinąwszy nogi pod siebie, po czym złożył ręce na piersi i zaczął się modlić: *Allah, achper... achper... bezmila... arachman... arachm... malinkin mustafir.*

— Więc tyś bratku, Tatar — rzekł Szwejk ze współczuciem. — No, toś się udał. Naturalnie, że jeśli ty Tatar, to ani ja ciebie, ani ty mnie rozumieć nie możesz. Hm, a czy ty znasz Jarosława ze Szternberga? Nie znasz tego imienia? Ach, ty łobuzie tatarski. To przecież ten sam, co to wam dał tak mocno po dupie pod Hostynem. Wiałicie wtedy od nas z Moraw, wy łobuzy tatarskie, świńskim truchtem. Widać, że w waszych czytankach nie piszą o tym tak jak w naszych. A czy znasz Matkę Boską Hostyńską? Naturalnie, że nie znasz, a to Ona przyczyniła się do waszego lania. Ale teraz w niewoli ochrzczą cię, ty smyku, jak amen w pacierzu.

A ty także z Tatarów? — zwrócił się Szwejk do drugiego jeńca.

Zagadnięty zrozumiał słowo „Tatar” i potrząsnął przecząco głową:

— *Tataryn net, Czerkes, rodneja Czerkes, golowy rezu.*

Szwejk miał osobliwe szczęście, bo znalazł się w towarzystwie przedstawicieli różnych narodów wschodnich. W transporcie jeńców znajdowali się Tatarzy, Gruzini, Osetyńcy, Czerkiesi, Mordwini i Kalmucy.

Miał też pecha, że z nikim nie mógł się dogadać, więc razem z innymi wleczono go na Dobromil, gdzie miano zacząć naprawę drogi żelaznej, idącej przez Przemyśl na Niżankowice.

W Dobromilu, na etapie w kancelarii, zapisywano wszystkich jeńców jednego po drugim, co odbywało się nie bez trudu, ponieważ wśród wszystkich trzystu jeńców, spędzonych do Dobromila z różnych stron, nie było ani jednego, który rozumiałby mowę rosyjską siedzącego za stołem i pełniącego obowiązki tłumacza we Wschodniej Galicji, bo twierdził o sobie, że język rosyjski zna. Przed jakimiś trzema tygodniami sprowadził sobie słownik rosyjsko-niemiecki i rozmówki, ale jak dotychczas nie bardzo mu szło, tak iż zamiast po rosyjsku mówił łamanym językiem słowackim, który przyswoił sobie jako tako, gdy podróżował po Słowacyzynie i sprzedawał obrazy świętego Stefana, różańce i kropielnice wyrabiane przez jedną z firm wiedeńskich.

Wobec tych dziwacznych postaci, z którymi w ogóle dogadać się nie mógł, był całkiem bezradny. Wyszedł więc przed kancelarię i wrzasnął na gromadę jeńców:

— *Wer kann deutsch sprechen?*

Z gromady wystąpił Szwajk, który z twarzą rozradowaną śpieszył ku sierżantowi i natychmiast został przez niego zabrany do kancelarii.

Sierżant usadowił się za stołem, ułożył przed sobą stos blankietów z rubrykami, w których miały być zapisywane imiona i nazwiska, i przynależność państwowa jeńców, i rozpoczął ze Szwajkiem po niemiecku wysoce pocieszną rozmowę:

— Jesteś Żyd, co? — zapytał przede wszystkim.

Szwajk zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie potrzebujesz się wypierać swego żydostwa — z wielką pewnością siebie mówił dalej sierżant-tłumacz — bo każdy spośród waszych jeńców, który umiał po niemiecku, był Żyd, i basta. Jak się nazywasz? Szwajch? No, widzisz. Po co się zapierasz, skoro nazwisko masz żydowskie? U nas możesz się do tego przyznać bez obawy, bo w naszej Austrii nie ma pogromów żydowskich. Skąd pochodzisz? Aha, Praga, ja ją znam, bo to przedmieście Warszawy. Przed jakimś tygodniem miałem tu już dwóch Żydków z Pragi spod Warszawy. A twój pułk? 91?

Sierżant sięgnął po schemat, przerzucił kartki i wreszcie rzekł:

— Pułk 91 nazywa się Erywański, jest z Kaukazu, kadre ma w Tyflisie. A co? Gapisz się na mnie, że my tu wszystko tak dobrze wiemy.

Szwajk istotnie gapił się oszołomiony całą tą sprawą, a sierżant mówił dalej z wielką powagą, podając Szwajkowi połowę nie dopalonego papierosa:

— Masz i pal. To inny tytoń niż wasza machorka. Ja tu jestem, mój Żydku, najwyższym panem. Gdy powiem słowo, to wszystko musi trząść się przede mną i padać na pysk. W naszym wojsku panuje inna dyscyplina niż w waszym. Wasz car to łobuz, ale nasz car to mądra głowa. A teraz pokażę ci coś, żebyś wiedział, jaka u nas panuje dyscyplina.

Otworzył drzwi prowadzące do pokoju przyległego i krzyknął:

— Hans Löffler.

— *Hier* — ozwało się w odpowiedzi i do izby wszedł żołnierz z wielkim wolem, Styryczyk o wyrazie splekanego kretyna. Na etapie żołnierz ten był dziewczyną do wszystkiego.

— Hans Löffler — polecił sierżant — bierz moją fajkę, wsadź ją sobie w usta jak aportujący pies i na czworakach biegaj dokoła stołu, dopóki nie powiem *halt!* Prócz tego musisz szczekać, ale tak, żeby ci fajka z ust nie wypadła, bo dam ci słupka.

Wolasty Styryczyk zaczął łazić na czworakach i szczekać.

Sierżant spojrział na Szwajka okiem zwycięskim.

— A co? Czy nie mówiłem ci, Żydku, że u nas jest doskonała dyscyplina?

I sierżant z wielkim zadowoleniem spoglądał na biedne, wystraszone zwierzę pochodzące z jakiegoś alpejskiego szałas, biegające na czworakach.

— *Halt!* — zawołał wreszcie. — Teraz służ i podaj mi fajkę. Doskonale, a teraz jodłuj.

— Holarijo, holarijo! — ozwało się w izbie jodłowanie.

Gdy już było po przedstawieniu, sierżant wyjął z szuflady cztery papierosy „Sport” i wspaniałomyślnie wręczył je Hansowi. Wtedy Szwajk łamaną niemieczyną zaczął sierżantowi opowiadać, że w jednym pułku pewien oficer miał takiego posłusznego służącego, iż ten robił wszystko, co mu jego pan rozkazał, a gdy pewnego razu zapytali go, czy na rozkaz swego pana zeżarłby łyżką to, co jego pan wyknoci, miał odpowiedzieć: „Gdyby mi mój pan kazał zrobić taką rzecz, to zrobiłbym według rozkazu, ale żeby w tym nie było włosa, bo włosami bardzo się brzydzę i zaraz by mnie zemdlilo”.

— Wy, Żydzi, macie osobliwe anegdoty — roześmiał się sierżant — ale założyłbym się, że w waszym wojsku nie ma takiej dyscypliny jak w naszym. Tu wszakże o co innego nam chodzi. Mianuję cię starszym nad całym transportem. Do wieczora spiszesz mi nazwiska wszystkich jeńców. Będziesz dla nich fasował jedzenie, podzielisz ich na dziesiątki i będziesz odpowiadał, jeśli ci który z nich ucieknie. Gdyby ci który z jeńców uciekł, mój Żydku, to cię rozstrzelamy.

— Chciałbym z panem porozmawiać, panie sierżancie — rzekł Szwajk.

— Tylko mi się nie targuj i nie wykręcaj — odpowiedział sierżant — bo cię poślę do obozu. Nie lubię wykrętów. Jakoś ogromnie szybko zaaklimatyzowałeś się u nas w Austrii.

Patrzcie go, on by chciał ze mną porozmawiać... Im człowiek grzeczniejszy dla was, tym natarczywsi jesteście... Dalej, bierz się do roboty. Masz tu papier i ołówek i rób spis!... Czego ci jeszcze?

— *Ich melde geborsam, Herr Feldwebel...*

— Wynoś mi się zaraz! Widzisz, ile mam roboty! — wołał sierżant przybierając wyraz twarzy człowieka wielce przepracowanego.

Szwejk zasalutował i odszedł ku jeńcom, przy czym pomyślał sobie, że cierpliwość w służbie dla najjaśniejszego pana musi wydać owoce.

Trudniejszą sprawą było układanie spisu jeńców, bo ci nie bardzo rozumieli, że mają wymienić swoje nazwiska. Szwejk przeżył w swoim życiu wiele, ale mimo to te tatarskie, gruzińskie i mordwińskie nazwiska nie mieściły mu się w głowie.

„Nikt mi przecie nie będzie wierzył — myślał Szwejk — że ktoś mógłby się nazywać tak, jak się nazywają ci Tatarzy dokoła: Mahlahalej Abdrachmanow, Bejmurat Allahali, Dżeredże Czerdedże, Dawlatbalej Nurdagalejew i jak ich tam jeszcze... U nas jednak mają ludzie lepsze nazwiska, jak na przykład probos w Żidohouszti, który się nazywał Niemrava”.

Szwejk chodził dalej przed szeregami jeńców, którzy po kolei wykrzykiwali swoje imiona i nazwiska:

— Dżindralej, Hanemalej, Babamulej Mirzahali — itd.

— Jeszcze się w język ugryziesz — mówił do każdego z nich z pocziwym uśmiechem Szwejk. — Czy to nie lepiej, gdy u nas ludzie nazywają się: Bogusław Sztiepanek, Jarosław Matouszek albo Rużena Svobodowa?

Gdy wreszcie po straszliwych udrękach Szwejk spisał wszystkich tych Babula Halejów, Chudzi Mudżich itd., postanowił jeszcze raz zrobić próbę i wytłumaczyć sierżantowi-tłumaczowi, że jest ofiarą pomyłki i że już kilka razy w czasie transportowania, gdy pędzili go razem z jeńcami, daremnie usiłował doprosić się sprawiedliwości.

Sierżant-tłumacz, który już przedtem niezupełnie był trzeźwy, stracił tymczasem całkowicie przytomność.

Siedział nad częścią ogłoszeniową jakiejś gazety niemieckiej i ogłoszenia te odśpiewywał na nutę marsza Radetzkiego:

— „Gramofon wymienię na wózek dziecięcy”. „Szkło białe i zielone, także potłuczone, skupuję”. „Buchalterii i bilansowania nauczy się każdy, kto przejdzie piśmienny kurs buchalterii” — itd.

Do niektórych ogłoszeń nie nadawała się nuta marsza, ale sierżant przemocą wtłaczał słowa w melodię i dlatego tłukł pięścią w stół i nogami walił do taktu. Wąsy jego, zlepione kontuszówką, sterczały po obu stronach, zeschnięte jak pędzle używane do gumy arabskiej. Jego oczy z obrzękłymi powiekami zauważyły wprawdzie Szwejka, ale sierżant zachowywał się tak, jakby go nie widział, tyle tylko, że przestał wybijać takt rękoma i nogami. Zmienił też rytm na nutę piosnki: „*Ich weiss nicht, was soll es bedeuten...*” i wyśpiewywał na tę melodię ogłoszenie: „Karolina Dreger, akuszerka, poleca się szanownym damom we wszelkich okazjach”.

Przyśpiewywał sobie coraz ciszej i ciszej, aż wreszcie zamilkł, bez ruchu spoglądał na całą wielką kolumnę ogłoszeń i dał Szwejkowi okazję do rozgadania się o jego przygodzie, o której ten opowiadał urywanymi zdaniami i niemczyzną najokropniejszą.

Szwejk zaczął od tego, że jednak miał rację, gdy wybierał drogę na Felsztyn wzdłuż potoku, ale nie jego to wina, że jakiś nieznany rosyjski żołnierz uciekł z niewoli i poszedł się kąpać do stawu, koło którego on, Szwejk, musiał akurat przechodzić, jako że jego obowiązkiem było wybierać drogę najkrótszą, bo był przecie kwatermistrzem. Rosjanin, jak tylko go zobaczył, zaraz uciekł zostawiając na brzegu swój mundur. On, Szwejk, słyszał nieraz, że na przykład na pozycji wywiadowcy przebierają się w uniformy poległych żołnierzy nieprzyjacielskich, i dlatego na próbę przebrał się w porzucony uniform, żeby się przekonać, jakby mu się w takim mundurze w razie potrzeby chodziło.

Wyjaśnwszy tę swoją pomyłkę Szwejk zauważył, że mówił zgoła na próżno, bo sierżant już dawno spał, zanim opowieść doszła do owego stawu, w którym kąpał się jeńiec rosyjski. Szwejk poufale podszedł do śpiącego i dotknął jego ramienia, co wystarczyło, aby sierżant spadł z krzesła na podłogę, gdzie spokojnie spał dalej.

— Pan pozwoli, panie feldfebel — rzekł Szwejk — że pana opuszczę. — I zasalutowawszy wyszedł z kancelarii.

Wczesnym rankiem kolejowe dowództwo wojskowe zmieniło dyspozycje i postanowiło, że ta grupa jeńców, w której znajdował się Szwejk, będzie wyprawiona prosto do Przemyśla do naprawienia toru Przemyśl–Lubaczów.

Pozostało więc wszystko po staremu i Szwejk odbywał w dalszym ciągu odyseję razem z jeńcami rosyjskimi. Węgierscy wartownicy pędzili wszystkich szybkim marszem naprzód.

W pewnej wsi, gdzie był odpoczynek, spotkali się z oddziałem trenu. Przed grupą wozów stał oficer i przyglądał się jeńcom. Szwejk wyskoczył z szeregu, stanął przed oficerem i zawołał:

— *Herr Leutnant, ich melde geborsamst...*

Więcej powiedzieć nie zdołał, bo natychmiast pośpieszyli za nim dwaj węgierscy żołnierze, którzy pięściami wpędzili go ponownie do szeregu.

Oficer rzucił za nim niedopałek papierosa, ale jakiś inny jeniec podniósł go i wypalił. Potem oficer zwrócił się do stojącego w pobliżu kaprała i tłumaczył mu, że w Rosji są niemieccy koloniści i że także muszą walczyć.

Potem, w ciągu całej drogi do Przemyśla, nie nadarzyła się Szwejkowi ani razu sposobność do poskarżenia się komukolwiek i wytłumaczenia, że właściwie jest on ordynansem II kompanii marszowej 91 pułku. Dopiero w Przemyślu, gdy wieczorem spędzono jeńców do jakiegoś rozbitego fortu strefy wewnętrznej, mógł Szwejk odpocząć w jednej ze stajen artylerii fortecznej.

Leżały tam kupy słomy tak zawsozonej, że wszy z łatwością poruszały jej krótkimi źdźbłami jak mrówki znoszące materiał do budowania mrowiska.

Jeńcy dostali trochę „kawy” z samej cykorii, brudnej jak pomyje, i po kawalku trocinowatego chleba z kukurydzy.

Potem przejmował jeńców major Wolf, władający owego czasu wszystkimi jeńcami, zatrudnionymi przy robotach w twierdzy Przemyśl i w okolicy. Był to człowiek bardzo drobiazgowy. Przy sobie miał cały sztab tłumaczy, którzy spośród jeńców wybierali specjalistów do budowy według ich zdolności i wykształcenia.

Major Wolf miał *idée fixe*, że jeńcy rosyjscy ukrywają swoje wykształcenie, ponieważ zdarzało się, że gdy on pytał jeńca:

„Czy umiesz budować koleje żelazne?” — to jeniec odpowiadał:

„O niczym nie wiem, o niczym podobnym nie słyszałem, żyłem sprawiedliwie i uczciwie”.

Gdy więc już wszyscy stali w szeregu przed majorem Wolfem i całym jego sztabem, ten zapytał najpierw w języku niemieckim, kto z nich umie po niemiecku.

Szwejk wysunął się dziarsko naprzód, stanął przed majorem, zasalutował i meldował, że on umie po niemiecku.

Major Wolf był tym wyraźnie uradowany i zaraz zapytał Szwejka, czy nie jest on czasem inżynierem.

— Posłusznie melduję, panie majorze — odpowiedział Szwejk że nie jestem inżynierem, ale ordynansem II kompanii marszowej 91 pułku. Dostałem się do naszej niewoli, a stało się to, panie majorze tak...

— Co takiego?! — wrzasnął major Wolf.

— Posłusznie melduję, panie majorze, że to się stało tak...

— Wy jesteście Czech?! — ryczał dalej major. — Wyście się przebrali w rosyjski mundur?!

— Posłusznie melduję, panie majorze, że to się wszystko jedno z drugim zgadza. Bardzo się cieszę, że pan major natychmiast wzył się w moją sytuację. Być może, że nasi już gdzieś walczą, a ja mógłbym w ten sposób przegawronić całą wojnę. Więc ja panu majorowi wszystko jeszcze raz dokumentnie opowiem.

— Dość — rzekł major Wolf i zawołał dwóch żołnierzy, aby tego człowieka natychmiast odprowadzili na odwach, a sam szedł powoli za Szwejkim w towarzystwie jeszcze jednego oficera; w rozmowie z nim energicznie wymachiwał rękoma. W każdym zdaniu było coś o czeskich psach, a z całego jego zachowania wyczierała uciecha, że dzięki swej spostrzegawczości schwytał jednego z tych ptaszków, o których działalności



antypaństwowej za granicą już od kilku miesięcy przysyłano dowódcom oddziałów tajne komunikaty, mające rzekomo dowodzić, że liczni dezercerzy czeskich pułków, zapominając o swojej przysiędze, wstępują do szeregów wojska rosyjskiego i służą nieprzyjacielowi osobiście cennymi usługami szpiegowskimi.

Austriackie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych błąkało się w mrokach, o ile chodziło o wykrycie jakiejś organizacji bojowej wśród tych jednostek, które przedostały się na stronę rosyjską. Nie wiadano jeszcze nic pewnego o organizacjach wojskowych na obczyźnie i dopiero w sierpniu na linii Sokal–Miljatyn–Bubnowo dowódcy batalionów otrzymali poufne komunikaty, że były austriacki profesor Masaryk uciekł za granicę i prowadzi propagandę przeciwko Austrii. Jakiś głuptasek ze sztabu dywizji uzupełnił ten komunikat takim śmiesznym rozkazem:

„W razie ujęcia go, przyprowadzić natychmiast do sztabu dywizji”.

W owym czasie major Wolf nie miał jeszcze nawet pojęcia o tym, jakie zamiary mają wobec Austrii ci, którzy pouciekali spod jej sztandarów i spotykając się w Kijowie lub gdzie indziej, prowadzili z sobą takie rozmowy:

— Co tu porabiasz?

— Zdradziłem najjaśniejszego pana — brzmiała wesoła odpowiedź.

Major Wolf znał tylko jeden z tych tajnych komunikatów o uciekinierach i szpiegach i oto cieszył się, że jeden z tych szpiegów przez własną nieostrożność wpadł mu w ręce tak łatwo. Major Wolf był człowiekiem bardzo próżnym i wyobrażał sobie, że wyższe instancje pochwalą go i zasypią odznaczeniami za jego czujność, spryt i zdolności.

Zanim doszli do odwachu, był przekonany, że pytanie: „Kto zna język niemiecki?” — rzucił rozmyślnie, ponieważ ujęty szpieg wydał mu się natychmiast podejrzany przy pierwszym przegłądzie jeńców.

Oficer, idący z nim razem, kiwał głową i rzekł, że trzeba będzie zameldować o tym aresztowaniu w dowództwie garnizonu dla dalszego załatwienia sprawy i dla przeprowadzenia oskarżonego do wyższego sądu wojskowego, bo stanowczo nie można zrobić tak, jak mówi pan major: przesłuchać go na odwachu, a potem natychmiast powiesić tuż za odwachem. Powieszony będzie tak czy tak, ale drogą prawną, zgodnie z orzeczeniem sądu wojskowego, aby można było ustalić związki istniejące między innymi podobnymi zbrodniarzami. Dlatego przed powieszeniem konieczne jest szczegółowe badanie. Kto wie, ilu ciekawych rzeczy można się będzie jeszcze dowiedzieć.

Majora Wolfa opanował nagły upór, zbudziło się w nim utajone zbydlęcenie, tak że oświadczył, iż tego dezercera-szpiega natychmiast po przesłuchaniu każe powiesić na własne ryzyko. Może sobie na to śmiało pozwolić, bo ma wysokie znajomości, a zresztą wszystko mu jedno. U niego jest tak jak na froncie. Gdyby ten szpieg został ujęty tuż za linią bojową, to byłby przesłuchany i natychmiast powieszony, i nikt nie robiłby z nim ceregieli. Zresztą pan kapitan wie chyba, że dowódca na froncie bojowym, poczynając od kapitana wzwyż, ma prawo wieszać wszystkich ludzi podejrzanych.

Oczywiście, że major Wolf trochę sobie poplątał kompetencje, ile chodziło o prawo wieszania ludzi przez dowódców wojskowych.

W Galicji Wschodniej, im bliżej frontu, prawo wieszania zniżało się coraz bardziej ku coraz niższemu szarżom, aż dochodziło do tego, że na przykład kapral prowadzący patrol kazał powiesić dwunastoletniego smyka, który wydał mu się podejrzany dlatego, że w opuszczonej i obrabowanej wsi gotował sobie w jakiejś zburzonej chacie łupiny z kartofli.

Toteż spór między majorem a kapitanem stawał się coraz ostrzejszy.

— Nie ma pan prawa do tego! — krzyczał zdenerwowany kapitan. — Człowiek ten zostanie powieszony na podstawie wyroku sądu wojskowego.

— Będzie powieszony, ale bez wyroku — sapał ze złości major Wolf.

Szwejk, który szedł przed nimi i słyszał tę ciekawą rozmowę, rzekł do prowadzących go żołnierzy tylko te słowa:

— Z wyrokiem czy bez wyroku, wszystko jedno. W jednej gospodzie w Libni mieliśmy kiedyś spór o to, czy kapelusznika Vaszaka, który nam zawsze psuł zabawę, należy wyrzucić natychmiast, jak tylko się pokaże we drzwiach, czy też dopiero potem, gdy każe sobie podać piwo, wypije i zapłaci, a także zastanawialiśmy się, czy trzeba mu ściągnąć

buty po pierwszym tańcu. Gospodarz proponował, żebyśmy go wyrzucili dopiero wtedy, gdy zabawa dobiegnie połowy i gdy kapelusznik będzie miał już jaki taki rachunczek. Potem będzie musiał zaraz zapłacić i won z nim. I wiecie, co ten łobuz zrobił? Nie przyszedł wcale. Cóż wy na to gałgaństwo?

— *Nix böhmisch* — odpowiedzieli obaj żołnierze, którzy pochodzili z jakichś okolic Tyrolu.

— *Verstehen Sie deutsch?* — spokojnie zapytał Szwejk.

— *Jawohl* — odpowiedzieli obaj.

— No to doskonale — ucieszył się Szwejk — bo w takim razie nie zginiecie wśród swoich.

Prowadząc takie przyjacielskie rozmowy, doszli wszyscy do odwachu, gdzie major Wolf dalej prowadził dyskusję z kapitanem o wieszaniu Szwejka, podczas gdy ten skromnie siedział na ławie.

W końcu major Wolf przychylił się jednak do zdania kapitana, że człowiek ten powinien wisieć dopiero po dłuższej procedurze, która ma rozkoszną nazwę „drogi prawnej”.

Gdyby zapytali Szwejka, co o tym sądzi, odpowiedziałby:

„Bardzo mi przykro, panie majorze, ponieważ pan ma wyższą szarżę niż pan kapitan, ale pan kapitan ma rację. Co nagle, to po diable. W pewnym sądzie okręgowym w Pradze raz pewnego zwariował jakiś sędzia. Przez długi czas nie można było zauważyć w nim nic osobliwego, aż raptem, podczas jakiejś rozprawy o obrazę czci, wariacja wybuchła. Niejaki wikary Hortik podczas nauki religii dał po pysku uczniowi, a ojciec tego ucznia, niejaki Znamenaczek, spotkawszy tego wikarego, rzekł do niego na ulicy: »Ty koniu, ty czarna bestio, ty świątobliwy kretynie, ty czarna świnię, ty plebański koźle, ty plugawicielu nauki Chrystusowej, ty obłudniku i szarlatananie w sutannie!« Ten zwariowany sędzia był bardzo pobożny i miał trzy siostry, a wszystkie były księżymi gospodyniami, on zaś był ojcem chrzestnym dzieci tych sióstr. Więc go ta sprawa tak wzburzyła, że raptem stracił rozum i ryknął na oskarżonego: »W imieniu najjaśniejszego pana, cesarza i króla, skazuję pana na śmierć przez powieszenie! Przeciw temu wyrokowi nie ma apelacji!« Potem zwrócił się do woźnego i rzekł: »Panie Horaczek, weźmiesz pan tego draba i powieszysz go pan tam, gdzie się trzepie dywany. Potem dostaniesz pan na piwo!« Oczywiście, że woźny i ten pan Znamenaczek zdębieli po takim wyroku, ale sędzia tupnął na nich: »Słuchacie czy nie słuchacie?!« Woźny tak się przestraszył, że już zaczął ciągnąć pana Znamenaczka, żeby go powiesić, i gdyby nie obrońca, który wtrącił się do tej sprawy i wezwał pogotowie lekarskie, to sprawa byłaby się dla pana Znamenaczka skończyła fatalnie, bo nawet jeszcze w chwili gdy pana sędziego wsadzali do karetki pogotowia, krzyczał na całe gardło:

»Jeśli nie znajdziecie powroza, to go powieście na prześcieradle, a rachunki załatwimy w wykazach półrocznych...«»

Ostatecznie Szwejka pod eskortą odstawiono do dowództwa garnizonu, a przedtem został podpisany protokół, ułożony przez majora Wolfa, że ujęty, jako członek armii austriackiej, dobrowolnie, bez przymusu z czyjejkolwiek strony, przebrał się w rosyjski mundur, a po odwróceniu Rosjan został zatrzymany przez żandarmerię polową za frontem.

To wszystko było świętą prawdą, a Szwejk, jako człowiek wielkiej poczciwości, nie mógł przeciwko temu protestować. Gdy przy podpisywaniu protokołu próbował uzupełnić go jakimś zdaniem, które mogłoby nieco wyjaśnić sytuację, pan major przerwał mu natychmiast:

— Stulcie pysk, o to was się nie pytają! Sprawa jest zupełnie jasna!

W takiej chwili Szwejk salutował i mówił:

— Posłusznie melduję, że stuliłem pysk, że sprawa jest zupełnie jasna.

Gdy go następnie przyprowadzono do dowództwa garnizonu, zamknięto go w jakiejś dziurze, gdzie dawniej był skład ryżu, a zarazem mysz pensjonat. Wszędzie był tu porozsypywany ryż, a myszy bynajmniej się Szwejka nie bały i wesoło biegały zbierając ziarenka. Szwejk musiał sam pójść po siennik dla siebie i gdy rozejrzał się w ciemności, zauważył, że do jego siennika natychmiast ciągnie cała mysz rodzina. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że tutaj pragną sobie one usłać gniazdo, aby żyć na ruinach sławy przegniłego austriackiego siennika. Szwejk zaczął walić w zamknięte drzwi, po czym przyszedł jakiś kapral, Polak, i Szwejk poprosił go o przeprowadzenie do innej izby, bo kładąc się

na sienniku, mógłby pognieść myszy i wyrządzić szkodę skarbowi wojskowemu, jako że wszystko, co jest w magazynach, stanowi własność rządową.

Polak jako tako zrozumiał Szwejka. Zanim zamknął drzwi, groził mu pięścią i rzucał jeszcze jakieś słowo o zasranej dupie, oddalił się dodając coś niecoś o cholera, jak gdyby Szwejk nie wiem jak go obraził.

Noc spędził Szwejk spokojnie, bo myszy nie miały do niego żadnych pretensji i ułożyły sobie widać jakiś specjalny nocny program, który wypełniały w sąsiednim składzie płaszczy wojskowych i czapek. Myszki gryzły tę odzież z wielką pewnością siebie i w spokoju ducha, ponieważ dopiero po roku intendentura przypomniała sobie o tych rzeczach i wprowadziła do składów wojskowych instytucję kotów etatowych, nie mających prawa do emerytury. W intendenturach koty te były rejestrowane w rubryce: „*K. u. k. Militärmagazinkatze*”. Ten urząd koci był właściwie tylko odnowieniem prastarej instytucji, która skasowana została po wojnie roku 1866.

Dawniej, jeszcze za Marii Teresy, w czasach wojennych, koty też przydzielone były do wszystkich składów, bo panowie z intendentury wszystkie swoje oszukaństwa spychali na nieszczęsne myszy.

C. i k. koty w licznych wypadkach nie spełniały wszakże swoich obowiązków, zdarzyło się więc raz pewnego za cesarza Leopolda w magazynie wojskowym na Pogorzelcu, że na zasadzie sądu wojennego zostało powieszonych sześć kotów przydzielonych do magazynu wojskowego. Można sobie wyobrazić, jak uśmiechali się wtedy pod wąsem ci wszyscy, co mieli do czynienia z tym magazynem wojskowym...

\*

Razem z kawą poranną wpełchnęli do aresztu Szwejkowego jakiegoś człowieka w rosyjskiej czapce wojskowej i w rosyjskim płaszczu.

Człowiek ten mówił po czesku z polskim akcentem. Był to jeden z łotrów należących do kontrwywiadu przy korpusie armii, którego dowództwo znajdowało się w Przemyślu. Jako członek wojskowej policji tajnej nie bardzo się troszczył o jakieś wyrafinowane metody przy wybadywaniu Szwejka. Zaczął prosto z mostu:

— Wkopałem się w ładne świństwo przez swoją nieostrożność. Służyłem w 28 pułku, zaraz przeszedłem na służbę do Moskali i raptem dałem się tak głupio złapać. Melduję się Moskalom, że pójdę jako patrol... Służyłem w 6 dywizji kijowskiej. A w którym rosyjskim pułku służyłeś ty, kolego? Tak mi się zdaje, żeśmy się gdzieś w Rosji spotkali. Ja znałem w Kijowie wielu Czechów, którzy szli z nami na front, gdyśmy przeszli do rosyjskiego wojska, ale nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć ich nazwisk i nie pamiętam, skąd pochodzili, ale ty pamiętasz niezawodnie niejednego, z którym miałeś do czynienia. Chciałbym wiedzieć, kto tam jest z naszego 28 pułku.

Zamiast odpowiedzi Szwejk dotknął jego czoła, potem zbadał mu puls, a wreszcie podprowadził go ku małemu okienku i kazał wysunąć język. Wobec tej całej procedury nickszemnik zachowywał się zupełnie biernie, przypuszczając widocznie, że chodzi o jakieś tajne znaki spiskowców. Potem Szwejk zaczął walić pięścią w drzwi, a gdy wartownik zapytał go, czemu robi awantury, zażądał po czesku i po niemiecku, żeby natychmiast wezwano lekarza, ponieważ ten człowiek, którego wyprowadzono do jego celi, zaczyna bredzić w gorączce.

Oczywiście nie zdało się to na nic, bo po człowieka tego nikt się nie zgłosił. Pozostał więc w celi i głądził o Kijowie dowodząc, że Szwejka widywał tam z pewnością, jak maszerował z żołnierzami rosyjskimi.

— Musiałeś, bratku, opić się wodą z bagna — rzekł Szwejk — jak młody Tynecky z naszych stron, człowiek na ogół całkiem roztropny. Ale raz pewnego wyruszył w świat i dostał się aż do Italii. Też o niczym nie mówił, tylko o tej Italii, że tam są takie wody bagienne, a poza tym nic osobliwego nie zauważył. No i od tej wody bagiennej dostał zimnicy. Cztery razy w roku miewał napady gorączki: na Wszystkich Świętych, na Święty Józef, na Piotra i Pawła i we Wniebowzięcie Marii Panny. Jak go ta gorączka złapała, to wszystkich ludzi poznawał tak samo jak i ty, bracie. Nawet w tramwaju zagadywał do byle kogo, że go zna, że się przecie widzieli na dworcu kolejowym w Wiedniu. Wszystkich ludzi, których spotkał na ulicy, widywał bądź na dworcu w Mediolanie, bądź też

siedział z nimi w Styryjskim Gratzu, w ratuszu, w piwniczce przy winie. Jeśli w chwili napadu gorączki siedział akurat w gospodzie, to od razu wszystkich gości poznawał, wszystkich widywał, czy to na tym statku, którym jechał do Wenecji, czy gdzie indziej. Ale na to nie było żadnej rady, tylko jedna, a mianowicie ta, jakiej użył pewien nowy pielęgniarz u Katarzynek. Pielęgniarskiemu temu oddano pod opiekę jakiegoś chorego pomyłka, który przez cały boży dzień nic nie robił, tylko siedział w kącie i liczył: „Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć...” — po czym zaczynał od nowa: „Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć...” Był to podobno jakiś profesor. Ten pielęgniarz mało ze skóry nie wyskoczył widząc, że ten chory ani rusz nie może doliczyć się dalej niż do szóstki, więc zaczął naprzód po dobremu i prosił, żeby chory powiedział: siedem, osiem, dziewięć, dziesięć. Ale gdzie tam. Ten profesor ani myślał słuchać. Siedzi sobie w kąciku i liczy: „Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć...” i znów: „Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć...” Rozgniewało to pielęgniarza wreszcie tak bardzo, że skoczył do swego pacjenta i dał mu w łeb, gdy tamten rzekł: „sześć”. „Masz, powiada, siedem, a tu osiem, a tu dziewięć, a tu dziesięć”. Co liczba, to w łeb. Chory złapał się za głowę i pytał, gdzie jest. Gdy się dowiedział, że w szpitalu wariatów, odzyskał przytomność i przypomniał sobie dokładnie, że dostał się do wariatów z powodu jakiejś komety, gdy wyliczał, że ukaże się ona w roku przyszłym 18 lipca o godzinie szóstej rano, a inni astronomowie dowiedli mu, że jego kometa spaliła się już przed kilku milionami lat. Tego pielęgniarza znałem. Gdy profesor oprzytomniał zupełnie, został wypuszczony ze szpitala, zabrał owego pielęgniarza z sobą, a ten pielęgniarz nie miał nic do roboty, tylko co rano musiał swemu profesorowi dać cztery razy w łeb. Obowiązki swoje wykonywał sumiennie i dokładnie.

— Ja znam wszystkich twoich znajomych kijowskich — niezmordowanie powtarzał funkcjonariusz kontrwywiadu. — Czy nie był tam razem z tobą jeden taki tłusty, a drugi taki chudy? W tej chwili nie pamiętam, jak się nazywali i z którego byli pułku...

— Nic sobie z tego, bracie, nie rób — pocieszał Szwejk — bo to się może zdarzyć każdemu, że nie zapamięta sobie wszystkich tłustych i wszystkich chudych z imionami i nazwiskami. Chudych ludzi nieco trudniej zapamiętać, ponieważ jest ich na świecie bardzo dużo. Tworzą oni większość, jak to się mówi.

— Kolego — zaczął narzekać nikkzemnik carsko-królewski — widzę, że mi nie wierzysz. Przecie czeka nas obu jednaki los.

— Od tego jesteście żołnierzami — rzekł Szwejk niedbale — na to nas matki urodziły, żeby z nas był umundurowany *kanonenfutter*. Ale to przecież frajda nasza, ponieważ wiemy, że kości nasze nie będą próchniały nadaremnie. Polegniemy za najjaśniejszego pana i jego rodzinę, dla której wywalczyliśmy Hercegowinę. Z kości naszych będzie wyrabiane spodium dla cukrowni, o czym już przed laty mówił nam pan lejtnant Zimmer. „Ej, wy świńskie łobuzy — mówił — wy nieokrzeseane byki, wy niepotrzebne, nieruchawe małpy, wleczenie za sobą te swoje giczoły, jakby one nie miały żadnej wartości. Gdybyście kiedyś polegli na wojnie, to z każdego waszego kulasa zrobią pół kilograma spodium, z całego chłopca przeszło dwa kilogramy i przez wasze gnaty filtrować będą w cukrowniach cukier, wy durnie. Nawet pojęcia nie macie, jak dalece nawet po śmierci będziecie pożyteczni swoim potomkom. Wasze smyki będą piły kawę słodzoną cukrem, który się filtrował przez wasze kości, wy bałwany”. Ja się wtedy zamyśliłem, a ten do mnie, o czym myślę. „Posłusznie melduję, mówię, że spodium z panów oficerów będzie pewno znacznie droższe niż z prostych żołnierzy”. Dostałem za to trzy dni pojedynki.

Towarzysz Szwejka zakołatał do drzwi i układał się o coś z wartownikiem, który pobiegł do kancelarii.

Po chwili przyszedł jakiś sierżant sztabu i zabrał towarzysza Szwejka; Szwejk pozostał w areszcie sam. Odchodząc z sierżantem sztabowym kreatura szpicłowska rzekła głośno do sierżanta wskazując na Szwejka:

— To mój stary znajomy z Kijowa.

Przez całą dobę Szwejk był zupełnie sam oprócz tych chwil, gdy przynoszono mu pożywienie.

W nocy doszedł do przekonania, że rosyjski płaszcz wojskowy jest cieplejszy i obszerniejszy niż austriacki i że gdy w nocy mysz obwąchuje ucho śpiącego człowieka, to nie ma w tym nic przykrego. Szwejkowi wydawało się to czymś przypominającym delikatny szept. Było jeszcze szaro na dworze, gdy przyszli po niego.

Szwejk nie umie sobie dzisiaj zdać sprawy z tego, co to właściwie była za formacja sądowa, przed którą stawiono go owego smutnego ranka. Że był to sąd wojenny, w to nie można było wątpić. Uczestniczył w nim nawet jakiś generał, następnie był tam pułkownik, major, porucznik, podporucznik, sierżant i jakiś piechur, który właściwie nie robił nic, tylko zapalał innym papierosy.

Szwejka nie zamięczano pytaniami.

Major, uczestniczący w sądzie, okazywał więcej zainteresowania dla sprawy niż inni sędziowie i mówił po czesku:

— Zdradziliście najjaśniejszego pana! — szczeknął na Szwejka.

— Jezus Maria, kiedy, panie majorze?! — krzyknął Szwejk. — Nawet o tym nie wiedziałem, że zdradziłem naszego najmiłościvszego monarchę i pana, dla którego już tyle wycierpiałem.

— Nie róbcie tu żadnych głupstw — rzekł major.

— Posłusznie melduję, panie majorze, że zdradzić najjaśniejszego pana to nie żadne głupstwo. My, ludzie wojenni, przysięgaliśmy najjaśniejszemu panu wierność tak samo, jak śpiewają w teatrze, a ja mu wierności dotrzymałem.

— My wszystko wiemy — mówił major — i tutaj oto posiadamy dowody waszej zdrady — dodał wskazując na spory zeszyt.

Człowiek, którego wsadzono do aresztu Szwejka, dostarczył materiału aż nadto.

— Więc wy jeszcze i teraz przyznać się nie chcecie? — zapytał major. — Przyznaliście się już przecie, że dobrowolnie i bez jakiegokolwiek przymusu przebraliście się w rosyjski mundur, chociaż jesteście członkiem armii austriackiej. Pytam was jeszcze raz, ale już po raz ostatni, czy zmuszano was do tego?

— Zrobiłem to bez przymusu.

— Dobrowolnie?

— Dobrowolnie.

— Bez nacisku?

— Bez nacisku.

— Czy wiecie, że jesteście zgubiony?

— Wiem, że się zgubiłem 91 pułkowi i że mnie ten pułk na pewno już szuka, a jeśli pan pozwoli, panie majorze, na drobną uwagę, to powiem, w jaki sposób ludzie przebierają się dobrowolnie w cudze ubranie. W roku 1908, było to może w lipcu, kąpał się introligator Bożetiech z ulicy Poprzecznej w Pradze na Zbraslaviu w starej łasze Berounki. Ubranie ułożył w krzakach i ogromnie był kontent, gdy nieco później wlaź do wody jeszcze jeden pan i zbliżył się do niego. Gadu, gadu, zaczęli zbytkować, opryskiwali się wzajemnie, nurkowali do samego wieczora. Potem ten obcy pan wylazł z wody i powiada, że musi iść na kolację. Pan Bożetiech jeszcze chwilę został w wodzie, a potem wlaź w krzaki, gdzie miał ubranie, żeby się ubrać. I cóż znalazł? Łachmany włóczęgi oraz karteczkę:

„Długo się zastanawiałem, czy brać, czy nie brać? Kiedyśmy się tak przyjemnie bawili w wodzie, urwałem kwiatek wodny i wróżyłem sobie na nim, a na ostatni listek wypadło: brać. Dlatego jedynie zamieniłem się z panem na szmatki. Niech pan śmiało wlaź w moje gałgany, bo doskonale były odwszone przed tygodniem w urzędzie w Dobrziszu. Na drugi raz niech pan zwraca baczniejszą uwagę na ludzi, z którymi pan się kąpie. W wodzie każdy człowiek wygląda jak poseł, a może być mordercą. I pan też nie wiedział, z kim się pan kąpał. Ale była dobra kąpiel. Teraz pod wieczór woda jest najprzyjemniejsza. Wleź pan w nią jeszcze raz, to ochłoniesz”.

Panu Bożetiechowi nie pozostawało nic innego, jak tylko poczekać do zmierzchu, a potem ubrał się w te łachmany włóczęgi i ruszył z powrotem do Pragi. Omijał szosę i szedł ścieżkami przez łąki i pola, aż spotkał się z żandarmskim patrolem z Chuchli. Zaczynając introligator został aresztowany i nazajutrz rano zaprowadzono go do Zbraslavia do sądu okręgowego, bo przecież każdy mógł powiedzieć, że się nazywa Józef Bożetiech i że jest introligatorem zamieszkałym przy ulicy Poprzecznej nr 16 w Pradze.

Sekretarz sądu, który po czesku nie rozumiał, domyślił się tylko, że oskarżony Szwejk podaje widać adres swego współwinowajcy i dla pewności zapytał:

— *Ist das genau Prag, nr 16, Josef Bozetech?*

— Czy mieszka jeszcze w tym samym mieszkaniu, tego nie wiem — odpowiedział mu Szwejk — ale w tedy, w roku 1908, tam mieszkał. Bardzo ładnie umiał oprawiać książki, ale trzymał je długo, bo musiał przeczytać każdą książkę, jaką miał w oprawie. Gdy oprawionej książce dawał czarny sznyt, to już można było wcale jej nie czytać, bo zaraz było wiadomo, że powieść zakończyła się bardzo smutno. Czy życzy sobie pan jakich szczegółów? Aha, żebym nie zapomniał: co dzień siadywał „U Fleków” i opowiadał o wszystkim, co wyczytał w książkach, które właśnie miał w oprawie.

Major zbliżył się do sekretarza i szeptał mu coś do ucha, a sekretarz przekreślił zaraz adres domniemanego spiskowca Bożetiecha.

Potem odbywał się dalej ten dziwny sąd, przypominający sądy polowe, jakie umiał organizować generał Fink von Finkenstein.

Są ludzie, którzy ulegają manii zbierania pudełek od zapalek; manią pana generała Finka było organizowanie sądów polowych, aczkolwiek w większości wypadków było to przeciwne wojskowej procedurze sądowej.

Generał ten mawiał, że żadnych audytorów nie potrzebuje, że wszystko potrzebne zbębni w przeciągu trzech godzin i po upływie tego czasu każdy oskarżony drab musi wisieć. Dopóki był na froncie, to o sądy polowe u niego nigdy trudno nie było.

Niektóry szachista musi dzień w dzień zagrać partię szachów, bilardzista nie obejdzie się bez bilardu, karciarz bez mariasza, a znowu ten znakomity generał nie umiał się obyć bez sądów polowych. Przewodniczył w tych sądach i z wielką powagą i rozkoszą dawał mata oskarżonemu.

Gdyby się chciało być sentymentalnym, to można by było napisać, że człowiek ten miał na sumieniu śmierć dziesiątków ludzi, osobliwie tam na wschodzie, gdzie walczył z wielkorosyjską agitacją, jak się lubił wyrażać, i gdzie galicyjskich Ukraińców przerabiał na patriotów. Ale z jego stanowiska nie można rzec, aby miał kogoś na sumieniu.

Sumienia w ogóle nie miał. Gdy kazał powiesić nauczyciela, nauczycielkę lub popa albo nawet całą rodzinę na zasadzie wyroku swego sądu polowego, to najspokojniej powracał do swojej kancelarii, jak powraca do domu z gospody namiętny gracz w karty po partii mariasza rozmyślając o tym, jak mu kontrowali „flek”, a on im na to „re”, oni „supre”, on „tutti”, na co oni „retutti”, i jak on w końcu wygrał i miał sto siedem. Generał Fink uważał wieszanie za coś prostego i naturalnego, za rodzaj chleba powszedniego, a przy wydawaniu wyroków dość często zapominał o najjaśniejszym panu i nawet nie mawiał: „W imieniu najjaśniejszego pana skazuję was na śmierć przez powieszenie” — lecz mówił po prostu: „Skazuję was”.

Niekiedy w wieszaniu dopatrywał się i komicznej strony, o czym razu pewnego pisał do małżonki swojej mieszkającej w Wiedniu:

„...albo na przykład, kochanie moje, nie możesz sobie wyobrazić, jakem się serdecznie uśmieł, gdy przed kilku dniami skazałem pewnego nauczyciela za szpiegostwo. Mam człowieka wytrawnego, który tę hołotę wiesz. Ma już ogromną wprawę i robi to dla sportu. Jest to dziarski sierżant. Otóż znajdowałem się właśnie w namiocie, gdy sierżant przyszedł zapytać, gdzie mu każe tego nauczyciela powiesić. Odpowiedziałem, żeby go powiesił na najbliższym drzewie, i oto wyobraź sobie komizm sytuacji, bo znajdowaliśmy się wśród takiego stepu, na którym od końca do końca nie ma nic prócz trawy, na przestrzeni paru mil nie widać najmniejszego drzewka. Ale rozkaz jest rozkazem, więc mój sierżant zabrał ze sobą nauczyciela razem z eskortą i wyruszyli na poszukiwanie drzewa.

Wrócili dopiero wieczorem, ale razem z nauczycielem. Sierżant podchodzi do mnie znowu i pyta: »Na czym mam powiesić tego draba?« Zwyślałem go, bo przecież rozkaz był wyraźny, że na najbliższym drzewie. Odpowiedział więc, że rano spróbuje rozkaz wykonać, a rano przychodzi do mnie błady i powiada, że nauczyciel znikł. Wydało mi się to tak śmieszne, że przebaczyłem wszystkim wartownikom, i jeszcze powiedziałem dowcip, że najwidoczniej sam poszedł szukać drzewa. Widzisz więc, moja droga, że się tu wcale nie nudzimy. Powiedz naszemu małemu Wilusiowi, że tatuś go

całuje i że pośle mu żywego Moskala, na którym Wiluś będzie mógł jeździć jak na koniku. A jeszcze, droga moja, wspomnę o pewnym śmiesznym wypadku. Onegdaj wieszaliśmy jakiegoś Żyda za szpiegostwo. Właził nam Żydzisko w drogę, chociaż nie miał tam nic do czynienia, i tłumaczył się, że handluje papierosami. Wisiał już, ale parę sekund, bo powróz się urwał, a mój Żyd upadł na ziemię, natychmiast oprzytomniał i powiada: »Panie generale, ja idę do domu, bo podług prawa nie mogę być wieszany dwa razy za to samo. Raz zostałem powieszony, to dość«. Uśmiełem się niezgorzej, a Żyda puściliśmy. U nas tu, kochanie moje, bardzo wesoło...»

Gdy generał Fink został dowódcą garnizonu w twierdzy Przemyśl, nie miał już tyle sposobności do urządzania dla siebie takich zabaw i dlatego skwapliwie zabrał się do sprawy Szwejka.

Przed takim to tygrysem stał więc Szwejk. Pan generał siedział przy długim stole, wypalał papierosa za papierosem, kazał tłumaczyć na niemiecki odpowiedzi Szwejka i z zadowoleniem kiwał głową.

Major zaproponował, aby wysłać telegraficzne zapytanie do brygady dla ustalenia, gdzie znajduje się obecnie 11 kompania marszowa 91 pułku, do której należy oskarżony według własnych zeznań.

Generał oparł się temu i oświadczył, że tym niepotrzebnie odwleka się wyrok sądu polowego i jego wykonanie. Nie ma to sensu. Przecież oskarżony sam się przyznał, że przebrał się w mundur rosyjski, a następnie ma się przecie bardzo ważne świadectwo, że oskarżony przyznał się, że był w Kijowie. Proponuje więc udać się na naradę, aby mógł być wydany wyrok i natychmiast wykonany.

Ale major uparł się przy swoim, że należy ustalić tożsamość oskarżonego, ponieważ cała ta sprawa jest pod względem politycznym ogromnie ważna. Przez ustalenie jego tożsamości można będzie wykryć, z kim oskarżony miał do czynienia, a także będzie można poznać jego współwinnych.

Major był romantycznym marzycielem. Mówił jeszcze i o tym, że trzeba szukać jakichś nici, że nie dość jest człowieka skazać. Wyrok musi być rezultatem ścisłego badania, zawierającego w sobie nici, które to nici... Nie umiał za tymi nićmi dotrzeć do kłębka, ale wszyscy go doskonale rozumieli i kiwali głowami. Nawet panu generałowi tak dalece podobały się te nici, że w duchu widział je takimi grubymi jak powrozy, na których można będzie wieszać nowe ofiary. Dlatego wcale już nie protestował i zgodził się, aby w brygadzie było ustalone, czy Szwejk naprawdę należy do 91 pułku, kiedy mniej więcej mógł przejść do Rosjan i podczas jakich operacji 11 kompanii marszowej.

W ciągu całej tej dyskusji Szwejk strzeżony był na korytarzu przez dwu strażników, po czym znowu stawiono go przed sądem, aby dał odpowiedź, do którego pułku właściwie należy. Wreszcie przeprowadzono go do więzienia garnizonowego.

\*

Gdy generał Fink po nieudałym sądzie polowym powrócił do domu, położył się na kanapie i zaczął się zastanawiać, w jaki sposób przyspieszyć procedurę sądową.

Był mocno przekonany, że odpowiedź nadejdzie niebawem, ale pomimo to sąd nie odbędzie się z tą piorunującą szybkością, jaką wyróżniały się wszystkie jego sądy. A potem trzeba jeszcze zostawić trochę czasu duchownemu dla udzielenia pociechy religijnej skazańcowi i wykonanie wyroku odwlecze się niepotrzebnie o jakie dwie godziny.

„Zresztą to wszystko jedno — pomyślał generał Fink — pociechy religijnej możemy udzielić mu z góry, zanim jeszcze przyjdzie odpowiedź z brygady. Wisieć będzie tak czy owak”.

Generał Fink kazał wezwać do siebie kapelana polowego Martina.

Był to nieszczęsny katecheta i wikary z jakiejś zapadłej miejsciny morawskiej. Miał takiego niegodziwego proboszcza, że wołał pójść do wojska. Był to człowiek szczerze religijny, który z żalem w sercu wspominał swego proboszcza, zdaniem jego, powoli, ale stale zbliżającego się ku wiekiystemu potępieniu. Przypominał sobie, że jego proboszcz

śliwownicę złapał jak tęcza i że razu pewnego usiłował wepchnąć mu do łóżka jakąś włóczącą się Cygankę, którą spotkał na drodze za wsią, gdy nocą wracał do domu z szynku.

Kapelan Martinec był przekonany, że wykonując obowiązki kapłana, niosącego pociechę religijną rannym i umierającym na polu bitwy, odkupi zarazem grzechy swego rozwiązłego proboszcza, który, ilekroć wracał w nocy do domu, co chwila budził go i mówił:

— Jasiu, Jasiu, taka pulchna dziewczynka to uciecha nad uciechami.

Nadzieje jego nie spełniły się. Przerzucali go z garnizonu do garnizonu, gdzie w ogóle nie miał nic do czynienia, chyba że co jakie dwa tygodnie wygłaszał kazanie dla żołnierzy, a sam ćwiczył się, aby mógł stawiać czoło pokusom wychodzącym z kasyna oficerskiego, gdzie gadano o takich sprawach, że pulchniutka dziewczyna proboszcza była po prostu niewinną modlitwą do anioła stróża.

Zazwyczaj wzywany był do generała Finka w czasach wielkich operacji bojowych, gdy miano obchodzić jedno z wielkich zwycięstw armii austriackiej. W takich razach generał Fink organizował uroczyste msze polowe z takim samym zamiłowaniem, z jakim przystępował do sądów polowych.

Ów niegodziwiec Fink był takim zacietrzewionym patriotą austriackim, że nie chciał się modlić o zwycięstwo dla wojsk niemieckich lub tureckich, ale trwał przy swoich austriackich wyłącznie. Gdy odnosili zwycięstwo Niemcy bijąc Francuzów lub Anglików, to generał ani słowem wspomnieć o tym nie pozwalał.

Natomiast najpodrzedniejsza potyczka austriacka, jakieś spotkanie z przednimi strażami rosyjskimi, które sztab korpusu rozdymał do rozmiarów wielkiej zwycięskiej bitwy, stawały się dla generała Finka bodźcem do organizowania nabożeństw uroczystych, tak że nieszczęśliwemu kapelanowi Martincowi wydawało się niekiedy, iż generał Fink jest zarazem najwyższą głową kościoła katolickiego w Przemyślu.

Generał Fink decydował także o tym, jaki program ma mieć taka uroczystość i najchętniej chciałby mieć stale coś w rodzaju Bożego Ciała z oktawą.

Miał też i to w zwyczaju, że gdy kończyło się podniesienie, pędził na koniu na plac ćwiczeń aż pod sam ołtarz i wołał po trzykroć:

— Hura! Hura! Hura!

Kapelan polowy Martinec, dusza pobożna i sprawiedliwa, jeden z tych niewielu ludzi, którzy jeszcze wierzyli w Pana Boga, nie lubił chodzić do generała Finka.

Po każdej z instrukcji, jakie otrzymywał od generała, powtarzało się zawsze to samo: generał kazał podać jakiejś mocnej wódki, a następnie opowiadał mu najnowsze anegdoty, czerpane z idiotycznych książek, wydawanych dla wojska przez „Lustige Blätter”.

Miał całą bibliotekę takich książek o idiotycznie pretensjonalnych tytułach, jak na przykład: *Humor w tornistrze dla oczu i uszu*, *Anegdoty o Hindenburgu*, *Hindenburg w zwierciadle humoru*, *Drugi tornister, naładowany humorem przez Feliksa Schlempera*, *Z naszej armaty gulaszowej*, *Soczyste dykteryjki okopowe*, albo też takie błazeństwa: *Pod dwugłowym orłem*, *Sznyceł wiedeński z c. i k. kuchni polowej odgrzany przez Artura Lokescha*. Czasem generał śpiewał mu wesołe piosenki ze zbiorów wojskowych *Wir müssen siegen*, przy czym dolewał bezustannie czegoś ostrego i zmuszał kapelana polowego Martinca, aby pił i śpiewał razem z nim. Potem wygadывał rzeczy wstrętne, przy których biedny feldkurat z żalnością wspominał o swoim proboszczu, chociaż ten w niczym nie ustępował generałowi, o ile chodziło o tłuste powiedzonka.

Feldkurat Martinec spostrzegł ze zgrozą, że im częściej chodzi do generała Finka, tym bardziej upada pod względem moralnym.

Nieszczęśnik zaczynał znajdować upodobanie w likierach, jakie pijał u generała, a nawet gadanie generalskie zaczynało mu się powoli podobać. Jednocześnie zaczynały go prześladować lubieżne obrazy, dla jarzębiaka, kontuszówki i dla omszonych butelek starego wina zapominał o Bogu, a między wierszami brewiarza tańczyły mu przed oczami dziewczyny z opowiadań generała. Dawny wstręt do odwiedzin u generała zniknął coraz bardziej.

Pan generał polubił kapelana Martinca, który zrazu wydawał się czymś w rodzaju Ignacego Loyoli, ale powoli przystosował się do generalskiego otoczenia.



Pewnego razu generał zaprosił do siebie siostrzyczki ze szpitala polowego, które to siostrzyczki nawet niewiele miały w tym szpitalu do czynienia i były do niego tylko przypisane dla pozorów i poborów, które uzupełniały intratniejszą prostytutką, jak to bywało zwyczajem w owych ciężkich czasach. Generał kazał wezwać także feldkurata Martina, który wplątał się już tak bardzo w sidła diabelskie, że w ciągu pół godziny upieścił obie czcigodne damy oddając się grzechowi z takim zapałem jak jeleni w czasie rui, przy czym opluł poduszkę leżącą na kanapce. Potem przez dłuższy czas wyrzucał sobie swoje grzeszne postęпки, których nie zdołał, oczywiście, naprawić tym, że tejże samej nocy, wracając od generała, ukląkł przez pomyłkę w parku przed pomnikiem budowniczego i burmistrza miasta, pana mecenasa Grabowskiego, który dla Przemyśla położył wielkie zasługi w latach osiemdziesiątych.

Noc była cicha i tylko odgłosy kroków nocnych patroli wojskowych mieszały się z jego słowami, gdy się modlił:

— Nie wchodź w sąd ze służebnikiem swoim, albowiem żaden człowiek nie będzie usprawiedliwiony przed Tobą, jeśli Ty nie dasz odpuszczenia wszystkich grzechów jego. Niechaj tedy nie będzie ciężkim dla mnie sąd Twój. Pomocy Twojej żądam i oddaję się w ręce Twoje, o Panie!

Od owego czasu kilkakrotnie ponawiał próbę zrzeczenia się wszystkich rozkoszy ziemskich i kiedykolwiek wzywany był do generała Finka, wykręcał się na różny sposób, a to że na żołądek chory, a to to, a to owo, uważając te kłamstwa za konieczne, aby dusza jego nie zakosztowała mąk piekielnych. Ale jednocześnie rozumiał, że dyscyplina wojskowa wymaga, aby feldkurat słuchał, i że gdy mu generał powie: „Chłaj, kolego!” — to ten kolega winien koniecznie chłać, choćby przez sam szacunek dla swoich przełożonych.

Oczywiście, że wykręty nigdy mu się nie udawały, osobliwie wtedy, gdy generał po uroczystych nabożeństwach polowych urządzał jeszcze uroczystsze obżarstwo z pijaństwami na rachunek kasy garnizonowej, gdzie następnie buchalteria maskowała te pozycje na sposób wszelaki, żeby sztybel nie wylazło z worka. Zaś biedny feldkurat w takich razach wyobrażał sobie, że moralnie pogrzebany jest przed twarzą Pańską i ze strachu drżącym uczyniony jest.

Chodził potem jak otumaniony, a że nie tracił wiary w Boga pomimo chaosu, w jakim żył teraz stale, zaczął z całą powagą rozmyślać o tym, czy nie byłoby dobrze poddawać się codziennie regularnemu biczowaniu.

W takim nastroju udał się do generała, gdy ten wezwał go do siebie.

Generał Fink wyszedł mu na spotkanie promieniejący i rozradowany.

— Słyszał pan już, panie feldkuracie — wołał z daleka. — Mam nowy sąd polowy! Będziemy tu wieszali jednego ziomeka pańskiego.

Przy słowie „ziomek” kapelan Martinec spojrział na generała okiem pełnym żalości i wyrzutu. Już kilka razy tłumaczył generałowi, że nie jest Czechem, i powtarzał mu przy każdej sposobności, że do ich parafii należą dwie gminy, czeska i niemiecka, że więc musi miewać kazania niemieckie jednej niedzieli, a czeskie drugiej niedzieli, a ponieważ w gminie czeskiej nie ma szkoły czeskiej, lecz jest tylko niemiecka, przeto on w obu szkołach musi nauczać religii w języku niemieckim, z czego wynika, że nie jest Czechem, lecz Niemcem. Ten wywód logiczny pobudził pewnego majora, siadującego przy stole generalskim, do uwagi, że ten feldkurat z Moraw jest właściwie dziewczyną do wszystkiego.

— Pardon — rzekł generał — zapomniałem. To nie pański ziomek. To Czech, dezert, który nas zdradził i poszedł na służbę do Rosjan. Będzie wisiał. Tymczasem wszakże dla formy ustalmy jego tożsamość, ale to nic nie szkodzi, bo wisieć będzie natychmiast, jak tylko nadejdzie odpowiedź telegraficzna.

Usadowił kapelana na kanapie obok siebie i mówił dalej wesoło:

— U mnie jak jest sąd polowy, to wszystko musi być po polowemu żwawe. Taka jest moja zasada. Kiedyś był jeszcze za Lwowem na początku wojny, osiągnąłem taki rekord, że draba powiesiliśmy w trzy minuty po wyroku. Oczywiście był to Żyd, ale i Rusina też powiesiłem w pięć minut po odbytej naradzie.

Generał śmiał się bardzo wesoło i pocziwie.

— Tak się szczęśliwie złożyło, że ani jeden, ani drugi nie potrzebowali pociech religijnych, bo Żyd był rabinem, a Rusin popem. Była to okoliczność wyjątkowa, ale dzisiaj wieszając będziemy katolika, więc wpadłem na kapitalny pomysł, żeby potem nie było

niepotrzebnej zwłoki. Otóż chodzi o to, żeby mu pan, panie feldkuracie, udzielił teraz pociechy religijnej, a potem wszystko pójdzie już jak z płatka.

Generał zadzwonił i rozkazał służącemu:

— Przynies dwie z tej wczorajszej baterii.

Po chwili, napełniając kieliszek kapelana, generał mówił:

— Niech pan się pocieszy przed udzielaniem pociechy religijnej...

\*

Zza zakratowanego okna aresztu, w którym na pryczy siedział Szwejk, odzywał się w tym samym czasie straszliwy jego śpiew:

Żołnierze są wielkie pany,  
Kochają ich piękne damy,  
Żaden nie wie, co to trud,  
A pieniądze mają w bród...  
Tra rara!... *Ein, zwei...*

## II. POCIECHA RELIGIJNA

Kapelan połowy Martinec nie wszedł do Szwejka, ale dosłownie wpłynął do niego niby baletnica na scenę. Tęsknoty niebiańskie i butelka dobrego wina marki Gumpoldskirchen uczyniły go w tej wzruszającej chwili lekkim jak piórko. Zdawało mu się, że w tym uroczystym i wzniosłym momencie przybliża się ku Bogu, podczas gdy faktycznie przybliżał się do Szwejka.

Zamknęli za nim drzwi i pozostawili obu sam na sam, a kapelan z miną uroczystą i natchnioną rzekł do Szwejka siedzącego na pryczy:

— Drogi synu, jestem feldkurat Martinec.

Przemówienie to wydało mu się po wędrówce w te strony najodpowiedniejszym i po ojcowsku tkliwym.

Szwejk wstał z pryczy, kordialnie uściśnął dłoń kapelana i rzekł:

— Bardzo mi miło. Ja jestem Szwejk, ordynans II kompanii marszowej 91 pułku. Niedawno kadre naszą przeniesiono do Brucku nad Litawą, więc niech pan feldkurat siada obok mnie i powie mi, za co pana tu wsadzili. Ma pan przecie rangę oficera, więc należy się panu areszt oficera przy garnizonie, a nie tutaj, bo na tej pryczy aż się roi od wszy. Czasem oczywiście zdarza się, że nie wiadomo, do jakiego aresztu kto należy, ale to tylko wtedy, gdy się coś pomiesza w kancelarii lub gdzie indziej. Pewnego razu, panie feldkurat, siedziałem w areszcie w Budziejowicach w swym pułku i przyprowadzili do mnie jakiegoś zastępcę kadeta. Tacy zastępcy kadetów, to tak jak feldkuraci, ani proszę, ani mysz: na żołnierzy ryczał taki niby oficer, a jak się co stało, to go pakowali do paki jak prostego żołnierza. Były to, panie feldkurat, takie bękarty, że ich nie przyjmowano na utrzymanie do kuchni podoficerskiej, a do kuchni dla szeregowców nie mieli prawa, bo stali od szeregowców wyżej, a do pełnej oficera kuchni było im daleko. Mieliśmy takich kadeckich zastępców pięciu i zrazu obżerali się wszyscy samymi suchymi gomólkami w kantine, ponieważ nigdzie im jeść nie dawali, aż zabrał się do nich raz pewnego oberlejtanta Wurm i zakazał im chodzić do kantyny dla prostych szeregowców, bo, powiada, uchybia to honorowi zastępców kadetów. Ale cóż oni mieli robić, kiedy do kantyny oficera ich nie puszczano? Byli jakby zawieszani w powietrzu i w ciągu niewielu dni przeszli przez istny czyściec udręk, aż jeden z nich skoczył do rzeki Malszy, a drugi zbiegł nie wiadomo dokąd i po dwóch miesiącach pisał do pułku, że jest w Maroku ministrem wojny. Było ich czterech, bo tego, co się topił w Malszy, wyłowili żywcem. W chwili gdy się rzucał do wody, był bardzo wzburzony i zapomniał zupełnie, że umie pływać i że zdał egzamin na dyplom ze sztuki pływania. Odstawili go do szpitala, ale i tam nie wiedzieli, co z nim zrobić, czy go mają przykryć kołdrą oficera, czy też zwyczajnym kocem żołnierskim. Znaleźli wreszcie wyjście z tej trudnej sytuacji i nie dali mu żadnej kołdry w ogóle, ale zawinęli go w mokre prześcieradło, tak że po upływie pół godziny biedak prosił, żeby go puścili z powrotem do koszar. I to był właśnie ten, którego zamknęli w pace razem

ze mną, a był jeszcze cały mokry. Siedział ze mną chyba cztery dni i dobrze mu było, ponieważ dostawał tam regularne pożywienie, wprawdzie aresztanckie, ale stałe i pewne. Na piąty dzień przyszli go zabrać, a po półgodzinie wrócił do mnie po zapomnianą czapkę i płakał z radości. Rzekł do mnie wtedy: „Nareszcie przyszło rozporządzenie dotyczące nas. Od dzisiaj my, zastępcy kadetów, będziemy zamykani w areszcie na odwachu między oficerami, na pożywienie możemy sobie dopłacać w kuchni oficerskiej, jeść będziemy dostawali po wyjściu oficerów, sypiać będziemy z szeregowcami, kawę będziemy dostawali także z kuchni szeregowców i tytoń będziemy fasowali z prostymi żołnierzami”.

Dopiero teraz kapelan Martinec opamiętał się tak dalece, że przerwał wywody Szwejka zdaniem, które treścią swoją nie należało bynajmniej do poprzedniej rozmowy.

— Tak jest, kochany synu! Są takie sprawy między niebem a ziemią, nad którymi należy zastanawiać się z miłością w sercu i z ufnością w nieskończone miłosierdzie boże. Przybywam, drogi synu, aby ci udzielić pociechy religijnej.

Zamilkł, bo wszystko, co powiedział, wydawało mu się nieodpowiednie. Idąc do Szwejka układał sobie treść i formę przemówienia, którym miał nieszczęśliwca skłonić do rozmyślenia nad sobą i do wiary w odpuszczenie grzechów w niebie, gdy kajać się będzie i okaże prawdziwą skruchę.

Teraz zastanawiał się, co by tak jeszcze powiedzieć, ale Szwejk przerwał jego rozmyślenia pytaniem, czy nie ma papierosa.

Kapelan połowy Martinec nie nauczył się dotychczas palić i to było niejako ostatnim szczątkiem utraconej niewinności. Czasem u generała Finka, gdy miał już trochę w czubie, próbował palić cygara, ale zaraz robiło mu się niedobrze, tak iż miał wrażenie, że anioł stróż przestrzega go laskotaniem w gardle.

— Nie palę, kochany synu — odpowiedział Szwejkowi z niezwykłym dostojeństwem.

— To dość dziwne — rzekł Szwejk. — Znałem wielu feldkuratów, a każdy z nich kurzył jak nie przymierzając gorzelnia na Zlichovie. Feldkurata w ogóle nie umiem wyobrazić sobie niepalącego. Jednego tylko znałem takiego, co nie palił, ale za to żuł tytoń tak zaciekle, że podczas kazania popłuł całą kazalnicę. A skąd też pan pochodzi, panie feldkurat?

— Z okolic Nowego Jiczina — głosem zgnębionym odezwał się c. i k. wielbny Martinec.

— To może pan feldkurat znał niejaką Różenę Gaudersównę, która zaprzeszłego roku pracowała w pewnej winiarni przy ulicy Platnerskiej w Pradze, i niech sobie pan feldkurat wyobrazi, zaskarżyła kiedyś osiemnastu chłopca do sądu o alimenty, ponieważ porodziła bliźniaczki. Jedno z tych bliźniąt miało jedno oko niebieskie, a drugie piwne, a drugie z tych bliźniąt miało jedno oko szare, a drugie czarne, więc ona wywnioskowała z tego, że odpowiedzialność za to spoczywa na czterech panach z podobnymi oczami, jako że ci panowie do owej winiarni chodzili na wino i coś tam z nią mieli. Prócz tego to jedno z bliźniąt miało chromą nóżkę tak samo jak pewien radca magistratu, który także chodził do tej winiarni, a to drugie dziecko miało sześć palców u jednej ręki jak pewien poseł, który był codziennym gościem owego lokaliku. A teraz niech pan feldkurat sobie wyobrazi, że takich gości chodziło do owej instytucji osiemnastu, a te bliźnięta odziedziczyły po każdym z nich jakieś znamięczko, bo ona odwiedzała tych panów w mieszkaniu albo chodziła z nimi do hotelów. Wreszcie sąd zawyrokował, że w takim ścisku i tłoku ojciec jest nieznanym, więc też ona zwała na koniec wszystko na właściciela winiarni, u którego pracowała, ale on dowiódł, że już od lat dwudziestu jest impotentem skutkiem operacji, której musiał się poddać z powodu jakiegoś tam ostrego zapalenia dolnych kończyn. Więc tę pannę, panie feldkurat, wyprawiono potem ciupasem do nas, do Nowego Jiczina. Z tego wynika, że kto żąda za wiele, dostanie figę. Powinna była trzymać się jednego, i nie wygadawać przed sądem, że jedno bliźniętko pochodzi od pana posła, a drugie od pana radcy magistratu, czy też od kogo innego. Każdą taką sprawę można sobie bardzo łatwo wyliczyć. Tego a tego dnia byłam z nim w hotelu i tego a tego dnia urodziło mi się dziecko. Oczywiście, panie feldkurat, jeśli rozwiązanie jest normalne. W takich spelunczkach zawsze się znajdzie za łapówkę świadek, jakiś uczynny dozorca albo pokojówka, którzy zeznają pod przysięgą, że tej a tej nocy niewiasta ta była rzeczywiście w towarzystwie tego pana i że gdy schodzili na dół po schodach, ona rzekła do niego: „A jeśli z tego coś będzie?” — a on odpowiedział: „Nie bój się, makagigo, o dziecko będę miał staranie”.

Feldkurat zadumał się i cała pociecha religijna wydała mu się raptem niesłychanie ciężka, chociaż miał ją w głowie z najdrobniejszymi szczegółami i wiedział, co i jak trzeba mówić o najwyższym miłosierdziu w dniu sądu ostatecznego, gdy powstaną z martwych wszyscy przestępcy wojenni ze stryczkami na szyjach, bo chociaż dopuścili się zbrodni, to jednak kajali się i dostąpili miłosierdzia tak samo, jak ów lotr z Nowego Testamentu.

Miał przygotowaną jedną z najpiękniejszych pociech religijnych i podzielił ją sobie na trzy części. Najprzód chciał porozmawiać o tym, że śmierć na szubienicy jest bardzo lekka, gdy człowiek pojednany jest z Bogiem. Prawo wojskowe karze przestępcę za jego zdradę, jakiej dopuścił się na najjaśniejszym panu, który jest ojcem swoich żołnierzy, a więc na każde najdrobniejsze wykroczenie ich należy spoglądać jako na ojcobójstwo i pohańbienie ojca. Następnie pragnął rozwinąć swoją teorię, że najjaśniejszy pan jest władcą z bożej łaski, że ustanowiony jest przez Boga dla kierowania sprawami świeckimi, jak z drugiej strony papież ustanowiony jest, aby kierował sprawami duchownymi. Zdrada popełniona na najjaśniejszym panu jest zdradą popełnioną wobec samego Boga. Zbrodniarza wojennego oczekuje więc prócz stryczka także kara pozagrobowa, czyli wiekuiste potępienie. Ale podczas gdy sprawiedliwość ziemską przez wzgląd na dyscyplinę wyroku zmieniać nie może i musi powiesić zbrodniarza, nie wszystko jeszcze jest stracone, o ile chodzi o karę drugą, pozagrobową. Można się od niej wymigać wyborem posunięciem, a mianowicie pokutą.

Kapelan wyobrażał sobie w tym miejscu scenę ogromnie wzruszającą, która i jemu samemu przyda się w niebie do wymazania wszystkich przewinień i grzechów, jakich dopuścił się z biegiem czasu w mieszkaniu generała Finka w Przemyślu.

Wyobrażał sobie, jak w ostatecznym wywodzie ryknie na skazańca:

„Żałuj za grzechy, synu! Powtarzaj za mną, synu!”

I dalej wyobrażał sobie, jak w tej zawieszanej, śmierzdzącej celi rozbrzmiewać będą słowa modlitwy.

„Boże, który zawsze litujesz się i odpuszczasz grzechy, z głębi serca proszę Ciebie o przebaczenie dla duszy tego żołnierza, której rozkazałeś odejść z tego świata na zasadzie wyroku wojennego sądu polowego w Przemyślu. Daj temu żołnierzowi, aby nie zakosztował mąk piekielnych, lecz by zażywał radości wiekuistych”.

— Z przeproszeniem, panie feldkurat, siedzi pan już dobre pięć minut jak zarżnięty i zdaje się, że nie ma pan ochoty do gadania. Zaraz widać po panu, że siedzi pan w pace po raz pierwszy.

— Ja tu przybyłem — rzekł z wielką powagą feldkurat — gwoli pociechy religijnej

— Osobliwa rzecz, że pan feldkurat ciągle coś wygaduje o pocieszce religijnej. Ja, panie feldkuracie, nie czuję się tak dalece na siłach, żebym mógł panu udzielić jakiej takiej pociechy. Ale niech pan się sam pocieszy: pan nie jest pierwszym i ostatnim feldkuratem, który dostał się za kratki. Zresztą, aby rzec prawdę, panie feldkurat, ja nie mam żadnego daru słowa, żebym mógł komukolwiek udzielać pociechy w jego ciężkim położeniu. Spróbowałem tego pewnego razu, ale nie udało mi się. Niech pan się trochę przysunie, to panu opowiem. Kiedy mieszkałem przy ulicy Opatovickiej, to miałem kolegę Faustyna, odzwiernego w hotelu. Był to człowiek bardzo zacny, sprawiedliwy i można rzec, uczynny. Znał wszystkie dziewczęta z ulicy, a wystarczyło przyjść, panie feldkurat, o jakiegokolwiek godzinie w nocy do niego do hotelu i rzec: „Panie Faustynie, potrzebna mi jest panienka” — a on natychmiast jak najsumienniejszym wypytał, o co chodzi: blondynka, brunetka, mała, duża, smukła, otyła, Niemka, Czeszka, Żydówka, panna, rozwódka, mężatka, inteligentna, głupia?

Szwejk przytulił się poufale do kapelana i obejmując go raniem, mówił dalej:

— Dajmy na to, że pan feldkurat powiedziałby: „Proszę o blondynkę biedrzatą, wdowę, bez inteligencji” — a po upływie dziesięciu minut miałby ją pan w łóżku razem z metryczką.

Feldkuratowi zaczynało być ciepło, ale Szwejk mówił dalej, tuląc go do siebie jak matka rodzona:

— Rzadko trafił się człowiek tak dbający o uczciwość i moralność, panie feldkurat, jak wyżej wymieniony Faustyn. Od tych kobiet, które stręczył i dostarczał panom w pokojach, nie przyjął ani grosza, a jeśli czasem która z nich zapomniała się i chciała mu podsunąć napiwek, to trzeba było widzieć, jaki bywał oburzony i jak zaczynał krzyczeć:

„Ty świnię jedna, która handlujesz ciałem swoim i dopuszczasz się grzechu śmiertelnego, nie wyobrażaj sobie, że lecę na twoich parę groszy! Ja nie jestem stręczycielem, ty dziewczyno bezwstydna! Ja wszystko robię tylko przez współczucie dla ciebie, skoro już upadłaś tak nisko, żebyś nie musiała hańbą swoją świecić publicznie ludziom w oczy i żeby cię w nocy nie zaarrestował patrol i żebyś nie musiała potem siedzieć trzy dni w komisarzacie! Przynajmniej odbywa się wszystko w sekrecie i nikt nie potrzebuje wiedzieć, że się puściłaś na lekki chleb!” On sobie tę moralność wynagradzał na gościach, bo od tych kobiet nie chciał brać wynagrodzenia jak jaki pastuch. Miał swoją takse: za niebieskie oczy liczył dziesiątkę, za czarne piętnaście grajcarów, a wyliczał wszystko szczegółowo na kawałku papieru, jak się to robi na każdym rachunku, i przedstawiał gościowi. Ceny jego były bardzo przystępne. Za kobietę bez inteligencji przypisywał sobie dodatek dziesięciu grajcarów, ponieważ był przekonany, że takie nieuczzone stworzenie ucieszy gościa daleko lepiej niż wykształcona dama. Pewnego razu ku wieczorowi przyszedł do mnie pan Faustyn na ulicę Opatovicką, ogromnie wzburzony i nieswój, jakby go akurat byli wyciągnęli spod deski ochronnej tramwaju elektrycznego i jakby mu przy tej sposobności ktoś ukradł zegarek. Zrazu nic nie mówił, ale wyjął z kieszeni butelkę araku, napił się, podał mnie i mówi: „Pij!” Nie mówiliśmy nic i piliśmy po kolei. Dopiero gdy butelka była pusta, odezwał się nagle: „Kolego, bądź taki dobry i wyświadc mi grzeczność. Otwórz okno od ulicy, ja siądę na parapecie, ty złapiesz mnie za nogi i zrzucisz mnie z trzeciego piętra na dół. Ja od życia nie chcę już niczego, pozostała mi już tylko ta ostatnia pociecha, że mam zanego towarzysza, który mnie zgładzi z tego świata. Ja już dalej żyć nie chcę, bo mnie, człowieka uczciwego, oskarżono o stręczycielstwo jak jakiego pierwszego lepszego gałgana. Nasz hotel jest przecie pierwszorzędny, wszystkie trzy pokojówki i moja żona mają przecie książeczki w porządku i panu doktorowi nie są winne za wizytę ani grosza. Jeśli masz dla mnie choć troszkę przyjaźni, zrzuć mnie z trzeciego piętra, udziel mi tej ostatniej pociechy”. Rzekłem mu, żeby więc wygodnie usiadł na parapecie okna, i zrzuciłem go na ulicę. Ale niech się pan feldkurat nic nie boi.

Szwejk wlaź na pryczę, przy czym pociągnął za sobą feldkurata.

— Niech pan patrzy, panie feldkurat, tak go złapałem, i bęc! Spuściłem go na dół całkiem gładko.

Szwejk podniósł feldkurata do góry, rzucił go na podłogę i podczas gdy wystraszony Martinec wstawał z podłogi, Szwejk mówił obrazowo dalej:

— No, widzi pan feldkurat, że nie stało się panu nic złego, a temu panu Faustynowi też się nic nie stało, bo okno mojego mieszkania było niewiele wyżej od ziemi niż ta prycza. Muszę dodać, że ten pan Faustyn był wstawiony jak się należy i zapomniał, że mieszkam przy ulicy Opatovickiej na bardzo niskim parterze, a nie na trzecim piętrze jak przed rokiem, kiedy jeszcze mieszkał przy ulicy Krzemencowej, a on bywał u mnie częstym gościem.

Kapelan spojrział wzwyż ku Szwejkowi, który stojąc na pryczy opowiadał wymachując rękoma.

Biedny Martinec nie wiedział, co zrobić z wariatem, i jękał wystraszony:

— Tak, tak, synu kochany, było to niewiele wyżej od ziemi.

Mówiąc to, wycofywał się powoli ku drzwiom, w które zaczął raptem walić tak mocno, a przy tym wrzeszczeć, że otworzono mu natychmiast.

Przez zakratowane okienko Szwejk widział, że feldkurat ucieka jak postrzelony w towarzystwie wartownika i gestykuje żywo, opowiadając o swojej przygodzie.

„Teraz zaprowadzą go chyba do szpitala dla wariatów” — pomyślał Szwejk, zeskoczył z pryczy i maszerując po celi krokiem wojskowym, przyśpiewywał sobie:

Dałaś mi pierścionek, dała,  
Ale go nosić nie będę.  
Zrobię ci ja z niego kulę,  
A na wiwat strzelać będę,  
Oj, psiamać, oj, strzelać będę...

Po paru minutach meldowano kapelana u generała Finka. U generała było znowu bardzo wesoło, a w licznym towarzystwie wybitną rolę odgrywały dwie uczynne damy, wina i likiery.

Śród oficerów goszczących u generała znajdował się cały komplet porannego sądu polowego, prócz owego piechura, który podczas posiedzenia zapalał sędziom papierosy.

Kapelan połowy wpłynął w to wesołe zebranie niby jakiś upiór z bajki. Był blady, wzburzony i pełen takiego dostojeństwa, jak człowiek, który jest świadom, że spoliczkowany został całkiem niewinnie.

Generał Fink, który w ostatnich czasach spoufalał się z kapelanem coraz bardziej, pociągnął go ku sobie na kanapę i głosem przepitym pytał:

— Co tobie, pociecho duchowna?

Jedna z wesołych dam rzuciła w feldkurata papierosem.

— Pij, pociecho religijna — rzekł jeszcze generał Fink podając feldkuratowi zielony kielich z krzepiącym napojem. Ponieważ Martinec nie zabierał się do picia, generał zaczął go poić własnoręcznie i gdyby pojony nie był pośpiesznie łykał, to generał pochłapałby go całego alkoholem.

Dopiero potem nastąpiło przepytywanie, jak też tam poszło z pociechą religijną. Kapelan wstał i głosem pełnym tragizmu rzekł:

— Oszałał.

— W takim razie musiała to być znakomita pociecha religijna — roześmiał się generał, po czym wszyscy wybuchnęli straszliwym śmiechem, a obie damy znowu zaczęły rzucać w feldkurata papierosami.

Na końcu stołu siedział major, a ponieważ mocno przebrał miarkę, więc chwilami podrzemywał. Teraz zbudził się ze swej apatii, do dwóch kieliszków od wina nalał szybko jakiegoś likieru, śród krzeseł utworzył sobie drogę ku kapelanowi i oszołomionego sługę bożego zmusił do wypicia z nim bruderszaftu. Potem wrócił na swoje miejsce i podrzemywał dalej.

Po tym bruderszafcie wypitym z majorem feldkurata omotały sidła diabelskie, a szatan kusił go całą baterią butelek, spojrzzeniami i uśmiechami wesołych dam, które rozłożyły nogi na stole, tak że na biedaka szczyrzył zęby sam Belzebub zaczajony w koronkach.

Do ostatniej chwili nie tracił on świadomości, że chodzi tu o jego duszę i że jest męczennikiem.

W takich oto rozmyślaniach pograżył się kapelan, gdy dwaj służący pana generała nieśli go do jednego z odległych pokojów na kanapę. Mówił do nich:

— Smutny to wprawdzie, ale i wzniosły zarazem widok roztacza się przed oczyma waszymi, gdy sercem czystym i skupionym wspominać zaczniecie o tych niezliczonych i wstawionych ofiarach, którzy dla wiary ponieśli niesłychane udręki, a powszechnie znani są pod nazwą męczenników. Na mnie widzicie, że człowiek może się czuć wyższym ponad wszelkie cierpienie, albowiem w sercu gości prawda i cnota, które są puklerzem przed najstraszliwszym cierpieniem i poręką sławnego zwycięstwa.

W tej chwili odwrócono go twarzą ku ścianie, a feldkurat zasnął natychmiast.

Sen miał niespokojny.

Śniło mu się, że w dzień wykonywa czynności kapelana, a wieczorem jest odzwiercym w hotelu zamiast Faustyna, którego Szwejk strącił z wysokości trzeciego piętra.

Ze wszystkich stron posyłano na niego skargi do generała, że zamiast blondynki przyprowadził gościowi brunetkę, zamiast rozwódki i inteligentnej damy dostarczył wdowę bez inteligencji.

Rano zbudził się spocony jak mysz, w żołądku miał istne piekło i ciągle mu się zdawało, że jego proboszcz na Morawach jest w porównaniu z nim aniołem.

### III. SZWEJK WRACA DO SWOJEJ KOMPANII MARSZOWEJ

Ów major, który wczoraj przed południem w czasie posiedzenia sądu pełnił obowiązki adyktora w sprawie Szwejka, był tym samym panem, który u generała Finka pił bruderszaft z feldkuratem i podrzemywał w fotelu.

Pewne było tylko to jedno, że nikt nie wiedział, kiedy i jak major wyszedł w nocy od generała. Wszyscy znajdowali się w takim stanie, że nikt nie zauważył jego nieobecności,

a generał był już tak dalece pijany, że nie wiedział, kto do niego mówi. Już ze dwie godziny majora nie było w towarzystwie, ale generał pomimo to podkręcał wąsa, uśmiechał się głupawo i wołał:

— Doskonale powiedziane, panie majorze!

Rano nie można było pana majora nigdzie znaleźć. Płaszcz jego wisiał w przedpokoju, szabla była na wieszaku, brakowało tylko czapki oficerskiej. Przypuszczano, że może zasnął w którymś z ustępów, i przeszukano je wszystkie, ale nigdzie go nie znaleziono. Zamiast niego znaleziono na drugim piętrze pewnego śpiącego porucznika, należącego do towarzystwa pana generała. Spał klęcząc, pochylony nad klozetem, albowiem sen zmorzył go w chwili, gdy wymiotował.

Major przepadł jak kamień wrzucony w wodę.

Ale gdyby ktoś zajrzał przez zakratowane okno do izby, w której siedział Szwejk, to zobaczyłby, że pod rosyjskim płaszczem wojskowym śpią na pryczy dwie osoby, bo spod płaszcza wyglądały dwie pary butów.

Buty z ostrogami były własnością majora, bez ostróg — Szwejka.

Obaj leżeli przytuleni do siebie jak kocięta. Szwejk trzymał łapę pod głową majora, a major obejmował Szwejka za biodro, tuląc się do niego jak szczenię do suki.

Nie było w tym nic osobliwego. Pan major uświadomił sobie po prostu swoje obowiązki.

Zdarzyło wam się chyba nie raz, że siedzieliście z kimś i piliście przez całą noc aż do południa drugiego dnia, a tu raptem towarzysz wasz zrywa się, chwytając się za głowę i woła: „Jezus Maria, o godzinie ósmej miałem być w biurze!” Jest to tak zwany atak obowiązkowości, który zdaje się być zjawiskiem szczątkowym wyrzutów sumienia i wybuchu najniespodziewanej. Człowieka, który dostanie takiego szlachetnego ataku, nic nie zdoła odwieść od tego świętego przekonania, że koniecznie musi on wynagrodzić swoje zaniedbanie w obowiązkach służbowych. Ofiarami takiego ataku są owe postaci bez kapeluszy, które woźni w urzędach zatrzymują po korytarzach i układają w swoich izdebkach służbowych na kanapkach, żeby się przespały.

Podobnego ataku dostał także pan major.

Gdy przebudził się w fotelu przy stole, przyszło mu na myśl, że natychmiast musi przesłuchać Szwejka. Ten napad obowiązkowości urzędowej wyłonił się w jego świadomości tak niespodziewanie i miał skutek tak szybki i zdecydowany, że nikt nie zwrócił uwagi, gdy się pan major oddalał.

Natomiast tym realniej poczuli obecność majora wszyscy pełniący służbę w areszcie wojskowym. Major wpadł do aresztu jak bomba.

Sierżant pełniący służbę spał przy stole, a wszyscy wartownicy dokoła niego podrzemywali w najróżniejszych pozycjach.

Major, w czapce na bakier, narobił takiego piekła, że wszystkim od razu odechciało się ziewać, a twarze żołnierzy nabrały wyrazu takiego osobliwego grymasu, że majorowi wydawało się, iż to nie żołnierze spoglądają ku niemu, ale stado śmiejących się małą.

Walną pięścią w stół i ryczał na sierżanta:

— Wy, niedołęgo jeden! Czy nie mówiłem wam już tysiąc razy że wasi szeregowcy to zafajdana świńska banda?! — Zwracając się do wystraszonych piechurów krzyczał: — Żołnierze! Z waszych oczu bije bałwanstwo, nawet gdy śpicie, a gdy was zbudzić ze snu, to macie, wy draby, takie miny, jakby każdy z was zeżarł wagon dynamitu.

Wygłosił następnie długie i dobitne kazanie o obowiązkach żołnierzy na warcie i wreszcie kazał sobie natychmiast otworzyć celę, w której siedział Szwejk, bo musi poddać dekwenta przesłuchaniu.

W taki więc sposób dostał się pan major w nocy do celi Szwejka.

Przyszedł do niego w takim stanie, gdy wszystko, jak to się mówi, uleżało się w nim. Ostatnim jego wybuchem był rozkaz, aby mu oddano klucze aresztu.

Sierżant zastrzegł się przeciwko temu jakimś ostatnim rozpaczliwym przypomnieniem sobie swoich obowiązków, co na majorze wywarło wrażenie wprost ogromne i oszalamiające.

— Ach, ty zafajdana świńska bando — krzyczał na dziedzińcu — nauczyłbym ja was moresu, gdybyście mi oddali klucze!

— Posłusznie melduję — odpowiedział sierżant — że jestem obowiązany zamknąć pana majora razem z delikwentem i dla bezpieczeństwa pańskiego postawić przy drzwiach wartownika. Gdy Pan major będzie chciał wyjść, raczy zapukać do drzwi.

— Ty głuptasku jeden — rzekł major — ty pawianie, wielbłądzie, myślisz może, że ja się boję głupiego aresztanta, żebyś mi miał przystawiać straż, gdy go będę przesłuchiwał? *Donnerwetter Sakrament*, zamknijcie mnie w jego celi i wynoście się na zbity łeb!

W niszy nad drzwiami w okratowanej latarni kopciła lampka naftowa z przykręconym knotem i dawała zaledwie tyle światła, że major z trudem dostrzegł przebudzonego Szwejka, który cierpliwie czekał stojąc na baczność koło pryczy, co to będzie z tej nocnej wizyty.

Szwejk przypomniał sobie, że najlepiej będzie złożyć panu majorowi raport, i z rażą służbistością zawołał:

— Posłusznie melduję, panie majorze, jeden aresztowany szeregowiec, a poza tym nic się nie stało.

Major zapomniał nagle, po co tu przyszedł, więc rzekł tylko:

— Spocznij! Gdzie masz tego aresztowanego szeregowca?

— Posłusznie melduję, panie majorze, że to ja nim jestem — dumnie odpowiedział Szwejk.

Ale major nie przyjął do wiadomości tej odpowiedzi, bo wino i likiery pana generała dokonywały w jego mózgu ostatecznej reakcji. Ziewnął tak straszliwie, że każdy cywil przy takim ziewnięciu byłby sobie wywichnął szczękę. U majora owo ziewnięcie przerzuciło się jakimś osobliwym skojarzeniem w te ośrodki mózgu, w których człowieczeństwo przechowuje dar śpiewu, Zwałił się z miłą swobodą na pryczę Szwejka i głosem, jaki wydaje poderżnięte prosię, zaczął śpiewać:

*O Tannenbaum! O Tannenbaum,  
Wie schön sind deine Blätter!*

Powtórzył to kilka razy, wplątując do słów pieśni niezrozumiałe skrzeki.

Następnie przewrócił się na wznak niby mały niedźwiadek, skulił się i natychmiast zaczął chrapać.

— Panie majorze — budził go Szwejk — posłusznie melduję, że pana obleżą wszy.

Ale nie zdało się to na nic. Major spał jak zabity.

Szwejk spojrział na niego okiem tkliwym i rzekł:

— No to śpij, ty pijanico.

Przykrył śpiącego płaszczem, a później położył się koło niego i tak ich, przytulonych do siebie, rano znaleźli.

Okolo godziny dziewiątej, gdy już z wielkim zaniepokojeniem szukano majora, Szwejk zszedł z pryczy i uznał za właściwe zbudzić swego przygodnego towarzysza. Potrząsnął nim kilka razy bardzo energicznie, zdjął z niego rosyjski płaszcz wojskowy i wreszcie major opamiętał się tak dalece, że usiadł na pryczy i patrząc błędnymi oczyma na Szwejka, starał się zrozumieć, co się właściwie stało.

— Posłusznie melduję, panie majorze — rzekł Szwejk — że już parę razy przychodzili tu ludzie ze straży, żeby się przekonać, czy pan jeszcze żyje. Dlatego pozwoliłem sobie zbudzić pana w tej chwili, bo nie wiem, jak długo sypia pan zazwyczaj, i boję się, żeby pan czasem nie zasnął czego. W browarze w Uhrzinievsy był pewien bednarz, który sypiał zawsze do godziny szóstej rano, ale gdy zasnął, choćby tylko o kwadrans, to już potem spał do samego południa i powtarzał to tak długo, aż go wyrzucono z browaru, w którym pracował. Otóż ten bednarz ze złości, że został wyrzucony z roboty, dopuścił się obrazy Kościoła i jednego z członków naszego domu panującego.

— Ty być idiota, prawda? — rzekł major z akcentem zrezygnowanej rozpacz, ponieważ głowę po wczorajszej pijatyce miał jak szkopek i w żaden sposób nie znajdował jeszcze odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób znalazł się w areszcie, dlaczego szukali go wartownicy i dlaczego ten drab, który przed nim stoi, wygaduje takie głupstwa, co to ani przypiął, ani przylatał. Wszystko to wydawało mu się bardzo dziwne. Niejasno przypominał sobie, że już raz w nocy tu był, ale po co?

— Ja tutaj w nocy już być? — pytał Szwejka z uczuciem niepewności.



— Wedle rozkazu, panie majorze — odpowiedział Szwejk — o ile zrozumiałem pańskie słowa, pan major przybył tutaj, żeby mnie zbadać.

Wtedy majorowi pojaśniało w głowie, spojrzał po sobie i poza siebie, jakby czegoś szukał.

— Niech pan się o nic nie niepokoi, panie majorze — rzekł Szwejk. — Zbudził się pan akurat w takim samym stanie, w jakim pan tu przyszedł. Płaszcz pan nie miał i szabli także nie, tylko czapkę. Czapka leży tam oto, bo musiałem ją położyć na bok, żeby pan jej sobie nie pogniótł; chciał pan położyć się na niej, a galowa czapka oficerska jest jak cylinder. Wypać się w cylindrze umiał tylko niejaki pan Karderaz w Lodienicy. Wyciągnął się w gospodzie na ławie, położył sobie cylinder pod głowę — bo on śpiewał po pogrzebach i ubierał się na swoje występy odświeżnie — zasugestionował się, że nie wolno mu go pognieść, i przez całą noc leżał tak jakoś osobliwie, że nie tylko cylindrowi to nie zaszkodziło, ale w dodatku mu pomogło, bo jak się przewracał w nocy z boku na bok, to go przy tym swoimi włosami tak delikatnie szczotkował, aż go zupełnie wyglansował.

Major, który oprzytomniał zupełnie i zdawał sobie sprawę, co i jak się stało, nie przestawał spoglądać na Szwejka okiem tępyim i powtarzać raz za razem:

— Ty mocno głupi, prawda? Ja tutaj być, a teraz ja stąd iść.

Wstał, podszedł ku drzwiom i zakolał. Zanim przyszli mu otworzyć, rzekł do Szwejka:

— Jeśli telegram nie przyjdzie, że ty jesteś ty, to ty wisieć!

— Serdecznie dziękuję — rzekł Szwejk. — Ja wiem, panie majorze, że pan ma wielkie staranie o mnie, ale o ile się zdarzyło, że na pryczy złapał pan jedną czy drugą wesz, to niech pan będzie przekonany, że jeśli wesz jest malutka i ma zadeczek różowawy, to to jest samczyk, a jeśli jest to tylko jedna wesz i nie znajdzie się druga, taka długa i szara z różowawymi prążkami na brzuszku, no to dobrze, w przeciwnym razie będzie to niezawodnie parka, a trzeba dodać, że to paskudztwo mnoży się niesłychanie szybko i łatwo, szybciej niż króliki.

— *Lassen Sie das!* — rzekł major zgnębiony, gdy mu otwierano drzwi.

Na odwachu nie robił już żadnych scen, głosem spokojnym polecił, żeby mu sprowadzono dorożkę, i podczas gdy dorożka turkotała po nędznym bruku Przemyśla, major myślał tylko o jednym, że mianowicie delikwent jest idiotą pierwszej klasy, ale że najniezawodniej będzie to niewinne bydlę. Co zaś do niego, majora, to nie pozostaje mu nic innego, tylko zastrzelić się natychmiast po powrocie do domu albo też posłać do generała po płaszcz i po szablę i wykapać się w miejskiej łaźni, a po kąpieli wstąpić do winiarni Vollgrubera, poprawić sobie apetyt, a wieczorem telefonicznie zamówić bilet na przedstawienie do teatru miejskiego.

Zanim dojechał swego mieszkania, zdecydował się na kąpiel.

W mieszkaniu czekała na niego miła niespodzianka. Przybył akurat w porę...

W sieni przed jego mieszkaniem stał generał Fink trzymając za kark pucybuta, potrząsał nim z całej siły i ryczał na niego:

— Gdzie podziałeś swego majora, bydlę jedno? Gadaj mi, psie parszywy!

Ale pies parszywy nic nie mówił, bo jego twarz siniąła coraz bardziej, w miarę jak pan generał go dusił.

Major przy wejściu do sieni natychmiast spostrzegł, że nieszczęsny pucybut trzyma mocno pod pachą jego płaszcz i szablę, które najwidoczniej przyniósł z przedpokoju pana generała.

Scena ta zaczęła majora żywo bawić, więc stanął w półotwartych drzwiach i przyglądał się cierpieniu swego wiernego sługi, który już dawno stał mu kością w gardle za różne galgąństwa.

Generał na chwilę wypuścił z rąk zsiniałego pucybuta, ale tylko na to, aby wyjąć z kieszeni depezę, którą następnie począł tłuc biednego sługę po twarzy i po ustach krzycząc w kółko:

— Gdzie masz swego majora, ty bydlę, gdzie masz swego majora-audytora, ty psie, abyś mu mógł wręczyć telegram urzędowy?!

— Jestem! — zawołał major Derwota od progu, bo kombinacja słów: „major-audytor” i „telegram” przypomniała mu natychmiast o pewnych jego obowiązkach.

— Aha! — zawołał generał Fink. — Ty wracasz?

W akcentach tego pytania było tyle złośliwości, że major nie odpowiedział i stał nie wiedząc, co z sobą zrobić.

Generał poprosił go do pokoju, a gdy usiedli przy stole, rzucił mu na stół pomiętą telegram, którym bił po twarzy służącego, i głosem tragicznym rzekł:

— Czytaj! To twoja sprawa!

Podczas gdy major odczytywał telegram, generał powstał z krzesła, latał po pokoju, przewracając krzesła i stołki, i wrzeszczał:

— A ja go jednak powieszę!

Telegram był tej treści:

„Szeregowiec Józef Szwejk, ordynans 11 kompami marszowej, zginął dnia 16 b. m. podczas marszu na Chyrów–Felsztyn przy spełnianiu obowiązków kwatermistrza. Natychmiast dostarczyć Szwejka do dowództwa brygady w Wojałyczu”.

Major otworzył szufladę wyjął z niej mapę i zamyślił się nad faktem, że Felsztyn znajduje się o 40 kilometrów od Przemyśla na południowym wschodzie. Powstawała zagadka, w jaki sposób szeregowiec Szwejk zdobył rosyjski mundur w miejscu oddalonym o 150 kilometrów od frontu, skoro pozycje ciągną się na linii Sokal–Turze–Kozłów.

Gdy major zakomunikował o tym generałowi i pokazał mu na mapie miejsce, gdzie Szwejk przepadł przed kilku dniami, jak to wynikało z telegramu, generał ryczał jak byk, ponieważ zdawał sobie sprawę, że wszystkie jego nadzieje co do sądu polowego rozpluwają się wniwecz. Podszedł do telefonu, połączył się z wartownią i wydał rozkaz, aby natychmiast przyprowadzono do jego mieszkania aresztanta Szwejka.

Zanim rozkaz mógł zostać wykonany, generał, klnąc straszliwie raz za razem, dawał upust swej wściekłości, że dał się przegadać majorowi i nie powiesił Szwejka bez jakiegokolwiek telegrafowania i śledztwa.

Major oponował i mówił coś o tym, że prawo i sprawiedliwość to dwa filary ładu. Mówił w ogóle bardzo ładnie, układając zdania w krasomówcze okresy, o sprawiedliwych sądach, o mordach sądowych i w ogóle o wszystkim możliwym, co mu ślina przynosiła na język, albowiem po wczorajszej pijatyce miał straszliwy katzenjammer i musiał się wygadać.

Gdy wreszcie przyprowadzono Szwejka, major zażądał od niego wyjaśnienia, w jaki sposób koło Felsztyna zdobył rosyjski mundur.

Szwejk opowiedział wszystko w sposób należyty i poparł opowiadanie kilku przykładami z życia własnego i z życia ludzkiego w ogóle. Gdy następnie major zapytał go, dlaczego nie powiedział tego natychmiast przy przesłuchiowaniu i na sądzie, Szwejk odpowiedział, że go o to nikt nie pytał, w jaki sposób zdobył rosyjski mundur, ale że wszystkie pytania brzmiały: „Przyznajecie się, żeście się dobrowolnie i bez czyjegokolwiek nacisku przebrali w mundur rosyjski?” Ponieważ przebrał się dobrowolnie, więc mógł tylko powiedzieć: „Tak jest, istotnie, owszem, niewątpliwie”. Dlatego też z oburzeniem odrzucił oskarżenie sądu, że zdradził najjaśniejszego pana.

— Ten chłop jest skończonym idiotą — rzekł generał do majora. — Kto słyszał, żeby się przebierać na grobli stawu w mundur jakiegoś rosyjskiego jeńca, czy diabli wiedzą kogo, dostać się do aresztu i do szeregów jeńców rosyjskich! Taka rzecz może się zdarzyć tylko idiotcie.

— Posłusznie melduję — odezwał się Szwejk — że ja sam postrzegam na sobie nieraz oznaki idiotyzmu, osobliwie ku wieczorowi...

— Milcz, ty wole — rzekł do niego major i zwracając się do generała zapytał, co wobec tego ma zrobić ze Szwejkiem.

— A niech go sobie sami wieszają w jego brygadzie! — zdecydował generał.

Po upływie godziny eskorta prowadziła Szwejka na dworzec dla odtransportowania go do sztabu brygady w Wojałyczu.

W areszcie zostawił Szwejk po sobie małą pamiętkę, a mianowicie powypisywał dokładnie patykami na ścianie w trzech kolumnach wszystkie zupy, sosy i potrawy, jakie jadał jako cywil. Miał to być niezawodnie protest przeciw temu, że w przeciągu 24 godzin od chwili aresztowania nie dostał nic do jedzenia.

Razem ze Szwejkiem wędrowało do brygady takie pismo:

„Na zasadzie telegramu nr 469 dostarcza się szeregowca Józefa Szwejka, zbiegłego z 11 kompanii marszowej, dla dalszego postępowania w brygadzie”.

Eskorta Szwejka, składająca się z czterech szeregowców, reprezentowała kilka narodów: był w niej Polak, Węgier, Niemiec i Czech, ten ostatni był frajtrzem i dowódcą eskorty. Wobec aresztanta-ziomka strasznie wysoko zadzierał nos i dawał mu odczuć swoje wysokie stanowisko i swoją potęgę. Gdy mianowicie na dworcu Szwejk wyraził życzenie, aby mu zezwolono wysuszać się, frajter odpowiedział w sposób wysoce grubiański, że się wyszcza, gdy przybędzie do brygady.

— Dobrze — odpowiedział Szwejk — ale proszę mi dać to oświadczenie na piśmie, a gdy mi pięknie pęcherz, niech będzie wiadomo, komu to zawdzięczam. Od tego jest prawo, panie frajter.

Frajter, parobek od wołów, przeraził się tego możliwego zdarzenia z pęcherzem i dlatego na dworcu cała eskorta w sposób uroczysty prowadziła Szwejka do ustępu. Frajter w ogóle w ciągu całej podróży wywierał wrażenie człowieka brutalnego i nadymał się tak okropnie, jakby jutro miał zostać co najmniej dowódcą korpusu.

Gdy siedzieli w pociągu na linii Przemyśl–Chyrów, rzekł Szwejk:

— Panie frajter, gdy spoglądam na pana, to zawsze przypominam sobie tego frajtra Bozbę, który służył sobie, onego czasu w Trydencie. Gdy mianowano go frajtrzem, zaczął raptem tyć i pęcznieć. Twarz mu nabrzmiała, a brzuch tak napęczniał, że już nazajutrz po mianowaniu nie mógł się zmieścić w skarbowych spodniach. Ale najgorsze było to, że zaczął jednocześnie rosnąć. Więc go wsadzono do lazaretu, a doktor pułkowy powiedział, że takie rzeczy dzieją się ze wszystkimi frajtrami, bo każdy z nich po mianowaniu zaczyna pęcznieć. Zrazu nadmą się mocno, ale niektórzy wracają rychło do zdrowia. Lecz z tym frajtrzem Bozbą, to był przypadek zgoła osobliwy i ciężki; omalże nie pękł, bo nadymanie rzuciło mu się od gwiazdek na pępek. Żeby go uratować, trzeba było odpruć mu te gwiazdki, i mój frajter znowuż splaszczyl się.

Od tej chwili Szwejk daremnie usiłował utrzymać z frajtrzem jaką taką rozmowę i wyjaśnić mu po przyjacielsku, dlaczego mówi się powszechnie, że frajter jest nieszczęściem kompanii.

Frajter nie odpowiadał na to wcale i tylko czynił jakieś ciemne pogrożki, że po przybyciu do brygady odechce się komuś robić głupie uwagi. Jednym słowem, ziomek nie okazał należytej przyjaźni, a gdy Szwejk zapytał go, skąd pochodzi, odpowiedział, że mu nic do tego.

Ale Szwejk nie ustępował i na wszelki sposób usiłował nawiązać z nim rozmowę. Opowiadał, że nie pierwszy raz jest eskortowany, ale że zawsze bywało wesoło przy takiej sposobności i że był z eskortą w dobrej przyjaźni.

Frajter milczał i nie odpowiadał, zaś Szwejk wywodził:

— Tak mi się wydaje, panie frajter, że musiało pana spotkać na świecie jakieś nieszczęście, skoro pan tak nagle zaniemówił. Znałem sporo smutnych frajtrów, ale takiej kupki nieszczęścia jak pan, panie frajter, z wielkim przeproszeniem, jeszcze nigdy nie widziałem. Niech mi się pan zwierzy ze swej udręki, a być może, iż zdołam poradzić, ponieważ żołnierz, którego prowadzą pod eskortą, miewa zawsze daleko większe doświadczenie niż ci, co go pilnują. Albo wiecie co, panie frajter, żeby nam się nie nudziło, niech pan opowie coś ciekawego, choćby o tym, jaka w pańskich stronach jest okolica, czy dużo tam jest stawów, czy też może znajduje się tam jaka ładna ruina oraz czy do tej ruiny nie jest przywiązana jaka ciekawa legenda.

— Mam tego dość! — wrzasnął frajter.

— No to szczęśliwy z pana człowiek — rzekł Szwejk — bo inny nigdy niczego nie ma dosyć.

Frajter pograżył się w milczeniu i tylko rzekł proroczym, ponurym głosem:

— W brygadzie powiedzą ci więcej, niż będziesz pragnął, a ja nie myślę wdawać się z tobą.

Eskortujący w ogóle nie byli zbyt weseli. Węgier rozmawiał z Niemcem w sposób wysoce oryginalny, bo z języka niemieckiego znał tylko dwa słowa: „*jawohl*” i „*was*”. Gdy Niemiec mówił mu o czymś, to Madziar kiwał głową i mówił: „*Jawohl*”. A gdy Niemiec

milkł, to Madziar przerywał mu pytaniem: „*Was?*” I wtedy Niemiec zaczynał opowiadanie na nowo. Polak z eskorty trzymał się arystokratycznie na uboczu, na nikogo nie zwracał uwagi i bawił się na własną rękę, smarząc na podłogę przy pomocy dwóch palców i rozcierając smarki kolbą karabinu, po czym kolbę zręcznie ocierał o spodnie i od czasu do czasu mruczał pod nosem: „Święta Panienko”.

— Niewiele się nagadasz — rzekł do niego Szwajk. — Na Boisku mieszkał w suterenie niejaki stróż Machaczek, który umiał się wysmarkać na okno i tak zręcznie rozmazał smarki, że z tego powstawał obraz Libuszy przepowiadającej sławę Pragi. Ale za każdy swój obraz dostawał od żony takie stypendium, że głowę miał jak szaflik. Nie dał się wszakże zastraszyć i ciągle się w sztuce swojej doskonalił. Była to jego jedyna uciecha.

Polak nie odpowiedział mu na to i wreszcie cała eskorta pogrążyła się w głębokim milczeniu, jakby jechała na pogrzeb i z pietyzmem rozmyślała o nieboszczyku.

Pociąg zbliżał się do sztabu brygady w Wojałyczu.

\*

Tymczasem w sztabie brygady zaszły pewne poważne zmiany.

Kierownictwo sztabu brygady oddane zostało pułkownikowi Gerbichowi. Był to pan posiadający wielkie zdolności wojskowe, które wlaży mu w nogi w postaci podagry. Miał wszakże w ministerstwie wielce wpływowe osoby, które zdziałały, że nie musiał podawać się do dymisji, ale szwendał się po różnych sztabach większych formacji wojskowych, pobierał dodatki służbowe i pozostawał tak długo na miejscu, dopóki w czasie ataku podagry nie zrobił jakiegoś głupstwa. Potem translokowali go gdzie indziej, a translokacja taka była zawsze awansem. Z oficerami przy obiedzie nie mówił zazwyczaj o niczym innym, tylko o swoim spuchniętym dużym palcu u nogi, który od czasu do czasu przybierał rozmiary wprost groźne, tak że jego właściciel musiał nosić but specjalnie duży.

Przy jedzeniu najmilszą jego przyjemnością było opowiadanie o tym, jak ten palec ropieje i wilgnie i jak ta wilgoć w wacie przypomina skisły rosół.

Toteż cały korpus oficerski, gdy pana pułkownika przenoszono na inne miejsce, żegnał się z nim zawsze z najszczerzym zadowoleniem. Ale poza tym był to pan wielce lojalny i względem oficerów niższych stopni zachowywał się z wielką przyjaźnią, opowiadając im niekiedy, ile to dobrych rzeczy zjadł i wypił, zanim dostał podagry.

Gdy Szwajka odstawiono do brygady i według rozkazu dyżurnego oficera zaprowadzono z odpowiednimi papierami do pułkownika Gerbicha, siedział u niego w kancelarii podporucznik Dub.

Przez tych kilka dni, jakie upłynęły od marszu na Sanok–Sambor, podporucznik Dub przeżył znowuż nie lada przygodę. Za Felsztynem mianowicie spotkała 11 kompania marszowa transport koni, które odstawiano do pułku dragonów w Sadowej Wiśni.

Podporucznik Dub sam nie wiedział, jak to się stało, dość że chciał pokazać porucznikowi Lukaszowi, jak on umie jeździć, wskoczył na jakiegoś konia, a ten popędził ze swoim przygodnym jeźdźcem i znikł z nim w dolinie potoku, gdzie potem znaleziono podporucznika Duba solidnie tkwiącego w gęstym moczarze. Najzręczniejszy ogrodnik nie umiałby zaflancować go tak dobrze. Gdy przy pomocy sznurów wyciągnięto go z tego bagna, podporucznik nie skarżył się na nic, tylko z cicha pojękiwał, jakby konał. W takim stanie odstawiono go do lazaretu przy sztabie brygady.

Po kilku dniach odzyskał przytomność, tak iż lekarz oświadczył, że jeszcze dwa lub trzy razy każe wysmarować mu plecy i brzuch jodyną, a potem śmiało może rozpocząć na nowo służbę w swoim oddziale.

I oto teraz podporucznik Dub siedział u pułkownika Gerbicha i obaj opowiadali sobie o najróżniejszych chorobach.

Gdy podporucznik ujrział Szwajka, krzyknął głosem wielkim, bowiem było mu już wiadomo o tajemniczym zniknięciu jego w okolicach Felsztyna.

— Aha, mamy cię nareszcie! Niejeden idzie w świat jako gałgan, a powraca jako bestia. I ty jesteś taka bestia.

Dla ścisłości trzeba dodać, że podporucznik Dub w czasie swojej przygody doznał lekkiego wstrząsu mózgu i dlatego nie należy się dziwić, że podchodząc do Szwajka, przemawiał wierszem i wzywał Boga do walki z nim:

— Wzywam Cię, Ojcze, patrz, dymem otulają mnie grzmiące działa, straszliwa leci ze świstem strzała nad głową, o władco bitew, Ojcze, wzywam Cię, abys sprowadził klęskę na tego tutaj lobuza... Gdzieś ty się włóczył, gałganie? Jaki to mundur masz na sobie?

A dodać jeszcze trzeba, że pułkownik, dotknięty podagrą, wszystko w swojej kancelarii miał urządzone bardzo demokratycznie i był demokratą, jeśli akurat nie trapiła go podagra. Do kancelarii jego przybywały wszelkie możliwe szarże, aby słuchać jego poglądów na opuchły palec z wypocinami o zapachu skisłego rosółu wołowego.

W czasie gdy pułkownik Gerbich nie miał ataków, w kancelarii jego bywało bardzo wesoło. Przesiadali u niego różni oficerowie, bo pułkownik był bardzo miły, gdy go nie dręczyła choroba, lubił gawędzić i cieszył się, gdy miał dookoła siebie dużo słuchaczy, których raczył lekimi anegdotami. Jemu sprawiało to wielką uciechę, a słuchaczy bawiło, że opowiadano im kawały, które były w obiegu jeszcze za generała Laudona.

Służba pod pułkownikiem Gerbichem była w takich czasach bardzo lekka, każdy robił, co mu się żywnie podobało, a gdziekolwiek przydzielony został Gerbich, tam kradzieże i oszustwa były na porządku dziennym, o czym wszyscy dobrze wiedzieli.

Także i w tej chwili razem ze Szwejkiem wtoczyło się do kancelarii pułkownika mnóstwo najróżniejszych szarż, bo wszyscy byli ciekawi, co się będzie działo. Pułkownik tymczasem odczytywał pismo do sztabu brygady, wykoncypowane przez majora w Przemyślu.

Zaś podporucznik Dub dalej prowadził rozmowę ze Szwejkiem swoim zwykłym miłym sposobem, wywodząc:

— Ty mnie jeszcze nie znasz, ale jak mnie poznasz, to zdrętwiejesz ze strachu.

Pułkownik odczytywał pismo majora i baraniał coraz bardziej, bo pismo to było niewątpliwie dyktowane pod wpływem trwającego jeszcze zatrucia alkoholem.

Pomimo to pułkownik był w dobrym usposobieniu, ponieważ wczoraj i dzisiaj wolny był od swoich przykrych bólów, a jego obrzmiały palec zachowywał się przyzwoicie jak baranek.

— Więc coście właściwie splełali? — zapytał Szwejka tonem tak uprzejmym, że aż podporucznik Duba ukuło coś w okolicy serca. Nie wytrzymał i odpowiadał za niego:

— Szeregowiec ten — przedstawiał pułkownikowi Szwejka — udaje idiotę, żeby swoim idiotyzmem przesłaniać niezliczone gałgaństwa. Nie znam, oczywiście, treści dostarczonego panu pisma, ale jestem przekonany, że drab dopuścił się czegoś na większą skalę. Gdyby pan pozwolił, panie pułkowniku, abym się zapoznał z treścią tego pisma, to niezawodnie mógłbym panu udzielić cennych wskazówek, jak z nim należy postąpić. — A zwracając się do Szwejka rzekł po czesku:

— Skracasz mi życie czy nie?

— Skracam — odpowiedział Szwejk z dostojeństwem.

— Niech pan słucha, panie pułkowniku — mówił dalej podporucznik Dub. — Nie można go o nic zapytać, w ogóle nie można z nim rozmawiać. Wreszcie musi kosa natknąć się na kamień. Trzeba go ukarać przykładnie. Pan pozwoli, panie pułkowniku...

Podporucznik Dub zabrał się do odczytywania pisma przysłanego z Przemyśla, a gdy je odczytał, zwrócił się do Szwejka i zawołał uradowany:

— Teraz koniec z tobą! Gdzieś podział mundur państwowy?

— Zostawiłem go koło stawu na grobli, kiedy sobie przymierzałem te gałgany, co je mam na sobie. Chciałem wiedzieć, jak się rosyjskim żołnierzom chodzi w takich uniformach — odpowiedział Szwejk. — Właściwie nie idzie o nic innego, tylko o omyłkę.

Szwejk zaczął opowiadać podporucznikowi Dubowi, ile udręk przeżył z powodu tej swojej omyłki, a gdy skończył opowiadanie, podporucznik Dub ryknął na niego:

— Teraz dopiero mnie poznasz! Wiesz ty, co to znaczy roztrwonić majątek państwowi? Wiesz ty, co to znaczy zgubić w czasie wojny mundur?

— Posłusznie melduję, że wiem, panie lejtnant — odpowiedział Szwejk. — Gdy żołnierz zgubi stary mundur, to musi wyfasować nowy.

— Jezus Maria! — zawołał podporucznik Dub. — Ach, ty wole, ty zwierzę nieokrzesane, tak długo będziesz ze mną igrał, że po wojnie będziesz sto lat dosługiwał.

Pułkownik Gerbich, który dotychczas siedział spokojnie i roztropnie za stołem, skrzywił się nagle w sposób straszliwy, bowiem jego dotychczas spokojny palec u nogi z łagodnego i spokojnego baranka przemienił się raptem w ryczącego tygrysa, w prąd elektryczny

o napięciu 600 volt, w członek ciała miażdżony ciężkim młotem. Pułkownik machnął tylko ręką i ryknął straszliwym głosem człowieka pieczonego na wolnym ogniu:

— Wszyscy won! Podajcie mi rewolwer!

Otoczenie pułkownika знаło już te napady i dlatego wszyscy rzucili się ku drzwiom zabierając także Szwejka, którego wartownicy wlekli za sobą na korytarz. Jedyne podporucznik Dub pozostał w kancelarii i w chwili, która wydała mu się stosowną, by przysłużyć się Szwejkowi, rzekł do krzywiącego się pułkownika:

— Pozwalam sobie zwrócić uwagę pana pułkownika, że człowiek ten...

Pułkownik miauknął i rzucił w podporucznika kałamarzem, po czym dopiero wystraszony podporucznik Dub zaszalutował i znikł za drzwiami, mówiąc:

— Według rozkazu, panie pułkowniku.

Długo potem odzywał się w kancelarii ryk pułkownika przeplatany wyciem, aż wreszcie nastąpiła cisza. Palec pułkownika przemienił się najnieoczekiwanej znowu w łagodnego baranka, atak podagry minął, pułkownik zadzwonił i rozkazał przyprowadzić Szwejka.

— Więc o co ci właściwie chodzi? — zapytał tak uprzejmie, jakby wszystkie udręki świata spadły z niego raz na zawsze, i było mu teraz błogo i słodko niby człowiekowi leżącemu na ciepłym piasku na brzegu morskim.

Szwejk, uśmiechając się przyjaźnie do pułkownika, opowiedział mu całą swoją odyseję oraz że jest ordynansem II kompanii marszowej 91 pułku, a nie wie, co tam sobie bez niego poczną. Pułkownik także się uśmiechał i wreszcie wydał takie rozkazy:

— Wypisać dla Szwejka wojskowy bilet do stacji Żółtańce przez Lwów, bo tam ma jutro dotrzeć jego kompania marszowa, i wydać mu z magazynu nowy mundur oraz wypłacić 6 koron 82 halerze w zamian za pożywienie.

Gdy następnie Szwejk w nowym austriackim mundurze opuszczał sztab brygady, aby się udać na stację, w kancelarii spotkał podporucznika, który zdziwił się niesłychanie, gdy Szwejk zameldował mu się ściśle według przepisów wojskowych, przedstawił mu dokumenty i zapytał, czy nie ma jakich zleceń dla porucznika Lukasa.

Podporucznik Dub nie zdobył się na nic, innego, tylko na słówko: „*Abtreten!*” Ale gdy spoglądał za oddalającym się Szwejkim, mruczał pod nosem:

— Jeszcze ty mnie poznasz! Jezus Maria, ty mnie poznasz!...

\*

Na stacji Żółtańce zgromadzony był cały batalion kapitana Sagnera oprócz straży tylnej, to jest 14 kompanii, która gdzieś się zapodziała, gdy opuszczano Lwów.

Przy wkroczeniu do miasteczka Szwejk znalazł się w całkiem nowym środowisku, tutaj bowiem wśród powszechnego ruchu można już było zauważyć, że się jest nie tak daleko od pozycji, na których się ludzie zarzynają. Wszędzie było pełno artylerii i taborów, ze wszystkich domów wychodzili żołnierze najróżniejszych pułków, a między nimi, niby elita, snuli się Niemcy z Rzeszy i arystokratycznie rozdawali Austriakom papierosy, których sami mieli pod dostatkiem. Przy niemieckich kuchniach polowych, które stały na rynku, znajdowały się nawet beczki z piwem, a żołnierze otrzymywali po miarce piwa na obiad i na kolację. Koło tych beczek włóczyli się niby łakome koty zaniedbani austriaccy żołnierze o brzuchach napęczniałych od wywaru słodzonej cykorii.

Pejsaci Żydzi w długich kaftanach pokazywali sobie wzajemnie chmury dymu na zachodzie i wymachiwali rękoma. Ludzie pokrzykiwali, że to nad Bugiem pali się Uciszków, Busk i Derewiany.

Wyraźnie słychać było grzmienie dział. Gdzie indziej krzyczano znowu, że Rosjanie z Grabowej bombardują Kamionkę Strumiłową i że walka wre wzdłuż całego Bugu, a żołnierze zatrzymują uchodźców, którzy już chcieli wracać za Bug do swoich domów.

Wszędzie panował zamęt i nikt nie wiedział nic pewnego, czy Rosjanie nie przeszli znowu do ofensywy i nie powstrzymali swego odwrotu na całym froncie.

Do dowództwa miasteczka żandarmeria polowa co chwila przyprowadzała jakąś wystraszoną duszę żydowską, oskarżoną o rozpowszechnianie niepokojących i kłamliwych wieści. W dowództwie bito nieszczęśliwych Żydów do krwi i z posiekanymi zadami puszczano ich następnie do domu. W takim to chaosie znalazł się Szwejk szukając po miasteczku swojej kompanii marszowej. Już na stacji popadłby bez mała w konflikt z do-

wództwem etapu. Gdy zbliżył się do stołu, przy którym udzielano informacji żołnierzom szukającym swoich oddziałów, jakiś kapral wrzasnął na niego pytając, czy nie życzy sobie może, aby mu jego kompanię marszową sam wyszukał? Szwejk odpowiedział, że chce się tylko dowiedzieć, gdzie tu w miasteczku stacjonuje 11 kompania marszowa 91 pułku takiego a takiego marszbatalionu.

— Jest to dla mnie sprawa bardzo ważna — z naciskiem wywodził Szwejk — abym się dowiedział, gdzie jest 11 kompania marszowa, ponieważ jestem jej ordynansem.

Na nieszczęście przy stole sąsiednim siedział już jakiś sierżant sztabowy, który podskoczył jak tygrys i wrzasnął na Szwejka:

— Ach, ty przekłeta świnio! Powiada, że jest ordynansem, a nie wie, gdzie jest jego kompania!...

Zanim Szwejk zdołał odpowiedzieć, sierżant znikł w kancelarii i po chwili przypro-wadził stamtąd tłustego porucznika, który wyglądał tak dostojnie, jakby był właścicielem firmy rzeźniczej.

Dowództwa etapów były pułapkami na szwendających się i zdziczałych żołnierzy, którzy by przez całą wojnę szukali swoich oddziałów i włóczyli się od etapu do etapu, a najchętniej wystawali w ogonkach przy tych stołach dowództwa etapów, nad którymi był napis: „*Menagegeld*”.

Gdy tłusty porucznik wszedł do izby, sierżant krzyknął: — *Habt acht!* — a porucznik zwrócił się do Szwejka z zapytaniem:

— Gdzie masz dokumenty?

Szwejk podał mu swoje papiery, porucznik przekonawszy się, że Szwejk ma istotnie wyznaczoną marszrutę od sztabu brygady w Przemyślu do Żółtaniec, gdzie była jego kompania, zwrócił mu je i uprzejmie rzekł do kaprała siedzącego przy stole:

— Udzielić mu informacji — i powrócił do swojej kancelarii.

Gdy drzwi zamknęły się za nim, sierżant sztabowy ujął Szwejka za ramię i odprowadzając go ku drzwiom udzielił mu takiej informacji:

— Wynoś się, śmierdząca pokrako, pókim dobry!

Szwejk znalazł się więc znowu w chaosie miasteczka i wypatrywał teraz jakiej znajomej twarzy ze swego batalionu. Długo błąkał się po ulicach, aż wreszcie postawił wszystko na jedną kartę.

Zatrzymał jakiegoś pułkownika i łamaną niemieczyzną pytał go grzecznie, czy nie wie czasem, gdzie się znajduje batalion razem z jego kompanią marszową.

— Ze mną możesz rozmawiać po czesku — rzekł pułkownik — jestem Czech. Twój batalion jest rozlokowany w pobliskiej wsi Klimontowie za koleją, ale do miasteczka waszych żołnierzy nie puszczają, ponieważ pobili się na rynku z Bawarczykami, jak tylko tu przyszli.

Szwejk ruszył tedy w stronę Klimontowa.

Pułkownik zawołał na niego, sięgnął do kieszeni i dał Szwejkowi pięć koron, żeby sobie kupił papierosów, pożegnał się z nim bardzo uprzejmie i oddalając się myślał w duchu:

„Co za sympatyczny żołnierzik?”

Szwejk kroczył dalej drogą ku wsi i rozmyślając o pułkowniku przypomniał sobie, że w Trydencie przed dwunastu laty był niejaki pułkownik Habermaier, który także zachowywał się wobec żołnierzy tak uprzejmie, a potem okazało się, że był to homoseksualista, bo w łazienkach nad Adygą chciał zgwałcić jakiegoś aspiranta na kadeta grożąc mu regulaminem służbowym.

Z takimi ponurymi myślami doszedł Szwejk powoli do pobliskiej wsi i bez wielkiego trudu znalazł swój batalion, bo chociaż wieś była bardzo duża, to jednak znajdował się w niej tylko jeden przyzwoitszy budynek, a mianowicie szkoła, wzniesiona przez administrację Galicji w tych okolicach, zamieszkałych przez ludność ukraińską, w celu spolszczenia tej gminy.

Szkoła ta w czasie wojny przeżyła kilka przemian. Przebywało w niej kilka rosyjskich i austriackich sztabów, a przez pewien czas w sali gimnastycznej mieściła się sala operacyjna, gdy w okolicy toczyły się wielkie bitwy, które decydowały o losach Lwowa. Tutaj urzynano ręce i nogi i trepanowano czaszki.

Za szkołą w ogrodzie był wielki lejowaty dół, skutek wybuchu wielkiego granatu. W kącie ogrodu stała stara grusza ze zwisającym postronkiem, na którym przed kilku

dniami wisiał pop unicki oskarżony przez miejscowego polskiego nauczyciela o to, że podczas okupacji rosyjskiej był członkiem grupy Starorusinów i że w kościele odprawiał nabożeństwo na intencję zwycięstwa rosyjskiego wojska i prawosławnego cara. Oskarżenie było oczywiście kłamliwe, ponieważ oskarżonego w owym krytycznym czasie wcale tu nie było, gdyż jako chory na kamienie żółciowe leczył się wtedy w małej miejscowej lecznicy, z dala od działań wojennych, w Bochni Zamurowanej.

Na powieszenie unickiego popa złożyło się kilka okoliczności: narodowość, fanatyzm religijny i kury. Nieszczęśliwy pop zabił mianowicie tuż przed wybuchem wojny jedną z kur nauczyciela w swoim ogrodzie nie mogąc się zgodzić na to, aby obce kury rozgrzebywały jego zagonki i wygrzebywały nasiona melonów.

Po nieboszczyku popie plebania została pusta, bo każdy zabral sobie z niej pamiątkę, co mu się akurat podobało.

Jakiś poczciwy polski chłopiec wziął sobie nawet stary fortepian, którego wierzch przydał mu się doskonale do naprawienia świńskiego chlewika. Część sprzętów porąbali żołnierze na ogień, jak to już było w zwyczaju, bo na szczęście na plebanii znajdował się nieszkodzony wielki piec i doskonała kuchnia, jako że pop lubił dobrze podjeść sobie, podobnie jak wszystkie inne popy, i miał wielki zapas rondli, garnków i brytfann.

Było to już niemal tradycją, że wszystkie oddziały wojsk, przechodząc tamtędy, na tej opustoszałej plebanii zakładały kuchnię dla oficerów. Zaś na piętrze, w dużym pokoju, mieściło się coś w rodzaju oficerskiego kasyna. Stoły zabierano, gdzie popadło, po domach mieszkańców wsi.

Dzisiaj właśnie oficerowie batalionu urządzili sobie uroczystą kolację. Złożyli się, kupili wieprze i kucharz Jurajda szykował wyżerkę jak się patrzy. Otaczała go cała sfera pasożytów z szeregow pucybutów oficerskich, a nad nimi górował sierżant rachuby, który udzielał rad Jurajdzie, jak powinien dzielić głowiznę, żeby dla niego zostało kawałek ryjka.

Najbardziej wytrzeszczał oczy na te dobre rzeczy nienażarty Baloun.

Tak chyba przyglądają się ludożercy misjonarzom piekącym się na rożnie i wydającym miły zapach, gdy na płomień kapnie tłuszcz ich ciała. Baloun doznawał niezawodnie uczuć psa ciągnącego mleczarski wózek, gdy przed nim idzie chłopiec wędliniarza i na nieckach niesie stos świeżych serdelków z wędzarni, a ich różaniec zwisa z niecek aż na ramię, tak że tylko podskoczyć i chwycić zębami... Ale cóż? Wstrętny rzemień trzyma biednego psa na uwięzi, a pysk zamyka kaganiec.

A tymczasem nadzienie do podgardlanek, pierwsza faza wybornego żarcia, olbrzymia mgławica podgardlankowa leżała na stole i pachniała pieprzem, tłuszczem i siekaną wątróbką.

Tymczasem Jurajda z podwiniętymi rękawami miał w sobie tyle powagi, że mógłby służyć jako model do obrazu, jak Bóg chaosu tworzył świat.

Baloun nie wytrzymał i załkał. Jego łkanie przechodziło stopniowo w regularny płacz z szlochaniem.

— Czemu mi tu ryczysz jak ten byk? — zapytał kucharz Jurajda.

— A bom sobie przypomniał mój dom rodzinny — odpowiedział łkający Baloun. — Zawsze pomagałem robić wszystkie te rzeczy, ale nawet najlepszemu sąsiadowi nie posłałem kawałka takiej podgardlanki czy kiszki, bo wszystko chciałem zawsze zeżreć sam i sam też wszystko zżerałem. Pewnego razu tak się obżarłem podgardlankami, iż wszyscy myśleli, że pęknę, i pędzili mnie dokoła podwórka, smagając obficie biczem jak krowę, która najadła się koniczyny i cierpi na wzdęcie. Panie Jurajda, niech mi pan pozwoli wziąć garstkę tego nadzienia, a potem niech mnie skażą na słupek, bo inaczej udręki tej nie przeżyję.

Baloun wstał zza stolika i zataczając się jak pijany, zbliżył się do stołu i wyciągnął rękę ku nadzieniu.

Doszło do zaciętej walki. Z trudem udało się obecnym oderwać go od stołu. A gdy go wyrzucali z kuchni, Baloun nie wytrzymał i z rozpachy porwał garść flaków moczających się w garnku.

Kucharz Jurajda był tak wzburzony, że za uciekającym Balounem rzucił cały pęk patyków do kiszki i krzyczał:

— Masz, draniu, nażryj się patyków!



W tym czasie na piętrze zebrali się już oficerowie batalionu i czekając w uroczystym skupieniu na to, co się rodziło w kuchni na dole, pili z braku innego napoju prostą żytniówkę, zabarwioną na żółto odwarem cebuli; kupiec żydowski, który ją dostarczył, twierdził, że to jest najlepszy i najoryginalniejszy koniak francuski, odziedziczony przez niego po ojcu, który z kolei odziedziczył go po dziadku.

— Ach, ty złodzieju — rzekł mu przy tej sposobności kapitan Sagner — jeśli jeszcze powiesz, że twój pradziadek kupił go prosto od Francuzów, gdy uciekali spod Moskwy, to cię każę wsadzić do paki na tak długo, aż twoje najmłodsze dziecko stanie się najstarszym w twoim rodzie. — Po każdym łyku przeklinał przedsiębiorczego Żyda.

Tymczasem Szwejk siedział w kancelarii batalionu, gdzie nie było nikogo prócz jednorocznika Marka, który jako historyk batalionu skorzystał z odpoczynku batalionu pod Żółtańcami, żeby na zapas opisać kilka zwycięskich bitew, jakie rozegrają się z pewnością w niedalekiej przyszłości. Tymczasem robił tylko bardzo ogólnikowe szkice, a w chwili gdy Szwejk wszedł do kancelarii, pisał właśnie, co następuje:

„Gdy przed oczyma naszego ducha jawią się wszyscy ci bohaterowie, którzy brali udział w walkach koło wioski N, gdzie przy boku naszego batalionu walczył jeden z batalionów pułku N i drugi batalion pułku N, to widzimy, że nasz batalion X okazał najświetniejsze zdolności strategiczne i niewątpliwie przyczynił się do zwycięstwa dywizji X, mającej na celu utrwalenie naszych pozycji na odcinku N”.

— Widzisz, bracie — rzekł Szwejk do jednorocznika — zgubiłem się, ale nie odnalazłem.

— Pozwól, że cię obwącham — rzekł jednorocznik, przyjemnie wzruszony. — Hm, naprawdę śmierdzisz kryminałem.

— Jak zazwyczaj — odpowiedział Szwejk — chodziło tylko o drobne nieporozumienie. A ty co porabiasz?

— Sam widzisz — mówił Marek — że rzucam na papier czyny bohaterskich zbawców Austrii, ale nic mi się kupy nie trzyma i wszystko z przeproszeniem do dupy. Mamy do czynienia z samymi iksami i niewiadomymi, które dopiero przyszłość wyjaśni. Prócz dawnych moich zdolności odkrył we mnie kapitan Sagner niezwykle talent matematyczny. Muszę kontrolować rachunki batalionu i doszedłem do wniosku, że nasz batalion jest zgoła bierny i że czeka tylko na jakąś okazję, żeby zrobić jakie takie wyrównanie ze swoimi rosyjskimi wierzycielami, ponieważ po porażce i po zwycięstwie kradnie się najwięcej. Zresztą to wszystko jedno. Nawet gdybyśmy zostali pobici na głowę, to i tak mielibyśmy dość dokumentów o naszym zwycięstwie, ponieważ jako historyka batalionu darzą mnie na tyle zaufaniem, iż wolno mi pisać: „I znowuż zwróciliśmy się ku nieprzyjacielowi, który już mniemał, że zwycięstwo jest po jego stronie. Wypad naszych żołnierzy i atak na bagnety był dziełem okamgnienia. Nieprzyjaciel, zropaczony poniesioną klęską, ucieka, rzuca się we własne okopy, a my klujemy go bez litości, tak że w nieporządku opuszcza swoje rowy strzeleckie, pozostawiając w naszych rękach rannych i jeńców. Jest to jeden z najślawniejszych momentów”. Kto takie chwile przeżyje, ten natychmiast pisze do domu kartę i wysyła ją pocztą polową: „Dostali po dupie, kochana żono! Jestem zdrów. Odstawiłaś już naszego smyka? Tylko go nie przyuczaj, żeby cudzych ludzi nazywał tatą, ponieważ byłoby to dla mnie bardzo niemiłe”. Cenzura przekreśli następnie zdanie: „Dostali po dupie” — ponieważ właściwie nie wiadomo, kto dostał, a można by się domyślić rzeczy najróżniejszych, jako że wyrażenie było niejasne.

— Główna rzecz w tym, żeby zawsze mówić jasno i wyraźnie — wtrącił Szwejk. — Gdy w roku 1912 w kościele Św. Ignacego w Pradze byli misjonarze, to jeden z nich wywodził na kazaniu, że chyba z nikim nie spotka się w niebie. A na tych wieczornych ćwiczeniach duchownych był pewien blacharz Kuliszek, który po nabożeństwie mówił w gospodzie, że ten misjonarz musiał nagrzeszyć co niemiara, skoro mówił w kościele jak na publicznej spowiedzi, że z nikim się w niebie nie spotka. Czemu to takich ludzi wysyłają na kazalnicę? Należy zawsze mówić jasno i wyraźnie, a nie kręcić tak i owak. „U Brejszków” był przed laty pewien kiper, który miał ten zwyczaj, że gdy po całodziennej pracy wracał czasem do domu, to wstępował do jednej nocnej kawiarni i przepijał do

nieznanych sobie gości: „Wy się na nas, a my na was...” Za to dostał od jakiegoś przyzwoitego pana z Jihlavy tak siarczyście po gębie, że właściciel kawiarni po zamieceniu lokalu zawołał swoją córkę, która była uczennicą piątej klasy, i zapytał ją, ile właściwie zębów ma człowiek dorosły. Ponieważ tego nie wiedziała, więc ojciec wybił i jej w gniewie dwa zęby, a na trzeci dzień otrzymał od tego kiperu list, w którym to liście zacny kiper tłumaczył mu się i przeproszał go za wszystkie przykrości wynikłe z jego przyczyny. Zapewniał, że nie chciał rzec nic nieprzyzwoitego, ponieważ powiedzenie to brzmi naprawdę tak: „Wy się na nas, a my na was nie gniewamy”. Kto się wyraża dwuznacznie, z góry winien zastanowić się nad możliwymi następstwami. Prosty człowiek, który mówi tak, jak mu dziób urósł, mało kiedy dostanie po gębie. A jeśli pomimo to zdarzy mu się taka rzecz niemiła, to w ogóle nauczy się potem trzymać język za zębami, gdy jest w towarzystwie. Oczywiście, i to prawda, że o takim człowieku każdy myśli, że jest fałszywy i Bóg wie jaki jeszcze i że takiemu też dostanie się nieraz po pysku, ale powaga jego i roztropność też ma swoją wartość, bo powiadają, że to człowiek mądry, który ustępuje, bo gdyby się stawiał, to dostałby dwa razy tyle. Taki człowiek musi być skromny i cierpliwy. W Nuslach jest niejaki pan Hauber, otóż tego pana pewnej niedzieli w Kundraticach na szosie pchnęli nożem przez pomyłkę, gdy powracał z wycieczki z Bartuńkowego Młyna. Z tym nożem w plecach wrócił ten pan do domu, a gdy żona pomagała mu zdjąć surdut, to przy sposobności wyjęła i ten nóż i nazajutrz krajała nim już mięso na gulasz, ponieważ nóż ten był ze stali soligeńskiej i dobrze był wyostrzony, a oni mieli w domu wszystkie noże tępe i szczerbate. Ta niewiasta chciała potem mieć cały komplet takich noży i zawsze w niedzielę wysyłała męża do Kundratic na wycieczkę, ale pan Hauber był człowiekiem tak skromnym, że nie chodził nigdzie na dalsze wycieczki, lecz wybierał się najdalej do gospody „U Banzetów” w Nuslach, bo wiedział, że gdy siedzi w kuchni, to Banzet wyrzuci go wcześniej, niż ktokolwiek zdążyłby podnieść na niego rękę.

— Tyś się wcale nie zmienił — rzekł do Szwejka jednorocznik.

— Nie zmieniłem się — odpowiedział Szwejk — bo nie miałem na to czasu. Chcieli mnie nawet rozstrzelać, ale najgorsze to, że od dwunastego nigdzie jeszcze nie dostałem żołdu.

— U nas teraz żołdu w ogóle nie dostaniesz, ponieważ idziemy na Sokal, a żołd będzie wypłacany dopiero po bitwie, bo musimy oszczędzać. Jeśli, przypuścimy, do awantury dojdzie za dwa tygodnie, to na każdym poległym żołnierzu oszczędzimy razem z dodatkiem 24 korony i 72 halerze.

— A co prócz tego słychać u was?

— Po pierwsze, zgubiliśmy straż tylną, następnie korpus oficerski ma na plebanii wyżerkę, bo tam zarżnięto wieprza, zaś szeregowcy porozłazili się na wszystkie strony i nurzają się w nieprawościach z miejscową ludnością płci żeńskiej. Przed południem dostał słupka jeden żołnierz z waszej kompanii za to, że laził na strych za jakąś siedemdziesięcioletnią babą. Ale człowiek ten jest niewinny, ponieważ w rozkazie dziennym nie było o tym mowy, do jakich lat to jest dozwolone.

— I ja myślą, że jest niewinny — rzekł Szwejk — ponieważ gdy taka wiekowa baba lezie po drabinie na strych, to jej twarzy człek nie widzi. Taki sam przypadek zdarzył się na manewrach pod Torem. Jeden z naszych plutonów kwaterował w gospodzie, a jakaś kobieta szorowała podłogę w sionce. Otóż przypatoczył się do niej niejaki żołnierz Chramosta i poklepał ją, jakby ci to powiedzieć? No, poklepał ją po kiecekach. Do tego szorowania musiała się bardzo podkasać. Klepnął ją raz, ona nic, klepnął drugi raz, znowuż nic, jakby to wcale jej nie dotyczyło. Więc on wziął i zaryzykował, a ona nic, tylko dalej szorowała podłogę na kolanach, a potem zwraca się do niego twarzą i powiada: „A tom cię nabrała, żołnierzyku!” Babina ta miała przeszło siedemdziesiąt lat i później rozpowiadała o tym po całej wsi. A teraz pozwoliliby sobie zapytać, czy podczas mej nieobecności nie dostałeś się, bracie, i ty do paki?

— Nie było okazji po temu — tłumaczył się Marek — ale za to, o ile o ciebie chodzi, batalion porozsyłał za tobą listy gończe.

— To nic nie szkodzi — wtrącił Szwejk — postąpili całkiem słusznie. Batalion winien był właśnie tak postąpić i rozesłać za mną listy gończe, bo przecież przez tak długi czas nie wiadomo było, gdzie przebywam. Nie można powiedzieć, aby batalion postąpił nierozważnie. Mówisz, że wszyscy oficerowie są na plebanii na świńskiej wyżerce? Trzeba

tam będzie pójść i przedstawić się im, że już jestem, bo i tak się pan oberlejtant Lukas z pewnością dość namartwił o mnie.

Krokiem żołnierskim ruszył Szwejk ku plebanii, a po drodze śpiewał:

Popatrz na mnie, panno moja,  
Popatrz jeszcze raz.  
Oj, zrobili ze mnie pana,  
Oj, zrobili, panno moja!  
Czy mnie znasz?

Nie zatrzymując się Szwejk wszedł po schodach na górę i zmierzał ku drzwiom, zza których odzywały się głosy oficerów.

Rozmawiano tam o wszystkim możliwym i właśnie plotkowano o brygadzie i o nieporządkach, jakie w niej panują, a adiutant brygady dołożył od siebie także coś niecoś, mówiąc między innymi:

— Telegrafowaliśmy niby z powodu tego Szwejka...

— *Hier!* — zawołał Szwejk otwierając drzwi i wchodząc do pokoju, po czym powtórzył meldunek: — *Hier! Melde geborsam, Infanterist Szwejk, Kompanieordnanz II Marschkompanie!*

Widząc zdziwione twarze kapitana Sagnera i porucznika Lukasa, których opanowała jakaś cicha rozpacz, Szwejk nie czekał na pytanie i zawołał:

— Posłusznie melduję, że chcieli mnie rozstrzelać za to, że miałem zdradzić najjaśniejszego pana!

— Jezus Maria, Szwejku! Co też wygadujecie?! — krzyknął porucznik Lukas blednąc.

— Posłusznie melduję, że to było tak, panie oberlejtant...

I Szwejk zaczął szczegółowo opowiadać, jak to się stało.

Wszyscy spoglądali na niego oczyma wytrzeszczonymi, on zaś nie zapominał o najdrobniejszych szczegółach i przytoczył nawet takie spostrzeżenie: na grobli tego stawu, nad którym przytrafiła mu się owa przygoda, kwitły niezapominajki. Potem wymieniał nazwiska tatarskie tych ludzi, z którymi spotkał się podczas swej wędrowki, jak na przykład Hallimulabalibej, a do tego nazwiska dodał cały szereg nazwisk zmyślonych: Waliwulawaliwej, Malimulamalimej itd. Porucznik Lukas nie wytrzymał i zawołał na Szwejka:

— Ach, ty bydlę głupie! Gadaj krótko i zwięźle, bo cię kopnę!

Ale Szwejk mówił dalej z wielką szczegółowością, a gdy doszedł w swym opowiadaniu do sądu polowego i mówił o sędziach, dodał, że generał zezował na lewe oko, a major miał modre oczy.

— Czerwone jabłuszko po stole się toczy, lubię takie dziewczę, co ma modre oczy... — dodał Szwejk do rymu.

Dowódca 12 kompanii Zimmermann rzucił w Szwejka garnuszką, z którego pił mocną wódkę, kupowaną u Żyda.

Szwejk opowiadał dalej całkiem spokojnie o tym, jak następnie doszło do pociechy religijnej i jak pan major spał w jego objęciach. Potem świetnie obronił brygadę, do której został wyprawiony, gdy batalion upomniał się o niego jako zaginionego. Wreszcie złożył kapitanowi Sagnerowi dokumenty, z których okazało się, że przez tę wysoką instancję, przez brygadę, został uwolniony od jakiejkolwiek odpowiedzialności i oczyszczony z podejrzeń.

— Pozwalam sobie posłusznie zameldować — zakończył swoje sprawozdanie — że pan lejtnant Dub znajduje się w brygadzie ze wstrząśniętym mózgiem i wszystkich panów kazał pięknie pozdrowić. Proszę o żołąd i pieniądze na tytoń.

Kapitan Sagner i porucznik Lukas wymienili z sobą pytające spojrzenia, ale w tej chwili otworzyły się drzwi i żołnierze wnieśli w dużym kociołku dymiącą polewkę podgardlankową.

Był to początek wszystkich tych rozkoszy, jakie czekały tego wieczoru zebranych na plebanii oficerów.

— Ach, ty przeklęty włóczęgo! — zawołał kapitan Sagner będący w ogromnie dobrym usposobieniu przed następującymi uciechami. — Żebyś sobie zapamiętał, że cię uratowała tylko ta świńska wyzerka!

— Szwejku — dodał do tego porucznik Lukasz — jeśli stanie ci się jeszcze coś podobnego, to będzie z tobą źle.

— Posłusznie melduję, że ze mną musi być źle — zsalutował Szwejk — bo gdy człowiek jest na wojnie, to powinien wiedzieć i rozumieć...

— Zniknij! — ryknął na niego kapitan Sagner.

Szwejk znikł i zszedł na dół do kuchni. Wrócił tam także zgnębiony Baloun i prosił, aby mu pozwolono obsługiwać przy uczcie porucznika Lukasz.

Szwejk wszedł akurat w chwili, gdy rozpoczynała się polemika między kucharzem Jurajdą a Balounem.

W sporze Jurajda używał wyrazów dość niezrozumiałych.

— Jesteś, byku, nienazarty — rzekł do Balouna — żarłbyś aż do potów, a gdyby ci dać podgardlanek dla porucznika, to byś się z nimi migdał na schodach.

Kuchnia miała teraz całkiem inny wygląd. Sierżanci rachuby batalionów i kompanii obżerali się według stopni swoich i zgodnie z planem opracowanym przez kucharza Jurajdę. Pisarze z batalionów, telefoniści z kompanii i kilka szarż chciwie pożerało rozrzedzoną polewkę podgardlankową z zardzewiałej miednicy.

— *Na zdar!* — zawołał sierżant rachuby Vaniek do wchodzącego Szwejka ogryzając jednocześnie kopytko. — Był tu przed chwilą nasz jednorocznik Marek i doniósł nam, że już wróciliście i macie na sobie nowy mundur. Wpakowaliście mnie teraz w ładną bryndzę. Trzeba będzie rozliczyć się za ten mundur z brygadą, a tymczasem wasz mundur znalazł się na grobli stawu, o czym już raportowaliśmy brygadzie przez kancelarię batalionu. W mojej ewidencji jesteście zapisani jako utopiony podczas kąpieli, więc w ogóle nie powinniście byli wracać i robić nam trudności z podwójnym mundurem. Wy nawet pojęcia nie macie, jakich trudności narobiliście batalionowi. Każda część waszego munduru jest u nas zapisana i znajduje się w moich spisach mundurów jako przyrost. Kompania ma o jeden pełny mundur więcej. O tym złożyłem raport batalionowi. Teraz otrzymamy z brygady zawiadomienie, że dostaliście tam nowy mundur. Ponieważ batalion tymczasem melduje w wykazach przyrost jednego kompletu mundurowego... Już ja to znam i wiem, że i z tego może być rewizja. Gdy chodzi o takie drobiazgi, to przybywają do nas panowie z intendenty, lecz gdy zginie dwa tysiące par butów, to nikt się o takie rzeczy nie troszczy...

Ale u nas zaginęła ten wasz mundur — dodał z gestem tragicznym Vaniek wysysając szpik z kości i wyrzębując go zapalką, którą przedtem dłubał w zębach — i dla takiego drobiazgu na pewno zjedzie do nas komisja na inspekcję. Kiedy staliśmy w Karpatach, przyjechała do nas inspekcja dlatego, że jakoby nie dopilnowaliśmy rozporządzenia, aby ze zmarzłych żołnierzy ściągano buty bez uszkodzenia ich. Ściągano je tedy, jak się dało, ale w dwóch wypadkach popękały, a w jednym były już podarte za życia żołnierza. I stała się bieda. Przyjechał do nas pewien pułkownik z intendenty i gdyby nie to, że natychmiast po przyjeździe dostał rosyjską kulą w łeb i stoczył się w wąwóz, to nie wiem, co by z tego było.

— Czy z niego też ściągnęliście buty? — zapytał Szwejk z wielkim zainteresowaniem.

— Ściągnęliśmy — odpowiedział Vaniek w zadumie — to jest ktoś je ściągnął, a my nie zdołaliśmy się dowiedzieć, kto je ściągnął, więc nie mogliśmy ich wpisać do wykazu.

Kucharz Jurajda powrócił z piętra i pierwsze jego spojrzenie padło na zmiażdżonego Balouna, który siedział zasmucony i zgnębiony na ławie koło pieca i z wyrazem straszliwej rozpaczki spoglądał na swój wychudzony brzuch.

— Powinieneś przyłączyć się do sekty hezychastów — ze współczuciem rzekł uczony kucharz Jurajda — oni także całymi dniami spoglądają na swój pępek, dopóki im się nie zacznie wydawać, że z pępka bije luna świętości. Wtedy są pewni, że osiągnęli trzeci stopień doskonałości.

Jurajda podszedł do kotła i wyjął z niego małą podgardlanekę.

— Żryj, Balounie — rzekł uprzejmie — nażryj się, aż pęknieś, zadław się, zmorze niesyła!

Baloun miał łzy w oczach.

— U nas w domu, gdy biliśmy wieprze — rzekł na wpół z płaczem, pochłaniając podgardlankę — to najprzód zjadłem porządny kawał nogi albo głowizny, cały ryj, serce, ucho, kawał wątroby, cynadry, śledzionę, kawałek boczku, ozór, a następnie...

I dalej mówił głosem cichym, jakim opowiada się bajki:

— A następnie przyszła kolej na podgardlanki, sześć, dziesięć sztuczek, na pękate kiszki różnie nadziewane, że człek nie wiedział, czego jąc się naprzód. Wszystko rozplywa się na języku, wszystko pachnie, a człek sobie żre i żre...

Więc myślę sobie — narzekał Baloun — że jeśli kula mnie ominie, to głód mnie dobije i że już nigdy w życiu nie stanę twarzą w twarz wobec brytfanny takiego podgardlankowego nadzienia, jakie robili u nas w domu. Zimnych nóżek nie lubiłem prawdę powiedziawszy, bo to się tylko trzęsie na języku i nie pożywi człeka. A znowuż moja żona za zimnymi nóżkami poleciała na koniec świata. Ale ja nie dałem jej do zimnych nóżek nawet kawałka ucha, bo wszystko chciałem sam pożreć, i wybierałem to, co mi najlepiej smakowało. Nie szanowałem tego dobrobytu i tego szczęścia, a teściowi, dożywociarzowi, odmówiłem wieprzka, który mu się należał, sam go zabiłem i sam zeżarłem i jeszcze do tego wszystkiego byłem zbyt chciwy, żeby temu staremu pocziwcowi posłać choć kawałek czegoś dobrego. I on mi właśnie potem prorokował, że kiedyś zdechnę z głodu.

— No i już zdychasz, bratku — rzekł Szwejk, który uważnie przysłuchiwał się opowiadaniu Balouna.

Kucharza Jurajdę opuścił już nagły napad współczucia dla Balouna, ponieważ ten przysunął się z ręcznikiem do piecowa, dobył kawał chleba i chciał go zanurzyć w sosie, który na wielkiej brytfannie opływał dokoła olbrzymią połą pieczeni wieprzowej.

Jurajda uderzył Balouna w rękę i jego chleb wpadł do sosu tak zamasyście jak pływak skaczący z mostu w rzekę.

Nie pozostawiając mu czasu, aby mógł wyjąć przysmak z brytfanny, Jurajda schwycił go za kark i wyrzucił za drzwi.

Zgnębiony Baloun widział jeszcze przez okno, jak Jurajda widelcem wyławia ten kawał chleba, który nasiąkły sosem był cały rumiany, i jak podaje go Szwejkowi razem z kawałkiem pieczeni skrojonej z wierzchu, mówiąc:

— Jedz, mój skromny przyjacielu!

— Panienko Przenajświętsza — biadał za oknem Baloun — przepadł mój chleb jakby w wychodku.

Wymachując długimi rękoma poszedł na wieś, żeby znaleźć coś do zjedzenia.

Szwejk, dojadając szlachetny dar Jurajdy, przemówił żując pełną gębą:

— Doprawdy cieszę się, że znowuż jestem wśród was. Bardzo byłoby mi przykro, gdybym nie mógł dalej służyć naszej kompanii swoim bogatym doświadczeniem wojskowym.

Ocierając z brody sos i tłuszcz, dodał jeszcze:

— Nawet nie wiem, co byście sobie beze mnie poczęli, gdyby mnie tam gdzieś zatrzymali, a wojna przedłużyłaby się jeszcze o lat kilka.

Sierżant rachuby Vaniek zapytał z dużym zainteresowaniem:

— Co sądzicie, Szwejku, jak też długo trwać będzie ta wojna?

— Piętnaście lat — odpowiedział Szwejk. — To całkiem jasne, ponieważ już raz była wojna trzydziestoletnia, a teraz jesteśmy o połowę mądrzejsi niż dawniej, więc trzydzieści podzielić przez dwa równa się piętnaście.

— Pucybut naszego kapitana — odezwał się Jurajda — opowiadał, że słyszał, iż jak tylko obsadzimy granice Galicji, to już dalej nie pójdziemy. Rosjanie zaczną wtedy układać się o pokój.

— Tak to by się nawet nie opłacało rozpoczynać wojny — rzekł z naciskiem Szwejk. — Jak wojna, to wojna! Ja stanowczo nie zacznę prędzej mówić o pokoju, dopóki nie będziemy w Moskwie i w Piotrogradzie. Przecież to nie warte gadania, szwendać się koło granicy, skoro jest wojna światowa. Weźmy na przykład Szwedów podczas wojny trzydziestoletniej. Z jak daleka szli, a jednak dostali się aż do Niemieckiego Brodu i do Lipnicy, gdzie narobili takiego bigosu, że jeszcze dzisiaj po szynkach ludzie wygadują tam od północy po szwedzku i jeden drugiego nie rozumie. Albo Prusacy. To też nie

byli przecie sąsiedzi z najbliższej wioski, a na Lipnicy zostało po nich Prusaków bez liku. Dostali się aż do Jedouchova i do Ameryki, i z powrotem.

— Ostatecznie — rzekł Jurajda, któremu od wyrobu podgardlanek poplątało się cokolwiek w głowie, tak iż stracił równowagę ducha — wszyscy ludzie powstali z karpi. Weźcie, kochani przyjaciele, teorię rozwoju Darwina...

Dalszy jego wywód został przerwany wtargnięciem jednorocznego ochotnika Marka.

— Uciekajcie! Ratujcie się! — zawołał Marek. — Podporucznik Dub przyjechał przed chwilą samochodem i przywiózł z sobą tego zafajdanego kadeta Bieglera.

— Nic mu nie lepiej — informował Marek dalej swoich słuchaczy. — Gdy wysiadł z auta, wtargnął do kancelarii, a ja wychodząc stąd postanowiłem przespać się trochę. Wyciągnąłem się w kancelarii na ławie i już mile zasypiałem, gdy wtem przyskoczył do mnie kadet Biegler i ryknął: „*Habacht!*” Podporucznik postawił mnie na nogi i też zaczął: „A co, czy nie zgrabnie zaskoczyłem pana jednorocznika w kancelarii przy niespełnianiu obowiązków? Sypiać wolno po capstrzyku”. Biegler dodał od siebie: „Rozdział 16, paragraf 9 regulaminu koszarowego”. Wtedy podporucznik Dub huknął pięścią w stół i krzyknął: „Batalion chciał się mnie może pozbyć, ale nie myślcie sobie, że to był wstrząs mózgu? Mój łeb wytrzyma nie takie rzeczy!” Kadet Biegler przerzucił papiery na stole i dla swojej wiadomości odczytał między innymi na głos: „Rozkaz do dywizji nr 280!”

Podporucznik Dub myślał, że kadet pokpiwa sobie z niego z powodu jego ostatniego zdania, i zaczął mu robić wyrzuty z powodu nieprzyzwoitego i impertynenckiego zachowywania się wobec starszego oficera. Teraz zabrał go z sobą i poszedł z nim do kapitana, żeby na niego naskarżyć.

Po chwili obaj weszli do kuchni, przez którą trzeba było przejść, gdy się szło na górę, gdzie siedzieli wszyscy oficerowie i gdzie przy wieprzowym udźcu puciołowaty podchorąży Mały śpiewał arię z *Traviaty* bekając przy tym po kapuście i tłustym mięsie.

Gdy podporucznik Dub wkroczył do kuchni, Szwejk zakomenderował:

— *Habtacht!* Wszyscy wstać!

Podporucznik Dub podszedł do samego Szwejka i wrzasnął mu prosto w nos:

— Teraz możesz się cieszyć, ty drabie! Koniec z tobą, i amen! Każę cię wypchać w pamiątkę dla 91 pułku.

— *Zum Befehl*, panie lejtnant — zsalutował Szwejk. — Pewnego razu czytałem, posłusznie melduję, że była wielka bitwa i że w tej bitwie poległ jakiś szwedzki król razem z koniem. Obie padliny wyprawiono do Szwecji i teraz te dwa trupy stoją wypchane w muzeum w Sztokholmie.

— Skąd masz takie wiadomości, ty parobku? — wrzasnął podporucznik Dub.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że od swego brata, profesora.

Podporucznik Dub odwrócił się, splunął i popychając przed sobą kadeta Bieglera zmierzał ku sieni, przez którą szło się na górę. Ale nie wytrzymał, obrócił się we drzwiach i z nieubłaganą surowością rzymskiego cesarza, decydującego o losach gladiatora zranionego w cyrku, zrobił gest kciukiem prawej dłoni i krzyknął na Szwejka:

— Palce na dół!

— Posłusznie melduję — krzyczał za nim Szwejk — że już są na dole!

\*

Kadet Biegler był słaby jak mucha. Przeszedł w ciągu niedługiego czasu przez kilka stacji cholerycznych i po wszystkich manipulacjach, które przedsiębrano wobec niego jako podejrzanego o cholere, przyzwyczaił się stale popuszczać w spodnie. Aż wreszcie dostał się w ręce jakiegoś porządnego specjalisty pewnej stacji cholerycznej, gdzie nie znaleziono w jego wydzielinach żadnych bakterii cholerycznych, zahartowano mu kiszki taniną i wylatano je w ogóle tak dobrze, że kadet Biegler mógł wreszcie zostać wysłany do najbliższego dowództwa etapu jako „*frontdienstauglich*”, chociaż biedak ledwo się trzymał na nogach po wszystkich kuracjach szpitalnych.

Ów specjalista był człowiekiem wielkiej zacności.

Gdy kadet Biegler zwracał mu uwagę, że czuje się bardzo słaby, ten odpowiedział mu z uśmiechem:

— Złoty medal za dzielność udźwignie pan jeszcze. Wszak pan się dobrowolnie zgłosił na wojnę jako ochotnik.

Stało się tedy, że kadet Biegler wyruszył na zdobywanie złotego medalu.

Jego zahartowane kiszki nie wydzielają już rzadkiego płynu w spodnie, ale pomimo to pozostało mu jako pamiątka po cholerycznych stacjach nieznośne parcie, tak że od ostatniego etapu aż do sztabu brygady, gdzie spotkał się z podporucznikiem Dubem, podróż jego była jakąś manifestacyjną wędrówką po wszystkich możliwych wychodkach. Kilka razy spóźnił się na pociąg, ponieważ wysiadywał po wychodkach dworcowych tak długo, iż pociągi czekać na niego nie mogły. Czasem znowu przegapił przesiadanie siedząc w ustępie wagonu.

Ale pomimo wszystkich wychodków, jakie włożyły mu w drogę, Biegler jednak przybliżał się ku brygadzie.

Podporucznik Dub powinien był jednak jeszcze przez kilka dni pozostać na kuracji w brygadzie, ale tego samego dnia, gdy Szwejk odjechał do batalionu, sztabowy lekarz zabrał się do podporucznika i dowiedziawszy się, że po południu samochód sanitarny odjeżdża w kierunku 91 batalionu, wyprawił go tym samym samochodem do jego oddziału.

Lekarz był bardzo rad, że pozbył się podporucznika Duba, który jak zazwyczaj każde swoje zdanie potwierdzał słowy:

— O tym jeszcze przed wojną rozmawialiśmy u nas ze starostą powiatowym.

„*Mit deinem Bezirkshauptmann kannst du mir am Arsch lecken*” — pomyślał lekarz sztabowy i bardzo był rad przypadkowi, że auto sanitarne jechało właśnie na Kamionkę Strumiłową przez Żółtańce.

Szwejk nie widział w brygadzie kadeta Bieglera jedynie dlatego, że ten znowu przez dwie godziny siedział w pewnej ubikacji z przyrządem do splukiwania, przeznaczonym na użytek oficerów brygady.

Śmiało rzec można, że kadet Biegler w takich miejscach nigdy nie tracił czasu na darmo, ponieważ powtarzał sobie w duchu wszystkie sławne bitwy wojsk austriacko-węgierskich poczynając od bitwy pod Nördlingen dnia 6 września 1643 roku, a kończąc na bitwie pod Sarajewem dnia 19 sierpnia 1878 roku.

Kiedy tak po niezliczone razy pociągał za łańcuch płuczki klozetowej i gdy woda z łoskotem spadała na porcelanę, kadet Biegler przymykał oczy i marzył o zgiełku bitew, o natarciu jazdy i huku dział.

Spotkanie podporucznika Duba z kadetem Bieglerem nie należało do najmiłszych i stało się przyczyną kwasów w ich późniejszych stosunkach służbowych i pozasłużbowych.

Mianowicie zdarzyło się, że podporucznik Dub już po raz czwarty dobijał się do klozetu, a ciągle znajdował go zamkniętym.

— Kto tam siedzi? — krzyknął wreszcie zdenerwowany.

— Kadet Biegler, 11 kompania marszowa, batalion N, 91 pułk — brzmiała dumna odpowiedź.

— A tutaj — przedstawiał się kandydat klozetu po drugiej stronie drzwi — podporucznik Dub z tej samej kompanii.

— Zaraz skończę, panie podporuczniku!

— Czekam!

Podporucznik Dub spoglądał niecierpliwie na zegarek. Nikt by nie uwierzył, jakiej potrzeba energii i wytrwałości, aby w podobnej sytuacji wytrzymać przed drzwiami całych piętnaście minut, potem jeszcze pięć i jeszcze, podczas gdy na pukanie, walenie pięścią i kopanie nogami otrzymuje się zawsze tę samą odpowiedź:

— Zaraz kończę, panie podporuczniku!

Podporucznik Dub dostał gorączki, gdy po obiecującym szeleście papieru upłynęło dalszych siedem minut, a drzwi się nie otwierały.

Kadet Biegler był przy tym tak dalece taktowny, że ciągle jeszcze nie spuszczał wody.

Podporucznik Dub w przystępie gorączki zaczął rozmyślać, czy nie należałoby udać się ze skargą do dowódcy brygady, które być może wydałoby rozkaz wyłamania drzwi i wyciągnięcia stamtąd kadeta Bieglera przemocą. Przychodziło mu też do głowy, że ma się tu może do czynienia z naruszeniem dyscypliny.

Dopiero po upływie dalszych pięciu minut podporucznik Dub zauważył, że za ewentualnie wylamanymi drzwiami nie miałby właściwie już nic do czynienia, bo mu się dawno odechciało. Wystawał wszakże przed klozetem niejako z zasady, kopiąc w drzwi, za którymi odzywało się wciąż to samo zapewnienie:

— *In einer Minute fertig, Herr Leutnant.*

Wreszcie słychać było, że kadet Biegler spuszcza wodę i po chwili obaj panowie spotkali się twarzą w twarz.

— Kadecie Biegler — zagrział na niego podporucznik Dub — nie myślcie sobie, że przyszedłem tutaj w tym samym celu co i wy. Przyszedłem tu dlatego, że mi się pan po swoim przybyciu do sztabu brygady nie zameldował. Czy nie zna pan przepisów? Czy wie pan, komu dał pan pierwszeństwo?

Kadet Biegler przez chwilę zastanawiał się gruntownie, czy może rzeczywiście dopuścił się jakiej niewłaściwości, która kłóciłaby się z dyscypliną i z przepisami regulującymi stosunki między oficerami niższymi i wyższymi.

W jego wiadomościach w tej dziedzinie istniała olbrzymia luka niby bezdenna przepaść.

W szkole nikt im takich rzeczy nie wykladał, aby wiedzieli, jak winien się zachowywać oficer niższego stopnia względem oficera stopnia wyższego.

Czy może miał sobie przerwać, wylecieć jak bomba z klozetu i jedną ręką przytrzymać spodnie, drugą salutować?

— Proszę mi odpowiedzieć, panie kadecie Biegler! — wyzywająco wołał podporucznik Dub.

Ale w tej chwili wpadł kadet Biegler na szczęśliwą odpowiedź, która zawikłaną sytuację rozwickła natychmiast:

— Panie podporuczniku, nie miałem pojęcia po swoim przybyciu do sztabu brygady, że pan się tu znajduje, a po załatwieniu swoich spraw w kancelarii udałem się natychmiast do klozetu, gdzie pozostawałem aż do pańskiego przyjścia.

I głosem uroczystym dodał:

— Kadet Biegler melduje się panu porucznikowi Dubowi.

— Sam pan widzi, że to nie byle co — z goryczą rzekł podporucznik Dub. — Zdaniem moim, panie kadecie Biegler, powinien pan być natychmiast po przybyciu do sztabu brygady zapytać się w kancelarii, czy nie ma tu przypadkiem któregoś z oficerów naszego batalionu i naszej kompanii. O zachowaniu pańskim zdecydujemy w batalionie. Odjeżdżam do batalionu autem, a pan pojedzie ze mną. Proszę mi się nie wykręcać!

Kadet Biegler zaznaczył mianowicie, że w kancelarii sztabu wyznaczono mu marszrutę kolejową, który to sposób podróżowania wydawał mu się daleko wygodniejszym przez wzgląd na nieustaloną równowagę jego kiszek. Każde dziecko przecież wie, że samochody takich urządzeń nie posiadają. Zanim przejdiesz 180 kilometrów, możesz mieć wszystko w spodniach.

Diabli wiedzą, jak to się stało, że dygotanie samochodu nie miało zrazu, gdy wyjechali, żadnego wpływu na kadeta Bieglera.

Podporucznik Dub był wprost zrozpaczony, że nie uda mu się przeprowadzić zamierzonego planu zemsty.

Gdy bowiem ruszyli w drogę, podporucznik Dul myślał w duchu:

„Czekaj, kadecie Biegler! Jeśli przytrafi ci się coś takiego, nie myśl, że każę zatrzymać auto na pierwsze twoje życzenie”.

W tym też celu prowadził miłą rozmowę, o ile pozwalała na nią szybkość, z jaką łykali kilometry, i wywodził, że samochody wojskowe, mające wyznaczoną marszrutę, nie mogą trwonić benzyny i zatrzymywać się po drodze.

Kadet Biegler odpowiedział na to całkiem trafnie, że gdy samochód stoi i czeka na kogoś, to w ogóle nie potrzebuje benzyny, ponieważ szofer wyłącza motor.

— Jeśli w czasie oznaczonym ma się przybyć na właściwe miejsce — wywodził dalej podporucznik Dub — to nie wolno zatrzymywać się nigdzie.

Na to kadet Biegler wcale nie odpowiedział.

Tak ciężki powietrze przez jakiś kwadrans, gdy wtem podporucznik Dub poczuł, że ma jakoś dziwnie rozdęty brzuch i że dobrze byłoby zatrzymać auto, wysiąść, wleźć do rowu, zdjąć spodnie i szukać ulgi.



Trzymał się po bohatersku aż do 126 kilometra, ale wreszcie pociągnął szofera energicznie za płaszcz i wrzasnął mu do ucha:

— *Halt!* Kadecie Biegler — rzekł łaskawie podporucznik Dub zeskakując z auta i co rychłej pędząc do rowu — teraz masz pan sposobność. Korzystaj pan.

— Dziękuję — odpowiedział kadet Biegler — nie chcę na próżno zatrzymywać auta.

A chociaż kadet Biegler całą siłą woli musiał panować nad swoimi zdemoralizowanymi kiszkami, to jednak powiedział sobie w duchu, że woli narobić w spodnie niż stracić sposobność do zadrwienia z podporucznika.

Zanim dojechali do stacji Żółtańce, podporucznik Dub jeszcze dwa razy kazał zatrzymać samochód, a na ostatnim przystanku rzekł ze złością do Bieglera:

— Na obiad miałem polski bigos. Z batalionu zatelegrafuję skargę do brygady. Użyto zepsutej kapusty kiszzonej i bezwartościowego mięsa wieprzowego, niezdatnego do użytku. Zuchwałość kucharzy przekracza wszelkie granice. Kto mnie jeszcze nie zna, ten mnie pozna.

— Feldmarszałek Nostitz-Rhienneck należący do elity kawalerii rezerwowej — odpowiedział na to kadet Biegler — wydał dzieło *Was schadet dem Magen im Kriege*, a w dziele tym zalecał przy wysiłkach wojennych unikanie wieprzowego mięsa w ogóle. Każde nadużycie podczas marszu jest szkodliwe.

Podporucznik Dub nie odpowiedział na to ani słowem i tylko sobie pomyślał:

„Pluję na twoją uczoność, ty smyku!”

Ale potem zastanowił się nad słowami kadeta Bieglera i wyrwał się ze zgoła głupim zapytaniem:

— Czy przypuszcza pan, panie kadecie Biegler, że oficer, względem którego pan uważać się powinien za podwładnego, jada nieumiarkowanie? Czy może chciał pan powiedzieć, panie kadecie Biegler, że się obżarłem? Niech pan będzie pewien, że za to grubiaństwo zda mi pan rachunek. Dziękuję za takie komplementy! Pan mnie jeszcze nie zna, ale jak mnie pan pozna, to popamięta pan podporucznika Duba.

Przy ostatnim słowie byłby sobie przygryzł język, bo auto wpadło w jakiś wybój.

Gdy Biegler znowu nic nie odpowiedział, tak to rozgniewało podporucznika Duba, że zapytał:

— Słuchaj pan, panie kadecie Biegler, sądzę, iż uczono pana, że na pytanie swego przełożonego winien pan dawać odpowiedzi.

— Tak jest — rzekł kadet Biegler — istnieje taki przepis. Przedtem wszakże należałoby zanalizować nasz stosunek wzajemny. O ile mi wiadomo, nie mam jeszcze przydziału, tak że nie może być mowy o tym, aby pan był moim bezpośrednim przełożonym, panie podporuczniku. Najważniejsze jest wszakże to, że w kołach oficerskich odpowiada się na pytania przełożonych jedynie w sprawach służbowych. My dwaj, siedzący tutaj w aucie, nie reprezentujemy żadnej jednostki bojowej o określonym przeznaczeniu wojskowym. Między nami nie ma żadnego stosunku służbowego. Obaj jedziemy do swoich oddziałów i nie byłoby zgoła żadnym służbowym wypowiedzeniem się, gdybym odpowiedział, czy chciałem, czy też nie chciałem powiedzieć, że pan się obżarł, panie podporuczniku.

— Już pan skończył? — ryknął na niego podporucznik Dub. — Pan jest...

— Już skończyłem — głosem spokojnym odpowiedział kadet Biegler. — Niech pan pamięta, panie podporuczniku, że z tym, co tu między nami zaszło, niezawodnie mieć będzie do czynienia oficcerski sąd honorowy.

Podporucznik Dub tracił przytomność ze złości. Wściekał się. Było to osobliwością jego natury, że gdy się rozgniewał, to mówił jeszcze większe głupstwa, niż gdy był spokojny. Dlatego mruknął pod nosem:

— O panu wypowie się sąd wojskowy.

Kadet Biegler skorzystał z tej sposobności, żeby przeciwnika dobić ostatecznie, i dlatego tonem jak najprzyjaźniejszym rzucił:

— Żartujesz, kolego.

Podporucznik Dub krzyknął na szofera, żeby zatrzymał auto.

— Jeden z nas musi iść piechotą — rzęził.

— Ja jadę — odpowiedział spokojnie kadet Biegler — a ty, kolego, rób, co ci się podoba.

— Jechać! — krzyknął podporucznik Dub głosem furiata na szofera i otulił się milczeniem jak Juliusz Cezar togą, gdy spiskowcy zbliżali się ku niemu ze sztyletami, aby go zabić.

Tak przybyli do Żółtaniec, gdzie natrafili wreszcie na ślad batalionu.

Podczas gdy podporucznik Dub z kadetem Bieglerem jeszcze na schodkach klócili się o to, czy kadet, który jeszcze nie ma przydziału, może mieć pretensje do podgardlanek z tej ich liczby, która przypada na oficerów poszczególnych kompanii, na dole w kuchni byli już wszyscy syci, poukładali się wygodnie na ławach i rozmawiali o wszystkim możliwym kurząc fajki tak zajadle, że w izbie było zupełnie ciemno.

Kucharz Jurajda oświadczył:

— Zrobiłem dzisiaj znakomite odkrycie. Sądzę, że mamy tu do czynienia z zasadniczym przewrotem w kucharstwie. Ty, Vańku, wiesz przecie, że po całej wsi daremnie szukałem majeranku do podgardlanek.

— *Herba majoranae* — rzekł sierżant rachuby Vaniek przypominając sobie, że jest drogistą.

Jurajda mówił dalej:

— Niezbadane są drogi ducha ludzkiego, chwytającego się w potrzebie najróżnorodniejszych sposobów, odsłaniających nowe horyzonty, i wynajdującego rzeczy, o jakich ludzkości nie śniło się dotychczas... Szukam ja tedy po wszystkich domach majeranku, tłumaczę, objaśniam, na co mi to potrzebne i jak to wygląda...

— Trzeba było jeszcze powiedzieć, jak on pachnie — odezwał się z ławy Szwejk. — Trzeba było powiedzieć, że majeranek pachnie tak, jak gdy się wacha buteleczkę atramentu w alei kwitnących akacji. Na pagórku Bohdalec pod Pragą...

— Ależ, Szwejk — przerwał mu głosem błagalnym jednoroczny ochotnik Marek — pozwól dokończyć Jurajdzie.

Jurajda mówił dalej:

— W pewnym domu natknąłem się na starego wysłużonego żołnierza z czasów okupacji Bośni i Hercegowiny, który odbył służbę wojskową w Pardubicach u ułanów i jeszcze dzisiaj umie po czesku. Człowiek ten zaczął się ze mną sprzeczać, że w Czechach nie dodaje się do podgardlanek majeranku, ale rumianek. Nie wiedziałem naprawdę, co mam począć, bo przecież każdy rozsądny człowiek, który nie ma przesądów, uznać musi, że wśród korzeni, jakimi przyprawia się podgardlanki, majeranek to królewicz. Trzeba było wynaleźć na poczekaniu taką namiastkę, która zastąpiłaby charakterystyczny i swoisty zapach majeranku. Otóż w pewnej chałupie znalazłem pod obrazem jakiegoś świętego ślubny wianuszek mirtowy. Trafiłem na nowożeńców, gałązki mirtu w wianuszku były jeszcze dość świeże. Użyłem więc mirtu jako przyprawy do podgardlanek; oczywiście trzeba było sparzyć wianuszek trzy razy wrzącą wodą, żeby listki zmiękły i straciły zbyt ostry zapach i smak. Rzecz prosta, że gdy ten wianuszek ślubny zabierałem do podgardlanek, płaczu było wiele. Na odchodnym właściciele zapewnili mnie, że za takie straszne świętokradztwo (wianuszek był poświęcony) najbliższa kula mnie zabije. Jedliście przecie polewkę z podgardlanek i żaden z was nie spostrzegł, że zamiast majeranku pachniała mirta.

— W Hradcu Jindřicha — odezwał się Szwejk — był przed laty wędliniarz Józef Linek, a ten Linek miał zawsze na półce dwa pudełka: w jednym znajdowała się mieszanina korzeni, której używał do podgardlanek i kiszki, w drugim trzymał proszek na robaki, ponieważ zdarzyło mu się stwierdzić, że klienci jego rozgryźli pluskwę lub prusaka w podgardlanec czy też w kiszce. Ów Linek mawiał zawsze, że o ile chodzi o pluskwę, to ma ona smak korzenny i przypomina gorzkie migdały, których używa się do ciasta, ale prusaki śmierdzą w kielbasach jak stara biblia, dotknięta pleśnią. Dlatego też bardzo dbał o czystość w swoim warsztacie i wszędzie gorliwie sypał proszek na robaki. Razu pewnego robił sobie zacny człowiek kiszki, a miał akurat katar. Niewiele myśląc łapie pudełko z proszkiem na robaki i sypie w farsz podgardlankowy. Od tego czasu po kiszki i podgardlanki chodzili wszyscy tylko do Linka. Ludzie tłumem pchali się do sklepu. A chłop był łebski, bo zaraz wymiarkował, że to zawdzięcza temu proskowi na robaki i od tego czasu zamawiał całe skrzynie tego specjału wpłacając zaliczkę, ale firmie nakazał, żeby na skrzynce pisało: ziele indyjskie. Był to jego sekret, który zabrał z sobą do grobu. Ale najciekawsze było to, że w domach rodzin, które kupowały kiszki u niego,

wyginęły pluskwy i prusaki. Od tego czasu Hradec Jindřicha należy do najczystszych miast w całych Czechach.

— Już skończyłeś? — zapytał jednoroczny ochotnik Marek, który niezawodnie także pragnął wtrącić się do rozmowy.

— Co dotyczy Linka, to już skończyłem — odpowiedział Szwejk — ale znam podobny przypadek, który zdarzył się w Beskidach. Lecz o nim opowiem wam dopiero wtedy, gdy będziemy staczali walki.

Jednoroczny ochotnik Marek rozgałał się na dobre:

— Sztukę kucharską najlepiej poznać można podczas wojny, osobliwie na froncie. Pozwolę sobie zrobić małe porównanie.

Przed wojną czytaliśmy i słyszeliśmy nieraz o tak zwanych chłodnikach, to jest zupach, do których dodaje się lód, a które cieszą się wielkim powodzeniem w północnych Niemczech, w Danii i Szwecji. Otóż i macie. Przyszła wojna i tego roku w zimie w Karpatach mieli żołnierze tej zmarłej zupy tyle, że już na nią patrzeć nie mogli. A przecież to specjał.

— Zmarznięty gulasz można jeść — rzekł sierżant rachuby Vaniek — ale niedługo; najwyżej tydzień. Z powodu takiego zmarzniętego gulaszu nasza 9 kompania opuściła pozycje.

— Jeszcze w czasie pokoju — rzekł Szwejk z niezwykłą powagą i godnością — dokoła kuchni i najrozmaitszych potraw kręciło się w wojsku wszystko. Mieliśmy na przykład w Budziejowicach oberlejtanta Zakreja, który stale się szwendał dokoła kuchni oficerskiej, a gdy który z szeregowców coś splotał, to mu kazał stanąć na baczność i ryknął na niego: „Ty łobuzie jeden, jeśli popełnisz jeszcze raz coś podobnego, to z gęby twojej zrobię mięciutkie bitki, rozdepczę cię jak tłuczone kartofle i każę ci to zjeść. Pocięknę z ciebie kałdun z ryżem i będziesz wyglądał jak szpikowany zając na brytfannie. Sam więc widzisz, że się musisz poprawić, jeśli nie chcesz, żeby ludzie myśleli, że zrobiłem z ciebie faszerowaną pieczeń z kapustą”.

Dalszy wykład i ciekawa rozmowa o tym, w jaki sposób używano jadłospisu przy wychowywaniu żołnierzy w czasach przedwojennych, został przerwany wielkim krzykiem na piętrze, gdzie kończyła się uroczysta wyżerka.

W chaosie głosów można było odróżnić krzyk kadeta Bieglera:

— Żołnierz już w czasie pokoju winien wiedzieć, czego żąda od niego wojna, a podczas wojny nie powinien zapominać o tym, czego nauczył się na placu ćwiczeń.

Następnie dał się słyszeć sapliwy głos podporucznika Duba:

— Proszę o ustalenie faktu, że obrażono mnie po raz trzeci.

Na piętrze działy się rzeczy wielkie.

Podporucznik Dub, który wobec kadeta Bieglera miał zamiary zgoła zdradliwe i chciał go pogrzyżyć wobec komendanta batalionu, powitany został przez oficerów wielkim hałasem. Wszyscy znajdowali się pod wpływem znakomitego działania żydowskiej wódki.

Podrzuwając z jego niefortunnej przygody przy jeździe wierzchem, jeden przez drugiego pokrzykiwali na podporucznika Duba:

— Bez grooma rady nie dasz!

— Płochliwy mustang!

— Jak długo byłeś, kolego, wśród cowboyów na dzikim zachodzie?

— Artysta jazdy konnej!

Kapitan Sagner szybko napił go szklanką przeklętej gorzałki i urażony podporucznik usiadł przy stole. Stare, poturbowane krzesło przystawił obok porucznika Lukasa, który powitał go słowy przyjaznymi:

— Wszystko już zjedzone, kolego.

Smutna postać kadeta Bieglera została niedostrzeżona, pomimo że ten ściśle według przepisu obszedł cały stół, i poczynając od kapitana Sagnera, meldował się wszystkim oficerom po kolei, powtarzając w kółko, chociaż wszyscy go dobrze widzieli:

— Kadet Biegler przybył do sztabu batalionu.

Potem sięgnął po pełną szklanicę, usadowił się z nią zgoła skromnie koło okna i czekał na odpowiednią chwilę, aby popisać się jedną ze swoich mądrości zaczerpniętych z podręczników.

Podporucznik Dub, któremu to straszliwe głędzenie mąciło w głowie, zapukał palcem w stół i bez jakiegokolwiek wstępu zwrócił się do kapitana Sagnera:

— Ze starostą powiatowym mawialiśmy zawsze: patriotyzm, wierne spełnianie obowiązków, przezwyciężanie samego siebie to najlepsza broń podczas wojny. Wspominam o tym właśnie dzisiaj, gdy wojska nasze w czasie najbliższym przekroczą granice.

\*

*Na tym urywa się rękopis Jarosława Haška.*

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/hasek-przygody-dobrego-wojaka-szwejka-t-iii-iv>

Tekst opracowany na podstawie: Jaroslav Hašek, *Przygody dobrego wojaka Szejka podczas wojny światowej*, tom III i IV, tłum. Paweł Hulka-Laskowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1955.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska. Publikacja sfinansowana ze środków pozostałych ze zbiorów, które nie zakończyły się sukcesem.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0296-4

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).